

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/350

1976



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. OSTROWSKA : **KOLOKWIUM « 1956 »**

A. SOLECKI : **DLACZEGO NIE ZOSTAŁEM
CZERWCOWYM WARCHOŁEM ?**

W. BUKOWIŃSKI :
**WSPOMNIENIA DLA PRZYJACIÓŁ
DOKUMENTY KRAJOWE -
KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW**

SPIS RZECZY

Marta Ostrowska:	<i>Kolokwium „1956”</i>	3
Andrzej Solecki:	<i>Dlaczego nie zostałem czerwcowym warchołem</i>	11
Ks. Władysław Bukowiński:	<i>Wspomnienia dla przyjaciół</i>	35
Konstanty A. Jeleński:	<i>Pamięci Auberona</i>	64

ARCHIWUM POLITYCZNE

—	<i>Europa Wschodnia „uwolniona”</i>	71
Zygmunt Merka:	<i>Kryzys władzy w Polsce</i>	72
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	77
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	91

CO ROBIĆ?

Andrzej Koraszewski:	<i>Spór o socjalizm w Polsce</i>	94
Marek Brzost:	<i>Kilka uwag o programie PPN</i>	102

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	107
BEO:	<i>Kronika ukraińska</i>	114
E. Zagieli:	<i>Kronika litewska</i>	117
Wł. Brylewski:	<i>Kronika białoruska</i>	121

SPRAWY I TROSKI

Józef Czapski:	<i>Taki skrawek obcego pola</i>	123
----------------	---------------------------------------	-----

KSIĄŻKI

M. Broński:	<i>Salatka egzystencjalna</i>	126
Witold Wirpsza:	<i>Odyseja czyli topos ucieczki</i>	128
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	130
Adam Czerniawski:	<i>Język filozofii moją</i>	136
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i>	142



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	153



J. Baraniecki, Wł. Brylewski, K. Z. Hanff, M. Danilewicz Zielińska, Wł. Kubiłowicz, Br. Łokaj, Z. Michałowski, W. Wawrzyniak:	<i>Listy do Redakcji</i>	155
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160



—	<i>Dokumenty krajowe</i>	161
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1976

INSTYTUT



LITERACKI

DO CZYTELNIKÓW

Ze względu na napływ bardzo ważnego materiału redakcyjnego, nadosłanego z kraju, numer listopadowy wychodzi w objętości: stron 192 zamiast 160. Jest to jednocześnie nasz mały, wewnętrzny jubileusz — 350-ty numer *Kultury*.

Ceny na ten numer nie podnosimy, natomiast apelujemy do wszystkich naszych Czytelników o wpłaty na Fundusz „Kultury”. Jakkolwiek Fundusz jest zasilany przez naszych Czytelników w sposób imponujący (niektórzy wpłacili już po raz przeszło 40-ty) to w tej chwili sprawą najbardziej palącą jest pomoc dla Komitetu Obrony Robotników. Jak wielkie są potrzeby Czytelnicy zorientują się z zamieszczonych w tym nrze *Biuletynu i Komunikatu Komitetu*. Od czerwca bież. roku wszystkie wpłaty na Fundusz przekazujemy na pomoc dla Kraju — mimo licznych zobowiązań obciążających Fundusz, które chwilowo musimy pokrywać z naszego budżetu. Nie wątpimy że nasz apel spotka się ze zrozumieniem.

REDAKTOR

WPŁATY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Zbigniew Byrski, New York (USA), po raz trzeci	F. 200,00
Wiktoria Felis, Chicago, Ill. (USA)	F. 12,50
Ignacy Fonberg, New Haven, Conn. (USA)	F. 70,00
J.G. — zamiast kwiatów na trumnę ppłk. B. Ziemiańskiego („Mościbrodzkiego”), przyjaciela i współpracownika z okresu wojny	F. 100,00
A.K., Boulogne (Francja) — ku uczczeniu pamięci Juliusza Mieroszewskiego	F. 200,00
Prof. Jerzy St. Langrod, Paryż, po raz dwudziesty szósty	F. 100,00
Sp. Z. Majdzińska — legat, przekazany przez Rees Kon Freeman and Co. Solicitors, Londyn — £. 50.00 =	F. 415,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób Juliusza Mieroszewskiego	F. 60,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) — zamiast kwiatów w Dzień Zaduszny na znane i nieznane groby moich najbliższych, tych co zmarli i tych pomordowanych przez NKWD i Gestapo	F. 100,00
Wiktor R. Skiba, Meksyk — po raz osiemnasty	F. 57,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło 37, Waszyngton, D.C. (USA)	F. 250,00
Turzański, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 10,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Claremont, Cal. (USA), po raz 11-ty	F. 165,00
Ze zbiórki ulicznej w Lund (Szwecja), po raz drugi	F. 750,00

DZIĘKUJEMY!

Kolokwium « 1956 »

W dniach 27, 28 i 29 września odbyło się w Paryżu kolokwium związane z 20-leciem Rewolucji Węgierskiej i polskiego Października. Wiosna Praska 1968 roku i wydarzenia marcowe w Polsce stały się także ważnymi punktami odniesienia dyskusji, w czasie której wspomniano zapewne wszystkie rewolty, najmniejsze znane opinii „przerwy” w ciągłości systemu, od rozruchów w Berlinie w 1953 roku poczynając. Temat jest przecież wciąż ten sam, a kolokwium nie miało charakteru obchodów rocznicowych, lecz wielkiej dyskusji o współczesności bloku wschodniego.

Organizatorzy chcieli nadać spotkaniu charakter możliwie pełnej „naukowej” analizy złożonej problematyki, którą nasuwają wydarzenia sprzed 20-tu lat. Historycy, ekonomiści, politolodzy przygotowali zawnazu swe referaty, które zostały rozprawdzone między uczestników, by w trakcie kolokwium można się było skupić na wymianie poglądów a nie na obszernym ich referowaniu. Ale postulat „naukowości” nie został spełniony, jak się wydaje, z kilku powodów. Po pierwsze trudno jest poddawać „naukowej” analizie własne życie: większość referentów pochodzących z Europy Wschodniej, zagłębiając się w problematykę kolokwium, chcą nie chcąc zagłębiać się w własną młodość w ruchu komunistycznym.

Po drugie sama problematyka kolokwium okazała się oporna wobec takiej naukowej analizy. Rzeczywistość krajów bloku sowieckiego, ujęta powszechnie przyjętą definicją systemu totalitarnego, nie chce się poddawać innym, szczegółowym formułom. Umyka młodelom, które chcą ją ująć w rytm cykli i okresów, rozluźniania się i zacieśniania opresji w poszczególnych krajach bloku. Tak jakby ta ogólna i złowieszczą definicja „totalitaryzm” wyczerpywała sprawę, a wszystko inne było tylko próbą wprowadzenia ładu do własnych wspomnień: co poszczególni ludzie, co poszczególne „ludy” w tym systemie przeżyły, chwilami zwodzone hasłami żłudnych liberalizacji, chwilami doprowadzane do granic

wytrzymałości, do wybuchów, których spontaniczność wprawia w osłupienie obserwatorów z krajów zachodnich, gdzie już od dawna każdy protest poprzedza jego misterne przygotowanie w ramach społecznie uznanych i szanowanych instytucji.

Na sali obecni byli przedstawiciele dzienników *Le Monde*, *Le Figaro*, *Liberation*, *Quotidien de Paris*, *Frankfurter Allgemeine*, *Neue Zürcher Zeitung*; tygodników *Nouvel Observateur*, *Le Point* i *Russkoy Mysli*; miesięczników *Esprit*, *Temps Modernes*, *Kontinentu* oraz radia francuskiego, włoskiego, „Swobody” i Wolnej Europy. I z pewnością wielu innych gazet i rozgłośni radiowych, które umknęły naszej uwadze. W ciągu trzech dni wyczerpujących dyskusji przez salę przewinęło się wiele osobistości świata naukowego i politycznego. Wspomnijmy kilka spośród nich: Raymond Aron, Jean Marie Domenach, Lionel Jospin, Gilles Martinet i Gerard Jacquet z kierownictwa Partii Socjalistycznej, Jean Jacques Marie i Jacques Juillard z ruchu związkowego, Leon Hammon, były minister Pompidou. Wśród dyskutantów i publiczności reprezentowane były wszystkie odcienie lewicy z wyjątkiem komunistów, którzy jak zwykle wykręcili się jakimś zawiłym i nikogo już zresztą nie obchodzącym argumentem.

Wśród około trzydziestu referentów paryski świat naukowy i polityczny reprezentowali: Annie Kriegel (profesor socjologii politycznej, Nanterre), Alain Besançon (sowieolog), Pierre Daix (pisarz), Claude Lefort (profesor *Ecole des Hautes Etudes en Sciences Politiques*), Paul Thibaud (redaktor miesięcznika *Esprit*), Pierre Hassner (profesor *Fondation Nationale des Sciences Politiques*), Michel Winock (profesor historii — Nanterre).

Pozostałych referentów, z których większość zajmuje stanowiska profesorów wyższych uczelni czy pracowników naukowych instytutów badawczych Francji, Anglii, Szwajcarii i innych krajów wymienimy w porządku ich byłej lub obecnej przynależności narodowej, która stanowi ważny element ich osobistej identyfikacji.

Węgry: François Fejtő, historyk (Paryż), Pierre Kende, ekonomista (Paryż), Akos Ditroi, architekt (Paryż), Miklos Molnar, historyk (Genewa), Zoltan Szabó, socjolog, pisarz (Londyn), Janos Kovacs (pseudonim — tekst nadesłany z Budapesztu).

Polacy: Bronisław Baczko, filozof (Genewa), Włodzimierz Brus, ekonomista (Oxford), Leszek Kołakowski, filozof (Oxford), Adam Michnik, historyk (Warszawa), Krzysztof Pomian, historyk (Paryż), Aleksander Smolar, ekonomista (Aix-en-Provence).

Czesi: Jirři Pelikan, dziennikarz (Rzym), Paweł Tligrđ, redaktor czasopisma *Svedectvi* (Paryż), Vladimir Fišera, historyk (Portsmouth).

Rosjanie: Andriej Amalrik, historyk (Amsterdam), Natalia Gorbanijskaja, poetka, dziennikarka (Paryż).

Teksty referatów przygotowanych na „Kolokwium 56” ukażą się w wydaniu książkowym na początku przyszłego roku (wydawnictwo *Seuil*, Paryż), oraz zostaną częściowo opublikowane w miesięcznikach *Esprit* i *Temps Modernes*. Fakt ten zwalnia

nas od obszernego ich referowania i upoważnia do wygłoszenia kilku luźnych uwag na temat samej dyskusji, która wychodziła nieraz daleko poza ramy tekstów. Toczyła się ona pod znakiem spokoju i paniki jednocześnie. Paniki, czy raczej niepokoju, który odczuwamy, gdy nie potrafimy znaleźć właściwej miary dla własnych doświadczeń i umiejętnie dozować wynikający z nich pesymizm. Spokój wynikał z powszechnie podzielanego przekonania, że tworzenie utopii społecznych jest niebezpieczne, i choć — jak słusznie zauważył Baczko — bez utopii nie ma ideologii — to nie jej obecność lub brak interesował zebranych, nie w jej kategoriach dyskutanci wyrażali potrzebę sformułowania programów i prognoz rozwoju społeczeństwa post-komunistycznego. Nikogo, z wyjątkiem nielicznych na sali przedstawicieli partii legitymujących się doktrynami, nie oburzał fakt oczywisty, że programy te muszą być eklektyczne i wykorzystywać mogą elementy projektów i realizacji sprawdzonych w różnych krajach niezależnie od ich ustroju (np. elementy socjalizmu w socjaldemokracji, parlamentarizm, pluralizm itp.).

Zatem nie w ideologicznych kategoriach sformułował Kende swoje twierdzenie, że problem powrotu do kapitalizmu społeczeństw Europy Wschodniej nie wchodzi w rachubę, jest, w rozważaniach o możliwych formach społeczeństwa post-komunistycznego, problemem fałszywym. Przyjęcie jedynej miary kryteriów realistycznych, postulatu trzymania się istniejącego stanu rzeczy, a więc stanu społeczeństw Europy Wschodniej w 30 lat po wprowadzeniu systemu komunistycznego i w ogólnym kontekście świata — pozwoliło Kendemu i innym uczestnikom kolokwium na samo postawienie problemu społeczeństw post-komunistycznych, w otwartej sprzeczności z ideologicznym i blokującym wyobraźnię (nie tylko marksistów) przekonaniem, że „po komunizmie nie ma już nic”, że najwyższej nastąpić może „powrót ku czemuś” — jak mówi Kende.

Annie Kriegel mówiąc o stosunku komunistów zachodnich do wydarzeń 56 roku stwierdziła, że choć siła komunizmu nie mieści się w doktrynie, lecz w systemie który konstruuje — to w 1956 roku naruszona została sama substancja życiowa komunizmu i ten trwający od 20-tu lat proces pozwala dziś mówić że inicjatywa historyczna już do niego nie należy. Brzmi to optymistycznie i ogólnikowo, mimo że *exposé* Annie Kriegel dalekie było od optymizmu, choćby w jej ocenie eurokomunizmu i jego zależności od komunizmu sowieckiego. Co innego jednak oznaczać może stwierdzenie, że komunizm stracił historyczną inicjatywę, jak nie możliwość a ideologicznego, realistycznego zobaczenia świata i uznania stanu istniejącego za jedyny obowiązujący punkt wyjścia? Domagali się tego wszyscy, mówił o tym Pelikan, mówił o tym Brus, podkreślając konieczność przeprowadzenia analizy pewnych problemów ostro postawionych w 1956 roku (stosunek planowania centralnego do rynku) w innych kategoriach niż ówczesne, rewizjonistyczne (a więc ideologiczne) i to nie tylko w krajach komunistycznych ale i w Europie Zachodniej.

Postulat przeprowadzania analiz ekonomicznych okresu od 1956 roku, oraz projektów reform wówczas wyłonionych, powtarzał się wielokrotnie, ale patrząc okiem laika wydaje się, że wszystko co można było zbadać i zaprojektować *in vitro*, zostało już zbadane. Czy można pójść na tej drodze dalej, niż zrobił to Kende, przypominając znane od lat analizy Oskara Lange i Ota Sika, w których mowa o systemie rynkowym kontrolowanym nie przez biurokratyczne planowanie centralne lecz inny, niemonopolistyczny system koordynacji? Wszystkie jego możliwości wysuwane od 20-tu lat (a, jak przypominał Leszek Kołakowski mówiąc o radach robotniczych — od przeszło stu lat w Anglii i od Prudhon'a...) zostały wzięte pod uwagę w referacie Kendego i ułożone w możliwe figury przyszłych układów*. Na tym kończy się rola ekonomisty, który nie może dotknąć rzeczywistości stanowiącej materiał jego analizy (co dotyczy w równym stopniu ekonomistów zamieszkających w krajach bloku wschodniego jak i przebywających na emigracji). Kende wyrażając publicznie żal, że nie może, tak jak członkowie opozycji polskiej, mówić dziś w kategoriach działania, dał pełny wyraz tej postawie. I może, bez doprowadzenia tej myśli do końca, wyraził ją jednak Brus stwierdzeniem, że negatywne doświadczenia prób nawet częściowych reform ekonomicznych po 1956 roku dowiodły konieczności równoległych reform politycznych, liberalizacji itp.

Totalitaryzm zlikwidował ideologię, zlikwidował także ekonomię, pozostawiając politykę sprowadzoną do swej najprostszej formy: dyktatury władzy. Sytuacja, w której władza i społeczeństwo stoją naprzeciwko siebie, w której nie istnieje żaden system pośredniczenia między nimi (sytuacja, o której marzy skrajna lewica zachodnia) zanalizowana została w referatach Aleksandra Smolara i Krzysztofa Pomiana na przykładzie Polski.

Chcąc wprowadzić jakiś ład do 30-letnich dziejów systemu w Polsce Smolar ujął je w formę powtarzających się cykli, przedzielonych datami znanych wszystkim kryzysów 1956 i 1968-1970 roku. Ale opis rozwoju cykli, od stadium wstępnego, gdy nowa ekipa musi zjednywać sobie społeczeństwo zwiększając margines dobrobytu i wolności do stadium osiągnięcia pełnej dominacji — wydaje się mniej istotny od samego nazwania tych

* 1) Powrót do demokracji liberalnej i reprezentatywnej; 2) Samorząd robotniczy; 3) Komunizm demokratyczny. Trzecią możliwość Kende odrzuca od razu: komunizm demokratyzując się przestaje być komunizmem. Drugiej zarzuca brak projektu systemu koordynującego, którym znów się staje monopol państwowy (Jugosławia) lub stać się może, jak przypominał Kołakowski, nawrót do nieograniczonej konkurencji kapitalistycznej. Możliwość zrealizowania pierwszego i najbardziej pożądanego projektu jest, zdaniem Kendego, niewielka. Można wyobrazić sobie cztery drogi rozwoju sytuacji obecnej: 1) Powolną erozję systemu; 2) zastąpienie dyktatury partii dyktaturą jednostkową; 3) pucz wojskowy; 4) rewolta ludności, podobna do rewolucji węgierskiej 1956 roku, niszcząca system jednopartyjny. A więc rewolta demokratyczna, która zrealizuje się, jeżeli nie nastąpi interwencja wojskowa ZSSR lub Chin.

cykli, znaczących rozwój czy raczej istnienie systemu. Polityka (władza) rządzi tu ekonomią a nie ekonomia — polityką. Cykle ekonomiczne zastąpione zostają cyklami politycznymi, które nazwać można cyklami politycznymi ekonomiki. Przedzielają je krótkie okresy kryzysów, jedyne w tym systemie eksplozje prawdy społecznej. W referacie Smolara najistotniejszy wydaje się opis patologii władzy, pozbawionej kontaktu ze społeczeństwem. W tym królestwie niekomunikatywności każda dowolna decyzja przedstawiana jest jako konieczność dziejowa: centralizacja i decentralizacja, odwilż i następujące szybko zamrożenie.

W referacie Pomiana to samo zjawisko ujęte zostało formułą „Sekretarz-robotnik” (Joga i komisarz u Koestlera). W gorących zmaganiach z robotnikiem sekretarz, zdaniem Pomiana, wyczerpał już dostępny mu repertuar zabiegów, które zwykło się w innym systemie uważać za decyzje ekonomiczne: zwiększenie inwestycji i obniżka płac i zaraz potem zabieg odwrotny. Ale, zdaniem Pomiana, robotnik jest rzeczywistym partnerem tych zmagani. Walka frakcyjna w partii zaostrza się w okresach nasilenia presji społecznej. Robotnik, raz pojawiwszy się na scenie politycznej (jak w ostatnich miesiącach w Polsce) — nie da się zepchnąć w niebyt. I choć jego obecność w innych krajach bloku nie jest tak wyraźna jak w tej chwili w Polsce — sytuacja w całym bloku będzie określona koniecznością znalezienia jakiegoś *modus vivendi* z tą właśnie siłą społeczną. Pomian podkreślił, że nie stara się tej przyszłości sobie wyobrazić, ani zgadnąć, czy będzie „lepsza” czy „gorsza” niż obecnie. Ale nuta optymizmu, obecna w jego referacie, która wyraziła się także próbą dostrzeżenia związku między ruchem robotniczym i ruchem inteligencji w Polsce (w 1956 i 1976 roku), powściągnięta została nieco wypowiedzią Bronisława Baczki, który stwierdził, że zarówno „klasa robotnicza” jak „inteligencja” pojawia się w dyskusji w znaczeniu zmitologizowanym. Ze „spotkanie” buntu robotniczego z ruchem inteligencji w 1956 roku było momentem wyjątkowym, a nie typowym. Ze te dwie grupy społeczne są i pozostaną w dużej mierze zamknięte w innych sferach działalności i myślenia. I że zapomina się często, iż system totalitarny, który „gwarantuje” tak wielką spontaniczność rzadkich robotniczych wybuchów jest także potężną siłą dezintegracji i demoralizacji tejże klasy robotniczej. Ze rewolta 1976 roku w Polsce odpowiada — zarówno swą spontanicznością jak i stopniem świadomości — buntom robotniczym we Francji w 1830 roku. I w tym miejscu zacytować można wypowiedź Claude Leforta, która stała się najpiękniejszym *hommage* złożonym Rewolucji Węgierskiej 1956 roku. W czasie dyskusji wielokrotnie podkreślano zbieżność rewindykacji społecznych i politycznych w Polsce i na Węgrzech w 1956 i w Czechosłowacji w 1968 roku. Claude Lefort położył nacisk na odrębność rewolucji węgierskiej, która — w odróżnieniu od tamtych ruchów — zakwestionowała i na krótko zniszczyła monopartię, czyli ós systemu totalitarnego, i która pokazała po raz pierwszy jak potężny, i jak kruchy jednocześnie jest

ten system. W krótkim czasie swego trwania Rewolucja Węgierska rozwinęła wielką „wynalazczość”, stając się rewolucją antytotalitarną i antykapitalistyczną jednocześnie. Żądając pluralizmu i starając się go natychmiast zagwarantować poprzez dobrowolne ograniczenie roszczeń politycznych ledwo utworzonych rad robotniczych. Rewolucja węgierska pierwsza uznała konieczność podziału władzy i wielości ośrodków dyspozycyjnych. Władimir Fišera, który zgromadził prawdziwe archiwum wiedzy o radach robotniczych w Polsce i na Węgrzech w 1956 i w Czechosłowacji w 1968 roku podkreślił, że jeszcze na początku 1969 roku w Pradze rady robotnicze wyrażały tendencję podobną do rad węgierskich.

W drugiej części tego sprawozdania będziemy mówić o innym, przewijającym się przez całe obrady wątku, nazywając go wątkiem niepokoju, goryczy, na przemian pesymizmu i umiarkowanego optymizmu. Spokojne porozumienie dyskutujących, oparte na nieuznawaniu już żadnych dogmatów poza jednym pewnikiem: stanu istniejącego jako jedynego punktu wyjścia wszelkich projektów, jest porozumieniem na gruzach. Na gruzach ideologii, ekonomii, polityki, żeby nie powiedzieć — na gruzach społeczeństw. Społeczeństw odartych przez władzę z własnej historii (piękny referat Molnara), a obdarowanych najbardziej obskurancką, rasistowską wersją nacjonalizmu* (Kołakowski — Be-sançon). Społeczeństw nie mogących liczyć na pomoc Zachodu wycofującego się zawsze w momentach kryzysów (Hassner), społeczeństw zależnych od nieprzewidywalnych przemian w ZSSR i od postawy Stanów Zjednoczonych, które „zwalczają komunizm tam, gdzie ludzie go chcą, a w gruncie rzeczy popierają tam, gdzie ludzie go nie chcą” (Amalrik). Społeczeństw pozbawionych myśli politycznej i gwarantujących ją instytucji, społeczeństw w których nie jest polityką, a więc wszystko nią się staje (ręczne przepisywanie wierszy, wśród nich *Requiem* Achmatowej stało się kluczowym momentem rozwoju *Samizdatu*, o którym opowiedziała Gorbaniewska). Społeczeństw, w których nieustanne powtarzanie Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela staje się nie tylko aktem odwagi, ale wystarcza za wszystkie programy polityczne, których zbędność i nierealność jest niemal fizycznie wyczuwalna. O tej sytuacji moralnie czystej, (chciałoby się powiedzieć, w duchu Solżenicyna, na dnie wypalonych do końca iluzji), kiedy już nikogo z ludzi uczciwych nie kusi zawieranie „paktu z diabłem” — opowiedział w swym referacie Adam Mich-nik, przedstawiając koncepcję opozycji demokratycznej w Polsce, którą nazwał nowym ewolucjonizmem. Ewolucjonizmem — bo

* „W krajach wschodnich” — stwierdził Kołakowski — „nacjonalizm oficjalnie, słabe i sztuczne, gdyż zatrzymujące się zawsze przed kluczowym problemem suwerenności narodowej, mogą się jednak spotkać z popularnymi uczuciami narodowymi, które mają charakter nie tylko antysowiecki i antykomunistyczny, ale także antyrosyjski. Dlatego jestem w mniejszym stopniu optymistą niż większość moich przyjaciół, których referaty czytałem i których poglądy polityczne podzielam”.

myśleć można o długotrwałych i powolnych przemianach, a nie o gwałtownym wybuchu. Nowym — by odróżnić go stanowczo od dwóch koncepcji ewolucyjnych przemian systemu, narodzonych w okresie Października: katolickiego neopozytywizmu i marksistowskiego rewizjonizmu. Obie te koncepcje, których za-sług dla społeczeństwa nie omieszczał Michnik wyraźnie podkreślić, były programem przemian zaadresowanym do władzy a nie do społeczeństwa. Dlatego poniosły fiasko, dlatego z opozycji wobec władzy przekształciły się w jej mimowolnych sojuszników. Rewizjonizm zmarł w 1968 roku, neopozytywizm zakończył swą drogę wiodącą „od kompromisu do kompromitacji” głosowaniem wszystkich posłów grupy Znak, z wyjątkiem jednego, za zmianami Konstytucji, przeciwko którym protestowała cała niezależna opinia kraju. Nie postawę czy taktykę kompromisu z liberalną tendencją w partii zarzuca Michnik rewizjonizmowi, lecz brak własnego programu i zacieranie różnic między nim a partią.

W pewnych okolicznościach głośne wypowiedzenie oczywiście staje się rewelacją. Ogłoszony przez Michnika zgon rewizjonizmu stał się rewelacją tylko dlatego, że mówił o nim nie z pozycji historyka analizującego przeszłość, lecz uczestnika nowej, post-rewizjonistycznej opozycji w Polsce, o której istnieniu i skutecznej działalności światowa opinia publiczna jest w ostatnim roku bogato informowana.

Na sali było obecnych kilku byłych przedstawicieli rewizjonizmu, niewielu znalazło się gorących jego obrońców. Włodzimierz Brus słusznie podkreślił stymulującą rolę, jaką ruch ten odegrał wobec polskiej inteligencji. Krzysztof Pomian jakby zbyt pośpiesznie wyliczył osiągnięcia października, odczuwalne w dziedzinie kultury i nauki do 1968 roku, kończąc to wyliczanie jakże słusznym podsumowaniem: dwanaście lat w dziejach systemu to niewiele, w życiu człowieka to bardzo dużo.

Ale tych dwanaście lepszych pod pewnymi względami lat, to nie była stawka, o którą szło uczestnikom „wielkich i krótkotrwałych złudzeń”, jak powiedział Kołakowski, tym, z którymi dzielił nadzieję na regenerację komunizmu. Październik nie był początkiem, lecz początkiem końca, czyli restabilizacji na krótko zdeintegrowanej władzy, której społeczeństwo zdołało wyrwać pewną sumę wolności. Październik był krótkim świętem.

Rewizjonizm spełnił rolę amortyzatora napięć między władzą a społeczeństwem. Zmarł wraz z ideą komunizmu, jego śmierć stała się widoczna w 1968 roku, roku „inwazji Czechosłowacji i pogromu kulturalnego w Polsce”.

W gwałtownych słowach zamknął Kołakowski krytykę rewizjonizmu i równocześnie najsukceszniejszą jego obronę, która nie jest nawet obroną, a prostym stwierdzeniem faktu:

„Te sny o odmłodzonym lub zregenerowanym komunizmie, czy nawet o leninizmie który nie byłby stalinizmem, te marzenia, które mogą się wydać żałosne z intelektualnego punktu widzenia, odegrały swą rolę w dezintegracji systemu, którego jedną ze słabości jest niemożność obejścia się bez fasady ideologicznej jako zasady prawomocności władzy. To właśnie poprzez wyka-

zywanie groteskowych kontrastów między frazeologią fasady a prawdą życia społecznego idea komunizmu nie-totalitarnego, która dziś wielu nam przypominając gorący lód, stała się jednym z głównych czynników obecnego ideologicznego rozkładu komunizmu".

Wiara w możliwość „zreformowania komunizmu” czyniła automatycznie władzę głównym adresatem działalności rewizjonistów. Krytyka tego faktu sformułowana przez Michnika nabiera pełnej wyrazistości w Polsce dzisiejszej. Natomiast przy lekturze referatu Pelikana można było sobie pomyśleć: opozycja, która myli własny program z programem władzy, nie jest opozycją. Ale opozycja, która nie zwraca się do władzy, a wyłącznie do społeczeństwa — nie może mieć programu politycznego. Do takiego też wniosku dochodzi Pelikan, podobnie jak Michnik, widząc rolę opozycji dzisiaj w ramach określonych przez obronę praw człowieka, w ramach wymuszania reform i przestrzegania podjętych na arenie międzynarodowej zobowiązań. Zanim jednak do owego wniosku dochodzi — rozpatruje surrealistyczną z punktu widzenia „polskiej specyfiki” (czy tylko polskiej?) i polskich doświadczeń możliwość stworzenia nowej partii złożonej z 500 tysięcy komunistów, usuniętych z partii oficjalnej po 1968 roku; i możliwość tę na raz odrzuca ze względu na grożące represje. Czy ma rację François Fejtő, analizując Praską Wiosnę jako odpowiednik wydarzeń 1956 roku, z rozmaitych przyczyn opóźniony o 12 lat? I czy wobec tego doświadczenia, jakie Węgry i Polska w ciągu ubiegłych 20-tu lat nagromadziły, są znowu proporcjonalnie różne od ośmioletnich doświadczeń okupowanej Czechosłowacji? Kolokwium nie mogło dać odpowiedzi na wszystkie pytania.

Marta OSTROWSKA

Dlaczego nie zostałem czerwcowym warchołem?

„Mam coś dla pana” — powiedział listonosz, podsunął papierek do podpisania i wręczył mi wezwanie. Miałem stawić się w WKU (Wojskowej Komendzie Uzupełnień) za cztery dni, w poniedziałek 14. 6. o 8.15. „W celu uzupełnienia ewidencji”. No trudno, niech uzupełniają.

Gdy pojawiłem się w poniedziałek przed biurkiem pana kapitana dowiedziałem się, że „ewidencją” jest jednostka wojskowa 1013 w Budowie Koszalińskim i ma zostać uzupełniona mną na czas od 22. 6. do 26. 7. br. Pan kapitan wręczył mi kartę wcielenia do jednostki i nie robił nadziei, by można było przełożyć to powołanie na inny termin. „To nie od nas zależy”.

Gdy nieco oszołomiony wychodziłem po dziesięciu minutach z urzędu, do mojej świadomości dotarło, że dwa momenty odróżniały tę rozmowę od uprzednich kontaktów z władzami wojskowymi. Po pierwsze: karta wcielenia była gotowa przed moim przyjściem, a więc nie brano pod rozwagę, że mogą istnieć ważne przyczyny — służbowe czy prywatne — uniemożliwiające mi stawienie się w jednostce. Po drugie: mój rozmówca był uprzejmy i miły; co więcej, gdyby nie był wojskowym, to jego minę przy pożegnaniu odczytywałbym jednoznacznie jako wyraz zażenowania czy też zawstydy.

Wieczorem zjawił się u mnie — jak to określili domownicy — „jakiś pułkownik” i zostawił kolejne wezwanie na następny rano. Naiwnie wyobraziłem sobie, że widocznie zrozumieli moje argumenty o złe wybranej chwili na wzywanie mnie na ćwiczenia i są skłonni przesunąć ich termin na później. Gdy jednak we wtorek rano spotkałem na korytarzu w WKU trzech innych pracowników Politechniki powtórnie wezwanych w ten sam

sposób, zrozumiałem, że wzywającym mnie przypisałem nadmiar dobrej woli.

Tych trzech nie znałem wcześniej. Jednego z nich wysyłano wraz ze mną do Budowa. Drugi zaklinał się, że za wszelką cenę załatwi odwołanie („choćbym miał jechać do ministra”) — jego żona oczekiwała rozwiązania i uważał on za oczywiste, że WKU musi uwzględnić tę okoliczność. Zaskoczyła mnie obecność trzeciego z nich — dowiedziałem się, że to dr Sobierajski, dyrektor Pionu do Spraw Studenckich. Zazwyczaj wojsko zostawało w spokoju osoby na tego typu stanowiskach.

Po chwili czekania wezwano nas po kolei do pokoju, gdzie niejaki podpułkownik Surudo odbierał karty wcielenia i wręczał nowe — przyspieszające wyjazd o 3 dni. Tak więc miałem już za 3 dni — w piątek 18. 6 — ruszyć na poszukiwanie jednostki; w WKU wiedzano tylko, że Budowo Koszalińskie jest „gdzieś koło Koszalina”.

Tak jak poprzednio, nakaz wyjazdu był już przygotowany, miałem go tylko odebrać. Spytałem pana podpułkownika, nieco rozdrażniony tym, dlaczego uniemożliwiają mi planowany od paru miesięcy wyjazd na konferencję naukową (Letnia Szkoła Topologii Algebraicznej, Gdańsk 10-20. 7. br.). Pan podpułkownik zadał parę pytań na temat znaczenia tej konferencji w mojej pracy, rozumiejąco pokiwał głową, po czym doradził, by Politechnika wystąpiła o wyreklamowanie mnie z tych ćwiczeń. „Daję panu, panie doktorze, oficierskie słowo honoru, że będzie pan na konferencji”. Nową kartę wcielenia i słowo honoru dawał jednocześnie. Było to pierwsze — lecz bynajmniej nie ostatnie — oficierskie słowo honoru, które publicznie lub prywatnie dostałem w ciągu następnych 6 tygodni. Za każdym razem było ono gwarancją, że obietnica nie zostanie spełniona.

Jednak we wtorek jeszcze nie domyślałem się jego wartości i dlatego następnego dnia pojawiłem się znowu, po raz trzeci, w WKU przynosząc podanie od władz Politechniki. (Przywiozłem je sam, by skrócić tzw. „drogę służbową”. Czasu było mało: w czwartek było Boże Ciało, a w piątek miałem wyruszyć z Wrocławia w kilkusetkilometrową drogę w niezbyt dokładnie oznaczonym kierunku). Politechnika, dzięki moim naleganiom i dość dwuznacznemu poparciu dyrektora instytutu (sformułowanie typu „o ile jest to właściwe”) podała w kilku punktach dlatego w najbliższym czasie moja obecność jest niezbędna w instytucji (niezakończona sesja egzaminacyjna, egzaminy wstępne, konferencja) i proponowała przesunięcie terminu ćwiczeń na okres urlopowy.

Tym razem kazano mi trochę poczekać, po czym po krótkiej

naradzie (podpułkownik, dwóch kapitanów, kapral) oznajmiono mi, że bardzo im przykro itp., itd. i życzą mi szczęścia w życiu wojskowym. Podpułkownik Surudo znikł na czas oznajmiania werdyktu, pozostali też robili wrażenie, że chętnie pozwoliliby komu innemu zawiadomić mnie.

Wychodząc usłyszałem, jak jakiś starszy mężczyzna tłumaczy komendantowi WKU, że od czterdziestego któregoś roku nie był w wojsku, że ma chore nerki i opiekuje się chorym wnukiem, więc nie ma sensu by teraz właśnie jego wzywano na te ćwiczenia. Załatwiono go podobnie jak i mnie: „przykro nam, życzymy szczęścia”. Dopiero wtedy (*last not least*) wpadło mi do głowy, że wcielenia te mogą spełniać rolę prewencyjnego izolowania tzw. „niewygodnych” osób. Koncepcja ta współgrała z informacjami o wstrzymaniu urlopów od maja w MO, powiększeniu naboru i podwyżce pensji w tej instytucji oraz z rozsiewaną od co najmniej pół roku lawiną plotek o zamierzonych podwyżkach cen.

Ostatni kontakt z wrocławską WKU miałem następnego dnia, w Boże Ciało, gdy żołnierz z WKU przywiózł mi do domu informację jak do owego Budowa dojechać (widocznie przestało to być ściśle tajne w środę wieczorem). Akcja ta pozwalała oczekiwać sporego bałaganu, który istotnie miał mnie otoczyć od chwili wejścia na teren jednostki.

Bałagan był typowo wojskowy. Mimo tego jestem przekonany (choć nie mam dowodów, a poszlaki), że to nie MON a MSW zarządzało tymi „ćwiczeniami” od samego początku (wcielenie bez możliwości odwołania) do samego końca (rozprowadzanie na stacje kolejowe w asyście MO i WSW). Przypuszczam, że kandydatów do izolowania wybierano następująco: informatorzy we wszystkich większych zakładach pracy (zaryzykowałbym próbę sprycyzowania tego: w zakładach liczących ponad pięciuset zatrudnionych) sporządzili lokalne listy, które w MO uzupełniono nazwiskami wszystkich byłych więźniów o dłuższych wyrokach, a otrzymany spis przekazano do MON-u. Zapewne dlatego wraz z zakładami przemysłowymi wzięto pod opiekę Politechnikę Wrocławską, chociaż — tak jak i każda inna polska wyższa uczelnia po zakończeniu zajęć dydaktycznych — nie mogła ona wywrzeć żadnego wpływu na nastroje społeczne, nawet gdyby ogłoszono na niej strajk powszechny z podwójną głódówką i hołubcem.

(Spotkałem się i z inną hipotezą mówiącą, że rejestr wezwanych „niepewnych politycznie” to jeden z pierwszych efektów wykorzystania przez MO skomputeryzowanych danych — vide akcja „Magister” sprzed paru lat).

Moich przyszłych kolegów spotkałem w jednostce na sali gimnastycznej w sobotę rano 19. 6. Niewyspani, niektórzy nieco

pijani, nastrój typu „licytacja brydzowa o czwartej nad ranem” i „jakoś to będzie”. Rozdrażnienie wyładowywało się w publicznym wysławianiu poglądów odmiennych niż te z artykułów wstępnych naszych gazet i w rozważaniach na temat „co z nami zrobią w tej przechowalni”. Termin „przechowalnia” był używany powszechnie. Wielu obecnych wcześniej niż ja wpadło na tę interpretację powołania ich do wojska. Na przykład, grupa stoczniowców ze Szczecina od początku nie miała w tej kwestii wątpliwości. Wezwano tam do WКУ jednocześnie kilkanaście osób ze stoczniowych komitetów strajkowych (strajki z grudnia 70 i stycznia 71) a po powrocie do Stoczni dowiedzieli się, że ich pozostali koledzy z komitetów są wezwani na następny dzień.

Wkrótce okazało się, że mają nas wszystkich ostrzyć „według regulaminu” i na sali wzrosło napięcie. Strzyżono tuż przy skórze, na protesty obecni na sali oficerowie odpowiadali kpinami i groźbami aresztu za niesubordynację. Doszło do paru ostrzejszych incydentów — kogoś opornego uderzono, kogoś innego siłą posadzono na fotelu fryzjerskim (nazwisk nie podaję — wtedy nie znałem ich jeszcze). Postawa oficerów nie była jednolita, słyszeliśmy zarówno „my was, k..., nauczymy porządku” jak i „panowie, żebyście wiedzieli ile tu mamy przez was kłopotów”.

Jeszcze przed 8-mą (na którą wezwano nas) zaczął w osobnym pokoju działać „punkt rozmów indywidualnych”. Oficerowie prowadzący te rozmowy (jak je ściślej określić? Posłuchania?) wiedzieli sporo o swoich rozmówcach i często — nie wiem czy celowo — dawali to do zrozumienia. Wyglądało to tak: wychodzi stamtąd jeden z nas, kilkunastoosobowa grupa otacza go i wypytuje „no i czego chcieli?”. Ów opowiada: „Pyta mnie: 'na wojnie byliście?' — 'W AK'. — 'A w wojsku?' — 'Nie'. — 'A dlaczego?' — 'A bo siedziałem w więzieniu'. — 'A za co?' — 'Za organizację nielegalną. Bo walczyliśmy o socjalizm o humanistycznym obliczu. Bo za Bieruta to było inaczej’”. Po chwili wychodzi następny, słuchacze ruszają po kolejną relację.

Posłuchania te trwały przez szereg następnych dni. Czasami redukowały się do pytania „czy macie coś do powiedzenia?”, czasami były dłuższym wywiadem na temat pozycji rodzinnej, zawodowej i światopoglądowej.

Po umundurowaniu nas (mundur polowy — dres spełniający rolę pizamy — drobiazgi) zrobiono zbórkę, na której odczytano rozkaz ministra MON z 8. 6. 76 (antydatowany?). Oczywiście „patriotyczny obowiązek”, ale także po 10-dniowym okresie przygotowawczym „prace inżyniersko-saperskie na poligonie w wymiarze 10 godzin dziennie” jak i „o nastrojach wśród wojska składać raporty codziennie”. Resztę dnia spędziliśmy na salach (28-osobowych),

jedyny godny zapamiętania akcent to uzbrojeni strażnicy stojący przy wyjściach z korytarzy na schody. Nie byli oni jednak przeszkodą w ucieczce z koszar pewnego cwaniaka z Łodzi. Wrócił sam po dwóch dniach z nogą tak okaleczoną, że został zwolniony do końca z wszystkich zajęć.

Następnego dnia, w niedzielę zawieziono nas na poligon, gdzie w obozie rozbitym nad jeziorkiem mieliśmy zostać do 26. 7. Tego samego dnia zachorowałem (myślę, że to nie tyle wpływ wilgotnych koców i paskudnego wyżywienia, co psychicznego nastawienia). Wieczorem wezwano karetę wojskową. Lekarz oglądnął mnie (nie miał termometru; przypuszczam, że miałem około 38,5° C), nie postawił diagnozy, nakazał leżenie i dał lekarstwa: chloramphenicol, pabialginę i witaminy. Czułem się wystarczająco źle, by zatrzymano mnie na tydzień w łóżku; w poniedziałek przeniesiono mnie do izby chorych, którą zorganizowano dopiero na usilne nalegania jednego z nas (Zbigniew Arabski — spiker rozgłośni szczecińskiej).

Od poniedziałku, gdy byłem już w stanie rozumieć to co czytam zaprzestałem używania chloramphenicolu. Dla wyjaśnienia przepisuję fragmenty firmowego opisu leku: „Wskazania: Dur brzuszny, dury rzekome, dur plamisty, czerwotka bakteryjna, brucelloza, krztusiec, wirusowe i bakteryjne zapalenie płuc, tularemia, zapalenia pęcherzyka i dróg żółciowych, choroby weneryczne, rickettsjozy, zapalenia oskrzeli, opłucnej, ucha środkowego, ropne choroby skóry”. Krótko mówiąc: medykament wyzwalający od chorób nieomal równie radykalnie jak śmierć. Ale: „Działanie uboczne: Antybiotyki zakłóca równowagę fizjologiczną flory bakteryjnej, może powodować nudności, wymioty i biegunki, zapalenia skóry, pokrzywkę, zapalenie nerwów obwodowych. Może powodować uszkodzenie szpiku kostnego: trombocytopenia, leukopenia, niedokrwistość aplastyczna. Zmniejszenie ostrości widzenia”.

Tak więc, przez tydzień oglądałem, bez zmniejszenia ostrości widzenia, obóz z izby chorych. Miałem czas na rozmowy; dowiedziałem się sporo o moich kolegach. Jedno ze źródeł informacji: komenda czyli tzw. „dowództwo kompanii polowej”. Przepływ informacji przez informatorów był dwustronny; w jedną stronę — obowiązek służbowy, w drugą — nadmiar alkoholu + nieformalna linia komunikacyjna + metoda rozsiewania plotek. Było nas 164, w tym 68 po długoletnich wyrokach (od 5 do 15 lat, choć niejaki „Regina” spędził w więzieniach 18 lat). Wśród pozostałych było 11 z wyższym wykształceniem. Było też rzekomo 4 odkomenderowanych tu milicjantów, choć moim zdaniem ilość informatorów była niemniejsza niż ilość namiotów w których mieszkaliśmy. Znakomita większość zgromadzonych

uważała, że zna powody, dla których przysłano ich tu (członkowie komitetów strajkowych strajków: obu stoczni szczecińskich, stoczni gdańskiej, kombinatu chemicznego w Policach, zakładów włókienniczych w Szczecinie, Łodzi, Zgierzu i Aleksandrowie Łódzkim — strajki z lat 1970-1974; członkowie rad zakładowych związków zawodowych, którym zdarzyło się sprzeciwić się decyzjom dyrekcji — technik i pracownik PKP; tacy, co wystąpili z Partii — włóknarz i technik; złożyli skargę na posła — technik; uczestnictwo w pielgrzymce do Częstochowy — pracownik naukowy; członek komitetu wydziałowego z marca 1968 — to ja). Niektórzy dziwili się dołączeniu ich do tego towarzystwa (magazynier: „za co mnie wzięli? Chyba nie za to, że chciałem wystąpić z Partii?” Spiker: „naprawdę nie wiem za co”. On nie wiedział, ale ja domyślam się: Za łatwo wychodziły mu cięte powiedzonka). Partyjnych było 34. Spełnili swoje zadanie, w jeden z pierwszych dni (był taki dzień, że „cały kraj” popierał na wiecach) zrobili w lesie zebranie i wystosowali list do Gierka. Nie chcieli opowiedzieć treści, wywiedzieliśmy się jedynie, że zapewniali, że nie zawiodą pokładanego zaufania i że podpisali to w imieniu komórki obozowej, a nie całości obozowiczów.

Parę osób — chyba 8, w większości partyjnych — wezwano do jednostki 18. 6, czyli dzień wcześniej niż nas, by powiadomić ich, że będą dowódcami drużyn, które będą składać się z „elementu niepewnego społecznie i politycznie”. W pewien sposób wyróżnieni byli także „funkcyjni”: obsługa kuchni, kontrolni, pisarze, kulturalno-oświatowy, pomocnicy dowódców plutonów. Różnie też nas traktowano — od bezustannego zastraszania do pobłażliwej łagodności, zaakcentowanej pod koniec przyznaniem nagród rzeczowych i awansów.

Wymienione tu różnice: wykształcenia, pozycji społecznej, sposobu włączenia do obozu, sytuacji i traktowania na obozie (a raczej nie tyle te różnice, co powiadomienie ogółu o ich istnieniu) mogły wywołać przeróżne naprężenia bardzo utrudniające przetrwanie. Jeśli dużej części trudności uniknięto, to dzięki staraniom większości zgromadzonych, a nie komendy. Postaram się później wyjaśnić to.

Komendantem był kpt. Marian Gęsiorowski, jego zastępcą — oficer do spraw politycznych kpt. Maciej Kapturkiewicz. Proszę zauważyć, że wraz z numerem jednostki są to jedyne informacje o charakterze ściśle wojskowym. Podaję je tu, ponieważ obydwaj panowie (jak i uprzednio wspomniany pan z WKU) nie zasłużyli sobie na anonimowość, a numeru jednostki nie potrafię traktować jako tajemnicy wojskowej, gdyż na stacjach kolejowych w woj. koszalińskim używano go jako równoważnika nazwy miejscowości.

Zapisek z 20. 6: „... dziś obserwowałem przyjmowanie pacjentów przez przyjezdnego lekarza. 3-ch odwieziono pod kapi-tańskim nadzorem do dentysty, 14-tu załatwiono na miejscu. Różnie: wypadnięcie dysku, stany po zapaleniu opon mózgowych, złamany palec w gipsie, ostry reumatyzm, choroby żołądka. Wszyscy załatwieni doraźnie. Lekarz nie ma prawa kierować na komisję, a do garnizonu też chyba z rzadka. Mówi: 'gdyby przyjechała komisja, połowę z was od razu by zwolniła, przecież w tej komisji są ludzie, a was musi się trzymać tutaj, chorzy czy zdrowi'. 'Was' to znaczy z dwóch obozów, które odwiezła na przemian — mówi, że będzie co drugi dzień — z obozu naszego oraz jednostki z Czarnego umieszczonego po drugiej stronie jeziora. Tam ma być znacznie większy procent karanych. Któryś dowódca drużyny mówi, że wprowadzie oba obozy nazywają się oficjalnie „kompanie polowe”, ale w rozmowach między sobą oficerowie używają terminów 'kompania specjalna' (to o nas) i 'kompania karna' (o Czarnym)”.

W owym czasie przypominałem sobie o słowie „internowanie” i zacząłem go używać. Okazało się, że parę innych osób też tym terminem określało naszą sytuację.

W trakcie choroby traktowano mnie z pobłażaniem jako inteligenckie chuchro. Chuchro — bo chory. Inteligencki — bo w obronie brody przy strzyżeniu nieopatrznie wyciągnąłem legitymację pracowniczą —

dygresja o brodzie. Mój raport: „Proszę o zezwolenie na noszenie brody zgodnie z posiadanym zdjęciem w dokumentach”. Dopisek: „Fakt powyższy stwierdziłem. Raport popieram. D-ca komp. polowej”. Dopisek: „Zgadzą się. Brodę utrzymywać w estetycznym stanie”. Moja korzyść: nareszcie dowiedziałem się w jakim stanie należy utrzymywać brodę. —

no i potem oglądano mnie jak w panopticum. Nawet jeden z dwóch generałów wizytujących nasz obóz zechciał oglądnąć mnie („panie generale, tu leży pracownik naukowy, jakiś asystent”), a rezydujący w namiocie komendanta pan major (pan major i pan chorąży nie zostali nam przedstawieni; zapewne zbierali jagody i informacje) wyraził się kiedyś o internowanych: „tatuowane doktory”. Rozkładając tę efektowną zbitkę na wyjściowe elementy: doktory — to o mnie, „tatuowane” — to o byłych więźniach.

Podczas gdy leżałem, moi koledzy ćwiczyli musztrę ze śpiewem, pracowali „przy organizacji obozu” i słuchali pogadanek kpt. Kapturkiewicza (zwanego „Czerwonym Kapturkiem”. Komendanta nazywano „Kapitan O!” ze względu na używanie wykrzyknika „O!” jako naturalnego przedłużenia niedokończonych

wypowiedzi, lub też „Tatusiem” — na jego własne życzenie; tłumaczył, że w wojsku on jest naszym ojcem). Później i ja słuchałem tych szkoleń politycznych. Polegało to na podawaniu jakichkolwiek liczb w losowej kolejności. Pamiętam, że na pewnym szkoleniu najmniejsza liczba to była 1,08, a największa 6 bilionów. Bywało i tak: kpt. Kapturkiewicz mówi: „...wynosi 70 milionów ton...”. „Nie, 70 miliardów, panie kapitanie!” — wyrwał się któryś ze słuchaczy. Kapitan zerkał do książeczki z liczbami i spokojnie przytakiwał: „rzeczywiście, 70 miliardów ton”.

Nie byłem wówczas na spotkaniu z prawnikiem wojskowym. Przebieg spotkania relacjonowano następująco: gdy ów prawnik zapytał czy są jakieś pytania ktoś, kto przedstawił się jako szeregowiec Karol Głogowski, w cywilu radca prawny, były adwokat, zadał parę pytań dotyczących różnych aspektów naszej obecności w lesie. Prawnika wojskowy wpadł w popłoch, komendant natychmiast zakończył zebranie, a po pół godzinie ogłosił, że z pytaniami do prawnika wojskowego należy zgłaszać się indywidualnie.

Sądzę, że to — oraz następne — wystąpienie Karola zadecydowały, że „inteligenci” nie byli przez resztę traktowani jako zbędny przydatek do naszej społeczności. Od razu doceniono umiejętność precyzyjnego, przygważdżającego formułowania zarzutów i później niejednokrotnie zwracano się do Karola i innych „wyedukowanych” osób z prośbą o radę w praktycznych poczynaniach. Czasami miało to charakter rozkładania odpowiedzialności na większą ilość osób.

Inaczej miała się rzecz z brakiem większych konfliktów pomiędzy „kryminalistami” a resztą. „Kryminaliści”, w większości recydywiści, stanowili jedyną, od początku zwartą grupę i narzucali ton całości. Należało zresztą tego oczekiwać. Byli przeważnie wytatuowani na całej powierzchni (napisy: Aj lov ju, Dajana, love, Królewskie dziecię, tylko dla Pań; imiona dziewczyn; miejscowości i daty; dystynkcje oficerskie na ramieniu oznaczające długość pobytu w więzieniu; rysunki: zwierzęta, paszczki, twarze, anioły, Matka Boska z Dzieciątkiem, meandry, kotwice, skomplikowana wieloosobowa poza seksualna, kat z toporem. Kolory: ciemnoniebieski — przeważnie ołówek kopiowy i czerwony — domieszka cegły. Ponadto kropki i gwiazdki na twarzy — znaki git-ludzi).

Wielu z nich miało od kilkunastu do kilkudziesięciu blizn na przegubach i na brzuchu („sznyty”).

Posługiwali się mieszkanką polskiego i grypsery obfitującej w przekleństwa — około dwóch na jedno zdanie. (Znaczna część obecnych akceptowała ten język i chętnie się go uczyła). Przy

nieznanych sobie ludzi unikali tematów więziennych. Pili znacznie mniej niż obecni tam robotnicy.

Członkowie tej grupy — poza paru wyjątkami — zachowywali się w pełni koleżeńsko i lojalnie względem pozostałych. Okazywana im pierwotnie rezerwa podszyta strachem i pogardą stopniowo zanikała gdy okazywało się, że innym nie grożą z ich strony agresja fizyczna, kradzieże czy donosy. Nie słyszałem też najmniejszych skarg ani ze strony komendy ani pozostałych internowanych na ich postawę przy pracy na poligonie.

Mam trudności z dokładniejszym wyjaśnieniem jak wyglądały ich stosunki z resztą ludzi. Przy wdaniu się w szczegóły wyszłoby z tego odrębne studium, a chciałbym tego uniknąć. Spróbuję więc podać tylko parę istotniejszych refleksji, pomijając drobiazgową dokumentację prowadzącą mnie do nich. Otóż, „kryminaliści” nie chcieli by ich przeciwstawiano innym grupom i nie chcieli być przyczyną wprowadzenia ostrego reżymu (choćby znieśli go łatwiej od pozostałych internowanych). W granicach swoich możliwości osiągnęli swój cel. Jednak, chociaż w pewnych (tzn. więziennych) warunkach ich system wartości i ich kodeks moralny stanowi dość spójną i sensowną całość —

dygresja o hierarchii wewnątrzwięziennych; poczynając od dołu: gwałcicie, „k...” czyli tacy co się „zeszmacili” donosami itp., drobni złodzieje, ludzie z wyrokami za pobicie, drobne afery gospodarcze, fachowcy od kas i włamań, duże afery gospodarcze, więźniowie polityczni. Cóż można tej hierarchii zarzucić stojąc na zewnątrz ich świata?

— to ich wpływ na obóz (nieświadomy, lecz nie do uniknięcia przez ich liczebność) był demoralizujący. Przytoczę ich dwa powiedzonka, sumujące ich doświadczenia: „kryminału, szpitala i pieniędzy nie wyrzekam się nigdy” i „pić, p... i rabować — bieda musi popoľgować”. Ich „filozofia”, obsceniczność języka, wulgarność obyczajów napotykała po części tolerancję konieczną dla znalezienia swoistego *modus vivendi*, a po części uznanie. Źródłem tego uznania dopatruję się w egzotyczności ich środowiska („malowniczność”, „fascynacja złem”) a także w tym, że jednak mają oni jakąś propozycję innego niż oficjalnie forowany styl życia (może to tłumaczy rozpanoszenie się stylu „gitowców” w ogólniakach, technikach i domach dziecka; w końcu — „natura nie znoś próżni”). To, że reszta częściowo uległa ich wpływowi moim zdaniem nie świadczy o czymś tam w naturze ludzkiej, ale mówi o nienaturalności warunków, w których znaleźliśmy się. Ponadto, wykazywana przez nich dobra wola nie rozwiązywała wszystkich kwestii; niektórzy z nich byli tak dalece oderwani od (normalnego) społecznego życia, że — potencjalnie i realnie — ich zachowanie stanowiło zagrożenie dla innych. (Ten temat

jest zresztą tak istotny, że rozwinę go później). Winą za to obarczam nie ich, lecz osoby, które umieszczając ich wśród nas — a może nas wśród nich — nie wzięły tego pod uwagę. Albo wzięły.

Od początku mieliśmy kontakt ze światem zewnętrznym za pomocą telewizji. Zainstalowano dwa odbiorniki, w namiocie komendanta i na polance. Oglądanie „Dziennika TV” było obowiązkowe (tak samo jak wyliczanie kpt. Kapturkiewicza) i w czwartek 24. 6 przyniesiono mi do izby chorych wiadomość o mowie pana premiera (najsensowniejsze wydało mi się streszczenie jednego słuchacza: „ceny skupu były za wysokie, ale teraz będą wyższe; konsumpcja była za wysoka, ale teraz będzie wyższa”), a w piątek kolejną relację o kolejnej mowie (w ujęciu tego samego człowieka: „projekt spotkał się z poparciem większości zakładów, ale padło wiele cennych propozycji i uzupełnień”). Tym drugim razem nie musiałem nawet czekać na powrót znajomych z oglądania DTV by dowiedzieć się co nowego — ryk radości z odległej o 150 m. polanki mówił sam za siebie. Nikt nie miał wątpliwości co do trybu „konsultacji w zakładach pracy”. Natychmiast ruszyła lawina spekulacji co do terminu wypuszczenia nas.

W poniedziałek 28. 6 już i ja oglądałem TV. Zobaczyłem wreszcie swojego ulubionego pisarza St. R. Dobrowolskiego (choć przedstawił się jako poeta z Powiśla), wysłuchałem obiecującego komentarza pana komentatora: „jestem upoważniony do powiedzenia, że wszystkie listy i sugestie zostaną rozpatrzone” i zarejestrowałem pojawienie się trzech mutantów lingwistycznych: „konsultacja”, „warchoł” i „wielkoprzemysłowa klasa robotnicza”. Gdy zwróciłem się do siedzącego obok stoczniońca, że to chyba play-back z marca 1968 („jesteśmy z Wami, towarzyszu Wiesławie!”) skomentował krótko: „buda i obroża ta sama, pies inny, żeby inaczej szczekał”.

Moje życie poza izbą chorych zaczęło się w sobotę 26. 6 od nieodbierania żołdu. Wraz z kilku osobami postanowiliśmy nie brać tych pieniędzy przekazując je na cele społeczne. (Uwaga jednego ze zrzekających się: „jeśli zgwałcona przyjmie zestawione jej 200 zł., nie może już wnosić do sądu sprawy o zgwałcenie”). Moje uzasadnienie: już kiedyś odmówiłem wpisania mnie na listę płac MO). Sprokurowaliśmy pismo brzmiące: „Biorąc pod uwagę okoliczności powołania mnie na obecne ćwiczenia wojskowe proszę o przekazanie przysługującego mi z tego tytułu żołdu na cele PKPS” (Polski Komitet Pomocy Społecznej). Mimo braku możliwości powiadomienia większej ilości osób o naszym projekcie kilkanaście osób zgłosiło chęć dołączenia się do nas. Większość z nich została jednak wystraszona postawą oficerów asystu-

jących przy wypłacie. Pozostało tylko 5 osób, które należały na komendanta, by przyjął pieniądze do wysłania na stosowne konto. Kapitan bronił się przed tym: „wyslijcie je sami po zakończeniu ćwiczeń”. Nasza argumentacja: chodzi o podkreślenie, że to dar rezerwistów jednostki 1013, a nie pięciu niezależnych osób. Kapitan użył wreszcie sformułowania: „nie mogę mieszać się w działalność polityczną” i gdy zwróciłem jego uwagę na różnicę między działalnością polityczną a społeczną — uległ. Mówił jeszcze coś o braku miejsca na przechowanie pieniędzy, ale wreszcie polecił pisarzowi przyjąć pieniądze i pismo.

Jak się okazało później, w istocie miał zamiar tylko przechować je. W ciągu następnych tygodni, gdy wywiadywałem się o los pieniędzy, słyszeliśmy, że „wkrótce zostaną wysłane”. Przedostatniego dnia obozu komendant wezwał Karola i próbował go przekonać, że skoro nam tak zależy na przekazaniu pieniędzy na cele społeczne, to powinniśmy przekazać je jednostce na pokrycie kosztów zaginionych pięciu łopat i dwóch siekier. Ostatniego dnia wezwano całą naszą piątkę i znów wmuszano w nas tę forszę. Tym razem usłyszeliśmy, że „obóz jest zwijany i co my mamy z tym robić?”. Wy tłumaczyliśmy, że wysłać. Wtedy dopiero skarbnik jednostki przyjął oficjalnie pieniądze i wydał kwit przyjęcia przez kasę jednostki.

Wracając do drugiego tygodnia internowania: w piątek 2. 7 miało nastąpić przyjęcie przysięgi wojskowej od kilkunastu osób z obu obozów, które trafiły do wojska pierwszy raz (ćwiczenia rezerwy!!). Byli wśród nich ludzie z adnotacją w książeczce wojskowej: „kategoria D — niezdolny do służby w czasie pokoju” (uwaga: przekroczenie obowiązujących przepisów prawnych), tacy, co przed osiągnięciem wieku poborowego trafili do zakładów karnych i inni. Pewien człowiek twierdził, że przysięgę już składał, ale zagubił książeczkę z wpisem, a komendantowi nie chciało się zadzwonić do odpowiedniej jednostki w tym samym okręgu. Większość tych osób uznawała złożenie przysięgi za rzecz naturalną, jako że formalnie biorąc zostali żołnierzami. Byli jednak i ludzie, którzy widzieli to inaczej. Następujące odpisy dwóch raportów powinny wyjaśnić tę kwestię (przepisując je opuszczam jedynie adresy ich autorów).

Szer. Karol Głogowski
Kompania Polowa

m.p. dnia 1 lipca 1976 r.

Dowódca JW 1013

Raport

W skardze z dnia 18 czerwca br. skierowanej do Komendanta

Wojskowej Komendy Uzupełnień w Łodzi wyraziłem przekonanie, że powołanie mnie na ćwiczenia wojskowe w czasie od 19 czerwca (do 26 lipca) br. wynikało z podjętej przez władze akcji prewencyjnej izolacji społecznej m.in. mojej osoby, w okresie wprowadzania w życie zamierzonej podwyżki cen na niektóre artykuły spożywcze.

To moje przekonanie znalazło pełne potwierdzenie, po przybyciu do tutejszej jednostki, w fakcie zgromadzenia w tzw. kompanii polowej, której jestem członkiem, wielu dziesiątek osób, w odniesieniu do których da się zastosować — oczywiście z pewnego punktu widzenia — określenie, że jest to tzw. „element społecznie niepewny”, a może nawet „społecznie niebezpieczny”.

W tych warunkach nie mogę uznać swojej obecności w tej kompanii za spełnianie zaszczytnego obowiązku jakim jest służba wojskowa, w rozumieniu art. 92 Konstytucji PRL oraz ustawy o powszechnym obowiązku obrony Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, z dnia 21 listopada 1967 r.

Obóz wojskowy, w którym przebywam od 20 czerwca br. aczkolwiek jest prowadzony i nadzorowany przez władze wojskowe, w sposób im właściwy, w moim odczuciu jest po prostu obozem dla internowanych, a mój w nim pobyt jest obecnością osoby internowanej.

W tej sytuacji uważam, że wymaganie ode mnie złożenia w dniu 2-ego bm. tak uroczystego i zasadniczego ślubowania jakim jest przysięga wojskowa jest żądaniem kolidującym z honorem Wojska Polskiego, który to honor i godność, zgodnie z rotą przysięgi, zobowiązany jestem jako żołnierz strzec.

Biorąc pod uwagę powyższe okoliczności czuję się moralnie uprawniony do wystąpienia z wnioskiem o zwolnienie mnie z obowiązku złożenia przysięgi wojskowej w dniu 2 lipca br., gdyż obowiązek dokonania tego aktu, w takich warunkach jak podane, będę traktował jako działanie w stanie wyższej konieczności.

Karol Głogowski
Łódź,...

Oświadczenie

Drawsko Pomorskie, 1. VII. 76.

Na wstępie stwierdzam, że nie odmawiam służby w Wojsku Polskim, jeżeli natomiast wyraziłem prośbę o zwolnienie mnie z obowiązku złożenia przysięgi wojskowej to ten stan rzeczy wynikał z moich zastrzeżeń co do samej treści rot. Moje stano-

wisko wobec rzeczywistości polega na popieraniu dobra i na nie używaniu zła jako środka do celu, tj. dążę do dobra (społecznego itp.) za pomocą godziwych środków. Zastrzeżenia moje dotyczą między innymi następujących sformułowań:

- 1) „stać nieugięcie na straży władzy ludowej”. Aczkolwiek sformułowanie to wydaje się słuszne co do swej formy, to jednakże pod nim kryje się inna treść aniżeli sama nazwa na to wskazuje.
 - a) Z mojego doświadczenia życiowego i mojej dotychczasowej wiedzy wynika, że ta „władza ludowa” — to swego rodzaju wojujący ateizm. Będąc człowiekiem, który wierzy w rzeczywistość Boga nie mogę wspierać takiego systemu, oczywiście w sferze ideologii, aczkolwiek posunięcia praktyczne jeśli są słuszne popieram.
 - b) Także pod pojęciem „władzy ludowej” ukrywa się swego rodzaju system totalitarny, w którym wyklucza się z góry działanie opozycyjnych partii. W samej partii komunistycznej nie dostrzegam wewnętrznej demokracji. Ten stan rzeczy sprzyja tworzeniu się grup nieformalnego nacisku, grup kumoterskich i przestępczych. Będąc demokratą z przekonani nie mogę popierać takiego systemu.
- 2) „...dochowac wierności Rządowi PRL”. Nie da się tego ukryć, że Rząd PRL nie raz popełniał tzw. „błędy i wypadnięcia”. W latach 1956 i 1970 przyznał się do nich. W 1956 roku partia komunistyczna przyrzekła wiele swobód demokratycznych. Przyrzeczenia te nie zostały dotzymane. Nie mógłbym z czystym sumieniem składać przysięgi na wierność Rządowi PRL, gdyż niestety obywatele PRL zmuszeni są do wystąpień przeciw niektórym poczynaniom Rządu. Nie mógłbym również brać udziału w tłumieniu wystąpień robotników jak również nie mógłbym brać udziału jako żołnierz w zbrojnej interwencji w 1968 roku w Czechosłowacji bez złamania swojego sumienia.

W związku z powyższymi zastrzeżeniami z mojej strony, proszę zrozumieć moją odmowę złożenia przysięgi wojskowej jako akt szczerości. Nie chcę ukrywać swojej postawy i gotów jestem złożyć przysięgę, w której niektóre sformułowania zostałyby usunięte lub zmienione. W każdym rzeczywistym zagrożeniu Ojczyzny gotów jestem stanąć w jej obronie tak jak to uczynili komuniści w 1939 roku broniąc Polski.

Poza powyższym, mój pobyt w wojsku jak i innych ludzi z kompanii polowej nr 2198z wskazuje na to, że zostaliśmy karnie internowani jako tzw. „wichtryciele”. W takim wypadku

przysięga jest raczej wymuszeniem wierności Rządowi PRL aniżeli honorowym obowiązkiem obywatela.

Cytaty zostały wzięte z Regulaminu Służby Wewnętrznej Sił Zbrojnych PRL (Wydawnictwo MON — 1970 r.).

Mieczysław Łabiak

Łódź,...

żołnierz kompanii polowej
nr 2198z

Słyszałem, że Łabiak nie złożył przysięgi i w dzień czy dwa później WSW wywiozło go z obozu do aresztu, gdzie miał oczekiwać na rozprawę.

Wieczorem w dzień przysięgi kilkadziesiąt osób pojechało poza teren poligonu, by pomagać w gaszeniu pożaru lasu. Następnego dnia rano, w sobotę 3. 7, oznajmiono nam, że są pożary na terenie poligonu i wszyscy mają jechać, by je gasić. Pojechaliliśmy. Zawieziono nas w głąb poligonu; wszędzie na horyzoncie widać było palące się lasy. Gasiliśmy przez cały dzień palące się zagajniki, łąki i młodniaki, pętając się wyrażnie bez żadnego planu po obszarze kilkuset km², w poczuciu pełnej bezradności, bezsensu i niebezpieczeństwa. Skrajny idiotyzm. Sto kilkadziesiąt osób nienadzwyczajnej kondycji fizycznej i bez jakiegokolwiek przeszkolenia, mających za całe przeciwpożarowe wyposażenie łopaty i parę siekier, wożonych po poligonie w czasie, gdy odbywało się strzelanie. Na własne oczy widzieliśmy jak spadające nieopodal pociski wznicały nowe pożary. Jedynie kilkuosobowa grupa z Czarne odmówiła brania dalszego udziału w tej zabawie, gdy pocisk spadł w odległości 20 m. od nich. Mój kolega z Politechniki twierdzi, że to samo przydarzyło się i jemu gdy oddał się od reszty, by próbować gasić jakieś palące się pnie. Oficerowie — większość z nich siedząc w samochodach — wskazywali nam miejsca do gaszenia, a potem nie dbając o efekt naszej działalności wieźli nas gdzie indziej. (Gaszenie polegało przeważnie na wywracaniu ściółki leśnej na drugą stronę). Chodziliśmy po terenie, gdzie co kilkadziesiąt metrów widzieliśmy leżące pociski; zapewne część z nich to niewypały, które mogły wybuchnąć od temperatury czy nieuważnego potrącenia (w kurzu i dymie widoczność była niekiedy ograniczona do pół metra).

Najgorsze było to, że w ciągu dnia narastało w nas przekonanie, że spora ilość lokalnych pożarów, poza wywołanymi przez pociski i samozapłonami, była przygotowywana specjalnie dla nas, coś jakby ćwiczebne pożary na skalę hektarów. Po południu

już bez żenady kpiono z komendanta, że chyba trzeba będzie pojechać tam a tam, bo pół godziny wcześniej pojechał tam wojskowy gazik od pożaru. I rzeczywiście, wieziono nas tam. W tej sytuacji wszyscy — niezależnie od tego jak silne reakcje wywoływało w nas uprzednio zestawienie tych dwóch słów: „pożar lasu” — beczynn timer przyglądaliśmy się gigantycznemu widowisku, a gdy nie było to możliwe markowaliśmy działanie.

Następnego dnia, w niedzielę, parę osób — wśród nich i ja — odmówiło wyjazdu na ciąg dalszy tej niebezpiecznej szopki. Komendant zbagatelizował ten fakt i nie wyciągnięto względem nas żadnych konsekwencji.

Pożary te były tematem naszych rozmów przez wiele kolejnych dni. Drążyliśmy tę kwestię tak długo, aż ukazało się coś, co być może jest racjonalnym jądrem tego — z pozoru — bezsensu. Otóż, wszystkie lasy, także na terenie poligonu, są pod zarządem Administracji Lasów Państwowych. Wojsko potrzebuje drzewa do przeróżnych zabaw „inżynierijno-saperskich” i musi mieć zezwolenie ALP na wyrąb. Chyba, że to teren, na którym wszystkie drzewa spłonęły. A czy spłonęły wszystkie czy ich część — który leśnik by to sprawdzał?

No i znalazło się dla nas zajęcie na te dwa dni między przysięgą a rozpoczęciem prac na poligonie.

Prace te wykonywaliśmy od poniedziałku 5. 7 do soboty 17. 7. Kopanie dołków, szalowanie, wyrąb drzewek, zrywanie darni i układanie jej w innym miejscu. Ludzie nazywali to „okopy w stylu retro”. Jednak 8, a nie 10 godzin dziennie. Przeważnie od 4-tej do 12-tej. Wstawanie o 3-ej, śniadanie, wyjazd. Jazdy były chyba gorsze niż praca: tumany kurzu, gruba warstwa piasku na kombinezonach i na ciele, piasek w gardle, piekące oczy. Zabawne: drugie śniadanie (około 4 dkg. kiełbasy lub sardynki w oleju, chleb, kawa) między 6-tą a 8-mą 30. Ludzie pracowali ciężko; słyszałem kiedyś okrzyk takiego, co się opamiętał: „czego my tak gonimy? Przecież harujemy tu więcej niż na zakładzie!”. Nie aprobowałem tego zapалу — nieomal współzawodnictwa — ale rozumiałem to. Musiano bezsensownemu działaniu nadać pozory sensu czy rozgrywki sportowej, bo robiąc coś, co uważa się za totalną bzdurę łatwo wyjść poza granice normalności. Wykonywano więc starannie detale, które nie składały się w żadną całość. Nadzorujący oficerowie nie mieli żadnego planu prac, nie wiedzieli ile ma być tych „umocnień”, w którą stronę mają biec i po co. W ostatnie dni już zupełnie nie wiedzieli co z nami robić. Stał wówczas przed nami komendant, na czołe jego odbiła się wyraźnie „myślowa praca dowódcy”, a wreszcie rzekł machając niepewnie ręką w kierunku północ-południe: „O tu, między tymi drogami, wyrównacie teren, żeby polepszyć widocz-

ność przy obserwacji". Ktoś nie zdzierzył, zapytał „a będą grabie, żeby tu tak ładnie wyrównać?” i dostał propozycję pięciu dni aresztu. Więc zasypywaliśmy dołki i zamiataliśmy ślady wyrte gąsienicami przejeżdżających czołgów.

(Te „grabie” to być może mój wpływ. Na określenie tego typu prac puściłem w obieg termin „grabienie lasu”. Oddawał on precyzyjnie zakres czynności, które kilkakrotnie — karnie lub w ramach obowiązków służbowych — musiałem wykonywać. Po prostu, stawałem przy warsztacie pracy, tj. w lesie za kuchnią, i ciągnąłem grabiami po ściółce. „Żeby mi tu nie było żadnych szyszek” — warczał sierżant Czarnecki).

Na ogół panowała dość nerwowa atmosfera. Przyczyny: zmęczenie (znajdowano dla nas i po południu jakieś niesłychanie pilne zajęcia), bardzo złe wyżywienie, braki w zaopatrzeniu obozu w papierosy (moja prywatna wygrana: przewidziałem to i na czas internowania rzuciłem palenie), rozsiewane odgórnie plotki zarówno o możliwości przedłużenia obozu do 90 dni (precedens: zdarzyło się to grupie ludzi będących wśród nas, gdy wezwano ich na ćwiczenia przed VI-tym Zjazdem) jak i o szybkim rozwiązaniu go (podawane terminy, popierane oficerskim słowem honoru wizytujących nas oficerów: 10, 19, 21, 23 i 24 lipca) a także kłopoty z korespondencją. Poczta działała dziwnie: kilkanaście osób nie otrzymało do końca pieniędzy, które ich rodziny wysłały, o czym zawiadamiały listownie. Cóż, kpt. Kapturkiewicz dał oficerskie słowo honoru, że sprawę szybko i pomyślnie załatwi. List mógł iść każdą ilość dni, także większą niż okres internowania. Niektóre listy zaginęły, w większości wysyłane w ostatnim tygodniu czerwca.

Otrzymywane korespondencyjne informacje rozpowszechniano natychmiast i w ten sposób dowiedziałem się, że w kilkunastu przypadkach miało miejsce — z nieznacznymi różnicami w szczegółach — następujące zdarzenia. Do rodziny internowanego w poniedziałek 21. 6 przychodzi rano MO domagając się wyjaśnień dlaczego ów nie stawiał się w jednostce i gdzie obecnie przebywa. Zapewnienia, że 18. 6 wyjechał do wojska nie skutkują, przez parę dni trwa regularne dochodzenie, kończące się zazwyczaj tym, że zrozpaczona rodzina dostaje od internowanego list wrzucany w sobotę 19. 6 do skrzynki na terenie jednostki.

Mówiłem już, że postępowanie niektórych byłych więźniów stanowiło zagrożenie dla innych. Jak mogło być inaczej, skoro m.in. wcielono co najmniej 3 osoby umyślowo niedorozwinięte (przekroczenie obowiązujących przepisów prawnych; ponieważ zwrot ten jeszcze nie raz się powtórzy, będę w dalszym ciągu używał skrótu: „p.o.p.p.”).

Dygresja: czytający może odnieść wrażenie, że stosowanie skrótu „p.o.p.p.” wskazuje na niepoważne podejście do istotnych **prawnych kwestii**. To prawda. Rzecz w tym, że jestem matematykiem, nie prawnikiem i udowodnienie — w sensie prawa — że takie a takie przepisy zostały przekroczone jest zadaniem ponad moje możliwości. Wiem tylko o istnieniu tych przepisów, nie znam ich współrzędnych. Mogę więc jedynie opisać tak ściśle jak mi na to zapiski i pamięć pozwalają co działo się na obozie; zainteresowanym tymi faktami prawnikom pozostawiam kwalifikację prawną tych zdarzeń i wskazanie winnego. Dokumentacja znajduje się w jednostce i w odpowiednich WKU.

Wracając do niebezpiecznych incydentów spowodowanych przez moich nie w pełni odpowiedzialnych kolegów.

1) W drugim tygodniu trwania obozu złapali koło namiotu tchórza, a po generalnych oględzinach zabili go. Rzekomo by mieć skórę na wyprawkę. Dotykało go kilka osób, krew opryskała parę łóżek (zabijano go w namiocie). Zrobiłem alarm, że zapewne tchórz był chory na wściekliznę. Na moje nalegania zawieziono ciało do San-Epidu w Koszalinie i poddano ekspertyzie. Orzeczenie: wścieklizna. Hospitalizowano tylko paru, którzy przyznali się, że dotykali go. Szansę zarażenia miało kilkadziesiąt osób: nie tylko mieszkańcy tamtego namiotu, bowiem owego i następnego dnia jeden z egzekutorów krajał chleb i wydzielał porcję dla całej grupy.

2) Kilka osób zajmowało się na terenie obozu łapaniem żmij — znowu chodziło o skórę na wyprawkę. Żmije wykańczano dręczeniem przez parę godzin. Nieostrożne dręczenie mogło załatwić dręczyciela (w obozie nie było szczepionki).

3) Przy „gaszeniu pożarów”, w obecności kapitana-sapera, moich trzech kolegów i mojej, jeden z owych ludzi wykręcił zapalnik z niewypału — na oko kaliber 76 mm. — po czym pocisk wrzucił do ognia (zapalnik zachował na potem). Że było to skrajnie niebezpieczne wnoszę z popisowego sprintu w kierunku przeciwnym do ognia w wykonaniu pana kapitana. Wrzucający nie został ukarany, ani nawet upomniany.

4) Parę dni później przy pracy inny człowiek znalazł niewypał, wykręcił zapalnik, położył go na zniszczonym czołgu i potraktował energicznie łopatą. Zapalnik wybuchnął i zranił mu udo. Człowiek dostał 5 dni aresztu.

Przy tych zdarzeniach perswazja czy interwencja obecnych nie odnosiła rezultatu.

Dwa inne incydenty wynikły z równie odpowiedzialnych poczynań komendanta.

5) Przy „gaszeniu pożarów” poprowadził kolumnę samochodów drogą czołgową gdy parę kompanii czołgów jechało nią

w odwrotnym kierunku. Kurz i dym, widoczność prawie zerowa. W pewnym momencie gwałtownie zjechaliśmy w las, opierając maskę wozu na jakiejś brzozie, w ostatniej chwili unikając rozjechania przez czołg. Jazdę przez zaminowane tereny pomijam, w końcu od wybuchu miny ćwiczebnej samochód nie rozpadłby się.

6) Na terenie obozu samochody i ludzie poruszali się po tych samych ścieżkach. Parę dni przed końcem obozu samochód ruszający po pochyłości stoczył się do tyłu, ściał płotek, drzewko i zatrzymał się na kuchni polowej rozwalając ją. Osobę stojącą za wozem i dwóch kucharzy przy kuchni uratował dobry refleks. Innym razem cofający się gazik pana majora przejechał funkcyjnego (kelnera). Skończyło się na złamaniu kości stopy.

Do tego cyklu można by włączyć wyznaczanie na służbę do kuchni człowieka, który przeszedł niedawno żółtaczkę. (Był to Tadek Gruszczyński, kierowca pogotowia ratunkowego; zaraził się przewożąc pacjenta). Tylko dzięki jego stanowczemu postawieniu sprawy wycofano ten rozkaz.

Był on moim sąsiadem w namiocie. Nie skarżył się lekarzowi na zdrowie, ale widziałem, co się z nim działo po każdym posiłku. Oczywiście, żadnej diety nie było ani dla niego, ani dla co najmniej 20 innych osób z chorobami żołądka (przeważnie udokumentowanymi zaświadczeniami komisji lekarskich).

Głównymi składnikami posiłków były: sardynki w oleju, kiełbasa zwyczajna i makaron, do którego dodawano poszatkowaną tłustą szynkę — wtedy nazywano to gulaszem. Raz zanieśliśmy lekarzowi białe robaczki w kiełbasie. Innym razem wyrzucono ponad 30 kg. mięsa — nie nadawało się nawet na gulasz. Wizytujący nas następnego dnia (drugi) generał dał oficerskie słowo honoru, że załatwi lodówkę. Z warzyw dostaliśmy z 10 razy po ogórku konserwowym, 2 razy po porcji szczypiorku i raz po pół pomidorka. Żadnych owoców.

Oficerowie jedli osobno i znacznie lepiej.

Gdy 20-go dnia obozu dano nam po raz 12-ty sardynki w oleju, Karol poszedł porozmawiać o nich z komendantem. Usłyszał wówczas (my też usłyszeliśmy, bo komendant ryczał): „Stańcie na baczność! I pamiętajcie, jeśli tu ktokolwiek nie będzie jadł ryby, to ja was pierwszego wsadzę na pięć dni do aresztu!”. A na pytanie Karola dlaczego odmawia przedyskutowania tej kwestii odparł: „Mnie nie uczono dyskutować, a do wodzic”.

Od kierowców z jednostki dowiedzieliśmy się skąd ta obfitość sardynek, made in Poland 1974. Otóż w owym roku nasza jednostka wykonywała jakieś prace dla przetwórci w Świnoujściu i jako wynagrodzenie dostała ten bubel. Przez resztę obozu ozda-

biano wejścia do namiotów piramidkami z nietkniętych puszek.

Komendant troszczył się także o higienę. (Co prawda, nie przeszkadzał mu widok służby kuchennej oddającej mocz pod krzaczkiem tuż przy kuchni). Myliśmy się i praliśmy w jeziorze (w którym przez pierwsze dni myto naczynia). W niedzielę 11. 7, a więc 23-go dnia pobytu na poligonie, przyjechała łaźnia polowa. Komendant nakazał nam odmaszerować do niej plutonami. Uzasadnił to następująco: „Tu, rozumiecie, musi być higiena, rozumiecie. Był już tu jeden wypadek choroby W”. Jego metoda leczenia choroby W natryskiem wzięła się zapewne z ciągu skojarzeń: przypadek choroby skóry na izbie chorych — podejrzenie o świerz — przychodnia skórno-weneryczna — choroby W.

By zakończyć sprawę zdrowia internowanych: słyszeliśmy, że obozujący w okolicy studenci Akademii Medycznej w Poznaniu zaproponowali, że przeprowadzą kontrolne badania zdrowia rezerwistów na poligonie. Dowództwo jednostki odmówiło. Odmawiało także wysłania na komisję osób zwolnionych uprzednio przez wszystkie inne komisje, wśród nich rencisty z II-gą kategorią renty inwalidzkiej i człowieka, którego wysłano do jednostki, gdy był na zwolnieniu lekarskim (p.o.p.p.). Koło 15 lipca wysłano ich wreszcie na jakiś przegląd lekarski, wrócili ze zwolnieniem ze wszelkich prac, więc zamiast wysyłać ich na poligon do pracy przy łopacie przydzielano im służbę wartowniczą (na przemian doba służby — doba wolnego) (p.o.p.p.).

Myślę, że w Czarnym było jeszcze gorzej, skoro ogłoszono tam 3. 7 głodówkę, ale słyszałem, że po jednym dniu komenda doszła z internowanymi do jakiegoś kompromisu. Mimo tego pracowano tam do ostatniego dnia obozu po 10 godzin dziennie.

Stąd wniosek, że należało dopominać się o swoje prawa pisać raporty, składając zażalenia itp. Sądzę, że osoby, które powołano mimo znacznego przekroczenia przez nie 50-ciu lat (p.o.p.p.) lub też w niecały tydzień po opuszczeniu zakładu karnego (p.o.p.p.) zgromadziły brakiem odwagi, gdy w milczeniu przyjeły w WKU kartę wcielenia. Natomiast na obecność homoseksualistów (p.o.p.p.) powinna zareagować komenda obozu; traktowała ona jednak ten fakt jedynie jako temat żartów urozmaicających życie obozowe.

Przykładem doraźnie bezowocnego, ale niezbędnego działania jest dla mnie następujący list mojego bezpośredniego przełożonego.

Redakcja „Żołnierza Wolności”
w Warszawie

6. 7. 1976 r.

Zwracam się do Redakcji z prośbą o wyjaśnienie pewnych kwestii prawnych związanych z przebywaniem na tzw. ćwiczeniach wojskowych. Proszę o opublikowanie odpowiedzi np. w rubryce „Kto pyta nie błądzi”, w możliwie najkrótszym terminie.

1. W jakim terminie przed dniem stawienia się do jednostki WKU jest zobowiązana do dostarczenia karty wcielenia (powołania) obywatelowi. Mówiono o terminie 14-dniowym, prawdopodobnie jest on jednak oparty na pewnych zwyczajach. W praktyce jednak WKU powołuje rezerwę w znacznie krótszych okresach, a nawet tego samego dnia, pomimo że nie jest ogłoszona mobilizacja powszechna, wojna czy inne zagrożenie uzasadniające tego typu postępowanie. Jak więc przedstawiają się konkretne przepisy w tej sprawie?

2. Jaka jest definicja żołnierza WP? Czy za żołnierzy można uważać osobników, których nie szkoli się w posługiwaniu bronią, nie daje im się broni do ręki i bez broni też składają oni przysięgę wojskową?

3. Jaki jest podstawowy cel powoływania do wojska na wiele tygodni rezerwy, w której są wysokokwalifikowani specjaliści?

a) szkolenie w posługiwaniu się bronią i w obsłudze urządzeń wojskowych,

b) wykorzystanie obywateli do wykonywania różnych nieskomplikowanych prac dla potrzeb wojska i gospodarki narodowej, w których podstawowym narzędziem jest łopata.

4) Jaki jest cel powoływania w trybie nadzwyczajnym na tzw. ćwiczenia wymienionych w punkcie b) osób, które są niezdolne do służby wojskowej i mają nawet przez cały okres przebywać na izbie chorych zwolnieni od wszystkich zajęć? Czy nie należałoby ich raczej natychmiast zwolnić do domu?

Stanisław Januszkiewicz

Bydgoszcz...

obecnie jedn. wojsk. 1013

Stanisław traktował wojsko — jako instytucję — poważnie i drażniły go różne przekroczenia regulaminu dla mnie nieomalże niezauważalne; to, że nawet tym rezerwistom, którzy mieli stopnie oficerskie, nie dano na poligonie broni, że podoficerowie,

nawet podchorąży, wykonywali prace fizyczne wraz z szeregowymi, że komendant pojawia się na apelach półnagi i w tenisówkach, a wydaje rozkazy leżąc pod telewizorem, że oficerowie używają wartowników jako służących typu „podaj-zamieć”... Mnie bardziej drażniła dowolność z jaką używali swego prawa do karania. Aby nie być gołosłownym, podaję kilka kar.

- 21 dni w zawieszeniu — za ucieczkę na dwa dni,
- j.w. *per capita* — dla dwóch osób za spacer do sklepu (przed osiągnięciem celu zwinęło ich WSW),
- 10 dni ścisłego — rozmowa po pijanemu z komendantem,
- 21 dni — wyjście z kuchni pół godziny przed końcem służby + lekka pyskówka,
- 5 dni w zawieszeniu — za opuszczenie apelu (a to o mnie!),
- 5 dni w zawieszeniu — za komentarz „to prawda” do oświadczenia komendanta: „coś tu burdel się robi”,
- 4 i 5 dni — za obietnicę złożoną na apelu wieczornym 16. 6, że poderżną komendanta i dowódcę plutonu.

To ostatnie wywołuje zdziwienie: jeśli traktować groźbę poważnie, to dlaczego nie sąd wojskowy? Bo że ukarano ich 25-go, a nie 16-go, to dla mnie zrozumiałe: zarówno potencjalni podryznający jak i podrzynani byli kompletnie pijani, a przy wygłaszaniu formułki o ukaraniu trzeba przez parę sekund stać równo i w miarę wyraźnie mówić.

(Dość szczególnie brzmiał też dla mnie rubaszny żarcik naszego paternalistycznego komendanta: „ja tu dziś chyba kogoś zastrzele!”). Może to tzw. żart abstrakcyjny, ale on cały czas miał broń przy sobie).

Ostatnie 10 dni kadra piła nie na swój koszt. WSW złapało kantyniarza na przywożeniu do obozu transportera czystej (sprzedawał w cenie od 110 do 150 zł za półlitrowkę), transporter internowano pod łóżkiem komendanta i dzielono się zawartością z kantyniarzem mniej więcej w stosunku 2 : 1; tzn. co trzecią butelkę odyskiwał. Zauważyliśmy jak to wykonywano (groteska, ale to powinno być zasadniczym argumentem, że nie zmyślam): przed apelem wieczornym komendant wkładał butelkę do swego oficerskiego buta (czasami dwie do dwóch butów — tak, miał poczucie humoru) i zasnurowywał namiot. W czasie apelu kantyniarz wślizgiwał się tam, po chwili rozsnurowywał namiot i wychodził.

Alkoholu (surowo zakazanego we wszelkiej postaci) dostarczali kantyniarz, kierowcy, ludzie odwożeni do dentysty i wolni strzelcy. W moim namiocie większość piła co drugi-trzeci dzień, pod koniec nawet częściej.

Gdybym w tym miejscu zakończył relację, opis życia towarzyskiego zostałby sfałszowany. Owszem, był alkohol i nieodłączne męskie pogawarki —

Dygresja. Czytający może uważać to za inteligenckie fochy, prawdą jest jednak, że nie tak była mi straszna bezcelowa praca i wojskowa wojskowość naszego życia, jak nieuchronne wysłuchiwanie tych pogwarek. A przecież w odniesieniu do przypadkowego towarzystwa mam minimalne wymagania: żeby nie opowiadali o swoich partnerkach jak o kubłach ze śmieciami.

— ale była też Olimpiada w TV i rozmawiano o życiu. Nieomal każda z tych rozmów mogłaby doprowadzić do grubego studium, ale — powtarzam — czuję się matematykiem, nie socjologiem czy też działaczem społecznym. Postawiony w sytuacji słuchacza zapamiętałem i czuję się w obowiązku powtórzyć w skrócie, rzucając prawie jedynie hasła wywoławcze:

- zgodne ze sobą w detalach relacje o torturach w więzieniach: bicie, odbijanie nerek przez deskę, rozciąganie na 8-24 godzin na specjalnym łóżku, sadzanie na haku, niedożywianie przy ciężkiej pracy;
- szczególne ekspertyzy psychiatryczne mgr Różańskiego (czy też Różyckiego) w szpitalu więziennym w Ostrowiu;
- niepełnie naturalna śmierć Silbersteina-Sliwy;
- głódówki w więzieniach, z przymusowym wlewaniem posiłków po 6-ciu dniach, historia sześciotygodniowej głódówki 1700 osób w Goleniowie w 1974 roku;
- strajk z 4. 11. 74 w kombinacie w Policach, który wybuchł w związku z osobliwym rozdziałem premii, jego stłamszenie zastraszeniem, że to działalność polityczna (żeby zakłócić obchody rocznicy Rewolucji Październikowej);
- wyławianie w knajpach rozmawiających o pożarach warszawskich i wymuszanie od nich pisemnych odpowiedzi na 5 pytań, z których przykładowe brzmi: „jak widzisz stosunki polsko-radzieckie?”;
- autobus wiozący 34 byłych członków komitetu strajkowego stoczni szczecińskiej na szkolenie BHP w Węgierskiej Górze, jesień 1971 roku. Autobus wprawdzie nowy i sprawdzony przed wyjazdem, ale w czasie podróży omal nie odpada koło, czego nawet eksperci w Mielcu nie potrafili zrozumieć (historia potwierdzona przez parę niezależnych źródeł);
- stoczniowiec, który na zebraniu związków zawodowych opowiada jak popełniano na nim samobójstwo za pomocą kuchenki gazowej (słyszałem przed laty podobną historyjkę z kół wewnątrz-milicyjnych).

O wielu zasłyszanych historiach nie wspominam — nie wiem jaki jest stopień ich wiarygodności.

Dowiedziałem się też, że przy wzywaniu mnie zachowano się nader uprzejmie; innych powiadamiano w środę (16. 6) lub w piątek w pracy, a kogoś nawet po pracy, zawożąc wprost z domu na dworzec. O człowieku, wyjętym z łóżka (na zwolnieniu chorobowym) i wysłanym do jednostki już mówiłem. Parę osób zrewanżowało się takim samym lekceważeniem drugiej strony przyjeżdżając do jednostki w poniedziałek (21. 6), uszło im to na sucho.

Niektórzy jechali chętnie — wizja ćwiczeń na świeżym powietrzu była im miłsza niż lato w hali fabrycznej. To ich kierownicy i dyrektorzy szukali gorączkowo możliwości wyreklamowania ich — z reguły nadaremnie. (Opowiada nadmajster ze stoczni szczecińskiej: „mialiśmy oddawać statek armatorowi 20 lipca, w pracy będę dopiero 29-go. Nie mogą zrobić tego beze mnie, no tak, stocznia zapłaci za przekroczenie terminu parę tysięcy dolarów kary”). Ale i potem byli tacy, którzy mimo popsucia planów urlopowych, zdenerwowania, zmęczenia i niedożywienia twierdzili, że wolą ten obóz niż pracę w zakładzie.

Wypuszczono nas po uroczystym zakończeniu z udziałem sztandarów i hymnów (z wyjątkiem informatorów, których puszczono poprzedniego dnia). W przemówieniach dziękowano nam, znów słyszeliśmy o „podniosłym patriotycznym obowiązku” a także o „wzmaganiu zdolności bojowej w czasie, gdy NATO intensywnie się dozbiera” (tu ponad trzystu zgromadzonych na polance ryknęło nieopanowanym śmiechem). Po czym zaprowadzono nas z powrotem do obozu i rozdzielono na grupy, które rozwożono do różnych okolicznych stacji na stosowne pociągi między 13-tą a 21-szą 50. W miasteczkach, do których nas dowożono, roilo się od milicji i WSW. Pod starannym nadzorem wsiadaliśmy do pociągów, żegnani „życzeniami wszelkiej pomyślności w życiu cywilnym”.

Po powrocie do Wrocławia usłyszałem, że na podobnym obozie w Jeleniej Górze zastrzelono rezerwistę gdy przechodził przez płot wybierając się na piwo. O ile znam się na wojsku, to strzelający dostał w nagrodę za sumienną służbę wartowniczą pięć dni urlopu.

Dr Sobierajskiego nie zastałem na Politechnice. Jego sekretarka powiedziała mi, że wrócił do Wrocławia po dwóch dniach, tyle, że ostrzyżony. W moim instytucie mówiono mi, że ja także zostałem wyreklamowany, o czym WKU powiadomiło instytut jeszcze w czerwcu. Nie wiem co to znaczy, ale zdążę się dowiedzieć.

Warzyw dalej nie jadam — cholerne kolejki. Zresztą za wszystkim. Pierwszy raz od kilkunastu lat mam jakieś kłopoty ze zdrowiem (serce, żołądek). No trudno, przeżyję, po jakimś czasie dojdę do siebie. Myślę, że to dość umiarkowana cena za poznanie tylu interesujących ludzi. No, i wziąłem udział w eksperymencie na skalę obozu (socjalistycznego). Nie wiem ilu było nas wszystkich w całej Polsce — z moich szacunkowych obliczeń wynika, że nie mniej niż 7.000 osób. Za jakiś czas dowiem się tego dokładniej — tymczasem wolalbym jednak o tej sprawie zapomnieć.

Andrzej SOLECKI

ZAPRENUMERUJ **"AN
POLITYCZNY
KWARTALNIK EKS"** do ocenzurowanej prasy
w Polsce

A N E K S

W nr. 12-tym m.in.: Nigdy nie publikowany wywiad z Antonim Słonimskim; Ważny zbiór esejów ośmiu autorów krajowych *O chrześcijaństwie, socjalizmie, kościele i polityce* — ze Wstępem Leśka Kołakowskiego; A. Chmielewska: *List do przyjaciół*; Cz. Krzyżostofor: *Katolicyzm a sprawa polska*; M. Korybut: *Refleksje o opozycji*; J. Walecki: *O niebezpieczeństwie politycznej neutralizacji dewocyjnych katolików w Polsce*; i inn.

CZERWIEC 1976: Komentarze W. Brusa, A. Smolara, S. Gomułki; Relacje naocznych świadków wydarzeń w Radomiu, Gdańsku i Płocku; Protesty i apele.

Upřednio w nr. 11-tym m.in.: ZMIANY W KONSTYTUCJI PRI — A. Smolar: *Przecieko legalizacji bezprawia*; Zbiór dokumentów; S. Gomułka: *Uwagi do planu 1976-80*; Zb. Brzezinski: *Stosunki międzynarodowe — kryzys i przemiany*; S. Morawski: *Cenzura wobec sztuki*.

Rocznik — 4 numery — ok. 640 stron: Skr 36, \$ 10, £ 4. Zamówienia wraz z wpłatą prosimy przysłać na adres: —

A N E K S, P. O. Box 23057, 750 23 UPPSALA, SWEDEN.

Wspomnienia dla przyjaciół

Ksiądz Władysław Bukowiński, ostatni proboszcz parafii w Łucku, organizował tam w czasie wojny pomoc dla polskich uciekinierów przed rzezią UPA, oraz dla sowieckich jeńców wojennych. Współdziałał w tym zakresie z Inspektorem AK w Łucku. W wyniku tej współpracy udzielono pomocy w ucieczce z obozu ponad 250 jeńcom. Za swoją działalność Ks. Bukowiński został odznaczony przez AK Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Po wojnie Ks. Bukowiński pozostał w ZSSR. Zmarł w Karagandzie 3 grudnia 1975 roku, w wieku lat 70. Msze odprawione były w jego mieszkaniu po polsku i po niemiecku, kazania wygłoszone po polsku, po niemiecku i po rosyjsku. Trumnę złożono na ciężarówce, towarzyszyło jej na cmentarz pięć autobusów wypełnionych przeważnie Niemcami. Na tymczasowym drewnianym krzyżu Niemcy napisali: *Ladislav Bukovinski 1904-1975*. Na projektowanym nagrobku tekst będzie dwujęzyczny: polski i niemiecki.

Krótko przed śmiercią Ks. Bukowiński przyjechał na urlop do Krakowa. Tam spisał swój Wybór wspomnień i informacji dla przyjaciół, który otrzymaliśmy do druku. Ze względu na sporą objętość pamiętnika, drukujemy tylko jego fragmenty.

REDAKCJA

We wstępnej części mego pisma będzie najpierw mowa o mnie samym i o moich Przyjaciółach Księżach: Bronisławie Drzepeckim i Józefie Kuczyńskim, a następnie o Związku Radzieckim, w którym upływa całe moje życie od dnia 18 września 1939 roku, z wyjątkiem niespełna 3-let lat okupacji niemieckiej w Łucku i kilku miesięcy spędzonych na urlopie w Polsce.

Dla lepszej orientacji podaję szereg dat z mojego życia. Uro-

dziłem się dnia 22 grudnia 1904 roku (starego stylu) w Berdyczowie na Ukrainie.

W lipcu 1920 roku nasza rodzina wyjechała z Ukrainy do Polski.

W latach 1921-1931 odbywałem studia prawnicze i teologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dnia 28 czerwca 1931 roku otrzymałem święcenia kapłańskie w Katedrze na Wawelu z rąk Księdza Metropolity Adama Stefana Sapiehy.

W latach 1931-36 pracowałem w Archidiecezji Krakowskiej w Rabce i w Suchej.

Od sierpnia 1936 roku pracowałem w Łucku.

Po wybuchu wojny — w listopadzie 1939 roku Ksiądz Biskup Adolf Piotr Szelażek mianował mnie proboszczem katedry łuckiej.

Od 22 sierpnia 1940 do 26 czerwca 1941 roku trwało moje pierwsze uwięzienie, cały czas w Łucku.

Po wyjściu na wolność pracowałem dalej na stanowisku proboszcza Katedry Łuckiej.

Od 4 stycznia 1945, aż do 10 grudnia 1954 roku przedłużało się moje drugie uwięzienie. Z tego tylko pierwszych 18 dni w Łucku, dalej półtora roku w więzieniach w Kijowie, a następnie 8 lat w obozach pracy, a mianowicie: w latach 1946-1950 w Czelabińskich obozach, a w latach 1950-1954 w Dżekazganie położonym o 500 kilometrów na południowy zachód od Karagandy.

Od września 1954 do 3 grudnia 1958 roku prowadziłem pracę duszpasterską w Karagandzie, dokąd zostałem administracyjnie zesłany. To zesłanie trwało jednak tylko 2 lata — do połowy 1956 roku.

Od 3 grudnia 1958 do 3 grudnia 1961 roku, a więc równo 3 lata, trwało moje trzecie uwięzienie.

Od grudnia 1961 roku aż do obecnego mojego wyjazdu na urlop do Polski prowadziłem dalej pracę duszpasterską w Karagandzie.

Zarówno przed moim ostatnim aresztowaniem w latach 1956-1958, jak i po uwolnieniu w ostatnich latach miałem możliwość odbyć szereg podróży misyjnych. Daj Boże, bym mógł kontynuować tę pracę po powrocie z Polski do Związku Radzieckiego.

Opatrzność Boża poprowadziła wspólnymi drogami nas — trzech kapłanów diecezji łuckiej: Księdza Bronisława Drzepeckiego, Księdza Józefa Kuczyńskiego, i mnie. Ponieważ plszę do Przyjaciół, będę Ich nieraz nazywał po imieniu.

Śmiem twierdzić, że zaprzyjaźniliśmy się ze sobą z wyrażnej woli Bożej.

Z Bronisławem i Józefem siedzieliśmy w jednej celi w więzieniu w Kijowie przeszło rok: od czerwca 1945 do lipca 1946 roku. Przez pierwsze pół roku do grudnia był z nami w jednej celi nasz Czcigodny i Sędziwy Arcypasterz Ksiądz Biskup Adolf Piotr Szelażek, o czym piszę obszerniej gdzie indziej. Właśnie w tej kijowskiej celi więziennej dnia 1 sierpnia 1945 roku Ksiądz Biskup skończył 80-ty rok życia.

Po uwolnieniu z dziesięcioletniego uwięzienia pracowałem

wszyscy trzej w Kazachstanie: ja od 1954 roku w Karagandzie, Bronisław od 1955 roku we wsi Zielony Gaj koło Celingradu, a Józef od 1956 roku w miasteczku Taińcza obwodu Kołczetawskiego. W grudniu 1958 roku aresztowano mnie i Józefa, a w styczniu 1959 roku Bronisława. Sądzone każdego z nas oddzielnie. Ja „siedziałem” 3 lata, Bronisław — 5 lat, a Józef — 7 lat.

W tym czasie byłem z Bronisławem w jednym obozie przeszło 2 lata (1959-1961). Józefa widziałem przelotnie 2 razy w 1959 roku, a potem byliśmy wszyscy razem przez 8 miesięcy — od kwietnia do grudnia 1961 roku — w obozie dla „religiozników”.



Bywają w życiu momenty *przełomowe*. Przeszłość kończy się bezpowrotnie, wkracza przyszłość całkiem nowa. Często uświadamiamy sobie tę przeszłość nie od razu, lecz znacznie później.

W moim życiu było 2 momenty przełomowe od razu najzupełniej uświadomione. Jeden zdarzył się w styczniu 1945 roku, a drugi o 10 lat później w czerwcu 1955 roku. Pierwszy się zdarzył niezależnie od mojej woli, drugi z całkowitym jej udziałem, ale oba przełomowe i oba od razu w pełni przez mnie uświadomione.

Dnia 22 stycznia 1945 roku wyjeżdżaliśmy z Łucka we trójkę: Ksiądz Biskup Adolf Piotr Szelażek, Ksiądz Kanonik Karol Gałęzowski i ja. Było to po naszym aresztowaniu, które nastąpiło w nocy z 3-go na 4-ty stycznia tegoż roku. 18 dni trwało wstępne śledztwo, i właśnie 22 stycznia wywołano nas na dalsze właściwe śledztwo z Łucka do Kijowa via Kowel. Z Łucka do Kowla mieliśmy jechać samochodem ciężarowym, a dalej z Kowla do Kijowa pociągiem. Jasną jest rzeczą, że jechaliśmy cały czas pod konwojem. Ksiądz Biskup otrzymał w samochodzie najlepsze miejsce koło szofera, a myśmy z Księdzem Gałęzowskim siedzieli na tobołkach wprost na platformie ciężarowego samochodu. Był przepiękny, słoneczny, z lekka mroźny dzień zimowy. Posadzono nas na platformie w ten sposób, że siedzieliśmy tyłem do szofera.

Wyjeżdżamy z Łucka. Przejechaliśmy most na Styrze. Jedziemy przez przedmieście zwane Krasnem, gdzie jeszcze przed kilkoma miesiącami było nasze łuckie seminarium duchowne. Siedząc na samochodzie oglądamy panoramę miasta Łucka. Stąd, z Krasnego, miał ją oglądać i zachwycać się nią goszczący w Łucku u Witolda cesarz Zygmunt Luksemburczyk w 1429 roku, skąd ma się wywodzić sama nazwa Krasne. Nad miastem góruje kopuła naszej katedry. W promieniach słońca lśni pięknie złotawym blaskiem. Stopniowo znikają z oczu zabudowania miasta, lecz wciąż jest widoczna kopuła katedry. Wreszcie znika i ona...

Patrząc z samochodu więziennego na stopniowo znikający z oczu Łuck wraz z kopułą naszej katedry, jasno pojąłem, że Łuck to jest przeszłość niepowrotnie miniona w moim życiu, a i w dziejach Polski współczesnej. Co przyniesie przyszłość? Coś całkiem nowego.

Teraz jedziemy do Kijowa, a potem zapewne jeszcze o wiele dalej na wschód. Tam na wschodzie jest moja przyszłość życiowa z woli Opatrzności Bożej. Obym godnie wypełnił tę wolę opatrnościową!

W czerwcu 1955 roku moje warunki życiowe były już całkiem inne, niż w styczniu 1945 roku. Od dziesięciu miesięcy mieszkałem na wolności w Karagandzie. Zostałem tam administracyjnie zesłany po ukończeniu 10-letniego uwięzienia, które trwało dokładnie 9 lat, 7 miesięcy i 6 dni, bo policzono mi prawie 5 miesięcy za dobrą robotę, choć — prawdę mówiąc prawie nigdy nie poczuwałem się do tego, bym był dobrym robotnikiem. Opatrzność Boża działa nieraz i przez ateistów, którzy zesłali mnie tam, gdzie książdź był szczególnie potrzebny. Już w kilka dni po zesłaniu do Karagandy w sierpniu 1954 roku wiedziałem, że czeka mnie tam niezmiernie wielka praca duszpasterska. Zesłaniec podobnie jak i obozowiec ma ścisły obowiązek pracować dla rządu. Wziąłem taką pracę, która dawała mi stosunkowo dużo wolnego czasu na pracę duszpasterską. Pracowałem co drugą noc jako stróż nocny na obiektach budowlanych. Pracy kapłańskiej, oczywiście po domach prywatnych, było zrazu tak wiele, jak nigdy przedtem i potem w życiu. Ogromna większość spowiedzi była generalnych z całego życia.

Jako zesłaniec miałem obowiązek co miesiąc meldować się w komendanturze, bez pozwolenia której nie miałem prawa wyjeżdżać z Karagandy. Komendantem był starszy lejtenant, Kazach. Przy comiesięcznym meldunku wypytywał się on dokładnie każdego zesłańca o warunki jego życia i pracy. Była to obowiązkowa spowiedź miesięczna, jak dowcipnie mawiano wśród licznych jeszcze wtedy zesłańców — Polaków.

Przy owym meldunku po trzech czy czterech miesiącach gdy — jak zwykle — „wyspowiadałem się” z tego gdzie mieszkam i gdzie pracuję, pan komendant nagle rzekł: „Wszystko to dobrze, ale powiedzcie jeszcze jak wam idzie wasza praca pasterska?”. — Już skądś się o niej dowiedział. — „Dziękuję Panu, — odparłem z miejsca — także i praca pasterska idzie mi nieźle”. Odtąd przy meldunku głównym przedmiotem „miesięcznej spowiedzi” była owa — tak stała przez Komendanta nazywana — praca pasterska. Muszę jednak przyznać, że ów Kazach był raczej dobroduszny i nie stawiał zbyt niedyskretnych pytań.

Zesłańcy polscy oczekiwali wtedy na repatriację do Polski, jednak długie miesiące bezskutecznie. Aż wreszcie w czerwcu 1955 roku (którego to było czerwca już nie pamiętam) gruchnęła upragniona wieść: „Dzisiaj zapisują na repatriację”. Kto żyw, szedł co prędzej do komendantury.

Ja nie miałem powodu się spieszyć i poszedłem dopiero wieczorem tego dnia. Komendant nawet mnie nie „spowiadał”, tylko zapisał meldunek i natychmiast odesłał do kapitana — prawdopodobnie Rosjanina — który przyjmował zapisy na repatriację.

Miedzy mną a owym kapitanem odbyła się następująca rozmowa: Kapitan po sprawdzeniu moich personalnych danych —

„Obywatelu Bukowiński, proponujemy wam repatriację do Polskiej Republiki Ludowej”.

Ja: — „Witam z radością decyzję Rządu Radzieckiego o repatriacji Polaków, na którą oczekiwało tysiące moich rodaków, lecz ja sam osobiście pragnę pozostać w Związku Radzieckim!”.

Kapitan: — A! Wam także przysługuje prawo pozostania w Związku Radzieckim!”.

W tym momencie zobaczyłem u kapitana na biurku 2 spisy: jeden bardzo długi zgłaszających się do repatriacji, a drugi całkiem krótki zgłaszających się do pozostania w Związku Radzieckim. Ten drugi był rzeczywiście całkiem krótki, bo — jak to dokładnie spostrzegłem — moje nazwisko było trzecie w tym spisie... Wtedy już definitywnie stałem się obywatelem Związku Radzieckiego.

Tak prosto i zwyczajnie dokonał się ów drugi moment przełomowy w moim życiu. Tym razem ja sam dobrowolnie pokierowałem swym życiem, doskonale zdając sobie sprawę z konsekwencji mojej własnej decyzji.

Jedną z konsekwencji tej decyzji poniosłem 3 lata później, kiedy to dnia 3 grudnia 1958 roku zostałem aresztowany po raz trzeci w moim życiu, a 25 lutego 1959 roku sądzony po raz pierwszy w życiu, gdyż przy pierwszych dwóch aresztowaniach wyroki były administracyjne, a nie sądowe.

Do owego jedyne go w moim życiu sądu wrócimy jeszcze w dalszej części tego pisma. Teraz omówimy tylko jeden *epizod sądu*, który mi się wydaje bardzo charakterystyczny.

Sądziło mnie kolegium sądowe obwodowego sądu w Karagandzie. Główny sędzia zrobił na mnie wrażenie bardzo pozytywne. Najprawdopodobniej był to prawnik, człowiek rzeczowy i taktowny. Obok niego dwoje asesorów. Asesorka wyglądająca na nauczycielkę jawnie mi sprzyjała. Natomiast asesor pozostawił wrażenie człowieka mało inteligentnego i bardzo nie lubiącego „popów”. O ile główny sędzia i asesorka rozmawiali ze mną grzecznie i dość swobodnie, o tyle asesor milczał naburmuszony i odezwał się tylko jeden raz, a było to tak:

Główny sędzia zapytał się dlaczego ja nie skorzystałem z repatriacji i zostałem w Związku Radzieckim? Odpowiedziałem, że uczyniłem to ze względów ideowych — dla pracy duszpasterskiej wśród tak bardzo jej potrzebujących, a nie mających swoich kapłanów, wierzących katolików Związku Radzieckiego.

Tu moja odpowiedź najwidoczniej wyprowadziła z równowagi pana asesora. Otworzył on usta swoje i rzekł:

— „Co wy nam gadacie o jakichś względach ideowych? Jasną jest rzeczą, że wy zostaliście w Związku Radzieckim tylko ze względów materialnych. Wyście sobie obliczyli, że za wasze „treby” (chrzty, śluby, pogrzeby, czyli *jura stolae*) wy uzyskacie większy dochód w Związku Radzieckim, niż moglibyście uzyskać w Polskiej Republice Ludowej i dlatego zostaliście w Związku Radzieckim. A nam *nie puskajcie pył w głąza* (nie sypcie w oczy piasku).

Na tę filipikę odparłem *stante pede*: „Gdybym ja kierował się względami materialnymi, to byłbym — proszę mi darować ostre słowa — idiotą pozostając w Związku Radzieckim. W Polsce otrzymałbym kościół parafialny ze stałym dochodem, w nim mógłbym legalnie i spokojnie pracować, a w Związku Radzieckim muszę siedzieć na ławie oskarżonych!”.

Pan asesor zamilkł i więcej już do końca sądu nie otworzył ust swoich.

Są ludzie, którzy nie chcą uznać, że nawet pogardzony „pop” może się kierować w życiu względami ideowymi. Daleko jestem od wyniosłego poniżania względów materialnych, zwłaszcza w życiu ludzi rodzinnych. Ale — mówiąc stylem biblijnym — biada człowiekowi zapominającemu o słowach Zbawiciela: iż nie samym tylko chlebem żyje człowiek ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Bożych.



Tak więc spełniła się moja intencja z dnia 22 stycznia 1945 roku. Już długie lata mieszkam i pracuję na Wschodzie, i to nie tylko w skali polskiej, ale nawet i w skali radzieckiej. Wszak we wschodniej azjatyckiej części Związku Radzieckiego leżą zarówno sama Karaganda, jak i wszystkie inne miejscowości, które odwiedziłem podczas moich podróży misyjnych.

Praca duszpasterska tak w Karagandzie z bliższą okolicą, jak i „na misjach”, będzie głównym tematem dalszej części tego pisma. Już teraz przypomnę, że moje zesłanie administracyjne do Karagandy trwało tylko pierwsze nie całe dwa lata. Wtedy cała praca duszpasterska odbywała się tylko w Karagandzie i nie mogło być mowy o żadnych podróżach misyjnych.

W maju 1956 roku zostałem zwolniony z zesłania i otrzymałem paszport jako odtąd już pełnoprawny obywatel Związku Radzieckiego, który może się swobodnie poruszać bez niczyjego zezwolenia po całym ogromnym terytorium tego państwa, byle by tylko miał paszport przy sobie.

Wkrótce potem zwolniłem się z pracy nocnego stróża w przedsiębiorstwie budowlanym i jeszcze w tym samym 1956 roku odbyłem 3 pierwsze, na razie niedalekie, podróże misyjne, by w następnych latach 1957 i 1958 osiągnąć szczyt częstotliwości i zasięgu całego mojego dotychczasowego misjonarstwa.

Tak się złożyło, że żyję i pracuję na Wschodzie, ale nie na historycznych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Terytorium *Kresów Wschodnich* wchodzi obecnie w skład 4-ch radzieckich republik związkowych: litewskiej, łotewskiej i ukraińskiej, nie licząc Białostocczyzny i Smoleńszczyzny, należących do Polski, względnie do Federacji Rosyjskiej.

Pamiętamy wszyscy bardzo dobrze jak wiele rozprawialiśmy w naszym Kole o unii Jagiellońskiej i o idei Jagiellońskiej. Powierzchniowo rzecz biorąc, mogłoby się zdawać, że *idea Jagiellońska* jest dziś całkowicie zdezaktualizowana na rzecz tryumfującej idei piastowskiej. Nic błędniejszego od takiego postawienia

sprawy. Idea Jagiellońska jest to pewien sposób, czy raczej pewien styl, regulowania stosunku Polski i Polaków do najbliższych sąsiadów zwłaszcza od wschodu. Chodzi tu właśnie o Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Łotyszów, lecz nade wszystko i Rosjan. A któż zaprzeczy, że stosunki polsko-rosyjskie są dziś boleśnie wprost obłudne?

Moje obserwacje odnoszą się głównie do Rosjan, Litwinów i Ukraińców, więc ograniczę się tylko do nich, co mi już zechcą wybaczyć pominięci przez mnie Białorusini i Łotysze. Zacznę od Rosjan.

Byłoby błędem stuprocentowym utożsamiać Związek Radziecki z Rosją, ale byłoby jeszcze o wiele większym błędem dopuszczać do pochłonięcia Rosji przez Związek Radziecki, nie dostrzegając specyfiki rosyjskiej poprzez pryzmat Związku Radzieckiego.

Pierwsza zasadnicza uwaga. Nic nie ma bardziej zabójczego dla stosunków polsko-rosyjskich, jak niewola, a nawet daleko idąca zależność Polski od Rosji. No tak, ale jakże się odnosi współczesny Rosjanin, radziecki Rosjanin, do Polski i Polaków?

Nie może tu być jednoznacznej odpowiedzi. Trzeba najpierw odróżnić wśród Rosjan pokolenie stare, już odchodzące, od pokolenia młodszych. Wśród starych Rosjan są jeszcze widoczne reminiscencje długoletniego, nieuleczalnego antagonizmu polsko-rosyjskiego z czasów carskich. Odnoszą się oni do Polaków nieufnie, widząc w nas co najmniej potencjalnych wrogów Rosji.

W młodszych pokoleniu współczesnych Rosjan — a im ono jest młodsze, to tym więcej — dominującą postawą jest obojętność. Sprzyja jej bardzo słaba znajomość historii wobec jednostronnie techniczno-matematycznego kierunku w radzieckim szkolnictwie. Jeżeli w dodatku taki młody Rosjanin nie ma bliższych znajomych wśród Polaków i Polek, to Polska i Polacy obchodzą go mniej więcej tyle co Australia i Australijczycy.

Nie znaczy to jednak, że ta dominująca postawa obojętności jest w młodym pokoleniu Rosjan postawą wyłączną i jedyną. Także i wśród młodych Rosjan spotykają się ludzie niechętni do Polski i Polaków usposobieni. Tylko że źródło ich niechęci jest całkiem inne, niż u starych Rosjan. Ci nam niechętni młodzi Rosjanie mówią o nas: „*Polaki wsie pany, polskie komunisty toż sameje pany*”.

Ale jednak wśród młodych Rosjan są i tacy, a wcale nie nieliczni, którzy są do Polski i Polaków usposobieni przyjaźnie, a nawet bardzo przyjaźnie. Pociąga ich do nas przede wszystkim kultura towarzyska. Uważają, że Polacy to ludzie kulturalni i dobrze wychowani, z którymi warto się знаjomić, a nawet przyjaźnić. Konsekwentnie ci nasi współcześni „przyjaciele Moskale” bardzo się interesują Polską, a zwłaszcza polską kulturą, i nieraz długie lata marzą o tym by pojechać do Polski.

Byłoby z naszej strony niewybaczalną głupotą, gdybyśmy tych prawdziwych przyjaciół Moskali nie dostrzegali, lekceważyli lub co gorsza — zrażali do siebie.

Powinniśmy w stosunkach z Rosjanami jak ognia wystrzegać

się dwóch skrajności: 1) uniżoności i służalczości, która może wywołać tylko całkiem zasłużoną pogardę; 2) wywyższania się, zwłaszcza pod względem kulturalnym. Takie zdania jak np: „My, Polacy, reprezentujemy najwyższą zachodnio-europejską kulturę, do poziomu której Rosji i Rosjanom bardzo daleko” — doprowadzają każdego Rosjanina, zwłaszcza inteligenta, zależnie od jego temperamentu, do rozgoryczenia lub do wściekłości. Powie on lub pomyśli: „To my Rosjanie według was jesteście barbarzyńcami? A więc Puszkini, Tolstoj, Mendelejew czy Pawłow to barbarzyńcy?”.

Przepiękny wzór taktu okazał w tej sprawie prezydent Italii Giovanni Gronchi podczas swej wizyty w Moskwie. Mimochodem nadmienię, że prezydent Gronchi, poprzednio długoletni działacz katolicki związków zawodowych, reprezentował w pewnym znaczeniu także i katolicyzm, a wraz ze swą małżonką był na Mszy świętej w kościele katolickim w Moskwie. Otóż prezydent Gronchi w mądrym i głęboko przemyślanym przemówieniu podkreślił, że przybywa z Rzymu — tego powszechnie uznanego ośrodka kultury europejskiej. Przybywa do Moskwy, którą można uważać za spadkobierczynię drugiego wielkiego ośrodka europejskiej kultury, jakim w swoim czasie było Bizancjum. Ta bliskość kulturalna (lecz dodam od siebie — nie tożsamość) niech — mówił dalej — opromieni wizytę prezydenta Italii w stolicy Rosji, a obecnie i całego Związku Radzieckiego. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, żebyśmy i my Polacy umieli tak mądrze i taktownie rozmawiać z Rosjanami, a zwłaszcza z tymi, którzy naprawdę szczerze uważają się za naszych przyjaciół.

Od Rosjan przechodzę od razu do Litwinów. Tu przede wszystkim nie należy zapominać, że wszyscy oni zwłaszcza w starszym pokoleniu mają wobec Polski i Polaków pewien uraz psychiczny na tle Wilna. Musimy sobie jasno postawić alternatywę albo cała Litwa, albo jedno Wilno. Co jest ważniejsze? Czy dobre stosunki z całym narodem litewskim, czy posiadanie jednego miasta — Wilna? Sądzę — niech mi to wybaczą wszyscy rodowici Wilnianie — że dobre stosunki polsko-litewskie są dla nas ważniejsze od samego tylko Wilna.

Lecz na czym mają polegać te dobre stosunki polsko-litewskie, dla których mamy się wyrzec Wilna, z jego jakże wielką i bogatą nie tylko litewską, ale i polską tradycją historyczną? Czy tu chodzi o wznowienie unii Jagiellońskiej? Nie, bo to jest zupełnie nierealne. Współcześni Litwini nie marzą o wznowieniu unii Litwy z Polską, ani o pozostawieniu Litwy w Związku Radzieckim aż do końca świata. Ich politycznym ideałem jest koncepcja federacji bałtyckiej: litewsko-łotewsko-estońskiej, a może nawet i fińskiej.

W 1961 roku w obozie dla „religiozników” my, Polacy-Księża, to znaczy konkretnie Bronisław, Józef i ja, prowadziliśmy bardzo szczerze i interesujące rozmowy z litewskimi księżmi. Oni wyraźnie mówili, że nie chcą wznowienia unii Litwy z Polską nawet

gdyby to było realnie możliwe, bo się jej obawiają. Ich zdaniem Rosjanie mogą fizycznie zniszczyć mały przecież i nieliczny naród litewski, ale nie zrusyfikują go. Natomiast Polacy nie zniszczą fizycznie Litwinów, lecz spolonizują ich. Dość już, że Litwini w swoim czasie stracili całą swoją szlachtę, która uległa zupełnej polonizacji. Żaden Litwin nie może dopuścić niebezpieczeństwa polonizacji całego narodu litewskiego, które zaistniałoby w wypadku wznowienia unii Litwy z Polską. Właśnie dlatego, że Polacy są bardzo mili i towarzyscy, stąd wynikałoby największe niebezpieczeństwo dla samego istnienia narodu litewskiego w warunkach wznowionej unii obu narodów.

Choć ich ideałem jest federacja bałtycka, nie grożąca Litwinom wynarodowieniem, a w żadnym wypadku nie unia Litwy z Polską, to jednak księża litewscy byli zdania, że w przyszłości, gdy tylko ku temu zaistnieje możliwość, powinny się rozwinąć i pogłębić wzajemne stosunki na polu kościelnym, które właściwie mówiąc w skali międzynarodowej były dotąd prawie że żadne. Tylko jak długo te stosunki kościelne, łączność katolicka obu narodów, nie będą mieć warunków do ich urzeczywistnienia?

Współczesny naród ukraiński nie jest narodem jednolitym, jakim jest naród litewski, lecz jest narodem wewnętrznie podzielonym i zróżnicowanym. Tu nie chodzi o takie różnice, jakie są w każdym narodzie — takie jak u nas między krakowiakami i góralami, lub między ślązakami i kaszubami czy mazurami. Tu chodzi o różnice o wiele bardziej zasadnicze. Odnosi się wrażenie, że naród ukraiński wciąż się jeszcze rodzi wśród niemałych mąk porodowych.

Z grubsza mówiąc, odróżnia się obecnie wśród Ukraińców:

- 1) starych obywateli radzieckich, mieszkańców „Wielkiej Ukrainy”;
- 2) tak zwanych „zapadników” pochodzących z zachodnich (Zapadnych) obwodów obecnej Ukraińskiej Republiki Radzieckiej.

Wśród tych „zapadników” trzeba jeszcze odróżnić: a) Galicjan a raczej Haliczan, b) Wołyniaków, c) mieszkańców Zakarpacia. Oprócz tego są jeszcze Ukraińcy na Bukowinie i w Besarabii, ale o nich jakoś nic nie słychać. Podział na Haliczan i Wołyniaków ma swoje uzasadnienie jeszcze z czasów Księstw Halickiego i Włodzimierskiego, z których pierwsze obejmowało późniejszą Galicję, a drugie Wołyń.

Szczególnie jednak charakterystyczny i znamieny jest podział Ukraińców starych obywateli radzieckich na świadomych Ukraińców i na tak zwanych chochołów. „Chochół” to jest przezwisko Ukraińca, jak „kacap” przezwisko Rosjanina. Rosjanin obraża się jeśli go nazwać kacapem, a Ukrainiec, ale ten świadomy Ukrainiec, obraża się jeśli go nazwać chochołem. Tymczasem chochoł sam o sobie powie: że on jest chochoł, a wcale nie mówi, że on jest Ukraińcem. Któż to jest ów zagadkowy chochoł? Jest to Ukrai-

niec, ale całkowicie zruszczony. Mówi on bardzo dobrze po ukraińsku, często niemiłosiernie kaleczy język rosyjski, ale woli się nie przyznawać do tego, że jest Ukraińcem. Woli się sam nazywać i być nazywanym chochołem, a nie Ukraińcem. Takich chochołów są miliony. Nie ma ich wcale wśród „zapadników”. Rzecz znamienna, granica między chochołami a świadomymi Ukraińcami przebiega mniej więcej po wschodniej granicy dawnej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Chochoł stanowi typ bodaj że dominujący na wschód od owej granicy na Charkowszczyźnie, na Tumszczyźnie i w Donbasie. To nie znaczy, że tam nie ma naprawdę świadomych Ukraińców, ale raczej są oni zmajoryzowani przez chochołów.

Cała przyszłość narodu ukraińskiego zależy od pytania, co w nim przeważa? Czy ukrainizacja chochołów, czy też raczej chochołizacja Ukraińców?

Wobec tak wielkiego rozbicia wewnętrznego w narodzie ukraińskim, trudno mówić o jakimś jednolitym stosunku Ukraińców do Polski i Polaków.

Najbardziej pozytywnie odnoszą się do nas Ukraińcy z Zakarpacia. Nie byli oni przedtem ani pod Polską, ani pod Rosją. Całe wieki byli pod Węgrami, a w okresie międzywojennym należeli do Czechosłowacji. Nie ulegają oni wpływowi wójającego nacjonalizmu ukraińskiego i są głębiej od innych swych rodaków przesiąknięci kulturą zachodnią.

Na ogół dobrze odnoszą się do nas Wołyniacy, i to pomimo tragicznych ekscesów przeciwko Polakom podczas drugiej wojny światowej. Przeciętny Wołyński obecnie już starszego pokolenia dobrze wspomina rządy polskie na Wołyniu, które tam trwały zaledwie 19 lat (1920-1939). W rozmowach ze mną już po wojnie wielu Wołyniaków podkreślało jak im się dobrze żyło za Polski, jak ich grzecznie traktował sam pan starosta powiatowy, chwaliło przeprowadzoną wówczas komasację gruntów. Zastrzeżenia mieli głównie wobec szkolnictwa, a zwłaszcza ubolewali nad tym, że w szkołach uczono dzieci czytać i pisać najpierw po polsku, a potem dopiero po ukraińsku. Takie rozmowy utwierdzały mnie w przekonaniu, że rządy polskie na Kresach nie były takie już głupie i okrutne, jak się to teraz mówi *pour le roi de Prusse*.

O stosunkach Haliczan do Polski i Polaków nie mogę niestety nic dobrego powiedzieć. Raczej stosunek ten wydaje się być jeszcze bardziej niechętny od stosunku Litwinów do nas. Jeżeli chodzi o inteligentów Haliczan, to nie ma wśród nich jest chorych na swoistą megalomanię narodową. I u nas przed wojną były rojenia o mocarstwowości. Ale Polska niepodległa już wtedy była, i w dość rozległych granicach, i z ponad 30-milionową ludnością. Zapominaliśmy tylko o tym, że Polska była zbyt słaba pod względem ekonomicznym, by mogła poważnie kusić się o mocarstwowość. Tymczasem niepodległej Ukrainy jeszcze nie ma. Oni sami nie chcą uznać i nie uznają Ukrainy Radzieckiej za niepodległą. Mają na swoich plecach wielomilionowy garb całkowicie zruszczonych chochołów. A jednak upajają się wizją

mocarstwowej Ukrainy już nie od Bugu i Sanu, lecz od Lublina i Krakowa aż po góry Kaukazu. Na podstawie tej swojej — trzeba to przyznać — fantastycznej wizji ci haliccy wizjonerzy patrzą się na nas Polaków lekceważąco z wysokości swego urojonego majestatu. Oczywiście że przy takiej postawie nie da się zbudować jakichś lepszych stosunków polsko-ukraińskich w przyszłości.

O wiele poważniej traktują Polskę i Polaków Ukraińcy z Kijowszczyzny lub Połtawszczyzny, w ogóle z tak zwanej Wielkiej Ukrainy. Widzą oni w Polakach cennych i pożądanym sprzymierzeńców w walce o lepsze jutro swego narodu. To filopolskie stanowisko wielu Ukraińców nie zawsze bywa zarazem antyrosyjskie, ale zawsze łączy się z postawą antychochołską.

Bo o chochołach nie mam wiele do powiedzenia. Chochoł jest zapatrzony w Moskwę. Im więcej go fascynuje Moskwa, tym mniejsze, a w końcu i żadne znaczenie ma dla niego Warszawa czy Kraków.

Jeżeli mówimy o wewnętrznym rozbiciu narodu ukraińskiego, to rząd stalinowski dołał jeszcze oliwy do ognia, kasując unię kościelną w 1946 roku na wzór kasaty unii za cara Mikołaja I-go, w roku 1839. Wówczas rząd carski znalazł biskupa unickiego Józefa Siemaszkę, który to przeprowadził. Teraz rząd stalinowski nie znalazł wprowadzić ani jednego biskupa grekokatolickiego, ale znalazł we Lwowie prałata Gabryela Kostelnika, który stanął na czele tak zwanej inicjatywnej grupy dla powrotu na łono cerkwi prawosławnej. Odtąd na Ukrainie działa cerkiew prawosławna, która oficjalnie wchłonęła w siebie Kościół greckokatolicki i wszystkich grekokatolików. Działają też poszczególne kościoły katolickie, ale wyłącznie tylko obrządku łacińskiego. Choć bardzo wielu grekokatolików wcale się nie uważa za prawosławnych, to nie ma teraz ani jednego czynnego kościoła greckokatolickiego. Większość tych kościołów jest oddana do użytku prawosławnym, niektóre stoją w ogóle zamknięte i nieczynne. Jeden z haličkih inteligentów mówił mi kiedyś z rozgoryczeniem: „My, Ukraińcy grekokatolicki, jesteśmy na Ukrainie w gorszym położeniu, niż wy Polacy. Wy macie choć trochę własnych kościołów, a my nie mamy ani jednej czynnej cerkwi grekokatolickiej”.

Co do księży grekokatolickich to jedni z nich, nieliczni na Zakarpaciu, liczniejsi niestety w Galicji, „powrócili” do prawosławia i stali się apostatami katolicyzmu; drudzy, na czele ze wszystkimi swoimi biskupami, na odwrót stali się wyznawcami wiary katolickiej i odcierpieli długoletnie więzienie, dochodzące u niektórych do dziesięciu lat; a byli i tacy, którzy pozostali przy katolicyzmie, lecz szczęśliwie uniknęli uwięzienia.

Do Polski i Polaków księża grekokatolicki z Galicji odnoszą się lepiej i pozytywniej, niż świeccy inteligenci. Jednak i wśród nich są tacy, którym uderza do głowy wizja mocarstwowej Ukrainy. Ukraińcy grecko-katolicki, księża zakarpaccy odnoszą się do nas nie tylko dobrze, ale wręcz serdecznie.

W tych warunkach nic dziwnego, że na Ukrainie panuje zamęt

i wcale nie można określić jak wielkie straty co do wiernych poniósł kościół katolicki, i jak wielu przekonanych wyznawców zyskała cerkiew prawosławna.

Wreszcie nie trzeba zapominać o istnieniu licznej, ruchliwej i dobrze zorganizowanej emigracji ukraińskiej na Zachodzie. Szczególnie Kanada jest tam istnym bastionem ukraińskiego narodu na emigracji.

Nie silę się wcale podawać jakichś gotowych recept na przyszłość stosunków polsko-ukraińskich. W każdym razie powinniśmy bacznie obserwować ów wrzący kocioł ukraiński, i to co się z niego stopniowo będzie wyłaniało. A tych Ukraińców, którzy się do nas odnoszą dobrze i pozytywnie, nie zrażajmy niewczesnym wypominaniem im właśnie błędów czy okrucieństw popełnionych przez ich rodaków.

Tyle jest moich uwag i obserwacji co do narodów objętych ideą Jagiellońską. Ale ja sam mieszkam w Kazachstanie i niejednokrotnie spotykałem się z zainteresowaniem odnośnie Kazachów i innych ludów azjatyckich. Chętnie się i o nich coś powie.

Kazachska Republika Radziecka obejmuje ogromne terytorium, które dawniej przed rewolucją było określane po prostu jako południowo-zachodnie części Syberii. Sami Kazachowie nie byli dawniej znani pod obecną nazwą Kazachów, lecz nazywano ich Kirgizami. Teraz Kirgizami nazywają się tylko mieszkańcy Kirgiskiej Republiki Radzieckiej, leżącej na południe od Kazachstanu, dokładnie nieco na południowy wschód.

Na południe od Kazachstanu rozciąga się obszerne, choć mniejsze od samego Kazachstanu, terytorium nazywane przed rewolucją Turkiestanem, a obecnie Radziecką Azją Środkową. Na tym terytorium, idąc od wschodu do zachodu, mieszczą się 4 radzieckie republiki związkowe: Kirgiska, Tadżycka, Uzbecka i Turkmńska.

Wszystkie te narody, a więc Kazachowie, Kirgizi, Tadżycy, Uzbegy i Turkmeni, są to narody muzułmańskie. Kazachowie, Kirgizi, Uzbegy i Turkmeni mówią dialektami języka tureckiego i są zaliczani do turańskiej grupy etnicznej. Sądząc z typu fizycznego, Kazachowie i Kirgizi mają silną domieszkę krwi mongolskiej. Jedni tylko Tadżycy należą do całkiem innej grupy etnicznej i mówią całkiem innym językiem. Są oni Aryjczykami grupy Irańskiej. Ich najbliższymi krewniakami są Irańczycy i Afgańczycy.

Właśnie z Tadżykami, no i z Kazachami, miałem najwięcej styczności. Jednak to była styczność całkiem przelotna, na pracę misjonarską wśród nich nie było ani czasu ani możliwości. W żadnym razie nie mogę uchodzić za znawcę tych ludów, więc i moje informacje o nich będą tylko najogólniejsze.

Kazachowie to lud do niedawna koczowniczy, pasterski. Tadżycy i Uzbegy to ludy rolnicze, z dawna osiadłe. Wydaje mi się, że pod względem kulturalnym Tadżycy i Uzbegy stali i stoją

wyżej od Kazachów i Kirgizów. Bynajmniej nie są to jakieś ludy prymitywne. Mają swoje bogate tradycje historyczne. Warto przeczytać znakomicie napisaną powieść historyczną niedawno zmarłego pisarza kazachskiego Muchtara Auezowa o kazachskim pocięciu Abaju. Powieść ta jest zatytułowana „Abaj”. W tej powieści Auezow bardzo wymownie i barwnie opisuje życie i kulturę Kazachów w drugiej połowie XIX-go wieku.

Pomimo tego jednak wszystkie te ludy ustępują pod względem kulturalnym nie tylko Rosjanom, ale także Gruzinom i Ormianom, oraz mieszkańcom zachodniej części Związku Radzieckiego.

Rząd Radziecki popiera kształcenie i pomnażanie rodzimej inteligencji spośród tych ludów. Dokłada się wszelkich starań by związać jak najściślej tę inteligencję z partią i ideologią komunistyczną. Jest jednak rozpowszechnioną opinią, że taka polityka jest obosieczna, bo ta młoda inteligencja jest o wiele bardziej podatna na hasła nacjonalistyczne niż komunistyczne. Jak mi w tym roku się zwierzył pewien rodowity Rosjanin: „Do niedawna Ruscy krzyczeli na Kazachów, a teraz już Kazachy zaczynają pokrzykiwać na Ruskich”.

Czy muzułmanie trzymają się swojej wiary? Tadżycy i Uzbegy są z pewnością pobożniejsi od Kazachów. Młodzież zna słabo swoją wiarę, a zapewne znaczna jej część wcale się nie modli. Jednak wszyscy oni wierzą w jedyne Boga Allacha, którego największym ostatnim i nieprześcignionym prorokiem jest Mahommed. Jest rzeczą nader znamionną: rosyjscy żulicy, a nieraz niestety i nie żulicy, rugają się w Boga. Muzułmański żulik, może się rugać najgorszymi słowami, ale nigdy i w żadnym wypadku nie ruga się w Boga.

Był czas, że wszystkie meczety w Związku Radzieckim były pozamykane. Radzieckim muzułmanom pomogła wizyta prezydenta Nassera, który sam był pobożnym muzułmaninem. Potwierdzano na nowo meczety w większych miastach. Funkcjonują dwa zarządy organizacyjne muzułmańskie: dla Kazachstanu i Azji Środkowej, oraz dla europejskiej części Związku Radzieckiego. Po długich latach przerwy wyruszają ze Związku Radzieckiego pielgrzymki do Mekki. Jak mi powiedział łamanym językiem rosyjskim pewien mułła kazachski: „Dawniej było źle, bardzo źle (*plocho, oczeń plocho*), a teraz jest dobrze, bardzo dobrze (*charaszo, oczeń charaszo*)”. Czy tak naprawdę bardzo dobrze, to miałbym co do tego poważne wątpliwości. Na pewno jednak jest teraz radzieckim muzułmanom lepiej, niż było przed wizytą Nassera.

Obiektem mojej długoletniej już pracy duszpasterskiej i misjonarskiej nie są Rosjanie, ani tym mniej Kazachowie lub Tadżycy. Pracuję przede wszystkim wśród i dla Niemców i Polaków. Cóż to są za Niemcy i co za Polacy? Niemcy nie są z Niemiec, a ci Polacy nie są z przedwojennej Polski. Owszem, w latach wojennych i powojennych przebywało w tych stronach azjatyckich sporo tak tu nazywanych Polaków z Polski, obywa-

teli polskich. Ale dawno już wszyscy oni repatriowali się do obecnej Polski Ludowej, jedni w 1945, a drudzy w 1955 i 1956 roku. Wielu też wyjechało ze Związku Radzieckiego wraz z armią Andersa.

Polacy zamieszkali obecnie w Kazachstanie są przesiedleńcami obwodów Kamienieckiego, Żytomierskiego i Winnickiego na Ukrainie. W tych obwodach po dziś dzień istnieje wielotysięczna Polonia i są czynne niektóre kościoły, jak na przykład w Carogrodzie i w Barze. Nasi kazachstańscy Polacy zostali przesiedleni z Ukrainy do Kazachstanu w roku 1936. Zaważył na tej decyzji rządu radzieckiego ówczesny „flirt” rządu sanacyjnego z Hitlerem. Całe młode pokolenie jest już urodzone i wychowane w Kazachstanie. Długie lata Polacy — przesiedleńcy byli pod komendanturą i nie mogli nigdzie wyjeżdżać. Później otrzymali oni całkowitą wolność ruchów. Niektórzy wrócili do swych stron rodzinnych, na Ukrainie, lecz większość pozostała w Kazachstanie. Według ostatniego spisu ludności było w Kazachstanie 53 tysiące Polaków. Faktycznie jest ich znacznie więcej, bo sporo Polaków jest zapisanych w paszporcie jako Ukraińcy, choć wcale się za Ukraińców nie uważają.

Są 3 główne ośrodki rozmieszczenia polskiej ludności w Kazachstanie:

- 1) Obwody kokczetański i celinogradzki (dawniej akmołiński). W tych dwóch obwodach mieszka ogromna większość kazachstańskich Polaków. Jest ich sporo po miastach i są całe wioski z liczną, a nieraz nawet i przeważającą ludnością polską. Właśnie w obwodzie kokczetańskim pracował Józef Kuczyński, a w obwodzie celinogradzkim Bronisław Drzepecki.
- 2) Okolice Ałma-Aty. Tam jest już znacznie mniejsze skupisko Polaków. W mieście Ałma-Ata, które jest stolicą Kazachstanu, Polaków jest niewiele, ale w okolicy są wioski z liczną, rzadziej już z przeważającą ludnością polską.
- 3) Miasto Karaganda wraz z bliższą okolicą stanowi trzeci najmniejszy ośrodek, raczej małą wysepkę Polaków.

Starsi Polacy około 70-ki na ogół wcale nieźle mówią po polsku, choć nie bez bardzo licznych rusycyzmów i ukrainizmów. Są oni bardzo pobożni. Są wśród nich tacy, którzy znają na pamięć mnóstwo polskich pieśni religijnych, nieraz bardzo starodawnych i w Polsce już zapomnianych. Średnie pokolenie już mówi gorzej po polsku, lecz na ogół jeszcze mówi. Młodzież mówi po polsku tylko w najlepszych i najbardziej starannych rodzinach. Na ogół jednak cała ta młodzież rozumie polską mowę, lecz już nie rozmawia po polsku. Spotykają się niestety i tacy co nawet nie rozumieją swej mowy ojczystej. Wśród młodzieży większość nie umie czytać po polsku, choć chętnie się uczy i tej umiejętności, byle by tylko znalazł się elementarz. Natomiast starsi prawie że wszyscy czytają po polsku bardzo dobrze z własnej książeczki do nabożeństwa, lecz słabiej z innych

książek zwłaszcza świeckiej treści. Starsi Polacy niemal że stu procentowo są wierzącymi, przeważnie bardzo przywiązani do swej wiary. O stanie religijnym młodzieży pomówimy trochę później. W każdym razie tak starzy jak i młodzi, dopóki się trzymają wiary katolickiej, są Polakami. Jeśli zaś zaczynają odchodzić od wiary katolickiej, to rusyfikują się bardzo szybko. Pomalutku zaczyna się tworzyć młoda inteligencja z dzieci naszych Polaków, którzy są wieśniakami lub rzemieślnikami i robotnikami. Ale ta młoda inteligencja zupełnie jest pozbawiona znajomości Polski, jej kultury i historii. To samo zresztą jest i na Ukrainie w obwodach, z których pochodzą nasi przesiedleńcy.

Niemców jest w samej Karagandzie i w ogóle w tamtych stronach o wiele więcej niż Polaków. Ci Niemcy są potomkami niemieckich kolonistów osadzonych w cesarstwie rosyjskim za panowania Katarzyny II-giej i jej następców, a więc w drugiej połowie XVIII-go i w pierwszej połowie XIX wieku. Pod względem wyznaniowym Niemcy w Związku Radzieckim, jak i w samych Niemczech, nie są jednolici. Jest wielu luteranów, sporo baptystów, ale też i wielu katolików.

Niektórzy Niemcy przybyli w te strony azjatyckie jeszcze przed rewolucją, lecz ogromna ich większość została tu przesiedlona z europejskiej części Związku Radzieckiego częściowo jeszcze przed wojną, ale szczególnie podczas wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu. Niewiele też Niemców przyjechało w te strony dobrowolnie w latach powojennych.

Kolonizacja niemiecka w cesarstwie rosyjskim była dokonana głównie na dwóch terenach:

- 1) na południowej Ukrainie (Odessa, Mikołajów, Chersoń, Zaporozże);
- 2) na Powołżu koło Saratowa.

Przeważnie z tych dwóch terenów pochodzą nasi azjatyccy Niemcy. Po dziś dzień mówi się u nas o odeskich i wołżańskich Niemcach (Odessa-Deutsche und Wolga-Deutsche).

Ja pracowałem wśród Niemców nie tylko w samej Karagandzie z najbliższą okolicą. Prowadziłem wśród nich pracę duszpasterską podczas moich wypraw rosyjskich w różnych okolicach, a zwłaszcza w Tadżykistanie, o czym opowiem w dalszej części tego pisma.

Mogę zaświadczyć z całym przekonaniem, że dobrze jest być duszpasterzem Niemców, czyli jak mówią tutejsi ateści „niemieckim popem”. Niemcy mają we krwi karność i zdyscyplinowanie. Albo wcale nie zapraszają księdza, ale jeśli już zaproszą, to prawie że wszyscy korzystają z jego usług. Natomiast nasze „Polaczki” jak wszędzie tak i w Kazachstanie są indywidualistami.

Jeżeli w Karagandzie Niemiec katolik żeni się z Niemką katoliczką, to zazwyczaj cały miesiąc przed weselem przychodzi do księdza razem obie mamy i mówią tak: „Wesele będzie tego dnia. Przychodzimy zawczasu żeby Pater miał czas dobrze przygotować młodych do ślubu („Pater, proszę im dobrze nagadać”) i żeby

wspólnie ustalić datę ślubu oczywiście przed weselem. A tymczasem nasze kochane „Polaczki” myślą tylko o hucznym weselu, gęsto zakrapianym wódeczką, a o ślubie kościelnym zaczynają myśleć, i to nie wszyscy, dopiero po weselu. Jednym słowem Niemcy są katolikami bardziej konsekwentnymi niż Polacy, i dlatego dobrze jest być ich duszpasterzem.

Polacy przewyższają Niemców pod niektórymi względami. Są bardziej serdeczni i ofiarni. Wszyscy, nie wyłączając młodych inteligentów, całują księdza w rękę, a czynią to bardzo chętnie i bez przymusu. Niemcy, z wyjątkiem niektórych starszyszek, nie mają zwyczaju całowania jegomościa w rękę. Są bardziej sztywni, choć nie pozbawieni serdeczności. Owszem, są ofiarni, niekiedy nawet bardzo ofiarni, ale Polacy są na ogół jeszcze ofiarniejsi. Wyłącznie tylko z ofiar wiernych już długie lata żyję, utrzymuję się, a jak trzeba to i podróżuję, a w dodatku płacę podatek dochodowy, który w roku 1969-tym wyniósł 1.088 rubli, czyli 16.320 złotych. Pewnie, że nie mógłbym sobie pozwolić na kupno samochodu osobowego, ale na tanto wszystko wystarcza.

Starzy Niemcy katolicy czują się przede wszystkim katolikami, a potem dopiero Niemcami. Taki stary Niemiec katolik powie o sobie: „*Ich bin Deutsch-Katholisch*”, a rzadziej: „*Ich bin ein Deutscher*”. U młodzieży nie ma już aż takiej przewagi katolicyzmu nad niemieckością. Starzy Niemcy katolicy nawet nie bardzo uważają Niemców luteranów lub baptystów za swych rodaków. Wolą np. by ich dzieci i wnuki wstępowały w związki małżeńskie z Polakami i Litwinami czy też z Polkami i Litwinkami, byle by tylko naprawdę wierzącymi po katolicku, niż Niemcami czy Niemkami należącymi do innych wyznań religijnych. Jeszcze więcej ci starzy Niemcy katolicy są przeciwni związkom małżeńskim z Rosjanami lub Rosjankami. Ponieważ przy tym rodziny niemieckie są o wiele więcej karne i zdyscyplinowane niż rodziny polskie i dzieci przeważnie bardzo się liczą ze zdaniem rodziców, przeto mieszane małżeństwa niemiecko-rosyjskie są stosunkowo niezbyt częste, a nawet związki małżeńskie z Niemcami lub Niemkami z innych wyznań są rzadsze niż jednolite małżeństwa niemieckie i katolickie.

Polacy są więcej od Niemców narażeni na wynarodowienie i utratę wiary. Niemcy tak jak Żydzi lubią być w kupie. W pierwszych latach po wojnie byli oni bardzo rozproszeni wszędzie pod komendanturą, i musieli żyć tam gdzie im kazano, nieraz bez swych rodaków, wśród innych narodowości. Ale kiedy po śmierci Stalina oswobodzono ich spod komendatury i kiedy oni uzyskali swobodę ruchów, to nie wracali w swoje strony rodzinne, gdzie teraz jest bardzo mało Niemców, lecz jechali tam gdzie już po wojnie wytworzyły się większe skupiska ludności niemieckiej.

Tak było i w Karagandzie. Kiedy przed 15-tu laty zostałem zesłany do Karagandy, Niemców było jeszcze stosunkowo nie tak wielu. Tylko na jednym przedmieściu było bardzo wielu Niem-

ców z Powołża, zesłanych jeszcze w 1930 roku po uprzednim „rozkułaceniu” ich podczas kolektywizacji rolnictwa. Wśród nich mieszka i pracuje mój sąsiad i przyjaciel ksiądz prałat Aleksander Chira, były rektor greckokatolickiego seminarium duchownego w Użhorodzie na Zakarpaciu. W ciągu ostatnich 15-tu lat Niemcy zasiedlili całą Karagandę. Zapewne przyjeżdżali oni także i ze względu na łatwość znalezienia roboty, ale przede wszystkim przyciągało ich to, że w Karagandzie jest wielu Niemców i katolików, i zwłaszcza to, że są księża katolicy w naszym mieście.

Niczego podobnego nie obserwowałem nigdy wśród Polaków. Żyd ciągnie do Żyda, Niemiec do Niemca, ale Polak rzadko kiedy ciągnie tam, gdzie jest choć trochę więcej Polaków. A jeżeli się jeszcze zważy, że w młodym pokoleniu mieszane małżeństwa z Rosjanami i Ukrainkami, czy też z Rosjankami i Ukrainkami, są niestety o wiele częstsze niż jednolite małżeństwa polskie, to łatwo sobie dośpiewać resztę...

Stosunki między Polakami i Niemcami katolickimi, są dobre, a często nawet serdeczne, czego już nie da się obserwować w stosunkach Polaków z Niemcami innych wyznań. Niemcy na ogół w głębi duszy uważają się za coś lepszego nie tylko od Rosjan, ale i od Polaków, jednak Niemcy katolicy patrzą się na Polaków i Litwinów jako na niemalże równych sobie. Natomiast starzy Polacy uważają się za coś lepszego od... Ukrainców, a nie tyle już od Rosjan. Przeciętny stary Polak nie mówi o języku ukraińskim, tylko o języku chłopskim. Gorzej, że wśród młodych Polaków, i to inteligentniejszych, da się zauważyć przeświadczenie o wyższości kultury rosyjskiej, dochodzące nieraz aż do wstydenia się własnej polskości.

Jak wśród Polaków, tak i wśród Niemców, wytwarza się młoda inteligencja. I jej także brakuje głębszej znajomości Niemiec, ich kultury i historii. Jednak ci młodzi i inteligentni Niemcy choć trochę lepiej znają swoje sprawy ojczyste, niż młodzi inteligentni Polacy.

Po scharakteryzowaniu poszczególnych narodowości pragnąłbym coś więcej powiedzieć o ich obecnym stanie pod względem religijnym. Szczególnie często słyszę pytanie, czy młodzież trzyma się jeszcze wiary, czy nie odchodzi od niej masowo? Oczywiście że nas obchodzą przede wszystkim katolicy, młodzież katolicka. Jednak ze względów kompozycyjnych pomówimy najpierw o Rosjanach, o młodzieży rosyjskiej. Jednak Rosjanie nadają ton całemu Związkowi Radzieckiemu, więc omawianie interesującej nas sprawy bez ich uwzględnienia dałoby obraz za mało wyrazisty.

Jest moim zdaniem, że Rosjanie więcej od wszystkich innych narodowości poddali się wpływom ateizmu lub agnostycyzmu. Wśród rodowitych Rosjan procent przekonanych ateistów, a jeszcze więcej agnostyków, jest z pewnością wyższy, niż w innych narodowościach.

Ale tu trzeba uwzględnić dwie nader znamienne okoliczności,

występujące zresztą nie wśród samych tylko Rosjan, lecz w ogóle w całym Związku Radzieckim:

1) O wiele więcej jest w Związku Radzieckim agnostyków niż ateistów w ścisłym słowa tego znaczeniu. Przeciętny młody człowiek niewierzący, jeśli go o to zapytać, odpowiada: „Ja nie wierzę w Boga”. I zwyczajnie jeszcze doda „filozoficzne” uzasadnienie: „Ja Go nie widziałem”. Ale nie będzie on przysięgał, że na pewno wie iż nie ma Boga, lecz powie: „A może On gdzieś jest, ale ja sam Go nie widziałem i nikt Go nie widział”. Kto zaś nie wyklucza możliwości istnienia Boga, ten już przez to samo nie jest ateistą.

2) W Związku Radzieckim jest dużo ludzi, którzy uchodzą za ateistów, a wcale nimi nie są. Przede wszystkim wszyscy partyjni uchodzą za ateistów, tymczasem i wśród nich więcej jest agnostyków, a nawet i niemało takich, którzy po cichu wierzą w Boga. Gorzej, że wśród Rosjan i wśród ludów wschodnich istnieje pewna łatwość zapierania się wiary dla doraźnego użytku. Są tacy co się nawet tym chwalą, a w zaufaniu mówią, że ani myślą stać się bezbożnikami.

Propagandę ateistyczną prowadzi się w Związku Radzieckim dość intensywnie, choć prawdę mówiąc — mogłaby jeszcze intensywniej być uprawiana. Szczególną uwagę zwraca się przy tym na dzieci i młodzież. Poziom propagandy ateistycznej jest na ogół niski. Wystarczy porównać artykuł na temat ten w komunistycznej prasie radzieckiej i polskiej. Porównanie wypada na korzyść prasy polskiej. W propagandzie radzieckiej jest bardzo mało argumentacji filozoficznej. Więcej się zwraca uwagi na rzekomą sprzeczność między wiarą a nauką. Jeszcze więcej udziela się uwagi ośmieszaniu i zohydzeniu „popów” i „bogomołów”. „Pop” to nie tylko duchowny prawosławny, to także nasz ksiądz, luterński pastor, muzułmański mufta, sekciarski predykant, a nieraz podciąga się pod to pojęcie monachów i monaszk. „Bogomół” lub „bogomołka” to w ogóle pobożna osoba jakiegokolwiek religii lub wyznania. Właśnie ośmieszanie, nie argumentacja, jest ulubioną metodą radzieckiej propagandy ateistycznej. Wiele zamieszania sieje stawianie na równi nawet najwyższych form i przejawów religii z najgrubszymi zabobonami, nieraz nie mającymi nic wspólnego z religią.

Rezultaty tej propagandy ateistycznej, antyreligijnej, są zarażem i wielkie i małe. Wielkie, bo dzieci, a zwłaszcza młodzież boją się ośmieszania, które się okazuje bronią skuteczną przede wszystkim przeciw modlitwie, a nieraz nawet przeciw samej wierze. Małe są rezultaty, a nieraz i żadne, tam gdzie rodzice i wychowawcy są naprawdę wierzący, i działający własnym dobrym przykładem.

Jeżeli ateizm, a jeszcze więcej agnostycyzm, odnosi największe sukcesy wśród Rosjan, to jedną z głównych przyczyn tego smutnego zjawiska jest u nich niedbalstwo rodziców i wychowawców. Często w rosyjskich rodzinach bywa tak, że starzy mo-

dłą się sami, ale nie dbają zupełnie o to, by się modliły ich dzieci i wnuki. Za mało jest w rosyjskich rodzinach troski o zaszczepienie i przekazanie wiary młodemu pokoleniu. Wpływa na to także i specyficzna mentalność narodu rosyjskiego. Dla Rosjan argumenty rozumowe odgrywają w religii minimalną rolę. Na czoło wysuwa się przeżycie religijne, swoisty mistycyzm. Psychice rosyjskiej nie odpowiada tomizm, a o wiele bliższy jej jest egzystencjalizm.

Dość często jest w Związku Radzieckim wśród Rosjan a nieraz i wśród innych narodowości także zjawisko: młodzież dorastająca przechodzi przez ateizm tylko chwilowy. Chłopcy i dziewczęta w wieku od 16-tu do 20-tu lat wierzą w to, że nie ma Boga. Później jednak przychodzi jakaś refleksja i już w wieku około 25 lat ci sami chłopcy i dziewczęta albo stają na pozycji agnostycyzmu, lecz już nie ateizmu, albo powracają do wiary w Boga, choć zwykle nie do modlitwy, o ile ta wiara w dzieciństwie choć trochę była u nich zaszczepiona.

Ponieważ wśród młodzieży, i to nie tylko rosyjskiej, rozpowszechniony jest agnostycyzm, to jeszcze o nim słów parę. Ci młodzi agnostycy, choć nie wykluczają możliwości istnienia Boga, to przeważnie zupełnie się tym nie interesują. Są całkowicie pogrążeni w materializmie praktycznym, życiowym. Jednych, i to bardzo wielu, interesuje wódka, innych technika, sport, nauka, sztuka, literatura, sprawy seksualne, pieniądze, dobrobyt. Wśród tych młodych agnostyków istnieje jednak pewna, nie tak już nieliczna mniejszość głębiej myśląca. Oni nawet bardzo się interesują religią. Ale nie tak to łatwo takiemu myślącemu młodemu człowiekowi spotkać bliźniego, który mógłby mu podać pomocną dłoń.

W Związku Radzieckim wszystko stoi na usługach ateizmu: praca, szkoła, kino, radio, telewizja. Ateiści w ten czy inny sposób wciąż przemawiają, a ludzie wierzący, choć jest ich więcej niż ateistów, na ogół milczą. A przy tym nawet mądra i pobożna staruszka nie potrafi przekonać studenta lub studentki wyższej uczelni, bo na to potrzeba choć trochę znajomości filozofii i umiejętności zbijania — przeważnie zresztą bardzo prymitywnych argumentów radzieckiej propagandy ateistycznej.

Z pewnością jest jakieś ziarno prawdy w zdaniu, że w psychice rosyjskiej jest skłonność do skrajności. We współczesnym społeczeństwie rosyjskim występują skrajności także i w dziedzinie religijnej. Występuje niewątpliwie skrajny ateizm, choć jest on o wiele mniej od agnostycyzmu rozpowszechniony. Ale równocześnie występuje i religijność, i to bardzo aktywna i często przesiąknięta swoistym mistycyzmem.

Rosyjskie prawosławie poniosło wielkie straty na rzecz ateizmu i agnostycyzmu, a częściowo także i na korzyść sekciarstwa. Mimo to sądzę, że jednak większość współczesnych Rosjan trzyma się nadal prawosławia. Szczególnie silną jest pozycja cerkwi prawosławnej we właściwej Wielkiej Rosji, a więc w samej Moskwie i we wszystkich okolicznych stronach wielkorosyjskich. We

wszystkich tych Tułach, Kaługach, Riazaniach, Orłach, Twerach czy Jurołowskach. Na peryferiach, a szczególnie w azjatyckiej części Związku Radzieckiego, wpływy cerkwi prawosławnej w społeczeństwie rosyjskim są już o wiele mniejsze.

Ponadto trzeba jeszcze uwzględnić, że w rosyjskiej cerkwi prawosławnej jest rozłam. Część może nieznaczna, lecz bardzo gorliwa, rosyjskich prawosławnych nie uznaje nad sobą władzy moskiewskiego patriarchy zarzucając mu, iż on się zaprzedał bezbożnej władzy państwowej.

Bardzo znamienitym zjawiskiem dla wierzącej części społeczeństwa rosyjskiego jest rozwój sekciarstwa. Ale opozycjonistów prawosławnych nie należy mieszać z sekciarzami. Ci opozycjoniści uważają się za najlepszych prawosławnych, stoją na gruncie prawosławnej tradycji, i podkreślają że z tamtymi sektami nie mają i nie chcą mieć nic wspólnego.

Właśnie w tych prawosławnych kierunkach opozycyjnych przejawia się rosyjska skrajność i mistycyzm. Tacy np. „Istinnoprawosławnyje Christianie” nie chcą mieć nic wspólnego z władzą państwową jako bezbożną, a nawet — jak oni mówią — szatańską. Dlatego nie biorą żadnej pracy rządowej i klepią biedę. Co więcej nawet nie biorą paszportów i innych dokumentów, a na pytanie funkcjonariuszy milicji: „Któż ty?” odpowiadają: „Ja rab Bożij Iwan”, albo „Ja rabyni Bożja Agafieja”. A znowu Michajłowscy uwierzyli w to, że ich przywódca — prawosławny monach Michał Jerszow — jest ni mniej ni więcej tylko świętym Michałem Archaniołem. Na podstawie jednego zdania prorocтва Daniela, iż się objawi Archanioł Michał, objawił się Jerszow, że on sam jest Archaniołem Michałem, posłanym przez Boga dla ratowania świętej Rusi.

We właściwym *ruchu sekciarskim* najwięcej mają sukcesów i zwolenników Baptyści, Menonici, Adwentyści, Zielono-Świątkowcy i Świadkowie Boga Jehowy czyli Badacze Pisma Świętego. Są to wszystko sekty pochodzenia zachodniego. Są i sekty pochodzenia rosyjskiego jak np. Mołokanie czy Chłysty, lecz one mają o wiele mniej zwolenników. Sekciarze są na ogół bardzo gorliwi, nieraz wręcz natrętni w swej gorliwości. Bardzo im pomaga to, że u nich wszystko się odbywa po rosyjsku: modlitwy, śpiewy religijne, czytanie Pisma Świętego i kazania. Natomiast w cerkwi prawosławnej wciąż króluje język cerkiewno-słowiański, niezrozumiały dla młodego pokolenia.

W *rosyjskim duchowieństwie* prawosławnym nader znamienity jest podział na „starych popów”, „młodych popów”. Przed wojną przez długie lata wszystkie seminaria duchowe były pozamykane. Nie pracowało ani jedno z nich. Dlatego obecnie rosyjskiemu duchowieństwu prawosławnemu brakuje średniego pokolenia. Starzy popi mają przeciętnie około siedemdziesiątki, a młodzi popi dociągają do 40-45 lat. Obecnie są czynne 4 seminaria duchowe: w Moskwie, w Leningradzie, w Odessie — zdaje się — w Kazaniu oraz 2 akademie duchowe w Moskwie i w Leningradzie. Chociaż starzy popi są mniej wykształceni, zewnętrznie

zaniedbani i znani z predylekcji do wódki, to jednak są oni lubiani w społeczeństwie rosyjskim. Natomiast młodzi popi nie cieszą się zaufaniem, gdyż zarzuca się im nazbyt ścisłe związki z władzą państwową, choć tego w żadnym wypadku nie należy generalizować. Pewną rolę w prawosławnym duchowieństwie odgrywają także księża wykształceni w przedwojennej Polsce, a zwłaszcza magistrzy prawosławnej teologii uniwersytetu warszawskiego, oraz apostaci spośród byłych księży greckokatolickich. Do tych ostatnich jednak Rosjanie nie mają szczególnego zaufania. Zresztą księża prawosławni kształceni w Polsce jak również i księża apostaci nie są Rosjanami lub Białorusinami.

Są też obecnie czynne prawosławne klasztory męskie i żeńskie, jest ich jednak bardzo mało. Największą rolę odgrywają klasztory Troice — Sergiejewski w Zagorsku koło Moskwy, a na Ukrainie Peczerski w Kijowie i Pocajowski na Wołyniu.

Jeżeli teraz porównamy pod względem religijnym Rosjan z Ukraińcami i Białorusinami to procent ludzi wierzących *wśród Ukraińców i Białorusinów* jest większy, a procent ateistów i agnostyków mniejszy niż wśród rodowitych Rosjan. Są jednak pewne zjawiska wspólne. Działa jedna i ta sama cerkiew prawosławna, na czele z moskiewskim patriarchą, tak samo się też rozwija ruch sekciarski zarówno wśród Rosjan jak i wśród Ukraińców i Białorusinów. Natomiast wśród innych chrześcijańskich narodowości Związku Radzieckiego ruch sekciarski ma o wiele mniej powodzenia i słabo się rozwija.

Rząd Radziecki traktuje poszczególne religie i wyznania bynajmniej nie jednakowo. Najlepiej są widziani prawosławni, uznający moskiewskiego patriarchę. Po nich idą baptyści i niektórzy inni sekciarze, luteranie, a także i muzułmanie. Gorzej są widziani katolicy, a zwłaszcza księża katolicy jako „agenci Watykanu”. Najgorzej jednak są traktowane prawosławna opozycja i te sekty, które mają swój światowy ośrodek w Stanach Zjednoczonych Ameryki, jak np. świadkowie Boga Jehowy.

Kościół katolicki inaczej jest traktowany na Litwie i Łotwie, gdzie są uznani przez rząd biskupi i seminaria duchowne w Kowne i w Rydze. Inaczej w innych zachodnich częściach państwa radzieckiego, gdzie są rejestrowane kościoły i rejestrowani księża, choć nie ma biskupów i organizacji kościelnej, a księża są całkowicie zależni od rządowych pełnomocników do spraw kultu religijnego. Inaczej na całej olbrzymiej reszcie Związku Radzieckiego, gdzie nie ma ani jednego rejestrowanego kościoła, i ani jednego rejestrowanego księdza. Cała praca duszpasterska prowadzi się tam po domach prywatnych, co dokładnie omówimy w dalszej części naszego pisma.

Teraz dopiero odpowiem na pytanie jak się pod względem religijnym prezentują katolicy Związku Radzieckiego i co się dzieje z naszymi katolickimi dziećmi i młodzieżą. Otóż niewątpliwie w Związku Radzieckim wśród katolików dzieje się lepiej, niż wśród prawosławnych.

W europejskiej części Związku Radzieckiego pod względem liczebności na pierwszym miejscu wśród katolików stoją Litwini, na drugim Polacy, na trzecim Łotysze, ale są też w niniejszej liczbie katolicy Białorusini, Gruzini, Ormianie, Niemcy. Osobną grupę stanowią Ukraińcy grekokatolicy, o czym już wyżej była mowa.

W azjatyckiej części Związku Radzieckiego wśród katolików na pierwszym miejscu stoją i to w przeważającej liczbie Niemcy, na drugim Polacy, na trzecim Litwini, a inne narodowości są reprezentowane bardzo nielicznie.

Katolicy górują nad prawosławnymi, starają się przekazywać wiarę i pobożność swym dzieciom i wnukom. W boju o duszę dziecka najwięcej zależy od rodziny, a zwłaszcza od matki.

W wielonarodowościowym społeczeństwie katolickim Związku Radzieckiego przekonanych ateistów jest bardzo mało, agnostyków więcej, lecz mniej niż wśród prawosławnych. Sporo jest w młodszym pokoleniu wierzących lecz nie modlących się wcale, lub bardzo mało. Tacy jednak zazwyczaj żegnają się wieczorem udając się na spoczynek, i zawsze chrzczą swoje dzieci.

Taki więc jest przekrój społeczeństwa katolickiego w Związku Radzieckim.

Niemal że wszyscy starzy i znaczna część młodszych to katolicy wierzący i praktykujący.

Znaczna część młodszych to ludzie wierzący, lecz nie modlący się, jak o tym przed chwilą mówiliśmy.

Wśród młodzieży jest pewien procent agnostyków.

Najmniej jest ateistów.

Dzieje się tak:

Jeżeli rodzina jest wierząca i w mądry sposób gorliwa, to wychowuje młodzież wierzącą i praktykującą.

Jeżeli rodzina jest wierząca, ale na przeciętnym poziomie, to bardzo często młodzież wprawdzie wierzy w Boga i nie odrzeka się od wiary, lecz nie modli się.

Jeżeli rodzina jest wierząca ale niedbała albo mieszana pod względem wyznaniowym, albo częściowo niewierząca, to z takich rodzin wyrasta wśród młodzieży agnostycyzm, a znacznie rzadziej ateizm.

Nie jest więc jeszcze źle w naszym radzieckim społeczeństwie katolickim, lecz nie jest też i całkiem dobrze. Musimy mieć poważne obawy na przyszłość.

Znam podobne wypadki. Póki żyje w rodzinie babcia mądra i pobożna, cała rodzina jest wierzącą i praktykującą. Gdy umrze babcia, to mama nie może już tego dać swym dzieciom co dawała babcia, wychowana jeszcze w o wiele lepszych warunkach, a jeżeli umrze mama, to jej córka może wpływać na swoje dzieci jeszcze w mniejszym stopniu od mamy. I tak pomalutku zmniejsza się wśród katolickiej młodzieży procent wierzących lecz nie modlących się, których dzieci prawdopodobnie będą agnostykami. Mogę więc tu tylko jeszcze raz przypomnieć słowa Zbawiciela:

„Proście Pana żniwa by posłał robotników na żniwo swoje”, tym więcej że żniwo wielkie a robotników mało.



Nie lubię przykładów smutnych, odstraszaających, choć czasem pobudzają one do głębszej refleksji. Kocham się w przykładach dobrych, budujących. Podam kilka przykładów, wszystkie wzięte z życia w Związku Radzieckim.

Przykład pierwszy: W jednym z większych miast wielkomijskich niedaleko od Moskwy mieszkała pewna bezdzietna para małżeńska. Nazwijmy ją imionami, często wśród Rosjan spotykanymi: Mikołaj Piotrowicz i Anna Pawłowna. Oboje już ludzie starsi, partyjni, znani i szanowani w owym mieście. Mikołaj Piotrowicz był inżynierem i dyrektorem fabryki. Anna Pawłowna była znanym pedagogiem i działaczką społeczną. Z powodu słabego stanu zdrowia Anna Pawłowna musiała zrezygnować z pracy w szkole, lecz tym więcej była czynną w różnych organizacjach społecznych. Po pewnym czasie zauważono, że Anna Pawłowna przestaje także pracować społecznie. Kiedy ją o to pytano, zawsze powoływała się na swoje słabe zdrowie. Tymczasem było wiadomo, że jej zdrowie się bardzo poprawiło po przymusowej rezygnacji z pracy szkolnej. Wkrótce się okazało, że przyczyny zaprzestania pracy społecznej były całkiem inne. Okazało się, że Anna Pawłowna przyjmuje u siebie w domu wizyty jakichś gości z Moskwy, z którymi przez długie godziny dyskutuje o... filozofii indyjskiej. Zwrócono się do Mikołaja Piotrowicza, żeby wpłynął na swoją żonę, lecz biedny Mikołaj Piotrowicz nic nie mógł na to poradzić. Wreszcie doszło do rozmowy pomiędzy partyjnymi czynnikami miarodajnymi z Anną Pawłowną. Zwrócono jej uwagę, że ona na próżno *uwlekajetsia* obcą nam filozofią indyjską. Zaproszono jej by ona głębiej zajęła się naszą własną filozofią marksistowską, dialektycznym materializmem. Na to Anna Pawłowna odpowiedziała z całą szczerością:

„Ach! Gdybyście wiedzieli jak mi to wszystko obrzydło!”.
Komentarze są tu zbyteczne.

Wśród rosyjskiej inteligencji, karmionej jedną tylko filozofią materialistyczną niemało jest łaknących innej, lepszej strawy duchowej. Po wizycie indyjskiego premiera Nehru w Moskwie, w myśl zawartej umowy o wzajemnej wymianie dóbr materialnych i duchowych, przetłumaczono na język rosyjski kilka współczesnych, poważnych dzieł o Indiach i ich kulturze. Między innymi przetłumaczono dwutomowe dzieło o filozofii indyjskiej późniejszego prezydenta Indii Radha Kriszmana. Inteligencja rosyjska mogła się zapoznać z inną filozofią, nie materialistyczną, spirytualistyczną. Dzieło Radha Kriszmana w mig rozchwytano, stało się ono *bestseller'em*. Po rychłym wyczerpaniu całego nakładu pożyczano sobie nawzajem to tak bardzo mimo trudnej treści, pożądane i poczytne dzieło. Jak widać, także i Anna Pawłowna uległa urokowi indyjskiej mądrości filozoficznej. Jest to

objaw bardzo pocieszający, że rosyjska inteligencja szuka czegoś głębszego od tego, co jej aż do przesady dają... Pragnę jeszcze wyjaśnić, skąd ja znam tak dobrze historię Anny Pawłownej? Tylko z gazety. Trzeba jednak znać niektóre obyczaje prasy radzieckiej. Jest w niej uprawiany pewien rodzaj publicystyczny, mianowicie artykuł czy raczej reportaż demaskujący. W takim artykule opisuje się z drobnymi nieraz szczegółami życie i postępowanie zdemaskowanych osób, jak w danym wypadku owej tak przeze mnie nazwanej — Anny Pawłownej.

Drugi przykład: Jechałem pociągiem z Karagandy do Ałma-Aty. Zbliżaliśmy się już do celu naszej podróży. W przedziale zostało nas tylko dwóch. Mój jedyny towarzysz podróży był młodym sympatycznym i inteligentnym człowiekiem. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Co bardzo ważne, rozmowa toczyła się w cztery oczy bez świadków i mogła być szczerą. Mogłem mu nawet powiedzieć kim jestem. Mój rozmówca, którego będziemy nazywać Iwanem, był Rosjaninem, studentem ostatniego płętego kursu uniwersytetu w Ałma-Ata. Był to typowy radziecki agnostyk — nie z jakiegoś filozoficznego przekonania, tylko z powodu niemożności głębszego poznania problemów filozoficzno-religijnych. Widząc jego zainteresowanie tą problematyką i wykorzystując nasze sam na sam, po krótko wyłożyłem mu nasze filozoficzne pojęcie Boga i zaznajomiłem go z postaciami i głównymi faktami z życia Jezusa Chrystusa. Mówiłem językiem naukowym o elementarnych prawdach wiary. Gdybym to zaczął wyklądać polskiemu studentowi, to ten na pewno zapytałby: „Czy ksiądz myśli, że ja tego nie wiem?”. Tymczasem mój Iwan nie wiedział tego. Słuchał wykładu bynajmniej nie w bierny sposób. Zadawał różne pytania. Widać było, że treść wykładu ogromnie go zainteresowała. Zegnając się ze mną podziękował mi bardzo serdecznie i powiedział jakże bardzo znamienne słowa:

— „To właśnie jest to, czego nam brakuje”.

Sądzę, że i w tym wypadku zbyteczne są komentarze.

Przykład trzeci. Podczas jednej z moich podróży misyjnych przyjeżdżam do pewnego miasteczka i ogłaszam, że będę uczył pary małżeńskie do ślubu. Zgłosiło się do nauki mniej więcej 10 par małżeńskich. Byli to Polacy, ludzie młodzi, żyjący już ze sobą dobrych parę lat, ale bez ślubu, bo nie było tam żadnego księdza. Prawie wszyscy nie byli jeszcze ani razu u spowiedzi i Komunii świętej.

Od razu swoim inteligentnym wyglądem zwróciła moją uwagę jedna para małżeńska. Okazało się, że młody małżonek, nazwijmy go Stanisławem, jest inżynierem. Miał on wtedy 27 lat. Jego żonka była jeszcze młodszą od męża, miłą i przystojną osobą. Miała pełne średnie wykształcenie. Mieszkali oni razem z matką Stanisława, która była kobietą jeszcze nie starą, prostą, ale mądrą i szczerze religijną.

Wszystko się odbyło jak najlepiej. Miałem nawet czas zaprzyjaźnić się z tą rodziną, która — mówiąc nawiasem — zupełnie dobrze rozmawiała po polsku. Bardzo się ucieszyłem, że Stanis-

ław i jego żona są oboje wierzącymi i praktykującymi katolikami. Raz zapytałem się Stanisława, gdy byliśmy we troje z nim i z jego żoną: „Czy twoje studia naukowe w radzieckich uczelniach nie sprawiały tobie żadnych trudności co do wiary w Boga?” — Stanisław odpowiedział: „Może się ksiądz zdziwił, ja skończyłem i średnią i wyższą szkołę w Związku Radzieckim, uczyłem się filozofii materialistycznej i zdawałem z niej egzamin, ale nigdy w życiu nie miałem nawet najmniejszych wątpliwości co do wiary w Boga. Ksiądz poznał moją matkę. Ona jest kobietą prostą, ale niegłupią. Ona tak mi to wszystko wytłumaczyła, że to mi wystarczyło. W szkołach dużo gadali przeciwko wierze w Boga, ale to nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Ja zawsze rozumiałem, że to nic nie ma wspólnego z nauką, bo to jest zwyczajna agitacja”.

Przykład czwarty: Bohaterem tego przykładu jest pewien młody student Litwin. Nazwijmy go litewskim imieniem Witold. Historię Witolda opowiadał mi jeden z moich znajomych księży litewskich — człowiek całkowicie wiarygodny.

Witold był studentem trzeciego roku uniwersytetu w jednym z wielkich miast syberyjskich. W tym czasie na zesłaniu w Syberii było wiele rodzin litewskich. Teraz ogromna ich większość powróciła na Litwę.

W owym mieście pracował — oczywiście bez rejestracji — pewien ksiądz litewski i pracował przez kilka lat bardzo umiejętnie, naprawdę znakomicie. Witold często chodził na Mszę świętą, a nieraz i służył księdzu do niej. Wreszcie coś o tym zaczęto mówić na uniwersytecie.

Studenci wyższych uczelni radzieckich są podzieleni na grupy w celach naukowych i wychowawczych. Każda grupa ma swego opiekuna, przeważnie spośród docentów lub asystentów, który ma czuwać nad nauką i ideologią swoich studentów. Raz ów opiekun zgromadził swoją grupę. Zaczął się rozwodzić nad tym, że jest rzeczą nie do wiary lecz niestety prawdziwą, iż są jeszcze studenci, którzy wierzą w Boga i modlą się. Ale to już jest prawdziwy skandal, że znajdują się nawet tacy studenci, którzy służą popowi podczas nabożeństwa. Wszyscy studenci od razu zrozumieli, że ich opiekun śpiewa do Witolda, choć go nie wymienił po nazwisku.

Cóż na to Witold? Nie milczał bynajmniej. Wstał i całkiem spokojnie powiedział: „Oświadczam, że ja wierzę w Boga i do końca życia nie przestanę wierzyć w Niego”. Powiedział i usiadł, a jego koledzy, wśród których nie było ani jednego katolika, nagrodzili go oklaskami za odwagę i stanowczość, co im zaimponowało. No, a biedny opiekun — jak mawiają po rosyjsku — *ostalsia durakom* — dostał się w durnia...

Jak mi jeszcze opowiadał ów litewski ksiądz, Witold wcale nie został wyrzucony za to z uniwersytetu i mógł dalej kontynuować swoje studia.

Przykład piąty: Dnia 7 października 1969 roku, w święto Matki Boskiej Różańcowej, zmarła w Kamieńcu Podolskim w

wieku 53-letnią pewną samotną niewiastą. Musiała ona być wielce zasłużona dla Kościoła, bo w jej pogrzebie wzięło udział pięciu księży katolickich, co jest w warunkach radzieckich rzeczą niebywałą.

Zmarła nazywała się Julia Bojarska.

Dzieje życiowe Julii Bojarskiej są charakterystyczne i dla wielu innych niewiast w tym kraju. Pochodzi ona z Kamieńca Podolskiego. Urodzona w 1916 roku, w młodym wieku wyszła za mąż za pewnego, również młodego, Rosjanina — bez ślubu kościelnego. Po kilku miesiącach mąż porzucił ją. Nigdy już potem Julia nie chciała wychodzić za mąż. Tymczasem aresztowano jej ojca i braci i wywieziono z Kamieńca już na zawsze. Pozostały one dwie: Julia i jej matka już staruszka, bo Julia była jej najmłodszym dzieckiem.

Kiedy latem 1944 roku przybyli do Kamieńca posłani przez księdza biskupa Szelażka ksiądz Kanonik Kukuruziński, i ksiądz Beń, Julia od razu zaczęła im pomagać w pracy. Już przedtem zresztą pomagała w pracy, i nie tylko w pracy mieszkającemu prywatnie w mieście staruszkowi — księdzu prałatowi Władysławowi Dworzeckiemu.

Po aresztowaniu księży Kukuruzińskiego i Benia w końcu grudnia 1944 roku, Julia zorganizowała systematyczną pomoc żywnościową dla nich, dla księdza Biskupa Szelażka, oraz dla księży Gałęzowskiego, Kuczyńskiego i dla mnie, bośmy się zostali bez własnych parafian, którzy wyjechali z województwa wołyńskiego na zachód. Wprawdzie paczki żywnościowe posyłane nam przez Julię najpierw do więzienia, a potem do obozów pracy przymusowej, bywały podpisywane przez różne osoby, jednak Julia w swej gorliwości nie zważała na związane z tym niebezpieczeństwa.

W 1948 roku aresztowano Julię Bojarską. Oczywiście chodziło o nasze paczki żywnościowe. Julia i na śledztwie i na sądzie broniła się odważnie i umiejętnie. Była ona z zawodu buchalterką i bynajmniej nie należała do prostaczków. Na śledztwie i na sądzie wciąż się powtarzał taki mniej więcej dialog:

Oni: — „Dlaczego ty posyłałaś paczki?”

Julia: — „Ja nie robiłam nic nielegalnego. Posyłałam paczki jawnie przez pocztę i otrzymywałam oficjalnie pokwitowania odbioru z każdego obozu pracy, do jakiego paczka była wysłana”.

Oni: — „Tak, ale ty powinnaś wiedzieć komu ty te paczki posyłałaś”.

Julia: — „Posyłałam księżom, którzy dla nas pracowali i są naszymi ojcami duchowymi”.

Oni: — „I to mówisz ty — obywatelka radziecka! Ty posyłałaś paczki katolickim księżom, agentom Watykanu, najgorszym wrogiom Związku Radzieckiego!”.

Prokurator zażądał dla Julii 8 lat pozbawienia wolności.

Julia powiedziała sądowi, że ma na utrzymaniu matkę — samotną staruszkę, która bez niej przepadnie, po czym głośno się rozpłakała. Sąd skazał Julię na 5 lat pozbawienia wolności. Była

to wówczas kara minimalna, tak zwany *dietskij srok*, bo zazwyczaj skazywano „politycznych” na 25 lat.

Julia pojechała do wielkiego żeńskiego obozu pracy położonego na brzegu rzeki Pieczory w północno-wschodniej części Rosji Europejskiej. Opieka Opatrzności nad nią i jej matką przejawiała się wręcz widocznie. Julia chodziła do pracy poza obozem tylko kilka pierwszych tygodni, po czym zaproponowano jej objęcie kierownictwa pralni obozowej. Przedtem w tej pralni były kradzieże i inne nadużycia. Julia objęła kierownictwo pralni i wszystko doprowadziła do porządku. W dowód uznania dano jej na mieszkanie osobny mały pokój. Julia powiesiła obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nad łóżkiem i w wolnych chwilach modliła się ile tylko chciała.

I tak w tej pralni Julia spokojnie dotrwała do końca swojej „pięciolatki”, a następnie wróciła do swojej matki w Kamieńcu.

Bo jak nad córką, tak i nad matką, widocznie czuwała Opatrzność Boża. Kamienieccy katolicy otoczyli staruszkę troskliwą opieką, tak iż prócz córki, no i zdrowia, nic jej nie brakowało. Staruszka doczekała się powrotu córki z obozu, pożyły one razem jeszcze 2 lata, po czym staruszka zmarła pobożnie — w obecności swej córki i opiekunki.

Julia osamotniona po śmierci matki mieszkała nadal w swym rodzinnym Kamieńcu Podolskim, gdzie miała po rodzicach własny domek z sadem i ogrodem. W kamienieckiej społeczności katolickiej (nie mającej swojego kościoła i księdza z powodu uporczywego oporu władz), Julia była ogólnie szanowana i lubiana. Często jeździła autobusami do okolicznych kościołów, a zwłaszcza do Czerniowiec, do Borszczowa i do Hrecanej koło Płoskirowa.



Skoro już rozważyliśmy życie i śmierć Julii Bojarskiej, to pragnęlbym poinformować swoich przyjaciół, że i ja *sam dwa razy w życiu przeżywałem śmierć*. Myślałem, że już zaraz umrę. Pierwszy raz było to dnia 23 czerwca 1941 roku, a drugi raz dnia 6 kwietnia 1949 roku.

Dnia 23 czerwca 1941 roku, na drugi dzień wojny niemiecko-radzieckiej, znajdowałem się w więzieniu w Łucku. Tego dnia były tam krwawe i tragiczne zajścia, a mianowicie masowe rozstrzeliwania więźniów. My wszyscy, którzyśmy szczęśliwie zostali przy życiu, także leżeliśmy na dziedzińcu więziennym pod gradem kul.

Uważam za zbyt szczegółowe to opisywać. Wszak żyją w Polsce tacy co przeżywali tę straszliwą makabrę. Natomiast uważam za wskazane opisać Wam tylko jeden moment.

Kiedy leżałem na dziedzińcu więziennym pod kulami, byłem aż dziwnie spokojny. Całe moje, wówczas 36-letnie, życie skurczyło się do jakiejś nikomej chwili. Udzieliłem jeszcze rozżalenia moim sąsiadom, leżącym obok mnie na ziemi. Myśl

moja pracowała bardzo intensywnie. Przeżywałem koniec doczesności i brzusak wieczności. Było to przeżycie niewypowiedziane, wzniosłe, absolutnie niemożliwe do zapomnienia. Nie wiem co by się ze mną stało, gdybym odczuł ból rany. Ale nie było żadnego bólu ciała, a duch krążył swobodnie między doczesnością a wiecznością, jak nigdy przedtem i potem w życiu.

W trzy dni później byłem już na wolności.

Dnia 6 kwietnia 1949 roku znajdowałem się w szpitalu obozowym w Czelabińsku, bo byłem bardzo ciężko chory na zapalenie płuc. Choroby tej można było uniknąć. Codziennie chodziłem na robotę, lecz byłem bardzo silnie przeziębiony, kaszlałem uporczywie i czułem się fatalnie. Niejednokrotnie prosiłem o zwolnienie z pracy, którego wciąż mi odmawiano, bo nie było podwyższonej temperatury. Aż pewnego dnia wróciłem z pracy do obozu rozpalony wysoką temperaturą i miotany dreszczami. Zaraz po powrocie z pracy udałem się do szpitala obozowego. Zmierzone mi temperaturę. Było 40,6 stopni.

Leżałem w szpitalu już mniej więcej tydzień. Z każdym dniem czułem się coraz gorzej, coraz słabiej. Nie było silnych bólów, ale ta słabość niewyobrażalna...

Aż wreszcie, było to 6 kwietnia wieczorem, poczułem że umieram. Byłem tak słaby, że trudno było myśleć. Ale raczej podświadomie zjawilo się skojarzenie z przeżywaniem rzekomo zbliżającej się śmierci, tam w Łucku na dziedzińcu więziennym. Jakaś tęsknota do podobnych wzniosłych przeżyć... Tymczasem nic z tego! Sama tylko słabość, ta niewyobrażalna słabość, i raczej apatia. Z rzadka i z trudem westchnienie „O Boże!”. I to wszystko, więcej nie!

Później, kiedy już wyzdrowiałem, jeden z więźniów lekarz, powiedział mi, jak bardzo się obawiał, że ja tej nocy umrę. Nie umarłem jednak. Od owej nocy minęło już 20 lat.

Przez tych 20 lat przygotowywałem wielu, nawet bardzo wielu, na dobrą chrześcijańską śmierć. Niemało z nich już umarło po chrześcijańsku. Nie zapominajmy nigdy o śmierci i o wieczności, — tak jak nam to doradza Pismo Święte.

„Bez przestanku rozważaj twoje rzeczy ostateczne, a nie zginiysz na wieki!”.



Kraków i Uniwersytet Jagielloński dał mi cześć i umiłowanie tradycji dziejowej, — tego co w niej jest wielkie, wzniosłe i piękne. Lecz równocześnie Kraków i Uniwersytet Jagielloński, dał mi zrozumienie i umiłowanie wolności, i to wolności wszechstronnej, — nie tylko wolności politycznej, społecznej czy ekonomicznej, lecz nade wszystko wolności sumienia i wolności przekonań. Jakże to było kształtujące i budujące, że w czcigodnych murach naszego Uniwersytetu kwitła prawdziwa wolność słowa, ścierały się diametralnie różne zdania i poglądy, a jeśli nie zawsze, to najczęściej w naprawdę kulturalnej atmosferze.

Czyż tak właśnie nie było także i w naszym Kole? Czyż dobrze nam znane różnice w naszych poglądach były nam przeszkodą w naszej kołowej przyjaźni? A i w „Odrodzeniu”, w którym zresztą mój udział był za mało pogłębiony, było to samo i cześć dla tradycji i poszanowanie wolności. Mało tego! I na wydziale teologicznym nie tylko cześć dla tradycji, co jest na tym wydziale samo przez się zrozumiałe, ale równocześnie zrozumienie i poszanowanie wolności. Rektor Krakowskiego Seminarium Metropolitalnego, Prałat Zygmunt Kulig, dbał o to by w czytelni kleryków były czasopisma reprezentujące różne kierunki. Gdy były głosowania ogólnoakademickie, nikt nie krępował kleryków w wolności wyboru tej czy innej listy kandydatów. Ja sam podczas wyborów na ogólnopolski zjazd akademicki głosowałem jako kleryk na najbardziej lewicową spośród trzech zgłoszonych list, bo wolałem umiarkowaną lewicę niż „bogojęczyńnianą” a jakże bardzo płytką w swym stosunku do katolicyzmu endecję. Byli i inni klerycy, którzy mieli podobne poglądy.

Oczywiście, że nie wydział prawny, tylko teologiczny, uformował mnie jako księdza i dał pogłębienie wewnętrzne, niezbędne dla dość rozbawionego studencika, jakim wówczas byłem.

To co ja wyniosłem z Krakowa zawsze mi pomagało i pomaga tam — na jakże dalekim od Krakowa Wschodzie. Tam, gdzie długie lata spędzałem za kratami więzień i za drutami kolczastymi obozów pracy przymusowej. Wszędzie tam to co wyniosłem z Krakowa pomagało zachować godność osobistą i kapłańską. Pomagało szanować własne poglądy, ale też i cudze poglądy jeśli one w ogóle były. Zdaje się, że nie dałem się nigdy zatruć nienawiścią i że miłość nieprzyjaciół nie była samą tylko piękną teorią w moim życiu na Wschodzie.

Obok Krakowa niemałą rolę odegrał w moim życiu Łuck. Przybyłem do Łucka jako do najbliższego mi w granicach międzywojennych Polski ośrodka Kresowego. Stałem się kapłanem diecezji Łuckiej i jestem nim po dziś dzień. Wielce sobie cenię przynależność do Łuckiej Kapituły Katedralnej, w Łucku znalazłem żywą i silną tradycję kresową oraz wielu Przyjaciół, którzy ufam że przeczytają te słowa.

Wielu moich Przyjaciół odeszło już od nas na wieki. My starzy jesteśmy już u schyłku naszego ziemskiego życia. Obyśmy wszyscy — czy tu, czy tam, daleko na Wschodzie — przeżyli je do końca w sposób godny naszych wielkich tradycji, a przez to i płodny dla oczekującej nas już niebawem wieczności.

Ks. Władysław BUKOWIŃSKI

Pamięci Auberon

Dwa lata z górą minęły od śmierci Auberon Herberta i wstyd doprawdy, że nie ukazało się dotychczas żadne o nim w *Kulturze* wspomnienie. Ścisłej mówiąc: mój wstyd i moja wina.

Auberon był przyjacielem *Kultury* nie tylko dlatego, że polskie sprawy były mu bliskie. Polskością przesiał do tego stopnia, że zdobył sobie indygenat polskiego antynacjonalizmu. Wielu Polaków uznało jego rosnące zaangażowanie w walkę o niepodległość Białorusi i Ukrainy za niewierność, jeśli nie zdradę. Mało kto zrozumiał, że kiedy w latach sześćdziesiątych postanowił on swój spory kredyt w Anglii oddać na usługi najbardziej uciskanych narodów dawnej Rzeczypospolitej, pozostających pod bezpośrednim zaborem sowieckim, był to w znacznej mierze wynik przejścia się pewną tradycją polskiej myśli, znanej mu choćby za pośrednictwem Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Józefa Czapkiego, wpływ koncepcji politycznej Giedroycia, lektury artykułów Mieroszewskiego. Dodajmy, że zasadniczą cechą Auberon Herberta była rycerskość dosłowna, stąd anachroniczna. Chrześcijański rycerz bieży na pomoc dziewczycy najbardziej pokrzywdzonej, najdłużej więzionej wdowy. Polacy — myślał zapewne Auberon — dają już sobie sami nieźle radę i w kraju i na obczyźnie. On sam służył im wiernie blisko ćwierć wieku. Czy nie czas upomnieć się o inne krzywdy, wyrządzone przez tego samego smoka, pchnąć Rosynanta w dalszą drogę?

Więzy Auberon z *Kulturą* były głębsze od przyjaźni osobistych z jej założycielami i bliskimi współpracownikami, nie zdiwiłem się zatem gdy po jego śmierci zwrócił się do mnie Jerzy Giedroyc z prośbą o artykuł o nim. Auberoną poznałem w kilka dni po jego wstąpieniu do wojska polskiego w Anglii, przyjaźniiliśmy się przez cały czas wojny, a jeszcze z dziesięć lat po wojnie widywałem go bardzo często — u niego w Londynie, w Pixton czy w Portofino, u mnie w Rzymie, w Neapolu czy w Wenecji. Dopiero kiedy zamieszkałem w Paryżu spotkania nasze stały

się rzadsze, ale do końca utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Kilka razy zaczynałem ten artykuł o Auberonie, ale nie doprowadziłem go nigdy do końca. Wydawało mi się, że wspomnienia wspólnej wojennej młodości zajmują w nim za dużo miejsca, że gąszcz anegdot przesłania mi postać niewspółmiernie większej miary, że mimo woli kreślę z Auberoną zbyt powierzchowną sylwetkę jakiegoś angielskiego Franca Fiszera. Lektura przystanej mi przez Johna Joliffe'a poświęconej mu pamiątkowej książki* dowiodła mi, że miałem rację, że słusznie przeczuwałem potrzebę przekazania we wspomnieniu o Auberonie jego cechy zasadniczej: jedności i konsekwencji jego przejrzystej duszy (w tym kontekście używam tego pojęcia bez wahania i bez cudzysłowu), wbrew pozornym sprzecznościom ekscentrycznej osobowości, barokowej inteligencji, erudycji nie znajdującej żadnego „użytecznego” zastosowania, gorączkowego pośpiechu życia zawsze wolnego od jakiegokolwiek rutyny.

W wymiarze, który Francuzi nazywają *la petite histoire* wojska polskiego w Szkocji, Pierwszej Dywizji Pancerniej, powojennej emigracji w Londynie Auberon pozostanie jedną z postaci centralnych (i najbarwniejszych); był w niej zarazem aktorem i świadkiem, konfidentem generałów i ministrów, ułanów i kaprali. Jego dobroć, uczynność, szczodra gościnność, żywa ciekawość ludzi i zdarzeń sprawiały, że był zawsze wtajemniczony we wszystkie sprawy polityczne, w najdrobniejsze intrygi i spiski, które w jego relacjach nabierały wymiarów pasjonujących zmagani, zabarwionych jednak nieopuszczającym go nigdy poczuciem humoru. Stąd dla przyszłego historyka polskiej emigracji książka zbiorowa o Auberonie będzie bardzo cennym materiałem, zwłaszcza dlatego że polskie sprawy nie są w niej aspektem centralnym, co rzuca żywe światło na mniej znane aspekty jego życia i pozwala lepiej zrozumieć historyczne i socjologiczne drogi, które doprowadziły młodego angielskiego arystokratę do Czternastego Pułku Ułanów Jazłowieckich.

Leigh Fermor, opisując swe wędrowki z Auberonem po Grecji, przypomina że jego przodkowie od dwóch wieków należeli do tych dosłownie „ekscentrycznych” Anglików, których zawsze pociągały odległe przygody. Pradziadek Auberoną był przyjacielem Petrobeja, ostatniego z suwerennych bejów Mani, jednego z głównych przywódców greckich walk o niepodległość. Jego dziadek, Lord Carnarvon, sfinansował wyprawę archeologiczną, która doprowadziła do odkrycia grobu Tutenchamona i zmarł nagle u progu grobowca, stając się pierwszą ofiarą słynnej „kłątwy Faraona”. Ojciec Auberoną, Aubrey Herbert, dzielił losy Law-

* *Auberon Herbert. A composite portrait edited by John Joliffe.* Autorzy: Isaiah Berlin, Frances Phipps, Robert Salisbury, Robin McEwen, Czesław Jęśman, Malcolm Muggeridge, Patrick Leight Fermor, Tom Yandle, Max Egremont, Biskup S. Sipowicz, Konstanty Zelenko, Giuseppe Gennaro, Giuseppe Baicalupo, Philip Caramon. Str. 77, 6 ilustracji; cena £. 2.00; 1976. Zamówienia kierować do: The Sales Manager, Compton Russell Ltd., The Old Brewery, Tisbury, Salisbury, Wiltshire SP3 6NA.

rence'a na arabskich pustyniach, zanim się stał bohaterem albańskich walk o niepodległość. Albańczycy ofiarowali mu rzekomo koronę i w swoim szkicu Malcolm Muggeridge wyraża żartobliwie żal, że Auberon nie urodził się na stopniach tronu: „jedeny zawód, do którego Auberon był idealnie dostosowany, to zawód króla, miał na to wszelkie dane — magnetyzm, urok, świetne maniere, rzadką pamięć twarzy i nienasyconą ciekawość wszystkich i wszystkiego; zaś nade wszystko zdolność wykonywania nudnych czynności i przebywania z nudnymi ludźmi długo i bez okazywania żadnych symptomów nudy”.

Pixton, wiejski dom Herberta w hrabstwie Somerset, przypominał bardziej wielki, nieco zaniedbany polski dwór niż angielską wielkopańską rezydencję. Lady Phipps, która знаła Aubersona od dziecka, świetnie odtwarza atmosferę tego domu: „Konie i psy grały rolę w każdej rozmowie. Wysokie okna były zawsze otwarte od dołu, aby psy mogły wchodzić i wychodzić, niezależnie od pogody. Jeden z gości w tych warunkach zadzwonił w zimie łyczeką o filiżankę i wytłumaczył dźwięk twierdząc że odpadło mu zamrożone ucho. Pixton zawsze był psim rajem. Wielkie psy stale wskakiwały z ogrodu do salonów, pomniejszych zajmowały wszystkie fotele. Siadając na kanapie słyszało się gniewne powar kiwanie psa, który spał w jej kącie”.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech Aubersona było, że czuł się w każdym środowisku, nigdy do żadnego się nie dostosowując. Sir Isaiah Berlin, wybitny filozof i pisarz, wspomina obiad w ambasadzie brytyjskiej w Paryżu u Duff Cooperów wkrótce po wojnie, na którym spotkał polskiego oficera, który okazał się Anglikiem, i tak go olśnił opisem swych wojennych przeżyć i rzadką erudycją, że — jak pisze — „choć sam bynajmniej nie małomówny, tym razem byłem chętnym milczącym słuchaczem”.

Był to początek długiej przyjaźni, której zawdzięczamy ten wnikliwy wizerunek Aubersona:

„Był utalentowany, kulturalny, świetnie wychowany i nienawidził umiarkowania w jakiejkolwiek postaci. Był zagorzale anty-utylitarny, celom, które uznawał za tego warte, służył aż do końca i pogardzał tymi, którzy działali inaczej. Nie lubił filis-tynow, policjantów, tchórzów i hipokrytów bardziej niż kłamców, barbarzyńców, sprytnych awanturników. Najwyżej cenił styl, rozmach, szaleńczą odwagę. Miał bardzo rozległą kulturę w stylu osiemnastowiecznym. Poza swym niezwykle darem do języków miał zamiłowanie do najbardziej zawitych ścieżek filologii w dziedzinie języków i dialektów ludów zagrożonych w swym istnieniu — Basków, Genuńczyków, Maltańczyków, Serbów Łużyckich, Dalmatów, greckich enklaw z dawnej Magna Graecia — i zgromadził zadziwiający zasób wiadomości historycznych z zaniedbanych dziedzin, które żywiły jego wyobraźnię, zawsze zwróconą w przeszłość i jego wrażliwość estetyczną. Jego smak, przemity nieporządek jego życia i jego domów w Anglii i we Włoszech były bez zarzutu; tak samo jak jego maniere, czy był podпиты,

czy trzeźwy. Jego żarty były wysmienite. Był lojalnym i serdecznym przyjacielem i postępował zawsze wspaniale z ludźmi, których zatrudniał”.

Tak wyglądał Auberon w oczach człowieka wyrafinowanej kultury i światowej tolerancji, jakim jest profesor Berlin i odbicie to odpowiada prawdzie. Ale trzeba je uzupełnić wspomnieniem ludzi, którzy mieli dostęp do wymiaru Aubersona, który był również i dla mnie zamknięty: jego wyjątkowo żywej religijności.

Ksiądz biskup Sipowicz wspomina przywiązanie Aubersona do kaplicy wschodniego obrządku Świętych Piotra i Pawła w Londynie: „Mimo że był bezkompromisowym katolikiem łacińskiego obrządku... wśród starych ikon i świec białoruskiej kaplicy znajdował spokojną, kontemplacyjną atmosferę, w której co niedziela celebrował się tę samą, niezmienną liturgię i gdzie Ewangelie i kazania głoszone są po białorusku. Niezdolny do pogodzenia się z posoborowymi zmianami w mszy obrządku łacińskiego, znajdował tu bizantyjską liturgię katolicką nietkniętą w swym splendorze. Zarówno to, jak i jego własny, niemal utajony gatunek żarliwej pobożności, przyciągały go do kaplicy, a poprzez nią do religijnego życia białoruskiej wspólnoty. Dlatego też postanowił, że jego msza żałobna i pogrzeb będą zlecone pieczy jego przyjaciół z białoruskiego kleru, w obrządku który pokochał”.

Niezdolny do umiarkowania, jak zauważył Berlin, do zmian posoborowych żywił Auberon obrzydzenie bez miary. Mawiał o „krótkim, ale katastroficznym pontyfikacie tego wielkiego i dobrego człowieka — papieża Jana XXIII”. Swym katolickim przyjaciołom wręczał wybite przez siebie monety z napisem „Oddajcie nam naszą mszę” z poleceniem, by je składali na tacy w czasie kolekty. W ciągu jednego z naszych ostatnich spotkań opowiadał mi jak jadąc samochodem do Paryża zatrzymał się na mszę w jakimś „postępowym” kościele na prowincji, gdzie komunikantom wręczano hostię do ręki. „*Non mon Père!*” — zakrzyknął Auberon i zmusił przerażonego celebranta, by kłęczącemu złożył mu hostię na język.

Ale te doczesne spory nie wysuszały żywego źródła jego wiary, o którym mówił na mszy żałobnej w białoruskiej kaplicy Ojciec Philip Caraman S.J.: „Niewiele było miejsc w Europie, gdzie by nie miał przyjaciół. Wszyscy byli do niego serdecznie przywiązani, podziwiali jego prostolinijność, przyjmowali jego słabości z uśmiechem, a nieraz bywali zdumieni tą miarą wieczności, którą natychmiast i instynktownie przykładał do wszystkiego. Dla niego niebo było miejscem równie rzeczywistym jak Pixton, czy Portofino i jako obywateli nieba traktował wszystkich ludzi — Anglików, Polaków, Sudańczyków, Ukraińców, Chińczyków czy Albańczyków. Zwykle chrześcijaństwo — nie, zwykła ludzkość — była w jego oczach wystarczającym tytułem do jego solidnego, praktycznego miłosierdzia, a jeśli byli w potrzebie lub pokrzywdzeni, czy to przez rząd, czy przez jednostkę, był to w jego oczach tytuł podwójny... Zgromadzeni tutaj, każdy z nas jest lepszym człowiekiem dzięki jego przyjaźni, płacimy dług modli-

twy za duszę rzadkiego i wspaniałego chrześcijanina, który teraz przeszedł z cieni i ze złudzeń do tego, co było dla niego zawsze rzeczywistością i prawdą".

Rozmyślnie zatrzymałem się dłużej na tych aspektach książki, które nie dotyczą bezpośrednio spraw polskich. Związkom Auberon z Polską i Polakami poświęcony jest żywy i barwny szkic Czesława Jeśmana, który jest tu koronnym świadkiem, gdyż w latach 1956-59 pełnił funkcję sekretarza Herberta „od spraw polskich i środkowo-europejskich”. Ale niemal każdy z autorów tego zbiorowego dzieła ma coś o tych sprawach do powiedzenia, podając nieraz nieznane polskim przyjaciołom Auberon szczegóły.

Auberon zawsze twierdził, że powodem dla którego nie został przyjęty do wojska brytyjskiego były jego olbrzymie, legendarne „płaskusy”. Badania lekarskie kandydatów do polskiego wojska na Zachodzie miały charakter raczej symboliczny i bez trudu przeszedł przez nie Auberon na swych płaskich stopach. Robin McEwen pisze natomiast, że prawdziwym powodem była operacja, przez którą przeszedł w dzieciństwie i która pozostawiła ślad głębokiej blizny za uchem. Nic dziwnego, że Auberon o tym w czasie wojny nie mówił: wiedział, że huk bomb czy armatnich wystrzałów zagraża mu wstrząsem mózgu. Jego zgłoszenie się na ochotnika do polskiego wojska nabiera w tych warunkach wymiarów mniej humorystycznych.

We wspomnieniach powraca w różnej wersji anegdota o starciu Auberon z kanadyjskimi żołnierzami w czasie kampanii I Dywizji Pancerniej. Jako jedyny świadek tego tragicomicznego incydentu jestem w stanie podać jego prawdziwą wersję. Na postoju w Bredzie w Holandii w roku 1944 postanowiliśmy z Auberonem spędzić wigilię Bożego Narodzenia w Gandawie, gdzie udaliśmy się jeep'em z naszym przyjacielem kapralem Pawłem Korneliusem, jedną z najbarwniejszych postaci sztabu Dywizji. Po sutej kolacji zaczęliśmy zwiedzać „Gandawę by night”, ale Auberon opuścił nas przed północą, aby udać się na Pasterkę. Mieliśmy się potem odnaleźć w jednym z barów, ale Auberon się nie zjawił i przed świtem udaliśmy się z Pawłem Korneliusem do naszego hotelu na zasłużony odpoczynek. Jak się potem okazało Auberon trafił po Pasterce do innego baru, w którym spotkał żołnierzy polskiej Brygady Spadochronowej na postoju w Ardenach, gdzie Niemcy rozpoczynali swą krótką, ale groźną, ofensywę zimową. Swoim zwyczajem Auberon postawił im szampana i zabawił swą soczystą ale dziwaczną polszczyzną. Hojność i ciekawość tego starszego ułana wydała się naszym spadochroniarzom podejrzana, aż jeden z nich zauważył na jego mundurze żółte proporczyki 14-go Pułku Ułanów Jazłowieckich, który nie wchodził w skład I-szej Dywizji Pancerniej (Auberon został wyjątkowo przydzielony do Dywizji, zanim opuściła Anglię). Spadochroniarze uznali go za niemieckiego szpiega i oddali w ręce kanadyjskiej żandarmerii, która go zaarrestowała i przeprowadziła brutalne śledztwo. Auberon powołał się

oczywiście na nasze świadectwo, ale kiedy nad ranem obudzili nas w hotelu żandarmi i udaliśmy się do aresztu, byli tak źli na Auberon, który bronił się jak lew i wymyślał ich od ostatnich, że mimo naszych wyjaśnień nie chcieli go zwolnić. Musieliśmy z Pawłem Korneliusem wracać do Bredy i prosić naszego kochanego dowódcę, majora Adama Łubkowskiego, aby sam interweniował, co zaraz uczynił i pod wieczór przywieźliśmy posiniazonego Auberon do Bredy, gdzie paradował potem z wydrukowaną przez obywateli Bredy pankartą z napisem „Dziękujemy wam Polacy!”.

Nieznany mi incydent przytacza Robert Salisbury, opowiadając jak Auberon, będąc jeszcze z Dywizją w okupowanych Niemczech, wywiózł nielegalnie z Polski grupę dzieci różnych przyjaciół i znajomych i sam je doprowadził do Anglii po najróżniejszych przygodach.

Najważniejszym chyba epizodem w akcji Auberon na rzecz Polaków była jego interwencja u Churchilla w sprawie przyszłych losów wojska polskiego pod brytyjskim dowództwem operacyjnym. Czesław Jeśman pisze, że nie wie na pewno czy Herbert napisał dla Churchilla memorandum sugerujące utworzenie, po zakończeniu wojny, Polish Resettlement Corps, ale fakt, że został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami będąc tylko podporucznikiem czasu wojny, uważa za tak wyjątkowy, że mniema iż Auberon „dokonał czegoś wyjątkowego”. Świadectwo Robina McEwena jest bardziej afirmatywne, ale nasuwa sporo wątpliwości: „Jedną z misji, z których (Auberon) był najbardziej dumny (choć nigdy się nią nie popisywał) była ta, którą mu zlecił w 1944 roku Winston Churchill, który powierzył mu osobistą odezwę (*A personal message*) do żołnierzy Polskiej Dywizji Pancerniej, zapewniającą że rząd brytyjski będzie się nimi opiekował i nie zawiedzie ich (*will look after them and not let them down*) w ich strasznym dylemacie bądź powrotu do kraju poddanego krwawej tyranii naszych sowieckich aliantów, bądź pozostania wygnańcami. Ta gwarancja nie została dotrzymana i Auberon sam więcej zapewne dokonał dla nieszczęśliwych Polaków na wygnaniu niż Churchill czy jakikolwiek rząd brytyjski”. Jeśli McEwen sugeruje, że Churchill zagwarantował żołnierzom Pierwszej Dywizji Pancerniej powrót do wolnego kraju, jest to oczywisty absurd; jeśli zaś twierdzi, że rząd brytyjski nie dał im możliwości osiedlenia się w Wielkiej Brytanii, jest to niesprawiedliwość: *tertium non datur*. Niewiele mogę do tej sprawy dorzucić, ale znam jej tło. Po Janku Pierwsza Dywizja Pancerna przeżywała (choć w mniej ostrej formie) podobny dylemat moralny co Drugi Korpus we Włoszech. Byli nawet zwolennicy „Szczypiorna”, czyli wycofania Dywizji z frontu. Myślę, że o tych formach radykalnego protestu myślała raczej starszyzna oficerska, ale wiem że przejmował się tą atmosferą gen. Maczek, który cieszył się przywiązaniem i uznaniem wszystkich swych żołnierzy. Jego ówczesny adiutant, Jan Tarnowski, opowiadał mi, że rozbroił kiedyś przynębionego generała mówiąc mu: „Ja

mam pomysł: niech Pan Generał wjedzie czołgiem do Mozy, wołając — jak to już tam było? — Bóg mi powierzył...". Auberon przyjaźnił się z Tarnowskim i wiem, że wystarał się wówczas o audiencję u Churchilla, którego znał osobiście i do którego miał łatwy dostęp za pośrednictwem potężnego klanu Salisburyskich. Pojechał do Londynu na specjalny urlop i Churchill zaprosił go na śniadanie na 10, Downing Street. Opowiadał mi o wzruszeniu Churchilla (który wzruszał się łatwo) nad „bohaterstwem Polaków” i o zapewnieniach „wiecznego długu”, który zaciągnęła u polskich żołnierzy Wielka Brytania, ale jeśli Churchill powierzył mu jakieś konkretne zapewnienia, skierowane do Generała Maczka, zamilczał o nich z dyskrecją, która była mu właściwa tylko w najważniejszych sprawach.

Tak czy inaczej nie tylko liczni polscy przyjaciele Aubersona, ale naród w swej historycznej ciągłości zachowa we wdzięcznej pamięci tego angielskiego Don Kichota, który był nam tak wierny w najtrudniejszych chwilach.

K. A. JELEŃSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć, obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci, jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.

Archiwum polityczne

Europa Wschodnia « uwolniona »

Prezydent Ford dokonał cudu: podczas drugiej debaty telewizyjnej z Carterem w San Francisco za pomocą paru zdań „uwolnił” Europę Wschodnią. „Nie ma dominacji sowieckiej w Europie Wschodniej — oświadczył — i nigdy jej nie będzie pod rządami administracji Forda”. Nie jest prawdą (dodał), że Stany Zjednoczone sprzedały w Helsinkach kraje Europy Wschodniej. „Nie wierzę, że Jugosławia, Rumunia i Polska uważają się za zdominowane przez Związek Sowiecki. Każdy z tych krajów jest niepodległy, samodzielny”. Carter uśmiechnął się i zareplikował: „Chciałbym zobaczyć Forda w trakcie przekonywania Amerykanów pochodzenia polskiego, czeskiego i węgierskiego, że ich kraje ojczyste nie znajdują się pod panowaniem ZSSR”.

Rzekoma „gaffa” prezydenta Forda ma dwa aspekty. Jeden wykorzystał natychmiast Carter, wzywając pośrednio Amerykanów pochodzących z Europy Wschodniej, by nie głosowali na kandydata republikańskiego. Zgadza się z nim całkowicie. Wyrażamy nadzieję, że uprawnieni do głosowania Polacy, Rumuni, Czesi, Węgrzy, Ukraińcy, Białorusini, Bałtowie, jak również wolni Rosjanie odmówią definitywnie, i w stu procentach, poparcia kandydaturze Forda po jego niepočitelnym oświadczeniu. Ale równocześnie uważamy „gaffę” Forda za rzekomą — i to jest drugi aspekt całej sprawy. W gruncie rzeczy Ford powiedział *głośno* (i na tym tylko polega jego potknięcie w ramach kampanii przedwyborczej) co naprawdę myśli, a raczej co myślał za niego Kissinger i Sonnenfeldt.

Z wielu stron zarzucano nam przesadę po komentarzu redakcyjnym „Pieczęć”*, kwitującym na gorąco konferencję w Helsin-

* Kultura nr 9/336.

kach. Teraz linia polityczna Ford-Kissinger-Sonnenfeldt odlatnia się jak na dłoni.

Nie wystarcza nam jednak także replika Cartera, uśmiech kandydata demokratycznego, który dojrzał i błyskawicznie wykrył błąd szczerości swego republikańskiego przeciwnika w obrębie polowania na głowy „etniczne”. Oczekujemy od Cartera jasnego i niedwuznacznego sformułowania *innej* linii politycznej, wolnej od pieczęci Helsinek i od cynizmu „doktryny” Kissinger-Sonnenfeldt. Linii politycznej, która mogłaby dopomóc do rzeczywistego uwolnienia Europy Wschodniej spod rzeczywistej dominacji sowieckiej.

Za Polaków — Redakcja *Kultury* — red. Jerzy GIEDROYC.

Za Bałtów — *Elta Press* — Msgr. Vincas MINCEVICIUS.

Za Czechów — Redakcja *Svedectvi* — red. Pavel TIGRID.

Za Rosjan — Redakcja *Kontynentu* — red. Vladimir MAK-SIMOV.

Za Rumunów — Eugene IONESCO.

Za Ukraińców — Redakcja *Suczasnist'* — red. Iwan KOSZE-LIWEĆ.

Za Węgrów — Redakcja *Irodalmi Ujsag* — red. Tibor MERAI.

Kryzys władzy w Polsce

Aktyw partyjny PZPR jest przyzwyczajony do walk frakcyjnych. W gruncie rzeczy wypełniły one całą historię PRL. Obecna sytuacja dezorientuje jednak te koła. Wszyscy zdają sobie sprawę, że chodzi już nie o zwykłe przetargi w górze partyjnej, ale o niezdolność całego kierownictwa do rządzenia.

Partia coraz to sama musi się dezawuować. Swoistym rekordem było odwołanie przez Jaroszewicza podwyżek cen w ciągu 24 godzin. Brak jakiegokolwiek przemyślanej linii daje w efekcie pospieszne, gorączkowe decyzje, które po kilku zaledwie dniach trzeba odwoływać. Tak było i z drugą zaproponowaną przez premiera, znacznie zresztą mniejszą, podwyżką ceny mięsa.

Zwołane pod wpływem niezadowolenia aktywu partyjnego plenium KC PZPR ośmieszyło kierownictwo partii, zdolne do powołania tylko komisji. Członkowie politbiura na spotkaniach z robotnikami zapewniają, że także za rok nowo powołane komisje KC nie zdecydują znaczącej podwyżki cen, ale znajdują „inne” środki zabezpieczenia równowagi rynkowej. Jakże środki — nikt tego nie wie. Toteż przywódcy PZPR mówią robotnikom,

że co najmniej przez trzy lata nie nastąpi poprawa sytuacji rynkowej. I są dumni ze swojej szczerości. Partia ratuje sytuację półśrodkami, faktyczną rezygnacją z napiętego programu inwestycyjnego i nowymi pożyczkami zagranicznymi. Bezradny Gierek uzyskał pomoc krajów EWG w mięsie. Ale to wszystko są leki o działaniu chwilowym, ogólny stan chorego, czyli gospodarki polskiej, jest beznadziejny. Czy więc ekipa Gierka może utrzymać się przy władzy?

Losy jej wcale nie są przesądzone. Toczy się gra o to kto ma odejść — główny winowajca Jaroszewicz, czy także Gierek wraz z całą ekipą? Decyzja zależy, jak zwykle, od Rosji, a tam sytuacja wcale nie jest mniej skomplikowana. Era Breżniewa dobiega końca, choć szef partii sowieckiej rządzi jeszcze zdecydowanie. Kosygin, który mu się naraził, musiał pauzować politycznie pod pretekstem wypadku w czasie kąpieli. Ale Breżniew ze względu na stan zdrowia prawie nie podróżuje. Grupa Gierka w Polsce ma pewne przewidywania co do rozwoju wypadków w Sowietach. Wyrazem tego było niespodziewane odznaczenie przez Babiucha Romanowa w Leningradzie, a przez Gierka Ustinowa z okazji manewrów na terenie Polski. Ale sprawa sukcesji po Breżniewie bynajmniej nie jest przesądzona i ambasador Piłatowicz doradza Gierkowi czekać z decyzjami w Polsce.

Gierek czeka i umiejętnie próbuje zrzucić całą winę na Jaroszewicza. W Komitecie Centralnym partii i w wielu urzędach mówi się otwarcie, że skompromitowany nieudaną podwyżką cen premier powinien odejść. Do dobrego tonu w aparacie partyjnym należy narzekanie, że rząd źle rządzi. Jaroszewicz też nie jest w ciemni bity i przy każdej okazji powołuje się na Gierka, chcąc zmusić go do solidarności, albo pociągnąć za sobą w przepaść.

W aktywie partyjnym panuje przekonanie, że jeżeli Gierek nie uzyska zgody Rosjan na zwolnienie Jaroszewicza, to w końcu sam będzie musiał odejść. Jeszcze obecnie można niezadowolone społeczeństwo zweeksłować przeciwko Jaroszewiczowi, za kilka miesięcy ofiarą jego będzie musiał paść sam Gierek i jego ekipa. Nieprzewidywaną trudnością jest jednak znalezienie następcy Jaroszewicza. Rosjanie przygotowywali od dawna na stanowisko premiera Mieczysława Jagielskiego i on jest faktycznie I-szym wicepremierem. Ale po zawale serca nie wrócił do pełni sił i wątpliwe czy podołałby obowiązkom premiera w sytuacji załamania gospodarczego kraju. Gierek chciałby oczywiście by na czele rządu stanął ktoś z jego ekipy. Ale Rosjanie już zgłosili twarde *veto* wobec kandydatury Jana Szydłaka. Zresztą także w aktywie partyjnym Szydłak nie ma szans. Aktyw jest bardzo nacjonalistyczny, a Szydłak był głównym adwersarzem najpierw Moczara, a potem Szlachcica. Szydłak nie daje za wygraną i wysługuje się Rosjanom jak może. Ostatnio wpadł na pomysł zorganizowania w Warszawie konferencji towarzystw przyjaźni z ZSSR ze wszystkich krajów bloku sowieckiego. Pomysł godny czasów stalinowskich. Ale nawet ta najzabawniejsza impreza roku (lub

najsmutniejsza) nie zapewni mu fotela premierowskiego. Ani Rosjanie, ani opozycja wewnętrzna w partii polskiej nie myślą dać Gierka monopolu na władzę. Z tego samego powodu nie mają większych szans na status premiera ani wiceminister Pyka, ani pierwszy sekretarz z Katowic, Zdzisław Grudzień, który poza tym też niedawno miał zawał serca.

Jeśli chodzi o pozostałych wicepremierów to Olszewski uchodzi za głupca, a Teichma nie ma szans uzyskania poparcia Rosjan. Wreszcie Wrzaszczyk był głównym inicjatorem drastycznej podwyżki cen, więc jego nominacja byłaby prowokacją wobec opinii. W gruncie rzeczy nie ma więc kandydata na miejsce Jaroszewicza. I to też powoduje przedłużanie się jego premierostwa.

Naturalnie są także kandydatury opozycji. Ale opozycja wewnętrzna partii jest ostrożna. Nie chce podzielić losu Moczara i Szlachcica. Wie, że Gierek w taktyce jest zręczny i umie przekonać Rosjan. Opozycja ma w aktywie partyjnym większość. Gierek rządzi wbrew większości, z woli Rosjan, i w tym cała jego siła i słabość. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ i gdy w Moskwie coś drgnie Gierek może z dnia na dzień wylecieć z siodła. Najmniej ukrywa swą opozycyjność wobec I-szego sekretarza Józef Kępa. Niespodziewanie stał się alternatywą. Gierek chciał go się pozbyć już w 1971 roku. Udało mu się utracić Moczara i Szlachcica, ale nie Kępę. I-szy sekretarz warszawskiego Komitetu partii czuje się dziś mocno w siodle. Dotąd mieszkał w kamienicy na Polnej, a teraz buduje sobie pałac w stolicy, jedną z najwytworniejszych rezydencji rządowych. Człowiek uważany w 1968 roku za małą kreaturę policyjną okazał się lepszym graczem niż stare policyjne wygi. Korzysta z mitu moczarowca-nacjonalisty, ale współzawodniczy z Gierkiem w usługach wobec Sowietów. Większość aktywów partyjnych jest nadal bardzo silnie nacjonalistyczna. Jest także teoretycznie dość antysowiecka. Ale już nie wierzy, żeby zmiana Gierka na Kępę urealniła narodowy komunizm. Aparatczycy, którzy reżyserowali antygomulkowski przesilenia w latach 1968 i 1970, wiedzą już, że sowiecka polityka imperialna nie dopuści do unarodowienia komunizmu w Polsce.

Wobec tego wewnętrzna opozycja w partii, tacy ludzie jak Kępa czy Stefan Olszowski są równie prosowieccy jak Gierek. Licytowanie się w uległości wobec ZSSR jest bodajże głównym powodem kryzysu władzy w Polsce. Kierownictwo partii robi bowiem nie to, co byłoby najsluszniejsze dla kraju, ale to, czego domagają się Rosjanie. Gierek i jego przeciwnicy bez przerwy walczą o ich względy. Walkę tę przerywają tylko pomruki oporu społeczeństwa i buntu robotniczego. Wtedy znów partia gorączkowo zawraca z wcześniej obranego kursu.

Rosjanie obciążają kraj ponad siły. W 1970 roku Polska wydała na inwestycje 228 miliardów złotych, a w 1975 ponad dwukrotnie więcej, bo aż 530 miliardów złotych. Liczbami tymi szczycą się jako dowodem „dynamicznego rozwoju”. Prasa zachodnia głupawo powtarzała ten frazes o dynamicznym rozwoju, nie biorąc

pod uwagę faktu, że udział produkcji rynkowej w całej polskiej wytwórczości przemysłowej spadł do poniżej 30 %. Tak daleko idące dysproporcje przesądzą dwie rzeczy: po pierwsze gospodarka polska jest nastawiona nie na cele rozwoju narodowego, ale została głęboko wprężona w realizację celów sowieckich w RWPG; po drugie dysproporcje te nie dadzą się wyrównać dołączającymi środkami wspierającymi produkcję rynkową, ale wymagają zmiany całej strategii gospodarczej, tak aby służyła ona celom polskim, a nie sowieckim.

Kryzys władzy w PRL będzie trwał tak długo dopóki partia nie uzyska od Rosjan zgody na zmianę generalnych preferencji strategii rozwojowej. Rosjanie bardzo chcą spokoju w Polsce i byłiby skłonni do niejednej koncesji w gospodarce i kulturze, żeby go sobie zapewnić. Tymczasem jednak grupy partyjne zamiast dążyć do uzyskania ulg w ramach RWPG, w uległym wykonaniu żądań sowieckich widzą drogę umacniania swoich wpływów.

Dlatego sądzimy, że załamanie gospodarcze jest w Polsce wynikiem kryzysu władzy i zbyt jednostronnego uzależnienia od Sowietów.

Z pewnością nie jest to jedyna przyczyna fiaska gierkowskiej strategii dynamicznego rozwoju. Jest to jednak przyczyna całkowicie przemilczana po wstrząsie jaki nastąpił pod koniec czerwca, po podwyżce cen. Dlatego zasadniczym żądaniem, jakie należy wysuwać pod adresem reżymu, jest ujawnienie nie fragmentów, ale całego obrazu naszej sytuacji gospodarczej.

Władzom warszawskim najwygodniej jest mówić o przyczynach braku cukru, zapalek, czy o złym klimacie. Całościowy obraz gospodarki polskiej pozostaje pilnie strzeżoną tajemnicą. Dotyczy to szczególnie handlu zagranicznego, polityki dewizowej, wymiany ze Wschodem. W kraju będącym jednym z największych producentów węgla na świecie brakuje opału na zimę i energii elektrycznej. Polska zbudowała po wojnie całe gałęzie nowych przemysłów narodowych. Rezultaty ekonomiczne ich działalności nie są jednak dla kraju korzystne. Krótko mówiąc są korzystne dla innych. Polska ma węgiel, siarkę, miedź a stale ratuje sytuację w handlu zagranicznym sprzedawaniem żywności, której jej najbardziej brakuje. Brak jest nie tylko mięsa i cukru, ale także mąki, kasz, jarzyn, ziemniaków. Cóż tu mówić o dynamicznym rozwoju, w kraju w którym brak butów, zapalek, kuchenek, mebli i w ogóle wszystkiego. Najtańszy samochód kosztuje równowartość 30-krotnych przeciętnych zarobków miesięcznych. Cena metra kwadratowego mieszkania spółdzielczego dochodzi do sumy 15 tys. złotych. Czyli małe dwupokojowe mieszkanie musi kosztować ponad pół miliona złotych — równowartość około 150-krotnych przeciętnych zarobków miesięcznych. Uczciwy, normalny, nieuprzywilejowany obywatel mógłby kupić mieszkanie po ok. 15-tu latach pracy, jeśli przez ten czas zrezygnowałby z jedzenia. Gospodarkę polską niszczy biurokratyczny system zabijający każdą formę inicjatywy ludzkiej. Następnie niszczy ją absur-

dalna polityka gospodarcza obecnego kierownictwa. Nie jest ono zdolne harmonizować rozwój poszczególnych dziedzin życia ekonomicznego. Nie umie przewidywać i planować czego najdramatyczniejszym przykładem jest zaniedbanie infrastruktury w stosunku do produkcji przemysłu. Każdy pociąg w Polsce na trasie 300 kilometrów ma 1-2 godziny opóźnienia. Dworce kolejowe są przeładowane pociągami towarowymi. Na połączenie telefoniczne trzeba czekać godzinami. Numery informacji kolejowej, telefonicznej, centrale międzynarodowe są wiecznie zajęte i przeciążone.

Nikt nigdy nie wyjawiał społeczeństwu jak rozdzielono 10 miliardów dolarów kredytów zagranicznych. Nasuwa się przypuszczenie, że duża część tych funduszy została zużyta na potrzeby całej RWPG, gdyż nie wpłynęły one na zmniejszenie napięcia rynku i zwiększenie produkcji rynkowej. Jest ona w pewnym sensie podrzędnym, pobocznym terenem ekonomiki polskiej.

Jeśli dodamy do tego załamanie gospodarki rolnej wynikające z odpływu ludzi ze wsi i upadku gospodarstw indywidualnych, oraz niskiej wydajności gospodarstw uspołecznionych, łatwo przedstawić sobie co czeka kraj. Dodajmy do tego stały nacisk Sowietów na dyskretne przeprowadzenie kolektywizacji, a obraz przyszłości stanie się jeszcze bardziej ponury.

Do kraju przenikają jednocześnie wiadomości świadczące o niesłychanej wrogości ZSSR wobec Polski i Polaków. W Rosji upowszechnia się plotki, że trudności gospodarcze Sowietów są spowodowane koniecznością pomagania nieudolnym Polakom. Organizacje partyjne i kierownictwo wyższych uczelni w ZSSR dostały wyraźne instrukcje, żeby na studia akademickie nie przyjmować Polaków i Żydów. Wiadomość ta jest pewna. Pochodzi od profesorów sowieckich przybywających na zjazdy naukowe do Polski.

Krótko mówiąc Polskę z jednej strony wykorzystuje się gospodarczo dla potrzeb Rosji i RWPG, a z drugiej strony niszczy się jej kulturę, wzbudza nienawiść narodów ZSSR do Polaków i dyskryminuje ludność polską w Rosji.

Grupa rządząca w ZSSR robi to wszystko świadomie. Jej niechęć do Polski i Polaków wynika z niemożności wtłoczenia naszego kraju i naszej kultury w ciasne ramy schematów przeznaczonych dla państw satelickich. Co więcej, kultura polska i nasza odmienność promieniują na inne kraje obozu i na samą Rosję. To budzi zaś nienawiść i chęć dyskryminowania polskości.

Ekipa rządząca w Warszawie utrzymuje się przy władzy za cenę akceptacji antypolskiej polityki Moskwy. Historia osądzi ją za to nadzwyczaj surowo. Ale oportunizm ekipy warszawskiej doprowadził już do permanentnego kryzysu władzy. Rząd oportunistyczny wobec Rosjan stał się również bojaźliwy wobec uświadamiającej sobie swą siłę klasy robotniczej. Gierek przez 5 lat oportunistycznie unikał jawnej, częściowej podwyżki cen. Względny racjonalności ekonomicznej podyktowały mu w tym roku

generalną podwyżkę, tak wysoką że społeczeństwo błyskawicznie ją odrzuciło.

I obecnie Gierek sam nie wie co właściwie ma robić. Doraźnie ingeruje tam, gdzie napór społeczeństwa jest silniejszy i całą nadzieję pokłada w poparciu Rosjan.

Ale czyż można w ten sposób rządzić rozwiniętym organizmem gospodarczym? Czy Gierek może się utrzymać tylko za zasadzie oportunistu wobec Rosjan i kombinacji bojaźliwości i terroru wobec społeczeństwa?

Odpowiedź na te oba pytania musi wypaść negatywnie. Losy ekipy rządzącej są przesądzone i jej egzystencja polityczna jest tylko kwestią czasu.

Nie mniej smutne są losy komunizmu w Polsce jako prądu ideowego. Przeżywamy okres całkowitego jego załamania się. Polską rządzi ekipa całkowicie wyobcowana ze społeczeństwa. Polska jest rządzona najgorzej ze wszystkich krajów bloku sowieckiego. Bez względu na to jaki układ personalno-frakcyjny ukształtuje się i dojdzie do władzy po Gierku, rządy komunistyczne w Polsce zużyły się do reszty. Sytuacja stała się nadzwyczaj poważna. Jeśli Rosjanie jej nie zrozumieją i nie dopuszczą do reform i powstania polskiego modelu socjalizmu, to kraj nasz znajdzie się w fazie nieustannych wstrząsów gospodarczych i politycznych. A Rosjanie będą mieli najmniej spokoju tam, gdzie im na nim najbardziej zależy: Nad Wisłą, na szlaku Moskwa-Berlin.

Zygmunt MERKA

Widziane z Brukseli

STO PIERWSZY KWIAT

I. Komunikat oficjalny o tajnym posiedzeniu delegatów na XI-ty Zjazd Komunistycznej Partii Chin

„...W toku posiedzenia tajnego delegaci na XI-ty zjazd KP Chin wysłuchali referatu tow. Hua Kuo-fenga, przewodniczącego KC partii na temat „Kult jednostki i jego skutki”. Zjazd powziął na ten temat odpowiednią uchwałę...”

II. Komunikat oficjalny o tajnej uchwale na temat skutków kultu jednostki

„...Po wysłuchaniu referatu tow. Hua Kuo-fenga na temat

kultu jednostki i jego skutków, XI Zjazd KP Chin zaaprobował jednomyślnie referat i powierzył Komitetowi Centralnemu zadanie podjęcia niezbędnych kroków dla całkowitego wyeliminowania obcego duchowi marksizmu-leninizmu kultu jednostki, dla likwidacji jego skutków we wszystkich dziedzinach działalności partii, państwa i w ideologii i dla bezwzględного przestrzegania wypracowanych przez Wielkiego Lenina zasad życia partyjnego i kolektywnego kierownictwa...".

III. Tajny referat tow. Hua Kuo-fenga na XI Zjeździe KP Chin „O kulcie jednostki i jego skutkach” (fragmenty)

„Towarzysze,

Celem tego referatu nie jest dogłębna krytyka życia i działalności Mao Tse-tunga. Jego rola w przygotowaniu i przeprowadzeniu rewolucji socjalistycznej jak również w walce o zbudowanie socjalizmu w naszym kraju jest powszechnie znana. Niewątpliwie Mao Tse-tung oddał w przeszłości znaczne usługi partii, klasie robotniczej i międzynarodowemu ruchowi robotniczemu. Dziś jednak interesuje nas co innego: jak mogło dojść do tego, że kult osoby Mao Tse-tunga stale narastał, że mógł on w pewnym momencie stać się źródłem coraz poważniejszego naruszenia zasad partyjnych, demokracji partyjnej i rewolucyjnej praworządności”.

Wróg klasowy

...Mao Tse-tung był twórcą koncepcji „wroga klasowego”. Pojęcie to automatycznie zwalniało władzę od obowiązku przeprowadzania dowodu winy u osób odmiennie myślących. Pojęcie to pozwoliło na zastosowanie jak najbardziej okrutnych represji wobec kogokolwiek, kto nie zgadzał się z Mao Tse-tungiem i na likwidację fizyczną tych osób. ...Specjalna komisja KC zbadała okoliczności w jakich Mao Tse-tung mógł prowadzić masową eksterminację członków i zastępców członków KC. Komisja zbadała archiwa organów bezpieczeństwa i stwierdziła istnienie bardzo poważnych faktów pogwałcenia praworządności socjalistycznej. Stało się jasne, że bardzo liczni działacze partii, państwa i gospodarki poddani w latach 1949-1976 okrutnym prześladowaniom, nie byli ani wrogami, ani szpiegami, ani rewizjonistami, ani agentami burżuazji, a byli zawsze uczciwymi komunistami. Komisja przedstawiła w tej sprawie Komitetowi Centralnemu ogromny materiał dowodowy.

I tak np. w okresie między 1949 a 1956 r., inaczej mówiąc w latach umacniania władzy ludowej, miliony ludzi zostało rozstrzelanych lub zesłanych do obozów koncentracyjnych pod fałszywym zarzutem działalności kontrrewolucyjnej. Wśród nich znajdowało się wielu komunistów, a nawet członków wysokich instancji partyjnych. Należeli oni do tzw. pokolenia zwycięzców,

co samo przez się wskazuje na absurdalność oskarżenia. Jak można było podejrzewać o dwulicowość ludzi, którzy w walce o zwycięstwo rewolucji zaglądali nieraz śmierci w twarz... W 1951 roku Mao Tse-tung powołał do życia Trybunały Ludowe, które stały się najostrzejszym narzędziem kolektywizacji wsi i socjalizacji miast.

Wszystko to odbywało się w atmosferze hysterii i fanatyzmu. Mao nakazał przeprowadzenie procesów publicznych, gdzie rolę sędziów sprawowały tłumy. Jakież to sprzeczne, towarzysze, z naszą tradycją, to publiczne żądanie krwi, to podniecanie mas i to przy pomocy wszystkich środków propagandy. Naturalnie, jesteśmy jeszcze ciągle daleko od dokładnych obliczeń, nie wiemy nawet czy w ogóle możliwe będzie dojście do prawdziwych danych co do wielkości strat. Na razie wystarczy powiedzieć, że jak wynika ze wstępnych obliczeń, kolejne czystki i nieustające właściwie kampanie, poczynając od reformy rolnej a potem kolektywizacji, poprzez kampanie „trzech anty” i „pięciu anty”, wielki skok naprzód, no i skończywszy oczywiście na rewolucji kulturalnej, pociągnęły za sobą między 35 a 63 milionami ofiar. A gdzież są ofiary obozów „wychowania przez pracę”? Nie mamy, to jasne, dokładnych danych. Wystarczy powiedzieć, że do organizacji obozów Mao zaprosił doradców Stalina. A przecież znane nam są skutki gułagu. I jakaż hipokryzja przy tym? „Trzeba się sprzeciwić” wołał Mao. „Tak, ale nie nam”, dodawali pochlebcy z jego otoczenia.

Tybet

Towarzysze,

Niech mi wolno będzie powiedzieć, że Chiny ludowe dumne są, i słusznie, ze swego modelu państwa wielonarodowego. Czyż nie zapewniliśmy pełnej równości praw wszystkim ludziom żyjącym w przyjaźni w naszej wielkiej ojczyźnie? Tym bardziej monstrualne jawią się inspirowane przez Mao Tse-tunga akty samowoli i gwałtu leninowskich zasad polityki narodowościowej. Wystarczy zacytować przykład Tybetu. Dlaczego deportowano setki tysięcy mieszkańców Tybetu, któremu wszak Chiny przyniosły wolność i równość, jakiemu celowi służyć miało zniszczenie pradawnej kultury i tradycji tego pokojowego narodu?...

Czerwona książeczka

Towarzysze,

Kult jednostki osiągnął tak monstrualne proporcje przede wszystkim dlatego, że korzystając ze wszystkich możliwych sposobów Mao Tse-tung sam kierował gloryfikacją swej osoby. Jednym z najbardziej charakterystycznych przykładów jest historia „czerwonej książeczki”. Nie warto nawet szukać przykładów

samouwielbienia, pozwólcie tylko powiedzieć, że zabrakło w końcu słów odpowiednio mocnych dla wyrażania zachwyty i że sformułowania w tym celu używane aprobowane były przez samego Mao, a często przez niego dopisywane. Czerwona książeczka, zawierająca — jak towarzysze przecież wiedzą — przeważnie banały, rozeszła się w ponad 500 milionach egzemplarzy. Nasuwa się pytanie: czyżby czerwona książeczka aż tak doskonale odzwierciedlała socjalistyczne przekształcenia w naszej ojczyźnie? Nie, wcale nie. Czerwona książeczka odzwierciedlała jedynie myśli Mao Tse-tunga, wszystko w niej związane było z jego imieniem. Czy prawdziwy marksista-leninista może w ten sposób stawiać sam sobie pomnik? Czyż może pozwalać aby szły pod niebiosy wyrazy hołdu dla jego własnej osoby? Nawet cesarze czy mandaryni nie posunęli się tak daleko...

Co przetrwało?

Towarzysze,

Mao Tse-tung otoczony był kliką pochwalców, ludzi bez zasad, zawsze gotowych na wykonanie jakichkolwiek zadań. Desygnowany w swoim czasie przez Mao osobiście jako jego „najbliższy towarzysz broni”, Lin Piao (który później zaginał w ciągle jeszcze niewyjaśnionych okolicznościach) napisał przedmowę do „czerwonej książeczki”. Pisał on: „Myśl Mao Tse-tunga stanowi prawdę powszechną. Musiały upłynąć wieki w historii świata i dziesiątki wieków w historii Chin zanim nadeszło szczęście i pojawił się geniusz tak wielki jak przewodniczący Mao... Wszystko to co jest zgodne z myślą Mao, jest prawdą, wszystko to co jest z nią sprzeczne, jest fałszywe i reakcyjne...”.

Towarzysze,

Kult jednostki spowodował stosowanie całkowicie błędnych zasad w działalności gospodarczej i politycznej. Otoczony przez licznych pochlebców, specjalistów od fałszywego optymizmu i spryciarzy, Mao podejmował katastrofalne decyzje. Specjalne komisje Komitetu Centralnego badają obecnie kampanie Mao noszące nazwy „100 kwiatów”, „wielkiego skoku naprzód”, a przede wszystkim „rewolucji kulturalnej”. Zanim komisje zakończą swoje prace można powiedzieć, że, po pierwsze „wielki skok”, zakończył się porażką i spowodował opóźnienie w rozwoju naszego kraju, że, po drugie, „wielka proletariacka rewolucja kulturalna” spowodowała ogromne zamieszanie pojęć, kolosalne straty w kadrze i odrzucenie przez cały świat chińskiego modelu jako przykładu zwycięskiej rewolucji socjalistycznej oraz sprawiła, że dystans między krajami uprzemysłowionymi a Chinami względnie i bezwzględnie się zwiększył. Ze wszystkich „zwycęstw maoizmu” przetrwał jedynie kult osoby Mao i utrzymało się związane z tym kultem bezprawie.

W tych warunkach nie można się dziwić, że obecna kadra

działaczy wykazuje wahania, obawia się wszystkiego co nowe, że jej brak inicjatywy i poczucia odpowiedzialności.

Ho i Teng

Wystarczy przypomnieć los Ho Lunga, bohatera Wielkiego Marszu (ten okres też wymaga zbadania; jak wynika z nieopublikowanych dokumentów Mao poświęcił dziesiątki tysięcy ludzi najzupełniej niepotrzebnie, tylko w imię własnej pychy). Po zwycięstwie rewolucji w 1949 roku Ho Lung, choć bez wykształcenia, mianowany został marszałkiem i ministrem. W czasie rewolucji kulturalnej został wytarzany w błocie i zmarł nic nie rozumiejąc ze stawianych mu zarzutów. Jego syn, podobnie jak syn marszałka Czen I — innej ofary rewolucji kulturalnej — został zastrzelony w trakcie próby (może spowodowanej) przedostania się do Hong Kongu. Albo inny przykład. Teng Hsiao-ping, bohater wojny domowej, marszałek i sekretarz generalny partii obalony został i obrzucony kalumniami przez czerwonych gwardzistów, inspirowanych przez Mao. Powrócił do czynnej działalności w 1972 roku, kiedy kraj stał na skraju katastrofy. Mianowany wicepremierem, wiceprzewodniczącym KC partii i szefem sztabu głównego, objął faktycznie kierownictwo rządu w czasie choroby Czu En-lai'a. Po śmierci premiera, Teng został ponownie — na mocy decyzji Mao — pozbawiony wszystkich stanowisk, okrzyczany zdrajcą i agentem burżuazji i rewizjonizmu. W ciągu dziesięciu lat rewolucji kulturalnej zniknęli nasi najlepsi marksiści od Ting Ling'a, weterana Wielkiego Marszu, po Mao Tun'a; od poety Ai Czing'a do Czen Po-ta; od Lao Sze do Li Ta... A jak straszny był los Liu Szao-tsi, prezydenta Chin okrzyczanego „chińskim Chruszczowem”, zesłanego i skazanego na powolną śmierć w zapomnieniu, jeżeli nie pogardzie. A gdzie podział się inny bohater naszej rewolucji Hsiao Hua? Do czegoż innego, towarzysze, niż strach i zastój w kadrze może prowadzić takie traktowanie najlepszych synów ojczyzny?!

K u l t

Do czegoż innego jak karygodne oglupienie młodzieży prowadzić może tak obłądny kult jak ten, jaki Mao narzucił czerwonym gwardzistom w czasie i po rewolucji kulturalnej. Oto jak opisane zostało, na użytek młodzieży, spotkanie Mao z gwardzistami:

„Przyjęcie jakie zgotował im przewodniczący Mao przepełniło czerwonych gwardzistów nieopisaną siłą i mądrością... Liczni gwardziści otworzyli potem czerwone książeczki i spoglądając przez łzy na portret naszego wielkiego wodza wołali: Wielki przewodniczący Mao, widzieliśmy cię. Liczni wpisali tę najszczerliwszą w ich życiu datę na okładkach książeczek z cytatami Mao, inni na ramieniu lub dłoni...”.

A oto, towarzysze, cytat z filmu na temat tego spotkania:
 „Szanowany ponad wszystko i kochany przewodniczący Mao, dzień po dniu, i noc po nocy, marzyliśmy aby cię ujrzyć. I oto dziś jesteśmy u twego boku. Żadne słowo nie potrafi wyrazić naszej wielkiej miłości dla ciebie, żadna pieśń nie wyśpiewa naszej radości... Z głębi duszy życzymy ci życia bez kresu...”. A oto, towarzysze, jak nasza młodzież zmuszana była opisywać takie wydarzenia: „Uścisnęliśmy dłoń przewodniczącego Mao. Nie, nie uścisnęliśmy, wystarczyło bowiem lekko dotknąć jego ręki aby potężny strumień ciepła objął nasze ciała i ogrzał nam serca. Dało nam to siłę nie do poskromienia...”.

O b ł ę d

Towarzysze,

Nic dziwnego, że w tych warunkach dochodziło do prawdziwego obłądzenia. Nikt nie odważył się pokazać bez czerwonej książeczki. Każdy artykuł w naszej prasie, niezależnie od tematu, odpowiadał żelaznemu schematowi: po krótkim zdaniu wprowadzającym w temat, następował odpowiedni cytat z Mao Tse-tunga oraz egzegeza tego cytatu. Decyzje zastępowane były lekturą cytatu. Strach przed improwizacją i samodzielnym myśleniem sprawiły, że każde zebranie przekształcało się w zbiorowe czytanie cytatu, że nikt nie ryzykował improwizacji, każdy przygotowywał swe wystąpienia z góry i nie zmieniał tekstu, nawet jeśli fakty mu zaprzeczały.

Myśl Mao jawiła się jako magiczny i uniwersalny klucz, jako dźwignia zdolna ruszyć z posad bryłę świata. Cytat z Mao pomagał listonoszowi odcyfrować niewyraźny adres. Szofer ciężarówki oświadczył: „Stosuję myśl Mao przy manewrowaniu kierownicą”. Śmieciarz oznajmiał, że myśl Mao znakomicie poprawiła jego sprawność i wydajność. Chirurg przyszywał odcięte palce dzięki „myśli maotsetung”, robotnicy, żołnierze, i pingpongiści osiągnęli znakomite wyniki dzięki umiejętnemu posługiwaniu się cytatami Mao.

C u d a

Towarzysze,

Poprzez tego typu licytację w cytatach udało nam się dojść w naszym komunistycznym, materialistycznym kraju, do zjawisk ponad-naturalnych, do cudów. Dzięki cytatom z Mao głusi odzyskiwali słuch, wariaci wracali do rozumu. W początkach 1969 roku publiczności w Pekinie pokazano niezwykle spektakl teatralny. Śpiewakami byli wyleczeni głuchoniemi, lektorami tekstu — byli ślepcy, tancerzami — byli paralitycy. A wszyscy oni zgodnie wołali, że wyleczeni zostali dzięki „myśli maotsetung”. Albo przykład grupy chłopów izolowanych przez nagłą powódź.

Według naszej prasy wyszli oni z życiem, albowiem „nie poddali się fali, a trwali na malejącym skrawku ziemi, wysoko, ponad falami dzierząc portrety Mao i głośno recytując jego nauki”. W 1969 roku, 13 stycznia aby być dokładnym, gazety doniosły, iż żołnierz Heo Ming-fa nie zawahał się wskoczyć do ogarniętego płomieniami składu materiałów wybuchowych. Pomyślałby kto, iż wskoczył on po to, aby uratować gmach i mieszkańców okolicznych domów. Nie, wcale nie. Żołnierz wskoczył po to, aby uratować portret Mao. Kiedy portret był już poza zasięgiem ognia, He wrócił w płomienie, ale wtedy zginął już od wybuchu. Po trzęsieniu ziemi we wrześniu 1976 roku prasa doniosła o bohaterstwie człowieka, który, zgodnie z naukami Mao, najpierw ratował działaczy partyjnych, a kiedy wrócił w zgłiszczą po własne dzieci, one już nie żyły.

Gdzieśmy byli?

Towarzysze,

W tych warunkach możecie nas zapytać: a gdzie było Biuro Polityczne i Komitet Centralny? Dlaczego towarzysze z kierownictwa nie wystąpili od razu, wtedy, przeciw objawom kultu jednostki. Dlaczego dopiero dziś to czynią?

Przede wszystkim dlatego, że wielu z nas czynnie i wiernie pomagało Mao, kiedy był on rzeczywiście jednym z najlepszych marksistów, kiedy jego siła woli, logika i energia w dużym stopniu prawidłowo wyznaczały linię partii. W tym okresie należało zwalczać jego wrogów, bo byli to wrogowie rewolucji. Potem zaś było już za późno. Sprzeciwić się woli Mao oznaczało paść ofiarą represji. Aby określić atmosferę z okresu kultu jednostki pozwólcie, towarzysze, zacytować słowa jednego z najbliższych współpracowników Mao, marszałka i członka Biura politycznego. Powiedział on do mnie kiedyś, po opuszczeniu siedziby Mao Tse-tunga: „Nie zawsze wiadomo gdzie się znajdziemy po spotkaniu z Mao: w domu czy w więzieniu”. Mao, z wiekiem, stawał się coraz bardziej podejrzliwy. W czerwcu 1976 roku, na kilka tygodni przed śmiercią Mao wezwał do siebie kilku członków Biura Politycznego. W pewnej chwili powiedział: „Na pewno niektórzy z was czekają na moją śmierć”. Kiedy odpowiedziałem, że to nie odpowiada prawdzie, Mao odrzekł: „Na pewno jeden taki się znajdzie”. Jeżeli dodać, że w ciągu długich lat ani Komitet Centralny ani Biuro Polityczne nie były zwoływane, że rola instancji została zredukowana do zera a ich praca całkowicie zdeorganizowana, to można zrozumieć jak trudno było członkom tych organów sprzeciwić się takiej czy innej decyzji Mao Tse-tunga.

Zadanie to było tym trudniejsze, że jak towarzysze już wiedzą, dostęp do Mao był właściwie niemożliwy. Otoczony był on bowiem kliką rodziną, a także grupą karierowiczów, znanych pod nazwą grupy z Szanghaju. Władze bezpieczeństwa zneutralizowały na szczęście w porę Cziang-Czing, wdowę po Mao, jego

bratanka oraz innych członków rodziny, a także innych spiskowców, kiedy przygotowywali oni fałszywy testament Mao w celu przejęcia władzy i mianowania Cziang Czing przewodniczącą KC partii. Spisek zakończył się fiaskiem. Armia i władze bezpieczeństwa pozostały bowiem i pozostaną zawsze w służbie partii i mas ludowych. Niech mi wolno będzie, towarzysze, z tego miejsca wyrazić im raz jeszcze naszą wdzięczność i zaufanie.

C i c h o

Towarzysze,

Zagadnienie kultu jednostki powinniśmy rozpatrzyć poważnie i do końca. Żadna jednak informacja na ten temat nie może wydostać się na zewnątrz, a przede wszystkim prasa nie powinna nic wywahać. Wszystko ma swoje granice, nie powinniśmy dostarczać amunicji wrogowi, nie powinniśmy pracować brudnej bielizny w jego obecności.

Towarzysze,

XI Zjazd Komunistycznej Partii Chin z nową siłą wykazał niezniszczalną jedność naszej partii, jej wolę urzeczywistnienia wielkiego celu: zbudowania komunizmu (Burzliwe oklaski). Ujawnienie i wszechstronne przedyskutowanie wszystkich aspektów kultu jednostki wykazuje wielką siłę moralną i polityczną naszej partii (Oklaski długo nie milnące).

Jesteśmy przekonani, że partia nasza mocna w uchwały XI-go zjazdu poprowadzi naród chiński do nowych zwycięstw na drodze wytyczonej przez Lenina (Oklaski burzliwe i długo nie milnące).

Niech żyje leninizm, zwycięski sztandar naszej partii! (Oklaski burzliwe i długo nie milnące, przechodzące w owację. Wszyscy wstają).

(Uwaga: wybór fragmentów, tytuły i subtytuły są dziełem redakcji *Kultury*).

IV. Komunikat jawny i własny o niezwołaniu XI zjazdu KP Chin i o niewyłączeniu tajnego referatu

Wydrukowany dziś tajny referat istnieje na razie tylko w wyobraźni autora. XI zjazd nie został zwołany i nie wiadomo kiedy zwołany zostanie. Wiadomo natomiast, że zwołany na pewno zostanie i że tajny referat, taki czy podobny, zostanie na nim wygłoszony. Wiadomo także, że ani jedno słowo z tajnego chińskiego referatu, wydrukowanego dziś w *Kulturze*, nie zostało zmyślane. Wszystkie fakty pochodzą z historii Chin, a wszystkie sformułowania, z wyjątkiem niezbędnej kosmetyki, zaczerpnięte zostały z tajnego referatu Chruszczowa, wygłoszonego 24 lutego 1956 roku na tajnym posiedzeniu XX Zjazdu KPZS w Moskwie.

Oczywiście, wynikający z tego tekstu kontur postaci Mao jest karykaturalny. Każdy fachman potrafi ciągnąć w nieskończoność

spis z natury i z przeszłości Mao, tym bardziej łatwy do zreferowania, że do dziś nie istnieje książka zawierająca oficjalną biografię Mao.

Był to człowiek nieprzeciętny. Kierował, nie spoglądając na koszt, kolosalną operacją wyprowadzenia Chin z głodu i chorób, z mandarynowatego rozdarcia, doprowadził do uniezależnienia Chin od ZSSR i USA, do pozycji super-mocarstwa jeszcze nie groźnego wprost dla bezpieczeństwa naszego świata, ale już niezbędnego w jego urzędowaniu. Mao był politykiem i działaczem, filozofem i poetą, organizatorem i inspiratorem, ale przede wszystkim był człowiekiem i był tyranem. Ponieważ jednak Mao, człowiek i tyran, pozwolił deifikować się za życia, przeto prędzej czy później będzie musiał zejść z ołtarza, lub raczej zostanie z niego strącony.

V. Referat jawny o niezbędności referatu tajnego

Wszak Stalin też nie był jedynie twórcą gułagu czy czystek, a mimo tego jedyny poważny tekst jaki, jak dotąd, na jego temat został w ZSSR napisany, to 100 stronic tajnego referatu Chruszczowa, to znaczy tajnego spisu zbrodni Stalina. Na temat Mao też taki tekst musi powstać. Z dwóch zasadniczych powodów.

Ktoś musi odpowiadać

Po pierwsze dlatego, że ktoś musi płacić za błędy i zbrodnie przeszłości. Ponieważ po śmierci szefa u władzy pozostaje ta sama uprzedmiotowiona grupa, przeto winny jest nie system i partia, a najlepiej jakiś jeden człowiek, *de préférence* martwy. Martwy, ale aktywny tyran to jeden z najlepszych wynalazków socjalizmu i jedyna właściwa forma i szansa pisania pod nazwą „tajnego referatu na temat kultu jednostki” historii tych krajów. W państwie, gdzie potrafią zataić przed 800 milionami ludzi wyładowanie pierwszego człowieka na księżycu, redakcja takiego referatu przedstawia mniejsze trudności niż gdziekolwiek indziej.

Po drugie, dlatego, że tyrani jak Stalin czy Mao mają następców, ale nie mają następcy, z czego wynika, iż ledwo tyran zamyka oczy, to wybucha walka o władzę. W demokracji istnieją wybory. W dyktaturach sukcesorów wyznaczają spryt, intryga, kombinacje, a czasem, jak w westernach, szybkość strzelania z Colta. Po śmierci Stalina namaszczone kolektywne kierownictwo składające się z trojki Beria, Malenkow, Chruszczow. Najpierw drugi i trzeci rozstrzelali pierwszego, potem trzeci wykonał drugiego. Po obaleniu Chruszczowa namaszczone trojkę: Podgorny, Kosygin, Breżniew. Już od dawna pierwsi dwaj się nie liczą. W Chinach nie będzie inaczej.

Walka o władzę w Pekinie wybuchła natychmiast po śmierci

Mao. Mówiąc w skrócie w kierownictwie chińskim zwalczają się dwa skrzydła, radykalne i umiarkowane, oba zresztą tak ekstremistyczne, że na lewo od nich jest już tylko mur. Ale spór nie idzie o pryncypia a o władzę, więc jest nieubłagany. W chwili śmierci Mao radykałowie byli górą. Jeszcze w kwietniu 1976 roku udało im się wywołać zamieszki i rozpętać nagonkę, która doprowadziła do ponownego usunięcia Teng Hsiao-pinga i okrzyknięcia go i jego grupę szpiegami, no i, oczywiście, sabotażystami.

Ale umiarkowani zmańdrzeli. Pogrzeb Mao został opóźniony, uroczystości żałobne miały charakter intymny, tylko milion osób otrzymało prawo do oficjalnych spasmów, a przede wszystkim przeszedł w całkowitym spokoju, bez scen nieukojonego żalu, bez strzelaniny, nawet zwłoki zniknęły i nikt nie wiedział, czy w ogóle zwłoki jeszcze żyją.

Po miesiącu okazało się, że Mao jako pierwszy Chińczyk, będzie miał wspaniałe mauzoleum, aby w kryształowej trumnie zachować na wieczność ciało i że wydane zostaną dzieła wszystkie (na razie znane są w druku tylko nauki zebrane do 1949 roku), aby zachować na wieczność „myśl maotsetung”.

Tego samego dnia Hua Kuo-feng okazał się być przewodniczącym Komitetu Centralnego partii i przewodniczącym Komisji Wojskowej KC, czyli szefem grupy następców Mao. Z depesz wynika, że pierwsi zareagowali dowódcy okręgów wojskowych nadsyłając do KC bardzo uniżone posłania. Najważniejszy dowódca, ten z Pekinu, nadmienił, że „armia ludowa gotowa jest do obrony rewolucji w każdej chwili i w każdych okolicznościach”.

Po kilku dniach już było wiadomo co miał na myśli najważniejszy dowódca. Wojsko mianowicie, a także policja, poparły Hua Kuo-fenga w decydującej rozgrywce o schedę po Mao. Pekinolodzy, którzy przez miesiąc defilowali przed kamerami wszystkich telewizji świata po prostu się mylili. Przez miesiąc, kiedy ci panowie i panie (panie były najbardziej rozmiłowane w Mao) nie przestawali się wymądrzać na temat roli mas w historii, nieustannej rewolucji i wieczności myśli Mao, w Pekinie, pod fałszywą fasadą jedności trwały nieubłagane frakcyjne walki o władzę. Hua w końcu zlikwidował (zdaje się, że dość brutalnie) sojusz nepotyzmu i karierowiczostwa. Żona Mao i jego bratanek, a także dwóch domniemanych jego zięciów zostali odsunięci, tak jak np. odesłany został w alkoholyczną śmierć syn Stalina, jak wrzucony został w niebyt Adżubej, zięć Chruszczowa, lub jak znikną w dzień po upadku lub śmierci Ceausescu, jego żona i synowie, którymi ten rumuński watażka obstarwił się w domu i w KC.

Zwycięstwo Hua zgodne jest naturalnie z modelem sowieckim (nawet testament się znalazł) innego jeszcze socjalizm nie wymyślił. W Chinach, jak i w ZSSR, jak w Polsce w grudniu 1970 roku, zwyciężył aparat partyjny, którego panowanie zakłada w możliwie maksymalnym stopniu niezakłócony rozwój nowej burżuazji. Ze wszystkich klęsk maoizmu, ta jest największa:

w miesiąc po śmierci Wielkiego Sternika, w wyniku zwyczajnej mafijnej rozróby i przy całkowitym lekceważeniu mas, które w ogóle nie tylko nic nie wiedziały, ale które jak się wydaje, nawet się tym wszystkim nie interesują, zatriumfowała w Pekinie biurokracja, ta biurokracja na której zwalczanie Mao poświęcił właściwie wszystko, z postępem Chin włącznie. Czystka jest w toku, plan pięcioletni podlega rewizji (ma zostać zwiększona wymiana z Zachodem) a w Pekinie pojawił się znowu (już drugi raz) Teng Hsiao-ping, domniemany następca Czou En-lai'a, ten sam który odrzucony został przez Mao jako zwolennik „poddania Chin zachodniej dominacji technologicznej”.

Od 9 października bież. roku Hua jest jedynym upoważnionym interpretatorem „myśli maotsetung” i wszystkiego co z tego wynika. Bardzo piękna kariera jak na byłego ministra bezpieczeństwa, który w wieku lat 54 biega za szczeniaka w sędziwym establishmentie w Pekinie.

Pytanie, jak długo będzie biegać. Osobiście przypuszczam, że próba się jest kwestią czasu i to nie długiego. Wojsko pamięta, że choć to marszałek Moskalenko osobiście, na prośbę Chruszczowa, rozstrzelał Berię, a marszałek Żukow uratował tegoż Chruszczowa i jego kolegów (m.in. Breżniewa) od grupy antypartyjnej Molotowa, to jedyne nominacje na marszałków i na generałów armii zanotowane w ciągu ostatnich lat w ZSSR dotyczą tej miary dowódców i strategów co Breżniew i Ustinow oraz szefowie KGB Andropow i Szczekołow. A co do dzieł zebranych „na wieczność” i co do kryształowej trumny, aby proletariat miał gdzie składać hołd, to przypominam, że minęły tylko trzy lata a już zwłoki Stalina wyprowadzone były po kryjomu z mauzoleum i wrzucone pod mur kremlowski, a o „koryfeusza nauki” żaden poważny marksista dziś nie wspomina, chyba że w celach antynostalgicznych. W Pekinie też żyły szybko schną i zacznie się nieunikniona operacja demaoizacji Mao Tse-tunga i Chin.

Kreml — bez błędu

W tym miejscu odnotować należy trzy rodzaje reakcji na świecie.

Po pierwsze prawidłowo zareagował Kreml. W przewidywaniu bliskiego końca starca z Pekinu, Moskwa już od kilku miesięcy otwarcie głosi, że nic właściwie nie dzieli bratnich narodów Rosji i Chin, z wyjątkiem przebrzydłego Mao. Według prasy sowieckiej tylko Mao odpowiedzialny był za konflikt i z chwilą jego zejścia nic już stać nie będzie na przeszkodzie prawdziwej miłości. W lutym 1976 roku Moskwa rozkolportowała fałszywy testament Czou En-lai'a, z którego wyraźnie wynikało, że — jak to skomentował TASS — zmarły premier „zdecydowany był nie tolerować dłużej impasu w stosunkach sowiecko-chińskich”. Pan Kapica, dyrektor departamentu dalekiego wschodu w ministerstwie spraw zagranicznych oświadczył w wywiadzie dla włoskiego

tygodnika *Espresso*: „Liczymy na nowych przywódców w Pekinie, z nimi potrafimy się dogadać”. Czasopismo *Zagadnienia Dalekiego Wschodu* doniosło, że „kwestia stosunków z ZSSR stanowiła zawsze jądro rozbieżności między Mao a jego przeciwnikami w Pekinie, mającymi szerszą od niego wizję interesów Chin”. W kwietniu *Prawda* postawiła kropkę nad i. Dla p. Aleksandrowa (pseudonim dziennikarski lokatorów Kremla) „Mao był głównym inspiratorem i organizatorem antysowietyzmu... ZSSR uczyni wszystko dla znormalizowania stosunków z Pekinem”.

Kiedy Mao umarł, mimo iż prasa chińska w dalszym ciągu obrzucała błotem rewizjonistów sowieckich i wymyślała im od nowych carów, ani jeden głos w Moskwie nie podniósł się przeciwko Chinom. Bito tylko w czcigodne zwłoki a komentarze, np. z okazji święta narodowego Chin, były otwartymi ofertami pogodzenia się nad otwartą mogiłą Mao. Jeszcze ciało nie ostygło a już *Prawda* odkryła, że „interesy Chin i ZSSR nie tylko nie są sprzeczne, ale nawet się uzupełniają”.

Komuniści próbują

Drugą grupą, która prawidłowo odczytała nekrologi Mao byli niektórzy włoscy komuniści, i to mimo że partia chińska odesłała włoskie kondolencje z napisem „nadawca nieznan”. Alberto Jacoviello, dziennikarz z *Unità*, znany admirator Chin, autor książki, która już przed kilku laty wywołała ostrą dyskusję wśród zachodnich komunistów, wydrukował tym razem krótki artykuł w paryskim dzienniku *Le Monde*. Otóż artykuł ten oskarża Moskwę, że „zajęła wobec śmierci Mao stanowisko obraźliwe” i wyraża żal, że „partie włoska i francuska nie mówiły o Mao za jego życia w taki sposób, jak to uczyniły po jego śmierci”. Ale, mówi Jacoviello, ważna jest przyszłość. „Jądro sporu to odrzucenie przez Pekin hegemonii rosyjskiej... Doktryna o ograniczonej suwerenności to nie wynalazek Breżniewa, a stała praktyka sowiecka od III Międzynarodówki aż po inwazję Czechosłowacji poprzez próbę obalenia Tito i gospodarczego uduśnienia Chin”. Według Jacoviello, problem stosunku do Kremla stoi dziś przed eurokomunistami, którzy w chwili wybuchu sporu chińsko-sowieckiego stanęli bez zastrzeżeń po stronie Kremla. W drodze eurokomunizmu ku autonomii „nic nie będzie możliwe bez zrzucenia hegemonii sowieckiej”. Na jaki temat, woła Jacoviello, dyskutowano przez tyle miesięcy w trakcie przygotowań do konferencji komunistycznej w Berlinie Wschodnim „jeżeli nie nad sposobem uwolnienia zachodnich komunistów, i nie tylko ich, od hipoteki sowieckiej”.

Oficjalnie, to jasne, *Unità* zdezwuowała swego publicystę, a partia oświadczyła, że Jacoviello upraszcza, bo sprawa jest szalenie skomplikowana. W istocie wszyscy jednak myślą tak jak Jacoviello, tylko że jest jeszcze za wcześnie aby można było we Włoszech, a tym bardziej we Francji, tak otwarcie do Pekinu

się umizgać. Postawa Marchais jest wyjątkowo niesmaczna. Jeszcze kilka lat temu nakazał on usunięcie ze święta *Humanité* książki pani Macciocchi, żony Jacoviello, *comme par hasard* właśnie na temat Chin. Dla K.P. Francji, która dziś wyraża dla zmarłego Mao „szacunek i wzruszenie”, kilka lat temu był on jedynie „drobnoburżuazyjnym inteligentem”. Dubczekowi chodziło o „socjalizm o ludzkiej twarzy”. Zachodni komuniści uprawiają „socjalizm nieboszczyków”. Czyż jest ktoś taki na zachodzie, zresztą także i na wschodzie, kto nie zgadzałby się z Jacoviello, że przeciwstawiając się Kremlowi, „Chińczycy wyprzedzili nieodwracalny proces historyczny” i że właśnie i przede wszystkim stosunek do Pekinu „wyznacza dzisiaj stopień niezależności zachodnich partii komunistycznych wobec Moskwy”.

Na kolanach

No i jest jeszcze trzecia grupa, zwana, jak zwykle w naszych rozważaniach, Zachodem, i jak zwykle nic z tego wszystkiego nie rozumiejąca. Sam Mao, przeciwnik ale i uczeń Konfucjusza, wiedział, że śmierć tkwi w sercu życia. „Kiedy ktoś umiera — powiedział Mao — należy w pewnym sensie święcić zwycięstwo dialektyki, święcić zniszczenie starego”. A tymczasem mimo, iż śmierć Mao była bliska, nieunikniona, logiczna, Zachód przeżył prawdziwy wstrząs. Śmierć Mao poraziła wszystkich: z tym samym żalem i w tych samych słowach przez łzy mówili o nim Marchais i Mitterand, Callaghan i Berlinguer, *Humanité* z Paryża i *Times* z Londynu...

Gdyby dawniej istniała prasa to z podobnym jednomyślnym wstrząsem powitałaby upadek Bizancjum lub zburzenie świątyni w Jerozolimie, śmierć Cezara lub Aleksandra Wielkiego. „Ogromna pustka” wystrzelił *Le Monde*. „Wybitny myśliciel, poeta i wojskowy” zauważył *Guardian*. „Wielki uczony, poeta, rewolucjonista i żołnierz” stwierdził *Spiegel*. „Wojskowy geniusz piszący poezję” napisał *Evening Standard*. „Kto dziś czyta *Mein Kampf*” — zapytał przenikliwie choć dwuznacznie *New York Times*, odpowiadając natychmiast — „znacznie mniej od tych, co czytają małą czerwoną książeczkę”. Nie jest to porównanie szczęśliwe. *Mein Kampf* miał w 1941 roku szalony nakład w Europie. Poczytność krótkiego kursu WKP(b) też nie wynikała wyłącznie z historycznej prawdy czy filozoficznej głębi dzieła.

Mężowie stanu też nie odważyli się szargnąć świętości. „Człowiek wielkich zdolności i siły przewidywania” — kompetentnie określił przewodniczącego Mao prezydent Ford. „Latarnia myśli ludzkiej” — poetycko dodał prezydent Giscard d'Estaing. „Jeden z największych przywódców świata” — zaryzykował Olaf Palme (przed przegraniem wyborów). „Jedna z największych postaci w historii ludzkości” — zaliczyła komisja zarządzająca Wspólnym Rynku. W zachodnim chórze żałobników zabrakło tylko irlandzkiego: „Ah, jakież to przepiękne zwłoki”.

Nawet kiedy ktoś pamiętał o nieco dwuznacznej przeszłości Mao, to też tylko po to, aby go bronić przed potwarzą. „Mao nie był tyranem — stwierdził *Times*. — U początków swej kariery sprzeciwiał się nawet rozstrzeliwaniu przeciwników rewolucji i swych rywali”. Tyranem więc według *Times*a jest nie ten kto rozstrzeliwuje w ogóle, a ten kto rozstrzeliwuje rywali. Ten kto rozstrzelał kilkanaście milionów ludzi na miano tyra nie zasłużył. „Mao wyeliminował biedę, epidemie i nieuctwo” — dodał szybko *Observer*. A Franco? — prosił *Observer*a. Dlaczego chociaż wyeliminował on także biedę i epidemie, to Franco (i słusznie) ciągle dla *Observer*a jest tyranem? Czy jak Pinochet wyeliminuje biedę i epidemie, to stanie się „latarnią ludzkości”? Czy ktoś kto potrafił tak obezwładnić 800 milionów ludzi, że w zamian za miskę ryżu bez smaku odebrał im wszelki smak wolności, czy ktoś taki, nawet jeżeli pisze poezję, nie jest tyranem?

A ofiary?

Wśród nielicznych trzeźwych ludzi na Zachodzie był, jak zwykle, Ionescu. *Figaro* odważył się wydrukować jego artykuł „Na klęczkach przed Mao”. Ionescu wykił tam czołganie się przed cieniem tyra i zachodni kompleks niższości pisząc m.in.: „Z tym samym zjawiskiem mieliśmy do czynienia w chwili śmierci Stalina. Zresztą niezupełnie z tym samym. Szaleństwo było wtedy czterokrotnie mniejsze, jako że jest tylko 200 milionów Rosjan, a Chińczyków osiemset. Dziś tylko kacyk małego szczepu afrykańskiego jest godnym pogardy tyranem. Szef państwa albańskiego, który rządzi dwoma milionami ludzi zasługuje już na skromny szacunek. Decyzje dyktatora rumuńskiego czy węgierskiego stają przedmiotem ostrożnych rozważań. Aby stać się gigantem dyktator musi władać losami milionów ludzi, kiedy zaś decyduje o losach setek milionów jest już bogiem...”.

Mężowie stanu, którzy dławili się w poszukiwaniu najbardziej wywazelinowanej formuły dla uczczenia świetlanej pamięci Mao, odmówili z tchórzostwa stawienia się u stóp pomnika ofiar Katynia w Londynie. Ich nieobecność na skromnym cmentarzu londyńskim smuci, ale nie dziwi. Przecież w Katyniu zginęło tylko 15.000 polskich oficerów. Gdyby od kuli w kark padło tam kilka milionów, to co innego. Wtedy, być może, uczczono by nie tylko deifikowanych tyranów, ale także ich ofiary.

Oczywiście, tylko martwe ofiary.

Napoleon Bonaparte powiedział: „Kiedy Chiny się obudzą, świat zadrży”.

Ale wtedy będzie już za późno.

BRUKSELCHYK

P.S. Na rodzinnym wieńcu złożonym u trumny Mao przez jego żonę widniały trzy imiona, jedno męskie i dwa kobiece, jak można się domyślać, należące do jego dzieci. W ten sposób po

raz pierwszy w ogóle imiona te doszły do wiadomości publicznej, przy czym nadal nie wiadomo co robią i gdzie żyją. Pamiętajmy jednak, że w 14 lat po śmierci Stalina jego córka Swietłana skończyła z podróży do Indii aby wybrać wolność i azył w USA. Ostatni wnuk Stalina urodził się w Kalifornii i jest Amerykaninem.

B.

Pisane 15 października 1976

Korespondencja z Rzymu

Bez złudzeń

Kard. Wyszyński zdementował 26 września twierdzenie Gierka, że konflikt pomiędzy Kościołem a Państwem nie istnieje. Równocześnie energicznie zaprotestował przeciwko znieszczeniu treści ostatniego komunikatu episkopatu (9 września na Jasnej Górze). Prasa krajowa mianowicie pominęła m.in. milczeniem cały ustęp dotyczący żądania amnestii dla robotników i położenia kresu różnym formom represji. Przypominając list episkopatu do władz państwowych w tej sprawie, wysłany 17 lipca (dotąd brak odpowiedzi), ks. Prymas oświadczył, że domagano się w nim „zaniechania najrozmaitszych śledztw, udręceń i aresztowań”. W tym samym wystąpieniu zwrócił uwagę na niepokojące zjawisko rosnącego braku rąk do pracy, podczas kiedy wysyła się robotników do NRD (ostatnio 4.500 górników).

W liście pasterskim episkopatu z 19 września, z okazji „Dnia środków masowego przekazu” ogłoszonego przez Papieża, biskupi stwierdzają, że nie mogą milczeć, gdy podstawowe prawa obywatelskie nie są szanowane, a cenzura nie dopuszcza do publikacji oficjalnych tekstów Stolicy Apostolskiej i Kościoła w Polsce oraz „ogranicza dostęp do prawdziwych informacji, do czego wszyscy mają prawo”. Natomiast na zebraniu katechetów w Warszawie, ks. Prymas rozprawił się z tezami min. Kąkole, wygłoszonymi w odczycie w ramach zamkniętego kursu dla dziennikarzy i pracowników sektora agitacji i propagandy. Odczyt ten odbił się głośnym echem w prasie zachodniej. Ks. Prymas demaskuje „kapitalistyczną tezę” Kąkole („wraz z powstaniem społeczeństwa konsumpcyjnego będziemy mieli warunki podobne do tych, jakie istnieją na Zachodzie, co przyspieszy zamieranie Kościoła”). Ironizuje na ten temat: „dążmy więc na Zachód, a nie na Wschód... można powinszować ministrowi, który administruje ‘żywym trupem’ (określenie Kościoła w Polsce, przejęte przez Kąkole z art. Marii Zimmela w piśmie austriackich

jezuitów) i to z nie małym kłopotem osobistym. Jest to jakiś wyjątkowo niesforny trup". Po przytoczeniu obszernych cytatów z *exposé* Kąkola, ks. Prymas konkluduje: „Jest zawsze rzeczą słuszną unikać złudzeń... musimy pamiętać że system dialektyki materialistycznej nadal obowiązuje. Jest on dziś pozycją nie tyle doktrynalną, ile raczej polityczną i jako taki nadal będzie funkcjonować”. Zdaniem Prymasa system ten nie jest skuteczny ponieważ bardziej przekonują o użyteczności systemu realia życiowe aniżeli doktryna („o realiach życiowych mówi się w każdym ogonku... dlatego też widząc małą skuteczność doktryny usiłuje się przesunąć odcinek walki na pozycje kulturalne”).

Optymistyczna nuta, tak charakterystyczna dla Prymasa Polski, nie opuszcza go i obecnie. Nawiązując do wyżej wymienionego wystąpienia Kąkola, przypomina, że szef Urzędu d/s Wyznań przyznał, że „oni mają niewyrobione kadry, że poziom alumnów w seminariach jest wyższy aniżeli studentów na wyższych uczelniach... walka ideologiczna jest nie tylko wrogiem, lecz staje się często naszym sprzymierzeńcem...”.

Przybyszym z Zachodu, zwłaszcza ze środowisk katolickich, rzecznicy partii tłumaczą, że spójność hierarchii kościelnej i prężność katolicyzmu polskiego ogromnie irytują inne kraje bloku sowieckiego. Warto przytoczyć wypowiedź dziennikarza agencji PAP, zamieszczoną w reportażu „Famiglia Cristiana”, który cytowałem w poprzedniej korespondencji: „Nasz rząd nie łatwo może przekonać kraje sąsiednie, by akceptowały rzeczywistość Polski wciąż chrześcijańskiej. Musimy brać pod uwagę więzi łączące nas z obozem socjalistycznym. Partia nie chce walki z Kościołem, ale nie może również stale przegrywać. Aktualna równowaga uniemożliwia udzielenie biskupom dalszych koncesji”. Nie chodzi oczywiście o tzw. koncesje na rzecz Kościoła, lecz o respektowanie praw ludzkich i obywatelskich, czego domaga się zarówno Kościół jak i opozycja demokratyczna. Problem jest znacznie szerszy i poważniejszy niż to starają się, z różnym skutkiem, sugerować rzecznicy partyjni. Kościół nie stanowi społeczności zamkniętej, zainteresowanej wyłącznie obroną własnej autonomii, co doskonale zrozumieli przedstawiciele starszej i nowszej generacji laickiej, demokratycznej opozycji w kraju. Kościół nie może i nie da się zepchnąć do „zakrystii” zgodnie z zamiarami „pragmatycznych” komunistów. Konfrontacja zatem jest nieunikniona bez względu na to czy konflikt przechodzi fazę większego czy mniejszego nasilenia.

Dwie strony medalu

Pismo sowieckie *Nauka i Religia*, zaatakowało gwałtownie w czerwcu bież. roku kardynała F. Koeniga, przewodniczącego watykańskiego Sekretariatu dla niewierzących. Okutów, dyrektor moskiewskiego instytutu „naukowego ateizmu” oskarżył w wiedeńskiego arcybiskupa i pełnomocnika Stolicy Apostolskiej

dla „dialogu” z ateistami (w praktyce z rządami komunistycznymi) o „podjęcie kampanii zaciekłych kalumni na temat sytuacji religijnej i grup wyznaniowych w ZSSR”. (Kardynał Koenig udzielił wywiadu w ub. roku *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, w którym napiętnował „ateizm państwowy” sprowadzający wieżących do „obywateli drugiej kategorii” i, w związku z prześladowaniami katolików w ZSSR, głównie na Litwie, mówił o „religii skazanej na śmierć”).

Z oskarżeniami sowieckiego organu ateistów polemizuje ostatnio mons. V. Miano, sekretarz watykańskiego Sekretariatu dla niewierzących, stwierdzając że pomiędzy ZSSR a Kościołem katolickim nie istniały nigdy „bezpośrednie formy dialogu” ponieważ „sami przywódcy sowieccy odrzucają dialog upatrując w nim przedsięwzięcie złamania spójności ideologicznej, na jakiej opiera się reżym komunistyczny”. Co się tyczy rzekomej wolności religijnej panującej w ZSSR, mons. Miano wzywa Okułowa, by wymienił „wierzących deklarujących się publicznie i zajmujących odpowiedzialne stanowiska np. w aparacie rządowym lub na uniwersytetach”. Powołanie się Okułowa na świadectwo patriarchy prawosławnego Pimena dygnitarz watykański zbija następująco: „Sprawa polega na tym czy patriarcha może występować bez niedomówień, tak jak to czyni Koenig”.

Polemika pomiędzy Moskwą a Sekretariatem dla niewierzących nie przeszkodziła jednak delegacji watykańskiej w wyjeździe do ZSSR. 25 września (trzy dni po ogłoszeniu repliki mons. Miano) delegacja ta, pod przewodnictwem kard. J. Willebranda, abp. Utrechtu i gorącego orędownika „dialogu” ekumenicznego, udała się do Eczmiadina w Armenii dla wzięcia udziału w „uroczystościach ekumenicznych” z okazji 20-letniej rocznicy elekcji „catholicosa” Vaskena I, patriarchy armeńskiego. Następnie delegacja watykańska udała się z „wizytą kurtuazyjną” do Moskwy dla przeprowadzenia rozmów z „władzami rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej”. Na zapytanie, czy delegacja zatroszczyła się o wzięcie z sobą biblii i w ogóle literatury religijnej w językach litewskim, białoruskim i ukraińskim dla prześladowanych lub co najmniej dyskryminowanych katolików, rzecznik prasowy Watykanu nie potrafiłby prawdopodobnie odpowiedzieć. Kiedy metropolita Nikodim, wędrujący ambasador na usługach sowieckiej *Westpolitik* i częsty gość w Watykanie, wylądował w czerwcu bież. roku na lotnisku Łódź, celnicy izraelscy stwierdzili że bagaż delegacji moskiewskiego patriarchatu składał się z kilkudziesięciu walizek i odkryli niezliczoną ilość prezentów, a wśród nich „niemałą liczbę butelek wódki i puszek kawioru” (według dziennika izraelskiego w języku rosyjskim *Nasza Strana*). Jakiego rodzaju prezenty zawiózł swym moskiewskim rozmówcom kard. Willebrand — waszemu korespondentowi nie udało się stwierdzić.

Dominik MORAWSKI

Pisane 6 października 1976

Co Robić?

Spór o socjalizm w Polsce

Pomysł napisania tego artykułu pojawił się w związku z pytaniem o socjalistyczną opozycję w Polsce. Pytający nie zauważył stopnia komplikacji takiego pytania kiedy dotyczy ono kraju, w którym marksizm od trzydziestu z górą lat jest doktryną oficjalną, gdzie otwarte dyskutowanie socjalistycznej tradycji jest zabronione, gdzie władza nazywa siebie władzą socjalistyczną, a swoich przeciwników — przeciwnikami socjalizmu.

Zaryzykowałbym stwierdzenie, że wszelka opozycja w Polsce, włącznie z Kościołem, jest opozycją socjalistyczną. Znaczenie takiego stwierdzenia jest dość ograniczone. Socjalizm oznacza w tym momencie proste przeciwieństwo kapitalizmu i to tego kapitalizmu, który został opisany przez Engelsa w „Położeniu klasy robotniczej w Anglii”. Innymi słowy istnieje zgoda powszechna na niezbywalność pewnych reform socjalnych, tradycyjnie podejmowanych przez ugrupowania socjalistyczne. Większość tego typu reform przeprowadzona została dawno we wszystkich wysoko rozwiniętych krajach, nie są one tam przez nikogo kwestionowane i zapomniano już o ich związku z ideą socjalizmu. Tymczasem w Polsce, Czechosłowacji czy w ZSSR można do dziś spotkać ludzi, którzy są „za socjalizmem” ponieważ są za ośmiodziesięcioletnim dniem pracy, prawem do urlopu, prawem do ubezpieczenia na wypadek choroby itp.

Ten naiwny obraz socjalizmu jako przeciwstawienia kapitalizmu sprzed stu lat jest systematycznie podtrzymywany przez środki masowego przekazu i wszelkie instytucje kształcenia. Skuteczność tej indoktrynacji jest na tyle silna, że robotnicy w krajach socjalistycznych wysuwając jakiekolwiek żądania ekonomiczne czy wolnościowe, z reguły łączą je z wyraźnymi deklaracjami wierności dla idei socjalistycznej.

Oczywiście formułowanie tego typu deklaracji z okazji spon-

tanicznych wystąpień nie jest związane wyłącznie ze skutecznością komunistycznej indoktrynacji. Deklaracje takie mają po części charakter taktyczny, ze względu na fakt, że władza systematycznie pomawia wszelkich uczestników strajków i demonstracji o postawę antysocjalistyczną i kontrrewolucyjną. Wreszcie, formułowanie takich deklaracji wiąże się również z wyobrażeniami na temat socjalizmu jakim on „powinien” czy „mógłby” być. Dochodzimy tu do otwartych żądań politycznych i do sporu robotników z władzami o interpretację pojęcia socjalizm.

Zazwyczaj prezentowana przez robotników „wizja socjalizmu” ma charakter negacji pewnych instytucji wcześniej ochrzczonych przez władzę jako socjalistyczne. Instytucje te to przede wszystkim „socjalistyczna dyscyplina pracy”, „socjalistyczne związki zawodowe”, „socjalistyczna władza” itp. Dla ogromnej większości społeczeństwa wyrażenia te mają silny, negatywny ładunek emocjonalny, a w rozmowach prywatnych używane są często w odzieniu ironicznym, jako zwroty charakteryzujące władzę i jej działania.

Inne postawy, a przynajmniej bardziej życzliwe nastawienia wywołują zwroty, w których socjalizm występuje jako rzeczownik, któremu towarzyszą jakieś dodatkowe określenia. Należą tu takie hasła jak „socjalizm demokratyczny”, „socjalizm humanistyczny”, „socjalizm o ludzkiej twarzy” itp. (Znakomitą analizę tych rozróżnień semantycznych przedstawił swego czasu J. Nowakowski w artykule pt. „Mówi Warszawa”, *Kultura*, nr 300 i 301).

O ile pierwsza grupa nazw (typu „socjalistyczna praworządność”) ma charakter konserwatywny i używana jest przez środki masowego przekazu szczególnie często w momentach kiedy władza próbuje przecisnąć się naciskiem społecznym na zmianę, to druga grupa nazw właśnie implikuje zmiany i używana jest głównie przez różnego typu ugrupowania opozycyjne.

Konkretne żądania robotnicze związane z ideą socjalistyczną nieodmiennie ogniskują się wokół następujących problemów:

- a) zmiany procedury wyborów do władz związków zawodowych, rad robotniczych i organizacji partyjnych w zakładach pracy (protest przeciwko narzucaniu „reprezentantów” załogi do tych organizacji);
- b) swobody wypowiedzi, szerszej i uczciwej informacji w środkach masowego przekazu (protest przeciw prześladowaniom za indywidualną krytykę i przeciw systematycznemu fałszowaniu obrazu rzeczywistości społecznej w prasie);
- c) przywrócenia prawa do strajku i niekaralności strajkujących.

Powyższe żądania charakteryzują i w pewnym stopniu wyczerpują spór o interpretację socjalizmu między władzą i robotnikami.

Dwie inne grupy społeczne — intelektualści i Kościół podejmują ten spór na wyższym szczeblu abstrakcji.

Próba prezentacji różnych interpretacji socjalizmu przyjmowanych przez opozycję w Polsce wymaga cofnięcia się do roku 1945 kiedy to świat zachodni odmówił dalszego kredytu zaufania zdominowanemu przez socjalistów polskiemu rządowi na emigracji, a w kraju odbywały się masowe aresztowania tych działaczy socjalistycznych, którzy nie chcieli lub mogliby nie chcieć współpracować z komunistyczną Polską Partią Robotniczą. W ten sposób, w ciągu dwóch lat prowadzono intensywne przygotowania do połączenia PPS i PPR w wierną Moskwie PZPR, przy równoczesnym stopniowym zastępowaniu pojęcia komunizm na mniej drażniące słowo socjalizm.

Spór o interpretację socjalizmu między intelektualistami i władzą rozpoczął się wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej na tereny polskie. Dość typowymi reprezentantami różnych kierunków w tym sporze byli m.in. Stanisław Ossowski, Stefan Żółkiewski, Julian Hochfeld i Adam Schaff. Z tej czwórki Stanisław Ossowski od początku przeciwstawiał się koncepcji marksizmu jako szkoły, a swoje sympatie dla socjalizmu czerpał z głębokiej wiedzy na temat całej tradycji socjalistycznej. Spuścizna Marksa oznaczała dla tego pisarza ważną część myśli społecznej; część, z której należy obficie czerpać ale do której nie wolno się ograniczać. Pojęcia socjalizm używał Ossowski przemienne jako nazwy pewnego zbioru wartości oraz jako nazwy zjawiska społecznego, ruchu wyłonionego w następstwie przemian struktury społecznej. Czuli na komplikacje semantyczne nadzwyczaj ostrożnie tego pojęcia używał.

Pozostali trzech pisarze deklarowali się jako marksiści, uczestnicy ruchu, którzy swoje poglądy prezentowali jako socjalistyczne, a sami czuli się spadkobiercami jedynie słusznej tradycji. Aczkolwiek różnice między nimi były ogromne, w ostatecznym rachunku wszyscy trzech znaleźli się na liście wyklętych przez reżym rewizjonistów.

W tamtym okresie reprezentantem oficjalnie uznanej teorii socjalizmu był Adam Schaff. Socjaliści, Stefan Żółkiewski i Julian Hochfeld, marzyli jeszcze o stalinizmie o ludzkim obliczu i pośpiesznie przystosowywali się do nowej sytuacji. Po 1956 roku najpierw oni obydwa zbliżyli się do stanowiska Ossowskiego, a w 1965 sam Adam Schaff znalazł się po drugiej stronie barykady. (Z przykrością piszę te słowa o Julianie Hochfeldzie, wydaje mi się jednak, że polityczny kompromis ludzi takich jak Hochfeld czynił znacznie więcej spustoszeń w środowisku akademickim aniżeli wystąpienia marksistowskich karierowiczów o wątpliwym autorytecie moralnym).

Przypomnienie dyskusji między Ossowskim i Schaffem wydaje się niezbędne dla wyjaśnienia późniejszych komplikacji sporu o interpretację socjalizmu między władzą a opozycją w Polsce.

W 1947 roku ukazał się, napisany o pięć lat wcześniej, obszerny artykuł Ossowskiego pt. „Ku nowym formom życia społecznego”. W artykule tym autor prezentuje swoją koncepcję ustroju politycznego w Polsce. Bezpośrednie lub pośrednie echa tej rozprawy znajdujemy dziś w pracach wszystkich poważnych autorów podejmujących opisywany spór i to począwszy od tak znanych nazwisk jak Kołakowski, Bieńkowski, Hirszowiczowa, Brus czy Schaff a skończywszy na pisarzach najmłodszych jak Marek Tarniewski, który wprost podejmuje postulaty i nurt rozważań Ossowskiego.

Koncepcja ładu społecznego postulowanego przez Stanisława Ossowskiego wychodzi od problemów gwarancji praw jednostki ludzkiej przy założeniu równoważności złożonych problemów zabezpieczenia interesów społeczeństwa jako całości.

Formułując cele dotyczące jednostki Ossowski pisze:

„1) Stworzyć warunki, które by pozwoliły każdemu osiągnąć jak najpełniejszy rozwój indywidualny, warunki, które by pozwoliły jak najbujniej wyzyskać możliwości tkwiące w charakterze i umyśle każdej jednostki.

2) Dać ludziom atmosferę swobody i sprawiedliwości, dać im poczucie godności własnej — w takiej mierze w jakiej to zależy od organizacji życia społecznego”.

Natomiast cele demokratycznej organizacji życia społecznego ujęte z punktu widzenia zbiorowości Ossowski przedstawia następująco:

„1) Stworzenie takich warunków życia społecznego, aby jak największa liczba obywateli była zainteresowana i przejęta losami społeczeństwa jako całości.

2) Usunięcie rozdarcia istniejącego w obecnych zbiorowościach, które dzielą się na uciskających i uciskanych.

3) Zlikwidowanie systemu, który powodował trwałą stabilizację elit kulturalnych i elit rządzących, a wytworzenie natomiast warunków sprzyjających jak najswobodniejszej dynamice w doborze elit. [...] Ułatwienie awansu społecznego i w ogóle plastyczności osobistego składu struktury społecznej (która) współdziała z dążeniami do likwidacji klasowego charakteru zbiorowości.

4) Usunięcie przeszkód natury społecznej, ekonomicznej i politycznej ku wzajemności i bogactwu życia kulturalnego”.

Aczkolwiek cele te są dziś formalnie uznawane przez obydwie strony coraz większej ostrości nabiera spór o ich praktyczną interpretację.

Ossowski znakomicie dostrzegał różnorodne komplikacje jakie mogły się wyłonić z racji przyjęcia tych celów do realizacji. W tym samym artykule pisał:

„System wolności ekonomicznej, opartej na demokratycznych reformach zrodził nową formę ujarzmiania klas upośledzonych. Rząd powołany do obrony społeczeństwa przed tyranią wielkiego kapitału, rząd powołany do wyzwolenia mas z zależności ekonomicznej łatwo może się przerodzić w potęgę

likwidującą demokrację polityczną, chociażby z tą motywacją, że demokracja polityczna jest narzędziem w ręku grup dominujących pod względem ekonomicznym. Opieka państwowa nad kulturą tudzież planowa gospodarka mająca umożliwić demokratyzację życia ekonomicznego i kulturalnego może stać się narzędziem centralizacji i standaryzacji zabijającej dynamikę kulturalną i ujmującej w jednolite karby rozwój duchowy jednostek.

Demokracja wymaga jednak daleko idących reform gospodarczych — stwierdza Ossowski. Reformy te z kolei wymagają ograniczenia prywatnego władania środkami produkcji i planowania procesów gospodarczych i społecznych. Stwarza to nowe niebezpieczeństwa, które nie powinny skłaniać do cofania się przed reformami.

„...czeka na nas kluczowe i, być może, najtrudniejsze zdanie współczesnej demokracji — jak pogodzić centralizację kierownictwa niezbędną do tego, aby życie społeczne rozwijało się w sposób racjonalny, bez zderzeń spowodowanych współistnieniem niezharmonizowanych działań, z samorzutnością procesów kulturalnych; jak ją pogodzić z taką autonomizacją środowisk lokalnych, która by umożliwiła różnorodność form życia, swobodę wyboru, inicjatywę drobnych grup i jednostek.

Zadanie to jest tym donioślejsze, że wykracza poza zakres spraw gospodarczych — dla urzeczywistnienia postulatów demokracji potrzebne jest planowanie nie tylko w tej dziedzinie. [...] Tylko za pomocą wielkiej planowej akcji da się przeprowadzić demokratyzację szkolnictwa, przeobrażenie wielkich ośrodków wielkomiejskich, szerokie udostępnienie najwyższych wartości kulturalnych”

— stwierdza Ossowski w tym samym artykule.

Autor proponuje tu utworzenie wielostopniowej struktury życia społecznego, gdzie koordynacja działań byłaby następstwem raczej stopniowych porozumień aniżeli nakazów i przymusu. Możliwość stworzenia takiej struktury uzależniona jest od stopnia zabezpieczenia swobód politycznych.

Zarówno możliwość ograniczenia niebezpieczeństw centralnego planowania realizowanego przez państwo jak i szanse planowania opartego na systemie wzajemnych porozumień związana jest z istnieniem wolności słowa. Wolność słowa jest filarem demokratycznego ustroju, a

„...swoboda krytyki — pisze dalej Ossowski — nie tylko daje możliwość kontroli społecznej nad organami kierowniczymi, ale paraliżuje działanie fikcji społecznej”.

Rozprawa Ossowskiego pierwotnie nie wywołała większej dyskusji. Prawdziwą karierę przeżyła ona dopiero po jej kolejnej publikacji w 1956 roku. Natomiast dwa inne artykuły Ossowskiego opublikowane w 1948 roku, spotkały się z żywą odprawą zarówno Schaffa jak i Hochfelda. Pozornie ostatnie słowo należało do Ossowskiego. On to zamknął dyskusję na łamach ówczesnej *Myśli Współczesnej*, a wkrótce potem odebrano mu prawo prowadzenia wykładów i publikacji. W artykułach tych pt. „Doktryna marksistowska na tle dzisiejszej epoki” oraz „Teore-

tyczne zadania marksizmu” Ossowski (socjolog a nie marksista) kładł podwaliny pod bogato reprezentowany w polskiej socjologii i filozofii lat 1956-68 — marksizm otwarty. Krytycy umieścili wówczas Ossowskiego w grupie burżuazyjnych uczonych, nierozumiejących dynamiki przemian społecznych. Wydaje się jednak, że cytaty z artykułu pisanego jeszcze w 1943 roku wskazują wyraźnie, że ją nie tylko rozumiał, ale i przewidywał.

W latach 1949-1956 spór o interpretację pojęcia socjalizm toczył się między towarzyszami partyjnymi, przy drzwiach zamkniętych oraz przy użyciu innej aparatury pojęciowej. Kolejne rozdziały sporu nosiły nazwy krytyki i samokrytyki, a zakończenie tej części sporu przybrało postać pierwszego poważniejszego zatargu o rozumienie socjalizmu między władzą i robotnikami w Poznaniu.

W 1956 roku ukazał się również znamieny artykuł Leszka Kołakowskiego pt. „Co to jest socjalizm?”. W artykule tym na dwóch stronach maszynopisu przedstawia Kołakowski listę zjawisk z otaczającej nas socjalistycznej rzeczywistości, które z pewnością socjalizmem nie są. Końcowym zdaniem artykułu jest pozytywna definicja socjalizmu — „Socjalizm to dobra rzecz!”. Tego typu konstrukcja myślowa przez wiele lat odpowiadała świadomości nie tyle autora artykułu co większości Polaków. To silne przekonanie o tym, że „socjalizm to dobra rzecz” skłoniło również wielu do „intelektualnej przygody z marksizmem”. Przez kilka lat po Październiku, w ramach uniwersytetów i na łamach prasy, próbowano uprawiać „otwarty marksizm”. W tym okresie pojawiły się na półkach księgarskich dziesiątki interesujących książek i to napisanych zarówno przez ludzi deklarujących się jako marksiści jak i przez ludzi wyznających wartości tradycyjnie związane z socjalizmem, ale stroniących od tego typu deklaracji.

Warto tu wymienić przynajmniej kilka takich pozycji, które stanowiły nie tylko wydarzenie w świecie naukowym, ale przez swoją interpretację zagadnień ustrojowych — również wydarzenie w świecie politycznym. Do pozycji takich zaliczyłbym w pierwszym rzędzie Stanisława Ossowskiego „Strukturę klasową w świadomości społecznej”, Juliana Hochfelda „Studia o marksowskiej teorii społeczeństwa”, Włodzimierza Brusa „Ogólne problemy funkcjonowania gospodarki socjalistycznej” i wreszcie książkę zagubionego przedstawiciela drugiej strony sporu — Adama Schaffa „Marksizm i jednostka ludzka”.

Publikacja tej ostatniej pozycji zamyka okres, w którym spór o interpretację pojęcia socjalizm toczył się między władzą i intelektualistami mniej lub bardziej otwarcie. Ostatnim akordem tego etapu a zarazem aktem otwierającym etap następny, w którym socjalistyczna opozycja w socjalistycznej Polsce przechodzi do konspiracji, był „List otwarty” Kuronia i Modzelewskiego. Od tej pozycji kolejne publikacje krajowej opozycji socjalistycz-

nej ukazują się w Paryżu. Tytuły tych pozycji w pewnym stopniu mówią same za siebie: „Motory i hamulce socjalizmu”, „Drogi wyjścia” — Bienkowskiego, „Obecność mitu” — Kołakowskiego, „Komunistyczny Lewiatan” — Marii Hirszowicz, „Ewolucja czy rewolucja” — Marka Tarniewskiego, wreszcie opublikowana nie w *Kulturze*, ale również w emigracyjnym *Aneksie* książka W. Brusa — „Uspołecznienie a ustrój polityczny”.

U wszystkich tych pisarzy na czoło wysuwa się problematyka obrony swobód jednostkowych, wolności słowa, socjalizacji własności państwowej, a wreszcie organizacji życia społecznego na zasadach politycznego pluralizmu. Część z nich jak Kuroń i Modzelewski, Bienkowski czy Brus odmawiają nazwy socjalizm na określenie współczesnej rzeczywistości w Polsce. Pozostali próbują uporać się z kłopotami terminologicznymi stwierdzając, że to co jest, jest jedną z form systemu socjalistycznego, której przeciwstawić można inne alternatywy.

Jeśli zgodzimy się z Marią Hirszowicz, która świadomie ogranicza definicję socjalizmu do problematyki własności środków produkcji, to poszukiwanie dla współczesnych państw przemysłowych, w których dominuje kolektywna własność środków produkcji, nazw innych niż socjalizm nie ma głębszego sensu. Wypada raczej zgodzić się z faktem że mogą istnieć i istnieją różne formy życia społecznego w socjalizmie, że (przynajmniej dla tych społeczeństw) socjalizm nie jest już wartością samą w sobie, a system ten jest raczej obiektem przemian niż punktem docelowym. W starciach o te przemiany przymiotnik „socjalistyczny” używany dla określenia różnych instytucji, częściej bywa stosowany przez grupy, które cechuje postawa zachowawcza aniżeli przez grupy zmierzające do zmiany. Pojęcie socjalizm nabrało w socjalistycznej rzeczywistości tak silnego ładunku negatywnego, że socjolog badający przywiązanie do wartości tradycyjnie związanych z socjalizmem, zrezygnować musiał z użycia tego terminu w ankiecie aby nie zniekształcać wyników badań.

Rzecz charakterystyczna, pisarze emigracyjni, a w szczególności Juliusz Mieroszewski, mają znacznie większą swobodę operowania słowem socjalizm aniżeli pisarze krajowi czy też wychowani w kraju, gdzie komunistyczna propaganda dokonała tak wielkich spustoszeń w języku, iż przywrócenie pierwotnej wartości niektórych pojęć nie jest już możliwe.

Wydaje się, że uprawnione jest stwierdzenie, iż nie ma dziś w Polsce ugrupowań, które zmierzałyby do przywrócenia systemu kapitalistycznego. Natomiast w samym aparacie władzy jak i wśród opozycji obserwuje się różne koncepcje dalszego rozwoju. Rozgraniczenia nie są łatwe. Zarówno opozycja jak i *establishment* jest socjalistyczny, a spór ogniskuje się wokół dwóch centralnych i ściśle powiązanych ze sobą problemów: modelu planowania społecznego oraz koncepcji swobód politycznych. Dodatkową linią podziału tworzy stosunek do sprawy suwerenności

państwowej. W dużym uproszczeniu wyróżnić tu możemy cztery kategorie postaw:

	Zwolennicy centralnego planowania nakazowego i „socjalistycznej demokracji”.	Zwolennicy planowania społecznego przez system wzajemnych porozumień i „demokratycznego socjalizmu”.
„internacjonalisci”	1) Postawa zachowawcza względem sowieckiego modelu ekonomicznego przy założeniu utrzymania dotychczasowego wzoru zależności od ZSSR.	3) Tendencja do przeprowadzania reform ekonomicznych i politycznych przy postawie zachowawczej względem dotychczasowego wzoru zależności od ZSSR.
„naciejści”	2) Postawa zachowawcza względem sowieckiego modelu gospodarczego i politycznego oraz tendencja do uniezależnienia się od ZSSR.	4) Tendencja do reform ekonomicznych i politycznych z uwzględnieniem rodzimych tradycji kulturalnych i politycznych oraz dążenie do odzyskania pełnej suwerenności państwowej.

Wydaje się, że trudno byłoby dziś znaleźć przykłady autentycznych zwolenników kategorii pierwszej. Natomiast zwolennicy kategorii drugiej i trzeciej stanowią dość często podstawę tworzenia się frakcji w łonie aparatu władzy. Wyłanianie się frakcji partyjnych odwołujących się do hasł wymienionych w kategorii trzeciej wydaje się być funkcją stopnia oporu społecznego wobec postaw z kategorii pierwszej i drugiej. Kategoria czwarta to grupa ludzi o różnych poglądach, których łączy dążenie do stworzenia takiej sytuacji, w której władza liczy się nie tylko ze spontanicznymi wybuchami protestu, ale kiedy musi uwzględniać postawy i opinie ludności na co dzień.

Wbrew oczekiwaniom marksistów przejście od dyktatury do demokracji nie dokonuje się na drodze rewolucyjnej. Możliwości ewolucji systemu w kierunku demokracji zależą głównie od poziomu świadomości i społecznych postaw. Nie lekceważę tu okoliczności zewnętrznych w postaci zbrojnej przemocy, jednak w warunkach stabilizacji politycznego systemu nawet w dyktaturach wyłaniają się możliwości otwartej gry politycznej. Dyktatura i terror możliwa jest w warunkach anomii, dezorientacji i atomizacji społecznej. Możliwość swobodnego operowania przymusem przez elitę władzy trwa jednak tylko tak długo jak długo nie wykształcą się nowe wzory zachowań, wzory postaw integrujące grupy społeczne w stopniu stanowiącym realne zagrożenie dla władców.

Przez dwa pokolenia obserwowaliśmy dominację postaw frustracyjnych — ustawicznego wahania się między postawą rezygnacji i ugodowości, a spontanicznymi odruchami protestu. Były to pokolenia bez programu. Jeszcze przejęci duchem wielkich

reformatorów dążących do zmiany społecznego ładu — byliśmy już świadkami niedoskonałości owych zmian. Pojawiały się i wówczas inne wzory zachowań. Ale tych nie umieliśmy zrozumieć ponieważ nawiązywały do tradycji zbyt odległej. Powrót do kwestii praw obywatelskich wydawał się propozycją oczywistą i... w dziwny sposób niewystarczającą aby mógł być podstawą poszukiwanego programu. Trzeba było wystąpienia Sacharowa aby dotarł do nas sens wystąpienia Marii Ossowskiej, Antoniego Słomińskiego, Tadeusza Kotarbińskiego. Niespodziewanie owa czwarta kategoria stała się jednoznacznym i zwartym programem. Programem dysponującym memoriałem 59, bogatą literaturą i poparciem poważnej części społeczeństwa.

Czy można zatem mówić o zmianie postaw społecznych? Wydaje się, że tak, że dojrzało pokolenie gotowe podjąć spór o praktyczną interpretację socjalizmu, pokolenie, które nie rozważa już swojej przegranej ale szansę zwycięstwa. Walka o obywatelskie prawa stała się programem i strategią.

Codzienny zdecydowany nacisk społeczeństwa może odebrać słowo socjalizm ów sens pejoratywny, którego nabrało ono dziś w Polsce i innych krajach Wschodniej Europy.

Andrzej KORASZEWSKI

Kilka uwag o programie PPN*

Napisałem ten skrót i jakiś niepokojący dreszcz przebiegł przez moje ciało. Przypomniałem sobie program „Pokolenia Polski Niepodległej”, głoszony przez młode środowiska w ostatnich latach dwudziestolecia międzywojennego. Skojarzenie na pewno błędne, ale nieuniknione. Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego słusznie ocenia „potrzebę wyjścia poza doraźne protesty i sformułowania pozytywnych dążeń narodu”. Prawdopodobnie również oceniono we wstępie do programu „rozbicie na grupy i sfery”, oraz nieporadność intelektualną naszego społeczeństwa. Daleko nam do tego, by osiągnąć powszechne pragnienie walki o samodzielność i niepodległość, jakie cechowało Polaków w latach drugiej wojny światowej. Założenia zawarte w pięciu punktach, stanowiące podstawę do przemyśleń, słuszne są w swej treści, ale w sformułowaniach mogą dawać impuls do błędnej interpretacji. O ile pierwsze dwa punkty o suwerenności i równości praw obywatelskich muszą stanowić podstawę myślenia

każdego Polaka-patrioty, to o następnych nie można już tego powiedzieć. Prawdopodobne stwierdzenie w trzecim założeniu, że „wierząca większość Polaków” nie powinna być politycznie dyskryminowana, nie zawiera dalszego ciągu. Sugerowane w tym założeniu zorganizowanie stronnictwa „katolików-Polaków” wiedzie na błędną drogę przedwojennej „konkordatowej zasady religii panującej”. Zła to tradycja, bo gdy mówi się o dyskryminacji nie wolno zapominać o tolerancji, mającej niezbyt chlubne tradycje z okresu międzywojennego.

Młodzi ode mnie o całe pokolenie (50-55 lat v. 75), nie zdawali sobie sprawy jak wielki popełniają błąd, powołując się na tradycje państwowości polskiej od XVI-go wieku aż do II-giej wojny. Jeżeli nawet myśl polityczna świątłych Polaków zdążyła do upowszechnienia praw obywatelskich (Kołłataj, Staszic, naczelnik Kościusko, naczelnik Piłsudski), to już praktyka rządzenia państwem i narodem temu przeczyła (magnaci z Targowicy, dyktatorzy z powstania 1830/31, elita ozonowa lat 30-tych). Dodajmy jeszcze do tego programy stronnictw politycznych z okresu międzywojennego; każde z nich grzeszyło brakiem programu państwowego, tzn. programu dla wszystkich obywateli. Tylko program polityczny OZON'u wyraźnie określał dominację „elity” i posłuszeństwa reszty społeczeństwa (nawet w czasie wojny zwolennicy Sikorskiego propagowali rządy parlamentarne, lecz z „silną władzą centralną”). Wszystko to lepsze na pewno od „dyktatury proletariatu” i rządów biurokracji partyjnej komunistów, nie może jednak być wzorem dla przyszłej struktury politycznej w Polsce. Nie jestem zwolennikiem anarchii, ale uważam, że musi być wyważona zależność między obywatelem a władzą centralną w państwie, gdyż zbyt wielka swoboda to anarchia, a zbyt silny rząd to ograniczenie swobód. System narzucony nam przez obcych a także swoich biurokratów jest upokarzający, ale nie pozbawiony tradycyjnych ciągot nacjonalistycznych i kacykow-skich. Ostatnie wreszcie założenie o cywilizacji grecko-łacińskiej i chrześcijańskiej jest o tyle prawdziwe, że prawie każdy Polak chciałby utrzymać związek z tą kulturą, lecz brak wzajemności z drugiej strony. Szczególnie narody z regionów kultury anglo-germańskiej podejrzejwią nas o cechy dzikusów ze Wschodu. Czy to się da zmienić?

Przejdźmy teraz do zadań Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Gdy czytam idealistyczne sformułowania celów do osiągnięcia, czuję się jak człowiek, który wyszedł z tunelu o złej wentylacji na zakurzony gościniec. Po prostu trudno jest nie cieszyć się dopływem do płuc ożywczego tlenu. A że tumany wzbijanego przez pojazdy kurzu wywołują piekący ból w oczach i pchają się do uszu, refleksja przychodzi dopiero po jakimś czasie. Pytań jest ilość ogromna, a odpowiedzi w całym programie całkowicie pewnych znacznie mniej. Gdy czytam słowo „suwerenność”, myślę jaka? Taka jak USA, ZSSR czy Chińskiej Republiki Ludowej — na pewno nie. A może taka jak Anglii, Francji, Kanady, Japonii, Iranu? Też bardzo wątpliwe. A zatem

* Kultura Nr 7/8 (1976).

suwerenna współzależność — tak jak NRF, Włochy, Norwegia, Tajwan, Jugostawia, Kuba. Współzależność, a więc od kogo? Wszyscy Polacy współgospodarzami w swoim państwie, jakaż to piękna zasada, ale zaraz budzi się wątpliwość: czy te dwa i pół miliona członków PZPR* też? Czy odtworzone Stronnictwo Narodowej Demokracji, szukające porozumienia z każdym rządem na Kremlu, też? Pytań bez końca, a odpowiedzi choć nie łatwe muszą być znalezione, aby Polacy mogli uznać ten poprawiony program, tak jak uznali w czasie wojny konieczność walki z hitleryzmem. Musimy też pamiętać, że przy przeciwstawianiu się sowieckim zamiarom nie byliśmy już tak jednomyślni.

Swobodny i powszechny rozwój kultury i nauki, otwarcie okien na szeroki świat, jest prawem niezaprzeczalnym każdego Polaka, a w warunkach swobody wypowiedzania swoich przekonań można będzie taki program uściślić. Warunek jest jeden, lecz niezwykle trudny do osiągnięcia. Można by go sformułować tak: „Wymiana poglądów i przekonań dopuszczalna, ale walka ideologiczna i propaganda natrętna i systematyczna — nie”. Czy jest to osiągalne dziś lub jutro? Raczej nie.

Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego zakłada konieczność powstania trwałej, wielopartyjnej demokracji w Polsce. Trzeba to uznać za przeciwstawienie się monopartyjnej „roli kierowniczej PZPR”, opartej „rzekomo na zasadzie wewnątrzpartyjnej demokracji”. Musimy jednak i tu pamiętać o tradycji narodowej, tzn. o skłonności do zbyt licznych podziałów społeczeństwa. W naszej — nie sięgając wiele głębiej niż 100 lat — przeszłości mieliśmy ewolucję w tej dziedzinie niezbyt zachęcającą. Gdy w okresie Powstania Styczniowego rywalizowały ze sobą tylko dwa nieliczne obozy „białych” i „czerwonych”, przy obojętnej postawie większości Polaków, to już w okresie zrywów proletariackich było kilka nieuzgodnionych prądów politycznych, a po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku do wyborów sejmowych stanęło ponad 20 mniejszych i większych stronnictw. Nie życząc obecnym i następnym pokoleniom, by w decydującym momencie zmiany ustroju politycznego w Polsce powstała sytuacja z lat 1918-19. Toteż mimo obaw o zbyt ostre polemiki przy uściśnianiu tej tezy programowej, należy zrobić na pewno niejedną „przymiarkę”. Musimy się w tym oprzeć o rzeczywisty stan świadomości politycznej społeczeństwa i zakresić granice, których przekroczyć nie wolno bez publicznego napiętnowania. Jest oczywiste, że większość Polaków odrzuca zasadę rządów jednej partii. Ile zatem wolno nam stworzyć stronnictw politycznych, aby odzwierciedlić poglądy wszystkich Polaków? W dwóch stronnictwach — konserwatywnym i postępowym — na pewno się nie pomieścimy. Jest być może miejsce dla trzech: konserwatywne — centrowe — lewicowe, a gdybyśmy chcieli być tolerancyjni to jeszcze i komunistyczne. Nazwy stronnictw po-

* Wymieniam liczbę oficjalną, której nie odpowiadają oczywiście przekonania skrywane.

dane tu przeze mnie nie mają znaczenia, charakteryzują jedynie podział społeczeństwa w możliwej do przewidzenia przyszłości. Dalsze rozdrobnienie należałoby uważać za zbędne i szkodliwe i stworzyć presję społeczną, zapobiegającą anarchii politycznej. Propozycja ta wyklucza możliwość odtwarzania tradycyjnych stronnictw klasowych, jak również światopoglądowych. Katolik czy chrześcijanin, lub wyznawca jakiegokolwiek innej religii, mógłby być członkiem każdego z trzech stronnictw z wyjątkiem partii komunistycznej, natomiast ateści czy agnostycy mogliby wybrać każdą z czterech. Rozwój cywilizacji technicznej prowadzi nieuchronnie do zacierania się podziałów klasowych, ale nawrót od dotychczasowej gospodarki uspołecznionej w Polsce do systemu kapitalistycznego typu zachodnioeuropejskiego oznaczałby przekreślenie powyższych propozycji podziałów demokratycznych. Dalsze uściśnianie zasad wielopartyjnej demokracji wydaje się być przedwczesne na tym etapie dyskusji nad programem.

Analiza 26-ciu bolączek polskiego społeczeństwa zawiera tak wiele problemów szczegółowych, że omówienie ich wszystkich zaciemniłoby moje uwagi. Chciałbym ustosunkować się do sprawy realizacji tego programu w istniejącej rzeczywistości w Kraju. Program poświęca temu zagadnieniu tylko jedno wskazanie: „Program ten jest programem całościowym... Jest to zarazem program ewolucyjny... Poszczególne jego składniki dają się realizować niezależnie od innych... Niektóre elementy można wcielać w życie nawet obecnie...”. Wiek autorów nie upoważnia ich aż do takiego optymizmu. Jest to raczej wskazówka, że praktyczna strona realizacji nie została głębiej przemyślana. Program ten będzie tylko piękną utopią, jeżeli nie uściślimy wskazówek wykonawczych. Nie wolno ani na chwilę zapominać, że przy realizacji zdarzają się nie tylko zwycięstwa, ale i porażki. U podstaw decyzji Powstania Warszawskiego 1944 roku tkwiło tylko przewidywane pobicie hitlerowców, a gdy się to nie sprawdziło ofiary były zbyt wielkie.

Całościowo, ewolucyjnie, można nawet powiedzieć: bez przewidywania porażek, do zrealizowania nadają się niektóre punkty programu. Codziennie, na bieżąco, należy realizować (już to się nawet robi na łamach *Kultury*) sprawy związane z uświadamianiem Polaków: zakłamanie i fałsz czynników oficjalnych (punkt 4-ty) ale też i „naszych kochanych oportunistów”; kontrola społeczna przede wszystkim w już istniejących organizacjach (Związki Zawodowe, spółdzielnie wszelkiego typu, związki młodzieżowe, rodzina) — punkty 6, 9, 11 i 17-ty; podnoszenie na wyższy poziom moralności, uczciwości i wzajemnego poszanowania osobistego, co już należy do codziennej zapobiegliwości środowisk uświadomionych w społeczeństwie.

Inne postulaty programu z dziedziny gospodarki państwowej, spółdzielczej i prywatnej mogą być realizowane w ramach istniejącego ustroju o ile sobkostwo, pijaństwo i chęć bogacenia się za wszelką cenę otrzymają etykietę *szkodnictwa narodowego*, jak to było dość rygorystycznie przestrzegane przez ruch oporu

w czasie wojny. Należy jednak całkowicie wyzybyć się ewolucyjnego optymizmu w sprawach zmian ustrojowych i przejęcia zarządzania państwem na drodze zmian stopniowych. Dyktatury, jak możemy zaobserwować w historii, nie ustępują bez oporu. Można ten opór zwalczyć, ale nie wystarczą na to same siły moralne i intelektualne. Nie jest dziś odpowiedni czas na montowanie sił materialnych do czynnej walki z dyktaturą w kraju. Nie wydaje się również realne, by zdolni byli do wyłonięcia siły Polacy rozproszeni po świecie. Należy jednak zbierać poza granicami Polski zespoły ludzi, złożone z emigrantów, a nawet celowo wywołanych z Kraju, zdolne do przemyślenia metod działania na okres przewidywanego „wybuchu wolności”. Jawne ogłaszanie takiej działalności nie jest ani pożyteczne, ani rozsądne obecnie. Jedno tylko przekonanie musi być głęboko uświadomione: że jest to potrzebne i że nie wolno o tym zapominać, gdy się ogłosiło program.

Wyda się, że w miarę rozszerzania się dyskusji nad programem, należałoby dążyć do upraszczania analizy, powiedziałbym nawet do skrótów „sztandarowych”, „sloganowych”. Oczywiście dopiero wtedy, gdy prawie wszyscy będziemy je rozumieli i interpretowali jednoznacznie.

Ogłoszony program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego spełnił już na pewno jedno zadanie: pobudził niemało Polaków do uruchomienia „szarych komórek” w innym i bardziej dla społeczeństwa polskiego pożytecznym kierunku, aniżeli telewizyjny program o podobnej nazwie prezesa PTV, tow. Szczepańskiego.

Musimy sobie wzajemnie życzyć, aby wyodrębniony w *Kulturze* dział „Co robić?” nie stał się ofiarą polskiego słomianego ognia i przetrwał do czasu, gdy pod tym samym tytułem w Kraju będzie pobudzał inicjatywy wolnego społeczeństwa.

Marek BRZOST
(uwagi nadesłane z Kraju)

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W letnim numerze *Kultury* z bież. roku (nr 7/8) ukazała się dziwna recenzja: była w niej mowa o książce „Przepastne wyżyny”, ale nie podano nazwiska autora. Tłumaczono to tym, że autor, znajdujący się w Moskwie, obawiał się, że jeśli władze dowiedzą się o mającym nastąpić wydaniu książki, to zrobią wszystko, by wydaniu przeszkodzić. W końcu września bież. roku „Przepastne wyżyny” ukazały się w sprzedaży. Wydawnictwo „l'Age d'Homme” w Lozannie wydało tę książkę w języku rosyjskim. Nie ulega wątpliwości, że zostanie ona niedługo wydana i w innych językach.

Obecnie można już podać nazwisko autora „Przepastnych wyżyn” — Aleksander Zinowiew.

Na skutek dziwnego zbiegu okoliczności polscy czytelnicy mogli zapoznać się nie tylko z niektórymi poglądami prof. Zinowiewa, ale i nawet z jego fotografią. 27 stycznia 1974 roku *Tygodnik Powszechny* w Krakowie opublikował wywiad z Aleksandrem Zinowiewem pt. „O metodologii nauki”. Zbigniew Podgórzec, który wywiad przeprowadzał, w krótkiej notce biograficznej nazwał Zinowiewa „jednym z najbardziej wybitnych sowieckich logików” i wyliczył jego ważniejsze prace. Nie mogło to — ma się rozumieć — dać pojęcia o losie sowieckiego uczonego, który zdecydował się poddać naukowej analizie świat, w którym żyje. Aleksander Zinowiew miał wszelkie dane by rozkwitnąć w Związku Radzieckim. Urodził się w 1922 roku w biednej rodzinie włościańskiej, jest Rosjaninem, był uczestnikiem wojny ojczyźnianej, odznaczony orderami i medalami, członek partii, do której wstąpił będąc na froncie. Ale te wszystkie pozytywne cechy zostały przekreślone negatywnymi: wybitne zdolności, błyskotliwy i wyostrzony umysł, niechęć do podporządkowania się normom ustalonym z góry — poczucie sumienia i honoru.

Poglądy wyrażane przez Zinowiewa na wykładach oraz w artykułach, które nie mogły się ukazać w druku, w rozmowach, które

doszły do wiadomości władz, kładą kres jego działalności dydaktycznej, a później również naukowej.

Aleksander Zinowiew pisze książkę „Przepastne wyżyny”. Sowiecka literatura ostatnich paru lat osiągnęła dojrzałość, której trudno było spodziewać się po pół wieku władzy sowieckiej. Wewnętrzna wolność najwybitniejszych pisarzy stworzyła „drugą literaturę”, mającą niewiele wspólnego z oficjalną. Książki Aleksandra Sołżenicyna, Andrieja Siniawskiego, Władimira Maksimowa, Arkadija Bielinkowa — których zmuszono do opuszczenia kraju, książki Władimira Wojnowicza „Przygody Czongkina” i „Iwankiada”, „Wierny Ruslan” Gieorgija Władimowa, „Demobilizacja” Władimira Korniłowa, pamiętniki Lwa Kopielewa, „Chroń! wieczno” — pisarzy, którzy żyją i piszą w ZSSR — pomogły zrozumieć sowiecki reżym, istotę sowieckiego społeczeństwa. Ale nawet w porównaniu z tymi książkami „Przepastne wyżyny” są wydarzeniem szczególnym. Książka Aleksandra Zinowiewa to — *summum sovieticum* — analiza ustroju sowieckiego jako zjawiska nie tylko rosyjskiego, ale i uniwersalnego.

Jestem przekonany, że wkrótce „Przepastne wyżyny” będą powszechnie cytowane we wszystkich możliwych wypadkach — tak głęboko i wnikliwie zrozumiał autor różne aspekty sowieckiej struktury. Oto przykład: VI Zjazd pisarzy sowieckich stworzył „Radę twórczych związków pomiędzy Związkiem Pisarzy ZSSR z MWD ZSSR”. Według Zinowiewa intelektualści sowieccy rozumują następująco: „Teatr Szekspira został stworzony przy królu, teatr Molière — również przy królu, ibañski balet (Ibański to kraj, w którym rozwija się akcja książki) powstał pod mecenatem Imperatora... Beaumarchais był donosicielem. Milton był donosicielem. Wilde był pederastą. Bernard Shaw był...”. Jest oczywiste, że teoria ta nie tylko usprawiedliwia, ale i błogosławi „twórcze związki sowieckich pisarzy z MWD, KGB i innymi organami”.

Książka Aleksandra Zinowiewa to książka tragiczna, gdyż dochodzi on do wniosku, że społeczeństwo sowieckie potrafiło wychować obywateli sowieckich — ludzi dla których sowieckie normy, to normy życia. Być może jednak, że wnioski filozofa są zbyt pesymistyczne. Najstarszy sowiecki poeta, Paweł Antokolskij, który pisał za życia Stalina wiersze stawiające wodza, a w okresie odwilży wiersze potępiające, napisał w związku ze swoim 80-leciem i otrzymaniem orderu Lenina: „Wierzmy w czujne pokolenie, które zastąpi nas nie dzisiaj — jutro...”. Kto przychodzi na zmianę pokoleniu Antokolskiego? Są pewne dane do przypuszczenia, że młodzież sowiecka może nie jest tak „czujna” jak marzy Antokolskij i jego chlebobdawcy. Nad sytuacją obecną i nad przyszłością zaczyna zastanawiać się armia sowiecka. Prawie rok temu wybuchnął bunt na sowieckim statku „Storożewoj”. 6 września bież. roku starszy lejtnant, Bielenko, wylądował na swoim ultratajnym MIG-u-25 na lotnisku w Japonii i poprosił o azyl polityczny w USA. 26 września bież. roku sowiecki wojskowy pilot wylądował w Iranie i również poprosił o azyl w USA.

O buncie na statku „Storożewoj” Szwedzi poinformowali świat wiele miesięcy po tym wydarzeniu. O lotniku, który uciekł do Iranu — jak dotąd — nic nie wiadomo. Natomiast dużo się pisze o starszym lejtnancie Bielenko, który zrobił Amerykanom świetny prezent na 200-lecie niepodległości. Znacznie mniej pisały o nim gazety sowieckie. Dopiero po dziewięciu dniach po wylądowaniu MIG'a-25 w Japonii — 15 września br. — Agencja TASS ogłosiła długie oświadczenie pod płaczliwym tytułem „Komu to jest potrzebne?”. Japonię oskarżało się o nieprzyjazny stosunek do sąsiada — ZSSR, o dopuszczenie do tajemniczego samolotu „trzeciego mocarstwa”, o zatrucie Bielenki „narkotykami, albo innymi środkami” na skutek czego w czasie rozmowy z przedstawicielami ambasady sowieckiej „znajdował się w stanie nienormalnym”. I trzeba przyznać, że w myśl logiki sowieckiej Bielenko jest „nienormalny”. Uciekł ze Związku Sowieckiego i nie chce tam wrócić. Jeśli za nienormalnych uważa się ludzi, wierzących w Boga, deklamujących wiersze Mandelsztama, albo wydających *Kronikę bieżących wydarzeń*, to tym bardziej Bielenkę. Przeszło jeszcze dziewięć dni i prasa sowiecka zamieściła na ten temat nowe oświadczenie. Tym razem autorem oświadczenia było „Towarzystwo ZSSR-Japonia”. Widocznie doszedłszy do przekonania, że Bielenko jest nieuleczalny, żądano od Japonii tylko zwrotu samolotu. Na wszelki wypadek schwytano niedaleko od sowieckich wód terytorialnych sześć japońskich kutrów rybackich.

Trudno powiedzieć jakie tajemnice poznają zachodni specjaliści, po rozmontowaniu legendarnego MIG'a-25. Nie wykluczone, że byli oni o nim znacznie lepszemu mniemaniu, niż by należało. Mania wyolbrzymiania sukcesów techniki sowieckiej i sowieckiego stylu życia, to rodzaj raka zjadającego świat zachodni. Wiadomo jednak, że Bielenko przywiózł dwie prawdziwe tajemnice. Pierwsza ma charakter wojskowy. Okazuje się, że w czasie lotu nawietrzne szyby MIG'a zamarzają. Wszystkie wysiłki sowieckich inżynierów nie były w stanie rozwiązać tego problemu. Sprawa polega na tym, że istnieje środek przeciwko zamarzaniu szkła — spirytus, ale cały spirytus znajdujący się w specjalnych pomieszczeniach jest wypijany przez załogę jeszcze przed rozpoczęciem lotu. Druga tajemnica ma charakter polityczny i na to nikt nie zwrócił uwagi. Paryska gazeta *Russkaja Mysl* nawet wypuściła te słowa z oświadczenia Bielenki. A starszy lejtnant sowieckich sił powietrznych, wylądowawszy w Japonii oświadczył, iż uciekł ze Związku Sowieckiego dlatego, że panujący tam reżym jest jeszcze gorszy od carskiego.

To oświadczenie wydaje mi się niezmiernie znamienne. Bielenko ma 29 lat. Można przypuszczać, że nie tylko on, ale i jego rodzice urodzili się już w okresie władzy sowieckiej. Wychowani przez władzę sowiecką, sowiecką propagandę, twierdzącą że nie można sobie wyobrazić niczego gorszego niż ustrój carski. I młody człowiek sowiecki, przedstawiciel drugiego, całkowicie sowieckiego pokolenia dochodzi do wniosku, że ustrój sowiecki jest

gorszy od carskiego. Nie ma on innych kryteriów. To kryterium dała mu sowiecka propaganda a on obrócił je przeciwko niej.

Stan armii, jej sytuacja, zawsze odzwierciedlają sytuację w kraju. O obecnej sytuacji w armii sowieckiej można sądzić nie tylko po rosnącym w niej niezadowoleniu, którego wyrazem był nie tylko bunt na statku „Storożewoj” i ucieczka starszego lejtnanta Bielenko: generalny sekretarz KC partii, Breżniew, został mianowany marszałkiem. Marszałkiem został sekretarz KC, mianowany na stanowisko ministra Obrony, D. Ustinow. Na początku września bież. roku przyznano stopień generała armii przewodniczącemu KGB Antropowowi i ministrowi MWD — Szczekolowowi.

Już wielokrotnie podkreślałem, że dla zrozumienia wydarzeń w Związku Sowieckim pożyteczne jest obserwowanie co piszą sowieccy ideolodzy o Chinach. Zapoznając się z „chinologicznymi” pracami ukazującymi się w Moskwie, często ma się wrażenie, że ich autorzy piszą patrząc w lustro.

Niedawno moskiewskie wydawnictwo wojskowe wydało zbiór artykułów „Militaryzm w ideologii i praktyce maoizmu”. Redaktor zbioru, płk Ju. Iwanow, zamieścił w książce artykuły: gen. mjr. B. Wołkogonowa o podstawach wojennej teorii i praktyki maoizmu, kpt. pierwszej rangi H. Szumichina „Armia w politycznych manewrach Pekinu”, G. Apalina „Pekin: ideologia na służbie ekspansji” i inne.

Z artykułów zbioru czytelnik dowiaduje się, że „...militarystyczne tendencje w ideologii maoizmu... stroją się w 'szaty marksistowskie', wykorzystują socjalistyczną frazeologię, by w szeregu wypadkach utrudnić zorientowanie się w ich otwarcie reakcyjnym charakterze”. Czytelnik dowiaduje się, że maoiści „mimo polityczno-ideologicznego szkolenia ludności, stworzenia w tym kraju atmosfery 'oblężonej twierdzy' rozszerzają militaryzację gospodarki. Wydają na cele militarne około 40 % budżetu”. W rezultacie: „kierując lwią część dochodu narodowego na rozszerzenie przemysłu wojennego, forsując tempo potencjału atomowego i rakietowego, przywódcy pekińscy... trzymają ludność na żebraczych racjach, utrzymują surowy system kartkowy faktycznie w stosunku do wszystkich produktów żywnościowych i przemysłowych”. Czytelnik nie potrzebuje jechać do Chin, by ocenić słuszność tej analizy.

Wiele miejsca poświęcają autorzy książki „nieprzerwanej walce między różnymi frakcjami rządzącego pekińskiego przywództwa”.

Recenzja z książki, zamieszczona w piśmie Ministerstwa Obrony ZSSR, *Krasnaja Zwiezda* (7. 9. br.), kończy się słowami: „Właśnie dlatego walka z maoizmem, zdemaskowanie jego agresywnej, militarnej istoty jest palącym zagadnieniem”. Recenzja ta, w której przewodniczący chińskiej kompartii jest nazwany personalnie ludojadem, została opublikowana dwa dni przed śmiercią Mao Tse-tunga. Jego śmierć prasa sowiecka odnotowała natychmiast jako radosną nowinę, ale z lakonicznością która zapewne przejdzie do historii dziennikarstwa. Notatka była zatytułowana:

„Śmierć Mao Tse-tunga” i brzmiała: „Pekin 9. 9. 1976 r. Ogłoszono tu, że 9 września o godz. 0.10 w 83 roku życia zmarł w Pekinie przewodniczący KC Komunistycznej Partii Chin, Mao Tse-tung”.

Z tak błyskawiczną (jak na prasę sowiecką) szybkością ogłoszono w sierpniu 1940 roku wiadomość o śmierci drugiego strasznego wroga Związku Sowieckiego — Trockiego. Ale Stalin umiał triumfować z powodu śmierci wrogów, specjalnie wtedy gdy ich sam mordował. Robił to z większym rozmachem, niż obecni mieszkańcy Kremla. Artykuł o śmierci Trockiego był zatytułowany „Sobakie — sobaczyja śmierć”.

Prasa sowiecka wyraziła swą radość z powodu śmierci Mao sprytnym montażem z artykułów, które się ukazały na Zachodzie, udowadniającym że cały świat jest szczęśliwy, gdyż zmarł zdrajca idei komunizmu.

Trzeba przyznać, że w stosunku do wroga nr 2, tj. do imperiaizmu amerykańskiego, propaganda sowiecka odnosi się dzisiaj znacznie mniej gwałtownie, niż do wroga nr 1 — maoizmu. I ma do tego wszelkie podstawy. To prasa chińska twierdzi, że Związek Sowiecki grabi swych partnerów w RWPG, dąży do przekształcenia krajów trzeciego świata w swoje kolonie, itd. Natomiast prezydent amerykański Ford oświadcza, że „nie myśli, by Jugosłowianie, Rumuni i Polacy uważali siebie za zależnych od ZSSR. Kraje te są niepodległe, autonomiczne i całkowicie rządzą na swoim terytorium”. Wiosną bież. roku doradca Kissingera, Sonnenfeldt, wyłożył te poglądy na konferencji dyplomatów amerykańskich w Londynie i wówczas niektórzy powątpiewali, czy ktoś z kierowników amerykańskiej polityki zagranicznej mógł wyrażać tego rodzaju poglądy. Dzisiaj prezydent Ford oficjalnie stwierdził istnienie tzw. doktryny Sonnenfeldta, domagającej się by narody wchodzące w skład sowieckiego imperium pokochały ZSSR.

Zadowolenie, które wywołuje w Moskwie polityka USA, jest z rzadka zakłócanie tym, że niektórzy z „ideologów burżuazyjnych” „nie przejawiają zamiaru zrezygnowania z walki z socjalizmem”. 24. 9. br. *Prawda* opublikowała wielki „teoretyczny” artykuł pt. „Odręczenie a walka klasowa”, podpisany przez dr. nauk filozoficznych prof. Ju. Krasina. Autor artykułu jest niezmierznie niezadowolony z „wybitnego ideologa antykomunizmu Zbigniewa Brzezińskiego”, który propaguje „konceptcję polityczno-ideologicznych metod nacisku na kraje socjalistyczne, obliczoną na stopniową 'erozję' socjalizmu”.

Prof. Krasin wyklada obecnie oficjalną sowiecką doktrynę „odręczenia i walki klasowej”: Związek Sowiecki jest idealnym społeczeństwem i tu następuje cytata z Breżniewa — „Stworzyliśmy społeczeństwo ludzi pełnoprawnych w najszerszym tego słowa znaczeniu nie znających stanowych, majątkowych, rasowych czy tym podobnych przywilejów, społeczeństwo które nie tylko deklaruje prawa człowieka, ale również zabezpiecza w praktyce możliwość ich wykorzystania”; to społeczeństwo: — Socja-

listyczny Związek Sowiecki i zaprzyjaźnione z nim kraje — to jedyna nadzieja ludzkości; „interesy ludzkości pokrywają się z klasowym interesem międzynarodowej klasy robotniczej socjalizmu”. A więc — kończy swoje rozumowanie sowiecki filozof — „stawka na odprężenie w najmniejszym stopniu nie jest sprzeczna z rewolucyjną strategią walki o uwolnienie narodów spod klasowego i nacjonalistycznego ucisku, o postęp społeczny”.

Innymi słowy: „erozja” kapitalizmu, przejście władzy w ręce komunistów, tam wszędzie gdzie jeszcze do nich nie należy, jest „obiektywnym nakazem czasu”. Ten, kto się temu sprzeciwia, nawet ten kto jest z tego tylko niezadowolony, jest wrogiem Związku Sowieckiego, komunizmu a tym samym ludzkości.

Doktryna „erozji” kapitalizmu drogą pokojową lub zbrojną została szczegółowo wyłożona w książce Konstantina Zarodowa pt. „Trzy rewolucje w Rosji i nasze czasy”, która ukazała się w ub. roku. K. Zarodow, redaktor pisma *Problemy pokoju i socjalizmu*, organu międzynarodowego ruchu komunistycznego, zwołał latem ub. roku komunistów portugalskich do uchwylenia władzy; i został przyjęty przez Breżniewa na specjalnej audycji, co oznaczało, że jego poglądy są aprobowane na najwyższym szczeblu. Książka Zarodowa, wydana w niewielkim nakładzie 9.000 egzemplarzy, jest obliczona na wąski krąg kierowników propagandy. Zawarte w niej koncepcje są rozpowszechniane dzisiaj przez wszystkie pisma sowieckie o milionowych nakładach.

Analizując doświadczenia trzech rosyjskich rewolucji — 1905 rok, luty i październik 1917 — K. Zarodow dochodzi przede wszystkim do wniosku, że doświadczenie to jest uniwersalne, że niezbędne jest, by wszystkie kompartie nim się kierowały. Nowością w doktrynie Zarodowa jest wskazanie na to, że obecna sytuacja świata kapitalistycznego pozwala na znacznie przyspieszenie jego „erozji” i przejścia do zdecydowanego działania celem zdobycia władzy drogą pokojową lub nie pokojową. Zarodow interesują przede wszystkim kraje europejskie: Portugalia, Hiszpania, Włochy, Francja.

Nowe w doktrynie Zarodowa jest również wskazanie na konieczność przejścia do ofensywy natychmiast, dzisiaj: „Byłoby błędem sztucznie hamować, powstrzymywać otwarte wystąpienia mas, oczekując zbiegu jakich „specjalnie sprzyjających” szans...”. Trzeba ryzykować! — domaga się Zarodow. W charakterze przykładu zwraca uwagę na zachowanie się czechosłowackich komunistów w lutym 1948 roku, kiedy „zaryzykowali frontalne starcie z burżuazją i odnieśli zwycięstwo”. Zarodow stwierdza: „I dziś decyzja pójścia na ryzyko pierwszego doświadczenia... zapewnia sukces w kierowaniu rewolucją”.

K. Zarodow jest przedstawicielem tej warstwy partyjnych przywódców, którzy jutro-pojutrze zastąpią starych, będących dzisiaj u władzy. A tymczasem młodzi, rwący się do władzy, układają plany rozszerzenia „sfery komunizmu”, a starcy stawiają sobie pomniki.

Jest to w Moskwie ostatnia moda. W maju bież. roku Leonid Breżniew wznosił sobie popiersie — pomnik w Dnieprodzierżyńsku. 25 września br. odsłonięto popiersie z brązu Mikołaja Podgornego. 3 października br. amatorzy mogli podziwiać profil z brązu Michaiła Susłowa. W najbliższym czasie stanie również pomnik Andrieja Kirylenko.

Po zdemaskowaniu „kultu jednostki” ustalono, że przywódcom partii nie będzie się stawiało pomników za życia. Ale tak się tego chciało! I znaleziono wyjście. W myśl statutu dwukrotny Bohater Związku Sowieckiego otrzymuje pomnik w miejscu swego urodzenia. To dobrze, ale jednocześnie niedobrze. Wszystko bowiem zależy od tego gdzie się kto urodził. Np. Breżniew przewidział, żeby urodzić się w wiosce, która stała się wielkim miastem. Jego pomnik mogą oglądać — jeśli zechcą — wszyscy, to znaczy ci, którzy przyjeżdżają do Dnieprodzierżyńska. A taki Podgorny urodził się w Karłowce w obwodzie połtawskim. A kto tam pojedzie? Susłow urodził się jeszcze gorzej — we wsi Szachowskoje w obwodzie uljanowskim. Gdzie urodził się Kirylenko — jak dotąd — nie wiadomo. Dopiero w tych dniach otrzymał drugi raz gwiazdę Bohatera i poszukuje rzeźbiarza.

Statut Bohatera Związku Sowieckiego przewiduje postawienie popiersia bohatera w Moskwie w przypadku trzykrotnego otrzymania Złotej Gwiazdy. Boję się jednak, że nikt z obecnych przywódców nie doczeka się pomnika w Moskwie.

Niektórzy z czytelników powyższego przeglądu mogliby pomyśleć: jakże ponure i nudne są sowieckie pisma i książki. I to jest słuszne wrażenie. Zdarza się jednak, że i w prasie sowieckiej ukazują się materiały pełne prawdziwego humoru.

31 sierpnia br. w *Izwiestiach* zamieszczony został felieton pt. „Historia choroby”. Nie wiem czy autor tego felietonu pamiętał, że opowiadanie pod tym samym tytułem napisał Zoszczenko. Zaczyna się ono od słów: „Szczerze mówiąc wolę chorować w domu”. To znaczy, że bohater opowiadania uważa, że jeśli już chorować to nie w szpitalu, a w domu. Między innymi dlatego, że pierwszą rzeczą, którą ujrzał w szpitalu był napis: — wydawanie trupów od trzeciej do czwartej. A gdy bohater opowiadania spróbował słabym głosem zwrócić uwagę na pewną niewłaściwość takiego napisu, to lekarz odciął mu się: najpierw się wylecz, a potem krytykuj, i uważaj, bo wydamy cię między trzecią a czwartą...

Zoszczenko napisał swoje opowiadanie w 1938 roku. Po 38-miu latach znów „Historia choroby”. Wiele się zmieniło. To znaczy wiele zostało po staremu: przywieziono chorego z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego na szpitalne podwórze i tam go zostawiono, a potem — nie robią zastrzyków, nie dają wody, nie mierzą gorączki, albo ściślej — robią wszystko co potrzeba... ale umownie... i w tym widać postęp w porównaniu z rokiem 1938. Bohater felietonu był doświadczonym pacjentem: albo sam był już w szpitalach, albo jego znajomi. Dobrze znał sygnał, znak. Gdy np. zostawiono go w samochodzie pogotowia ratunkowego

na szpitalnym podwórzu — słabym głosem potrafił wystarczająco słyszalnie powiedzieć „Ku-ku”. Natychmiast przyszedł sanitariusz i tylko za dwa ruble przewiózł go na salę operacyjną. Tak było i z zastrzykami, z termometrem, z wodą. Czarodziejskie „ku-ku” usuwało wszelkie przeszkody na drodze do wyzdrowienia. W gazecie nie powiedziano, ale można nie wątpić, że i chirurg zaczął ostrzyć swój skalpel dopiero gdy usłyszał magiczny dźwięk.

Porównując te dwa humorystyczne opowiadania raz jeszcze możemy się przekonać, jak wzrósł materialny dobrobyt sowieckich ludzi pracy.

Adam KRUCZEK

Kronika ukraińska

RAPORT IWANA JAREMKI

Ukraińcy na Zachodzie otrzymali nielada lekturę. Mam na myśli broszurę Iwana Jaremkę „Moji зустрічі з Україною або як розвивалася ілюзія”, wydaną niedawno w Kanadzie. Jest to nabity faktami raport o tym jak w okresie władzy Chruszczowa rząd i intelektualiści w Kijowie próbowali polityki budowania mostów pomiędzy Ukrainą a emigracją i jak ta polityka runęła na skutek kontrofensywy reżimu Breżniewa. Jaremkę opisuje kolejne podróże do Kijowa, Lwowa i Użhorodu, otwarte rozmowy z ówczesnymi działaczami ukraińskimi aż do momentu kiedy wszystkie poprzednie plany i dalekosiężne idee propagowania kultury i sztuki ukraińskiej za granicą dostały w łeb. Opisuje on wprost niewiarygodny system centralizacji moskiewskiej, która nie pozwala żadnej centrali handlowej lub instytucji naukowo-kulturalnej w Kijowie nawiązać jakiegokolwiek kontaktów z zagranicą. Z opisu nieszczęśliwych misji i przygód żarliwego początkowo wyznawcy idei „budowania mostów” wyłania się stale miazdząca wszystko ukraińskie maszyny kolonializmu administracyjnego, ekonomicznego i kulturowo-językowego.

Szkice swe autor zaopatrzył mottom wziętym z Monteskiusza: „Strach obywateli — to podstawa despotyzmu”. Jaremkę wyjaśnia że pragnął przez to podkreślić na czym polega różnica dawnego i obecnego terrorku, że obecnie miejsce masowych zbrodni zastąpiło stosowanie masowego zastraszania społeczeństwa. Dzieli Jaremkę to społeczeństwo na cztery grupy. Na pierwszym miejscu wymienia grupę rządzącą, składającą się z około 10 % czyli dwudziestu pięciu milionów, złożoną w 80 % do 90 % z karierowiczów; jego zdaniem grupa, która nie odda władzy bez walki. Po niej idzie najliczniejsza warstwa konformistów i apolitycznych zjadaczy chleba, dzielących się na tradycyjnych oportunistów oraz na konformistów z przetrzęcionym kręgosłupem. W polu widzenia tej grupy leżą głównie sprawy żołądka, mieszkania, przyodziewu, ewentualnie auta, motocykla i piłki nożnej tudzież gremialny udział (dla spokoju) w świętach pierwszomajowych i „październikowych”. Trzecia grupa — nie wyżej 10 % — to uczciwi ludzie cierpiący

pod fizyczną i duchową niewolą, marzący o lepszym systemie władzy i o własnym państwie ukraińskim. I wreszcie ostatnia, czwarta, „zupełnie małeńka cząstka” to dysydenci-aktywiści, ludzie bez strachu, gotowi walczyć otwarcie ponosić konsekwencje. Na bliską metę będzie tryumfowała stale grupa pierwsza, ale w skali długofalowej Jaremkę daje największe szanse dysydemtom-aktywistom. „Każde nowe represje, wyroki, zsyłki do łagrów czy do psychuszek — to woda na młyn elementów wolnościowych, to metoda załajki przyszłej kadry, która przy korzystnych warunkach może sięgnąć po władzę”.

W *post scriptum* Jaremkę zwraca uwagę na to, że losy narodu ukraińskiego od stuleci związane są z Polską i Rosją. Wypomina on zachłanność i krzywdy, których Ukraińcy doznawali i doznają od swych uprzywilejowanych sąsiadów, oburza się na rozmaite mitomanie i misje w rodzaju „przedmurza” lub „od morza do morza”, „zbierania ziem ruskich”, „obrony prawosławia” lub „zrzeszenia proletariatu pod egidą Moskwy”, ale w konkluzji píše, że nie można za to wszystko potępić w czambuł wszystkich Polaków i wszystkich Rosjan, bo Polska to „nie tylko Zagłoby, Czarniecy, Sienkiewicz, Grabscy czy Głabińscy lecz również Mickiewicz, Słowacy, Żeromscy, Wasilewscy i wreszcie Mieroszewscy. I Rosja to nie tylko Rosja Iwanów Groźnych, Piotrow i Mikołajów Romanowych, Wajnujowych, Puryśkiewiczów, Szulginów, Murowjowów, Susłowów i Breżniewów lecz też Herzenów, Turgieniewów, Lermontowów, Szachematowych, Sołżenicynów i Sacharowych. Tak samo jak Ukraina — to nie tylko Krywonosy, Gonty, Zalizniaki, i Doncowy lecz również Kostomarow, Szewczenko, Kulisz, Drahomanow, Franko i w końcu Lypynski”.

WSPOMNIENIA KEDRYNA

Senior dziennikarstwa ukraińskiego, długoletni korespondent lwowskiej gazety liberalnej *Diło* w Warszawie w latach przedwojennych Kedryn (Iwan Rudnykij), brat zmarłej niedawno b. posłanki na Sejm Rzeczypospolitej Mileny Rudnykij, ogłosił w Nowym Jorku sąziste wspomnienia. Książka ta pt. „Зіття — події — люди” (Życie — wydarzenia — ludzie) znajduje przypuszczalnie kompetentne i bardziej szczegółowe omówienie w *Zeszytach Historycznych*. Warto ją jednak wzmiankować po krótko w ramach kroniki. Kedryn opisuje bowiem wiele nieznanych lub w międzyczasie zapomnianych zagadnień, epizodów i szczegółów z dziedziny ówczesnych stosunków polsko-ukraińskich. Polityka ówczesnej Warszawy, tej przed- i po majowej, wobec Ukraińców poddana została surowej ale na ogół sprawiedliwej krytyce. Dostało się też przy tym również kompatryotom Kedryna, jak np. premierowi rządu Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej Petruszewiczowi, za to, że odmówił rokowań ze Skirmuntem we Wiedniu. Gorzkie zarzuty czyni autor Wasylowi Mudremu, że ten, jako b. wicemarszałek Sejmu i przewodniczący Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej w Warszawie, po złożeniu deklaracji lojalności 1 września 1939 roku nie wyjechał poprzez Rumunię na Zachód, by tam reprezentować interesy polityki ukraińskiej. Ale lwia część wspomnień dotyczy historii nieudanych prób porozumienia polsko-ukraińskiego w ramach państwowości polskiej pomiędzy obydwojoma wojnami światowymi, następstw porzucenia przez Piłsudczyków starych koncepcji federalistycznych i faktycznego przejścia w polityce narodowościowej na pozycje endeeckie. Na siedmiuset z górą stronach książki przewija się cały korowód polityków i publicystów, ministrów, wojewodów, parlamentarzystów, którzy mieli do czynienia z polityką względem Ukraińców w latach 1918-1939 jak też plejada działaczy ukraińskich, którzy pracowali nad normalizacją stosunków. Z sympatią wspomina Kedryn o „białych krukach” wśród ów-

czesnego społeczeństwa polskiego, czyli o tych osobistościach, które rozumiały wagę problemu ukraińskiego i usiłowały wbrew oficjalnej linii i nastrojom szowinistycznej ulicy zmienić tok wydarzeń. W końcowych partiach jest mowa o kontynuacji antyukraińskiej nagonki przez reżym komunistyczny w Warszawie, wykonujący postulat zalecenia Moskwy, jak też o żywiołowej nienawiści w szerokich kręgach współczesnej Polski żywionej wobec bratniego narodu i wreszcie o niechęci w kołach duchowieństwa katolickiego w stosunku do postulatów nielicznej mniejszości ukraińskiej, broniącej się przed bezwzględny wpływem kultury, języka i religii. Krytykując politykę Polski przedworskiej Kedryn odmawia Sowietaom prawa do oczerzniania i potępienia całokształtu zagadnienia stosunków polsko-ukraińskich w owym okresie i stwierdza, że mimo wszystkich błędów, konfliktów i nieporozumień, Ukraińcy we Lwowie mieli więcej swobody, niż w „suwerennej” Ukrainie Sowieckiej. Na stronie 389 znajdujemy akapit, w którym Kedryn w lapidarny sposób wyraża swój pogląd na konieczność szukania dróg do porozumienia polsko-ukraińskiego. „Autor tej pracy chociaż zawsze był i jest jak najkrytyczniej nastawiony do narodowościowej polityki Polski doby pomiędzy dwoma wojnami światowymi i z oburzeniem traktuje takie głosy jak Jana Gerharda czy Zdzisława Stahla i ich ukraińskich zwolenników, piętnuje jednocześnie ich antypodów po stronie ukraińskiej, zawsze i stale powtarzał i powtarza, że porozumienie i współpraca pomiędzy tymi dwoma narodami jest *condition sine qua non* dla ich trwałej egzystencji państwowej. Polska i Ukraina mogą tylko wówczas uzyskać niezawisłość i suwerenność, kiedy się pojawią polscy i ukraińscy mężowie stanu na miarę Charles de Gaulle’a i Konrada Adenauera, którzy pojęli, że nawet od stuleci trwająca nienawiść pomiędzy dwoma narodami musi ustąpić miejsca współpracy i przyjaźni, kiedy tego wymagają historyczna konieczność i egzystencja narodów. Dlatego problem ukraińsko-polski jest jak najbardziej aktualny. Stąd też udzielono w tej książce jak najwięcej uwagi stosunkom ukraińsko-polskim. Napisana ona została nie w celach dydaktycznych, ale jeśli choć w małym stopniu przyczyni się do przełamania w ukraińskim i polskim społeczeństwie psychiki, wynikłej z resentymentów niebezpiecznej wspólnej przeszłości, to trud nie był daremny”.

ŚMIERĆ DYMITYRA ANDRIJEWSKIEGO

Czas kosi nieubłagane starą gwardię ukraińskich patriotów. W końcu sierpnia dobiegł też kres życia jednego z najwybitniejszych polityków obozu niepodległościowego Dymityra Andrijewskiego. Zmarł w sędziwym wieku, przeżywszy 34 lata, pełnych nieustraszonej walki o prawa swego kraju i narodu do samostanowienia. Działalność polityczną rozpoczął po rewolucji zrazu jako sekretarz Ukraińskiej Misji Dyplomatycznej w Szwajcarii. W roku 1929, kiedy się okazało że na Ukrainie Sowieckiej kończy się era odrodzenia i zaczyna nowy etap centralizacji i niewoli, a przewrót majowy Piłsudskiego nie rokuje nadziei na stworzenie w Ziemi Halickiej Piemontu do polityczno-ideologicznej rozgrywki z dyktaturą moskiewską, Andrijewskij stał się jednym z współzałożycieli Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Przez jakiś czas był on jedną z postaci sztandarowych, jednak później został odsunięty od steru przez „młodoturków” i aktywistów-rewolucjonistów. Stało się to nieprzypadkowo. Andrijewskij był bowiem rzecznikiem rozsądku i humanizmu, był w każdym calu swej osobowości *gentleman’em* i takim pozostał do końca życia. W odróżnieniu od wielu innych współczesnych nie wierzył w sens sojuszu z Niemcami i to go zawiadło do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen koło Berlina. Jednocześnie był przeświadczony, że zwycięstwo aliantów do spółki ze Stalinem nie ulży doli Ukrainy. Jako doświadczony polityk

w sprawach międzynarodowych liczył na długofalowe przemiany na kontynencie europejskim, na historyczną szansę, wypływającą z końca wieku imperiów kolonialnych. Dał temu wyraz w niedużej książce w roku 1958 pt. „Kolonializm rosyjski i sowieckie imperium”. Pisał w niej przy końcu: „Przyszłość imperium sowieckiego jest wypisana w jej naturze, w jej wewnętrznej treści, w jej strukturze. Od początku jest ono pełne przeciwieństw, jakie je rozdzierają i na skutek których zgonie, rozłoży się, rozpadnie... Ukonstytuowanie się imperium sowieckiego na starych zrębach rosyjskiej carskiej autokracji nastąpiło w okresie kiedy forma imperiów doszła do logicznego kresu, wyczerpała możliwość regeneracji. Po upadku Porty Otomańskiej, Austro-Węgierskiej Monarchii, Niemieckiej Rzeszy przyszła kolej na upadek Francuskiej Unii i Brytyjskiego Imperium. I właśnie dopiero wtedy nastąpił proces powstawania Imperium Sowieckiego jako końcowy etap despotyzmu moskiewskiego. Akurat w czasach kiedy na miejsce przemocy, jako podstawy władzy imperialnej, doszła do głosu zasada dobrowolnych związków pomiędzy narodami w formie większych formacji państwowych. Nawet bolszewicy muszą się tym maskować, choć to ich nie uratuje od zguby”.

Zestawił BEO

Kronika litewska

Na Litwę wciąż przybywa coraz więcej Rosjan; zaczynają oni zajmować coraz więcej posesji na kolejach, w milicji, w urzędach pocztowych, mieszkaniowych, jak też w nowo-powstających fabrykach.

Istnieje bardzo pomysłowe prawodawstwo: zezwolenie zamieszkania w mieście może dostać ten, kto ma tam zatrudnienie, a zatrudnienie można dostać jedynie po zarejestrowaniu się jako mieszkaniec miasta. Przepisy te nie dotyczą sprowadzanych Rosjan, otrzymujących od razu mieszkania. Tubylec, wieśniak może się zarejestrować jedynie w drodze wyjątku, albo krętymi drogami. Pewien Litwin po odbyciu kary na Syberii uzyskał prawo zamieszkania gdziekolwiek bądź, z wyjątkiem (jak zazwyczaj) republiki litewskiej. Osiedli więc w pobliskim Kaliningradzie (dawny Królewiec) skąd jeden krok do Kowna. Po niejakiem czasie wyrobił sobie stosunek i formalnie zameldował się w Kownie. Ale nie na długo. Został surowo ukarany za nielegalny pobyt w republice litewskiej.

Na wsi Rosjan jest niedużo. Sytuacja przedstawia się tam następująco. Są kolechoźnicy — robotnicy rolni — chłopci pańszczyzniani — najniższa warstwa społeczna, ale i wśród nich jest arystokracja, żyjąca dostatnio. Są to niektórzy pracownicy administracji, zwłaszcza w działach dających możliwość postronnych zarobków, jak również poszczególni specjaliści, zarabiający dużo, ale w warunkach rzadko spotykanych na Zachodzie, jak np. traktorzyści i specjaliści od maszyn rolniczych, którzy w okresie pilnych robót pracują po dwanaście godzin dziennie i 7 dni w tygodniu; dojarki pracujące z przerwami od 4-ej rano do 8-ej wieczorem, personel karmiący bydło, gdzie zdarza się że pracownik ma tylko 30-40 dni wolnych od pracy w ciągu całego roku.

Poza tym koncepcja scentralizowanych farm inaczej wygląda w zmotoryzowanej Ameryce, a inaczej w Sowietach. Na Litwie chaty są nadal przeważnie porozrzucane, a skomasowane ośrodki farm są coraz bardziej odległe. Czasem pomocne są ciężarówki, ale często robotnik w jesienne ranki i wieczory po ciemku i po błocie musi człapać co dzień kilka kilometrów dzielących mieszkanie od miejsca pracy.

Według ostatnich wiadomości kryzys w sowieckim rolnictwie spowodował wstrzymanie tworzenia wielkich konglomeratów rolniczo-przemysłowych.

W roku 1940 dwóch żmudzkich dziedziców podało w ankiecie swoje bliskie pokrewieństwo z „Proletarczykiem”, zesańcem, L. Janowiczem. Jednemu pozostawiono 30 hektarów ze względu na tak zasłużonego wuja, a drugiego deportowano, jako że jest z rodziny niepoprawnych polskich buntowników. Ta różnorodność interpretacji powtarza się i po wojnie. W pierwszych latach wspomnianie powstania 1863 roku było tolerowane, bo chodziło o ruch rewolucyjny. Obecnie Powstanie jest wykreślone z historii, jak i wszystko, co się działo na Litwie przed rokiem 1917. O niepodległej Litwie, o Wielkim Xięstwie Litewskim — to tabu. W Wileńskim Muzeum Etnograficznym jest dużo starych map, ale zwiedzającej publiczności udostępniona jest tylko jedna — przedstawiająca Litwę z czasów Witoldowych, sięgającą hen za Dniepr. Wywołuje ona wielkie oburzenie zwiedzających sowieckich inteligentów, którzy nie znają prawdziwego biegu historii, i nie chcą temu wierzyć, a nawet skarżą się Moskwie na ekspozyty, wprowadzające wiernych obywateli w błąd.



Przed kilku laty dwaj Litwini, Brazyńscy, uciekli samolotem z Kaukazu do Turcji. Byli tam internowani, więzieni, uwolnieni na mocy amnestii, i ostatnio przebywali w obozie D.P. W obawie by Turcja — której stosunki z USA się popsuly, a z Sowietami poprawiły — ich nie wydała, starali się wyjechać. Lecz międzynarodowa konwencja o nieudzielaniu azylu „porywaczom” stała temu na przeszkodzie. W tym roku Brazyńscy zgłosili się do ambasady amerykańskiej w Ankarze z prośbą o azyl, którego im odmówiono. Wrócili do swego obozu i niebawem w tajemniczych okolicznościach wyjechali, podobno do Włoch. Prasa sowiecka skomentowała to notatką „Mordercy na wolności”.

Tego lata zainaugurowano z litewskiego nadmorskiego uzdrowiska Połagi bezpośrednie linie lotnicze, nie tylko z i do Wilna, Moskwy i Leningradu, ale również do Moldawii, na Kaukaz i na Syberię. Jakiś turysta zauważył, że jedynie w samolotach lądujących w Nadbałtyce, jeden z członków załogi bywa zawsze uzbrojony. Obawa przed naśladowcami Brazyńskich?



O książce André Martin „Lithuanie” ukazała się już recenzja w emigracyjnej prasie litewskiej. Nim do niej przejdziemy parę uwag ogólnych, jak też poloników, w recenzji pominiętych.

Polska jest bastionem Zachodu, gdzie Kościół oparł się skutecznie naciskowi komunistycznemu — natomiast Litwa jest przyczółkiem mostowym już po drugiej stronie sowieckiej granicy. Pomimo nacisków i wysiłków przyczółek ten trwa w oporze. Opór Polaków dodaje otuchy Litwinom, opór Litwinów, przyczynia się do zabezpieczenia Zachodu.

Francuski pisarz powiada, że w odróżnieniu od niesnasek polsko-litewskich na emigracji, w kraju tego zaognienia stosunków nie ma, jest natomiast zgodne współdziałanie, przynajmniej wśród wierzących.

W seminarium duchownym w Kownie jest około 10 wakansów. O ile Polak z polskich szkół wileńskich chce tam się dostać, musi powtórnie złożyć

litewską maturę. Na prośbę Polaków z Białej Rusi udzielono im ewentualnie miejsca w seminarium w Rydze, o ile Łotysze odpowiednio uszczuplą swoją kwotę wynoszącą też około 10 kleryków. Te usiłowania skłócenia nie dały wyniku, Łotysze zgodzili się, ale rząd nie zatwierdził kandydata. Najważniejszą kwalifikacją na kleryka są w oczach KGB: słaby charakter i giętki kregosłup.

Jakiś katolik litewski miał się wyrazić: „jedynym naszym obrońcą jest obecnie Sołżenicyn”.

Ten aspekt sprawy uwzględniła recenzja w litewskim tygodniku *Musu Pastoge*, którą poniżej zacytujemy. Litwini bronią swej wiary, walczą o niepodległość. To nastawienie rząd uważa za wykroczenie przeciw sowieckim ustawom. Rząd czyni wszystko, aby sprawy sądowe przeciw Litwinom, katolikom były pod względem prawnym w porządku. Na rozprawie sądowej nigdy nie wspomina się religii, oskarżenia są o wykroczenia czy przestępstwa polityczne. W okresie walk partyzanckich, w latach 1941-1945 deportowano 400 tys. Litwinów, 200 tys. Łotyszów i 90 tys. Estończyków. Zaludnili oni Archipelag Gułag.

W roku 1940 było na Litwie 16 biskupów. Dwunastu zmarło, przeważnie na wygnaniu. Dwaj Sładkevicius i Steponavicius są pod domowym aresztem, biskup V. Brizgys przebywa od dawna w Ameryce. Na Litwie pozostał jedynie biskup Maželis, na tyle schorowany, że nie może pełnić swych obowiązków.

Powstaje poważny problem kandydatów na wakujące biskupstwa: wysuwa ich ateistyczny rząd, a Watykan ich wyznacza z... desperacji. Pozostawmy kwestię otwartą, czy lepiej mieć biskupów-kolaborantów, czy lepiej w ogóle ich nie mieć. Pewien litewski ksiądz, na podstawie swego dziesięcioletniego doświadczenia powiedział, iż okazało się, że polityka Watykanu dała niepomysłne wyniki, gdyż wprowadzono „wilki do owczarni”. Litwini katolicy są przekonani, że te posunięcia Watykanu są następstwem niepoinformowania o sytuacji w kraju. Infiltracja księży kolaborantów czyni wielkie szkody i podrywa zaufanie do kleru. Wyłania się w ramach kościoła oficjalnego inny — tajny i heroiczny kościół.

A. Martin podkreśla doniosłe znaczenie rewolty polskich robotników na Wybrzeżu w roku 1970. Rząd sowiecki zaczął się obawiać podobnych objawów u siebie. Samospalenie Kalanty w roku 1972 w Kownie wykazało, że młode pokolenie się burzy a niezadowolone ujarzmionych narodów wzrasta. Pozostaje utrzymanie się przy władzy drogą ucisku.

Na zakończenie podajmy wnioski recenzenta: „Czytałem wszystkie zamieszczone w prasie kroniki kościoła katolickiego Litwy; od szeregu lat otrzymuję w prywatnych listach z Litwy wiadomości o tamtejszym życiu i praktykach religijnych. Ani dorywcze informacje z kraju, ani prywatne listy nie przekonały mnie, że na Litwie jest prześladowanie kościoła i wierzących. Sądziłem, że są jedynie wielkie ograniczenia w działalności religijnej i poszczególne wypadki prześladowania.

Ale po przeczytaniu książki André Martin, byłem nie tylko wstrząśnięty ale jednocześnie przekonany że religia, a specjalnie wyznanie katolickie, jest przez organy władzy sowieckiej nie tylko skrępowana i kontrolowana, ale ponadto systematycznie prześladowana w celu zniszczenia wiary i Kościoła. Rząd sowiecki dąży do podporządkowania sobie kierownictwa kościoła katolickiego, tj. biskupów. Uzależniając ich, stara się zrobić z nich narzędzie ujarzmienia narodu. Wydaje się, że rząd osiąga swój cel przy częściowej pomocy watykańskiej polityki wschodniej”.



Niemiecka prasa katolicka podaje, że teren całego Związku Sowieckiego, prócz Republiki Litewskiej, podlega obecnie łotewskiemu biskupowi Vaivods

(80 lat) rezydującemu w Rydze. Ma on do pomocy sufragana Zondaksa, oraz bardzo elastycznego administratora, biorącego udział w kongresach pokoju. Tylu Bałtów, Niemców, Białorusinów i Polaków deportowano za Ural, że np. przed kilku laty otwarto jedyny nowy kościół katolicki we Frunze — stolicy Kirgizji.

Kościół w Sowietach zwie się „kościółem milczenia”, ale jest to również „kościół przemilczany”.

Sięgnijmy do Kroniki Kościoła Katolickiego Litwy. Po dłuższej przerwie ukazał się w kwietniu, jej Nr 22-gi.

Warunki życia na Litwie są rzeczywiście przemilczane, a jakie one są, świadczy urywec z otwartego listu A. Terleckasa do Andropowa, szefa sowieckiego bezpieczeństwa.

„Moje dzieci również są przedmiotem uwagi KGB. W czasie rewizji mego mieszkania major Krasnikow pytał teściową, czy jej zięć nie próbował przeszkadzać wychowaniu jej wnuków na dobrych obywateli sowieckich. Nie raz w czasie przesłuchania wspomniano o dzieciach, które są przedmiotem „specjalnej troski” w szkole. Dnia 14 maja 1974, inspektor zawezwał moją żonę i wyraził zaniepokojenie kierownictwa szkoły z racji jednogodzinnej nieobecności w szkole mego syna „w takim dniu” (Rocznica samopalenia Kalanty). Lecz wątpię czy ta troska ma większy efekt niż samo życie. A jest ono inne niż to czego uczą dzieci w szkole. Rewizje, areszty, wzywanie na śledztwo wpływają na dzieci bardziej niż pro czy anty-sowiecka agitacja... Gdy w roku 1972, zostaliśmy wywiezieni przez KGB w samochodzie typu GAZ-69, widział to mój trzyletni syn i od tej chwili jest przerażony gdy zobaczy samochód tego typu. Gdy wróciliśmy z sali sądowej, powiedział babce, że jak dorośnie, będzie więzienia wysadzać w powietrze dynamitem. I nikt go do tego nie agitował.

Odnosi się więc wrażenie, że moja „redukcja” ma na celu zastraszenie i złamanie mnie fizycznie i moralnie oraz zrobienie ze mnie posłusznego robota. Liczni czekiciele powiedzieli mi to wyraźnie i bez skrępowań. W roku 1958 kapitan Jankevičius rzekł: „Tobie trzeba tak napędzić strachu, żebyś był naprawdę przerażony. W przeciwnym razie będziesz do nas strzelał zza węgła. Jeżeli ci kolana nie drżą gdy przechodzisz koło gmachu KGB, to będą gdy powrócisz z Syberii”. W lutym 1972 roku kpt. Markevicius chwalił się, że każdy kogo on badał, poszedł na tamten świat. Wówczas wszedł inny oficer i zawołał: „Terleckas! Jeszcze nie jesteś w więzieniu? Nie mogę usnąć póki chodzisz jeszcze po sowieckiej ziemi”. Ostatnio w czasie pogrzebu Mindaugas Tamonisa, którego niosłem trumnę i byłem do końca na całej ceremonii, czekista Vladas, zagroził mi za pośrednictwem znajomego studenta: „My i tobą się zaopiekujemy”. Czy KGB ma nadzieję tak mnie nastraszyć, że będę się bał oddać ostatnią posługę bliskiemu przyjacielowi?”

List ten zawiera około 20 stron, ale chyba wystarczy i próbka.

W czerwcu br. rząd sowiecki podwyższył wielokrotnie cła na wysyłane paczki. Mieszkańcy szeregu miast w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie byli zaskoczeni widokiem długich kolejek przed firmami paczkowymi — Bałtów i Ukraińców spieszących w ostatnim terminie by udzielić pomocy swym krewnym. Pismo litewskie komentuje, że dopiero przy tej okazji dowiedzieli się poniektórzy Amerykanie, że w Sowietach nie dobrze się dzieje.

Firma paczkowa w Szwecji, wysyłająca rocznie 5 tysięcy paczek (głównie do Estonii), w związku z nowymi zarządzeniami ulega likwidacji. Przesyłka gotówki została praktycznie wstrzymana już od nowego roku, gdyż za amerykańskiego dolara otrzymuje się tam gotówkę kilkadziesiąt kopiejek, a tzw. certyfikaty zostały zniesione.

Są różne domysły dlaczego ukrócono ten dopływ walut i towarów. Może chodzi o kandydatów na wyjazd do Izraela, pozbawianych pracy i zarobków, a żyjących z przesyłek z Zachodu?

E. ŻAGIELL

Kronika białoruska

Jak podaje nowojorska gazeta *Bielarus* w n-rze 230/231 z 19 czerwca br. australijskie radio etniczne nadało specjalną audycję, poświęconą życiu i twórczości wielkiego poety białoruskiego Janki Kupały w 34-tą rocznicę jego tragicznej śmierci. Audycja była przygotowana przez Białoruski Komitet Centralny w Victorii.

W dniach 19-20 czerwca br. w South River, N.J., U.S.A. odbył się XVIII-ty Kongres Białorusinów w Ameryce. Prezesem Białoruskiego Komitetu Kongresowego Ameryki został wybrany na nowo (na następną kadencję) dotychczasowy długoletni prezes tej organizacji inż. Ivan Kosiak.

6 lipca br. zmarł w Hawthorne, N.J., U.S.A., w wieku 84 lata, dr Jan Stankiewicz, znany filolog, historyk, tłumacz Biblii na język białoruski, redaktor-wydawca czasopisma *Vieda* (Wiedza), długoletni prezes Wielkolitewskiego (Białoruskiego) Towarzystwa Naukowego Franciszka Skaryny, przed wojną lektor języka białoruskiego na Uniwersytetach Warszawskim i Wileńskim, poseł białoruski na Sejm R.P.

8 sierpnia br. zmarł w South River, N.J., U.S.A., w wieku 70 lat, ks. protoprezbyter Mikołaj Łapicki, exulowy kapłan Białoruskiego Kościoła Prawosławnego w wolnym świecie, magister teologii Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor czasopisma religijnego *Carkouny Świata* (Pochodnia Kościelna), proboszcz parafii św. Eufrosynii w South River, N.J. Pochowany na miejscowym białoruskim cmentarzu parafialnym.

8 sierpnia br. zmarł w Howell, N.J., U.S.A., w wieku 90 lat, Władimir Sielach-Kaczański, zasłużony działacz kultury muzycznej, wybitny dyrygent chórów białoruskich, b. artysta operowy-spiewak teatru Maryńskiego w Petersburgu i dyrektor teatrów białoruskich w Mińsku.

WŁ. BRYLEWSKI

Amerykański tygodnik *People* zamieścił wywiad ze znaną zawodniczką sportową ZSSR Olgą Korbut (o jej przynależność narodową walczą Polacy,

Litwini, Białorusini i Rosjanie). Olga Korbut zwierzyła się korespondentowi, że w przeszłości była „kapryśną”, i wypowiadając swoje opinie nie zwracała uwagi na rozmówców. „Było mi wszystko jedno — powiedziała — czy rozmawiałam z Breżniewem, czy ze zwykłym człowiekiem”. Dziś twierdzi, że bardzo się zmieniła i przypisuje tę zmianę ćwiczeniom Yoga.



Na Białorusi sowieckiej, nie mówiąc już o białoruskich ziemiach etnicznych poza BSSR (Smoleńszczyzna), rusyfikacja szaleje. Ucisk religijny ze wzmoczoną siłą trwa nadal. Prawie wszystkie kościoły i ogromna większość cerkwi są zamknięte lub zamienione na różnego rodzaju склады. Jedyne na Białorusi Mińskie Seminarium Duchowne w Żyrowicach k/Słonima zostało zamknięte kilkanaście lat temu. Często odbywają się procesy „sądowe” ewangelickich chrześcijan — baptystów, w wyniku których podsądni zostają skazani na długoletnie więzienie i łagry. Do Karelo-Fińskiej SSR deportowano tak wielu Białorusinów, że dziś jest ich tam tylu, ilu rdzennych mieszkańców tej republiki — Karelczyków. Karelczycy żartobliwie nazywają swoją republikę „Karelo-Mińskaja” SSR.

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo **KULTURY** i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarecznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Sprawy i troski

Taki skrawek obcego pola

18 września br. został odsłonięty w Londynie na cmentarzu Gunnersbury Pomnik Ofiar Katynia. Nie brałem udziału ani w budowie pomnika, ani w pięcioletniej jakże uporczywej walce polsko-angielskiego Komitetu Budowy, by projekt doprowadzić do skutku. Byłem świadkiem jedynie tej uroczystości. Trudno mi jest o tym pisać — nie potrafię.



Jest ranek słoneczny, jesienny, porywisty — jak żagiel powiewa biała zasłona kryjąca pomnik. Ze wszystkich stron spływają tysiące, dosłownie tysiące Polaków z Anglii, z Ameryki, Szwecji, Niemiec i Francji. Wiem, że byli również i ludzie z Polski. Jest także wielu Anglików, naszych niezawodnych przyjaciół z sędziwym lordem Barnby na czele; bez nich nie mógłby stanąć Pomnik, postawiony wbrew rządowi brytyjskiemu i kategorycznym ze strony tego rządu naciskom.

Brzmia werble i pani Maria Chelmecka, wdowa po zamordowanym w Katyniu oficerze, dokonuje odsłonięcia. Pomnik jest piękny w swej wielkiej prostocie. Siedmiometrowa iglica z czarnego granitu, a na niej cienką złotą nitką wyrzyty biały orzeł w wieńcu z kolczastego drutu i z datą 1940 — datą, która mówi wszystko.

Ta data, na obelisku wyrzyta, okazała się dla rządu brytyjskiego nie do przyjęcia, bo jakoby jest jeszcze *controversial*. Nie darmo rząd sowiecki, a nawet władze Polski Ludowej zgłosiły ponad 12 protestów przeciw zezwoleniu na budowę pomnika. W rezultacie rząd brytyjski nie tylko nie wziął udziału w manifestacji, ale również zakazał wojskowym angielskim stawienia się na cmentarzu w mundurach. Przemawia biskup Rubin, który pomnik

poświęcił, po nim zabierają głos kapłani różnych wyznań: ksiądz greckokatolicki, pastor, ksiądz prawosławny i rabin. Katyń jest grobem polskich żołnierzy wszystkich wyznań.

Dlaczego ta uroczystość zdała mi się bardziej znacząca niż wszystkie narodowe manifestacje, które było mi dane przeżyć? Każdy szczegół uroczystości, osadzony w tak głębokim zbiorowym przeżyciu, zdawał się przez wszystkich obecnych przeżywany aż fizycznie.

Uderzała cisza tego tłumu — skupienie z jakim słuchał przemówień, które docierały do nas przez, niestety, źle ustawione głośniki, uderzała różnorodność tłumu. Obok nas starych, dla których Katyń był tragedią naszej generacji, stał tłum ludzi, o pokolenia młodszych, aż po dzieci — dla nich to już była historia.

Skończone modlitwy, skończone przemówienia, tłum zalał wprost otaczające trawniki i ścieżki. Nie widziałem nigdy takiej ilości wieńców z szarfami i bez szarf, bukietów, wiązanek kwiatów, nie tylko przez Polaków składanych. Wśród wieńców był jeden złożony w imieniu całej rodziny przez posła Winstona Churchilla, wnuka premiera czasu wojny. Nie było przedstawiciela rządu brytyjskiego, ale były liczne delegacje patriotów czeskich, węgierskich, łotewskich, ukraińskich i Wolnych Rosjan. Zdaje się, że cała prasa londyńska zareagowała jednoznacznie na to wydarzenie. Od *Times'a* w artykule redakcyjnym pt. „Stygmat Katynia” po *Sunday Times*, który ten dzień, w którym rząd brytyjski świecił nieobecnością, nazwał „Złym dniem dla honoru i prestiżu Anglii” po *Daily Mail*, który umieścił gwałtowny tekst Winstona Churchilla: „Mój wielki dziad nigdy nie miał wątpliwości, że winnymi tej zbrodni byli Rosjanie... Nie byli tu reprezentowani tylko winni, ignoranci i podli”.

Nie widzę bym mógł inaczej zakończyć to krótkie sprawozdanie z chwil przeżytych na cmentarzu w Gunnersbury, jak cytując słowa lorda Oswalda, jednego z mówców i członków Komitetu Budowy tego pomnika:

„Są słowa angielskie, może zbyt często cytowane... Napisał je młody angielski poeta krótko przed swą śmiercią na polu bitwy w I-szej Wojnie Światowej: 'Jeżeli zginę, myśląc o mnie, pamiętaj że jest taki skrawek obcego pola, który na zawsze będzie Anglią' — o tysiące mil od miejsca gwałtownej śmierci ten poświęcony przez biskupa Rubina skrawek obcego pola BĘDZIE NA ZAWSZE POLSKĄ”.

Józef CZAPSKI



Rząd brytyjski odmówił wysłania oficjalnego reprezentanta na odsłonięcie pomnika, bo datę wyrytą na pomniku (1940 r.),

wskazującą niezbicie, że zbrodnia tam dokonana była sowiecką, uznać za *controversial*.

Czy można to stanowisko nazwać inaczej niż słowami posła Airey Neave: *Craven attitude* i jako strach przed obrażeniem władz sowieckich przez stwierdzenie prawdy.

Więc podstawowe dzieło, Biała Księga Katynska, „*The Crime of Katyn*”, wydana po angielsku, zawierająca wszystkie fakty i dokumenty dotyczące tej zbrodni, są rządowi chyba nieznane?

Więc nieznana mu jest również książka definitywna J.K. Zawodnego „*Death in the Forest*”?

Więc ostatnie dwie książki Louis FitzGibbona: „*Katyn a Crime without Parallel*” i „*The Katyn Cover-Up*” są również rządowi nieznane?

Zresztą ta cała argumentacja, przygważdżająca autorów zbrodni, znajduje się już w raporcie ambasadora angielskiego przy rządzie polskim Owen O'Malley'a z 11 lutego 1944 roku. Ten raport, w swoim czasie tajny, figuruje dziś na ostatnich stronach książki FitzGibbona „*The Katyn Cover-Up*”.

J. Cz.

Z przykrością zawiadamiamy, że z powodu długotrwałej choroby tłumacza wydanie III-go tomu „*Archipelagu GULag*” musi ulec znacznemu opóźnieniu. Wszystkie wpłacone przedpłaty są skrupulatnie odnotowane — prosimy jednak o nie nadsyłanie dalszych wpłat na III-ci tom. Jak tylko otrzymamy tekst tłumaczenia zawiadomimy o tym w Kulturze.

REDAKCJA

Książki

Sałatka egzystencjalna

Książeczka Czerniawskiego*, jednego z filarów dawnej londyńskiej grupy poetyckiej *Kontynenty*, składa się z siedmiu powstałych w latach 60-tych, hm, kawałków (sam autor proponuje nazwę „absurdeski”), zbudowanych ze strzępów opisów podróży, dialogów z niewiadomymi rozmówcami, dygresji filozoficznych, parafraz biblijnych, autokomentarzy, zdanek z podręcznika do nauki holenderskiego, pseudokomentarzy pseudowydawcy, rozmów Wokulskiego z Hamletem i wielu innych ingrediencji, jakimi od czasów „Mopsożelaznego piecyka” Wata posługują się autorzy *genre'u*, który określić można jako chaos w odcinkach. Fragmenty ósmy zwany „Mitografią”, a pomieszczony tam, gdzie w pracach naukowych znajduje się bibliografia określa nastrojowo-intelektualne tło rzeczonych absurdesek; jeśli z tej listy książek, obrazów i utworów muzycznych wybierzemy Kołakowskiego „Obecność mitu”, Szaniawskiego „Profesora Tutkę”, abstrakcyjną kompozycję Lenicy i *Gymnopédies* Erika Satie i wyobrazimy sobie wypadkową literacką tego wszystkiego, będziemy mieli niejaki wyobrażenie o całości. Jest to zresztą jedyny sposób zdania sprawy z omawianej książki, ponieważ nieobecność struktury posunięta jest w niej do stopnia, na którym osobom postronnym pozostaje jedynie wybór: przeczytać całość lub też całość zignorować kompletnie.

Zazwyczaj w podobnych okolicznościach skłaniam się do wyjścia Nr 2, ponieważ chaos jako materiał literacki przypomina antymaterię w tym sensie, że próby lepienia zeń czegoś trwałego przeważnie kończą się dziurą w *univers de discours* i niczym więcej.

Czerniawskiego ratują ze szponów *irrelevance* (brak na to

* Adam Czerniawski, *Akt* (opracował Józef Zenon Tynicki zgodnie z paragrafami małego kodeksu karnego i cenzury wewnętrznej); Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975, str. 61.

wygodnego słowa polskiego) te same przymioty, które w swoim czasie uratowały Witkacego: obsesja filozoficzna i humor, czyli w ostatecznym rachunku elementy porządku, przerzucającego most między autorem a czytelnikami. Obsesja autora „Aktu” jest czysto witkacowska i w terminologii tego ostatniego nazywała się Problemem Tożsamości Jednostkowej Poszczególnej. Mówiąc bardziej przyziemnie chodzi tu o zdumienie nad jednością osobowości w czasie; cytując Czerniawskiego:

„...któż z nas nie przeżywa chwil, kiedy zastanawia się, co łączy go z dwuletnim dzieckiem siedzącym z grzechotką w ręku pod platanem w nieznanym bliżej parku; z jedenastoletnim krótkowidzem, który wierzył w nadprzyrodzoną potęgę kapłanów; z krnąbrnym nastolatkiem: [...] z ojcem trojga dzieci; ze starcem złamanym artretyzmem [...] ? 'Je est un autre' pisał młodziutki poeta francuski. Nie dziwota, że złamał pióro zanim osiągnął pełnoletniość, że ostatecznie wybrał handel bronią w Abisynii”.

Jest to zdumienie, które niewątpliwie nawiedza od czasu do czasu każdego myślącego człowieka, lecz równocześnie jest to zdumienie luksusowe (podobnie jak luksusem jest w ogóle „myślenie” jako stan uświadomiony), a zatem uczucie nieco wyjątkowe i sztuczne. Wyrażone *expressis verbis* potęguje atmosferę wyjątkowości i sztuczności, nie przyczyniającą utworom na tym motywie opartym popularności. Na co dzień każdy jest równocześnie 2-letnim dzieckiem z grzechotką, 11-letnim krótkowidzem, itd. i nie widzi w tym nic nadzwyczajnego; Rimbaud był raczej wyjątkiem niż regułą. Wstępowanie w szranki filozoficzne z absurdeskami byłoby również absurdeską, ale dla zaznaczenia swego stanowiska chcę stwierdzić co następuje: problem osobowości wydaje mi się problemem nie tyle filozoficznym co cybernetycznym, ponieważ „osobowość” jest historią automatu z pamięcią, która to pamięć jest istotnym elementem jego zachowania. Kartezjańskie *cogito ergo sum* wydaje mi się lepszym przybliżeniem prawdziwego stanu rzeczy, niż Czerniawskiego *divago ergo sum* — o czym wspominam dlatego, że „Akt” zdaje się łączyć zamiar poetycki z pretensją filozoficzną. Co do pierwszego — OK, w poezji wszystko wolno (najwyżej się jej nie czyta); co do drugiego — nie ma zgody! Chaos nie jest adekwatnym obrazem człowieka.

Humor Czerniawskiego niekiedy zatrąca humorkiem Makuszyńskiego, ale szczęśliwie znajdujemy też wypadki bardziej samodzielne i naprawdę zabawne, por. na przykład obraz PRL w oczach skołowanego emigranta MacKowskiego:

„Oprócz strojów ludowych i pałaców kultury, które wprowadzały element ładu i jednolitości, nie znalazł nic, co by temu państwu nadawało specyficzne, narodowe piętno i wyraźne oblicze. Na przemian zdawało mu się, że jest w jakimś zubożałym zakątku Niemiec, wystawowo-turystycznym cypliku ZSRR, zaniedbanej prowincji monarchii austro-węgierskiej lub w okupowanej przez Polaków Bułgarii”.

W sumie: omówiona sałatka problemów egzystencjalnych

(okropne słowo!) wydaje się strawną pod warunkiem, że potraktujemy ją jako przekąskę, tzn. wstęp do czegoś bardziej substancjalnego — i odmiennego.

M. BRŃSKI

Odyseja czyli topos ucieczki

Proza Mariana Grześczaka¹ daje się umieścić w tym samym kręgu, co proza Zagajewskiego i Kornhausera, mimo iż z tekstu wynika, że została napisana w zasadzie w roku 1963 (są tam i późniejsze wstawki z roku 1974) i dopiero w tym roku wydana. Możliwe, że data wydania i związana z tym bliskość lektur w czasie sugerują to podobieństwo; wszelako wydaje się, że problem sięga głębiej. W recenzjach z powieści Kornhausera i Zagajewskiego przeoczono chyba sprawę istotną (myślę o recenzjach w *Kulturze*). Kornhauser i Zagajewski mianowicie w obu książkach („Kilka chwil” i „Ciepło, zimno”) zrealizowali postulat, sformułowany w wydanym uprzednio wspólnym tomie esejów „Świat nie przedstawiony”, gdzie w pewnym miejscu jest mowa o tym, że w normalnie funkcjonującej kulturze istnieje wzajemne (i jakoś proporcjonalne) odniesienie prozy realistycznej i tzw. kreacjonistycznej². Z tego założenia wychodząc, napisali: Zagajewski powieść w konwencji realistycznej z narratorem w osobie trzeciej, Kornhauser prozę w poetyce snu z narratorem w osobie pierwszej. Akcje obu książek toczą się w latach sześćdziesiątych i kończą tuż przed marcem 1968 roku; co znamienne, kończą się ucieczkami: u Zagajewskiego w czasie (tęsknota za chwilą, kiedy „pieśń wyjdzie na ulicę”), u Kornhausera w przestrzeni (porwanie samolotu z Polski do Austrii). Mamy więc na dwa głosy i na dwa pisarsko różne sposoby zrealizowany topos ucieczki.

Grześczak kończy swoją „Odyseję, Odyseję” odmienną nieco wizją, będącą jednak również wytrąceniem z doraźnej rzeczywistości: bohaterowie powieści dołączają do robotników, maszerujących pochodem w roku 1956 z fabryki Cegielskiego ku śródmieściu Poznania. Tekst napisany został w osobie trzeciej, choć mamy miejsca, gdzie autor zwraca się w osobie pierwszej do czytelnika. Dwie trzecie co najmniej książki to tradycyjna powieść realistyczna, ale mamy też i ustępy w mowie pozornie

zależnej, kiedy pamięć bohatera dokonuje na zasadzie wolnych skojarzeń skoków w czasie, tak że czas traci na ciągłości. Mamy realia ówczesnej Polski z okresu stalinowskiego i przedpaździernikowego: główny bohater, student, dostaje się do więzienia za włożenie nieprzepisowego — czarnego zamiast czerwonego — krawata na zebranie ZMP i, zwolniony w roku 1956, skonfrontowany zostaje ze swymi kolegami i ze swym środowiskiem, przystosowanym już do nowych warunków. Ukazane zostały również w „Odysei, Odysei” dramatyczne zajścia w fabryce Cegielskiego, wystanie delegacji robotniczej do Warszawy i powrót jej z niczym, gdyż zwiedziono ją tam i okłamano. Te partie książki prezentują nam Grześczaka jako realistę, więcej nawet: jako realistę-pasjonata. Ale istnieją i inne partie tej prozy, opalizujące poetycko, kiedy rzeczywistość przecieka przez palce i staje się niepochwytą, i kiedy jedyną możliwością jej pochwylenia staje się taka gonitwa za nią, która paradoksalnie prowadzi do ucieczki w nieoczekiwanym zupełnie kierunku: do wnętrza człowieka; do wnętrza bohatera, autora, czytelnika, bo ja wiem zresztą kogo. W każdym razie w tym wnętrzu jest (albo ulegamy złudzeniu, że jest) ład, kosmos i w tym kosmosie da się szukać Itaki; na zewnątrz, w tych obszarach, które nazywamy umownie rzeczywistością obiektywną, panuje chaos — w tym chaosie Itaki znaleźć się nie da. To o tej rzeczywistości chyba mówi główny bohater powieści, Tomasz, gdzieś u końca tekstu: „Za dużo pamięci dla jednego imienia. Nike? Historia? Lud? Nowo narodzone?” — Mówi to, jak myślę, po ucieczce w swoje wnętrze, czyli — w znaki zapytania.

Topos ucieczki w nowszej literaturze polskiej (krajowej) jest i ważny, i demaskujący. Czas, przestrzeń, wnętrze człowieka — wszystko to są pseudonimy, czy, jak kto woli, imiona wolności. Na podstawie tego wspólnego toposu wolno Kornhausera, Zagajewskiego i Grześczaka zaszeregować do wspólnego nurtu pisarskiego. Grześczakowi udało się być może więcej nawet, niż spółce Zagajewski-Kornhauser, bo w jednym utworze sprzął ze sobą konwencję realistyczną z postawą kreacjonistyczną.

Myślę, że topos ucieczki należy uważnie śledzić.

Witold WIRPSZA

1. Marian Brześczak, *Odyseja, Odyseja*, Czytelnik, Warszawa, 1976.

2. Pisałem o tym w *Neue Zürcher Zeitung*, nr 18/1976 w artykule „Junge Prosa in Polen”.

Krajowe nowości wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Andrzej RYSZKIEWICZ: *Polonica na Zamku w Montresor*. Poznań, 1975, 80, str. 80 i 46 ilustracji. (Monografie Muzeum Narodowego w Poznaniu, t. XIII).

W omówieniu książki Jadwigi Dackiewicz pt. „Sobiescy nad Loarą” (*Kultura* Nr. 7/346-8/347, str. 211-212) zwróciłam uwagę na przeoczenie Sobiescianów w Montresor. Łukę tę wypełnia wydana ostatnio monografia Zamku, zawierająca m.in. opis obiektów muzealnych odnoszących się do Jana III. Na czoło ich wysuwa się 8 płaskorzeźb Piotra Vaneau zamówionych za życia króla, bezpośrednio po wiktorii wiedeńskiej przez biskupa Armand de Béthune, którego brat był ambasadorem francuskim w Polsce i szwagrem Marysieńki. Biskup zamierzał rozlokować na terenie swej diecezji 10 pomników Sobieskiego jako obrońcy chrześcijaństwa a w zamku w Monistrol stworzyć salę jego imienia. W paryskim Louvrze, w Mediolanie i w Le Puy dochowały się fragmenty tego wielkiego a niezrealizowanego przedsięwzięcia. Płaskorzeźby w Montresor są ważną jego częścią. Do czysto polskich Sobiescianów późniejszej daty należy obraz Rodakowskiego „Hrabia Wilekz błagający Jana III o pomoc dla Wiednia” i sentymentalny kiesz. Stanisława Chlebowskiego „Jan III na łożu śmierci”. Król ułożył się efektownie na szelongu okryty złotą kapą, przy nim spowiednik a u stóp — wierny pies wpatrzonego w umierającego.

Odkrywcza monografia prof. Ryszkiewicza kreśli obraz francuskich przodków Montresoru i jego polskie dzieje. U genezy zakupu krył się podstępny zamiar Róży Branickiej („Fregaty”), teściowej Krasieńskiego, która chciała zakotwiczyć na francuskiej prowincji, daleko od Paryża i jego pokus, królewskiego syna, Ksawerego. Był on posiadaczem nie tyle jakiej fortuny, odziedziczonej i nabytej własnym przemysłem, gdyż m.in. był jednym z założycieli „Crédit Foncier”, co do dziś przemawia do wyobraźni przeciętnego Francuza. Na skutek dramatycznego zerwania z dworem petersburskim, Mikołaj I skonfiskował jego majątek w zaborze rosyjskim, w tym wołyński Luboml, a jego samego zamierzał wysłać tam „gdzie wrona jego kości nie znajdzie”. I tu warto dodać, że adresat tych pogroźek był prawnikiem nielegalnej córki Katarzyny, o czym powszechnie wiadomo i co dawało mu mocną pozycję na dworze carskim.

Grzechy targowickich przodków znaczyć chciały ofiarnością na cele polskie: finansował Legion włoski Mickiewicza i Trybunał Ludów, opłacał obrońców Antoniego Berezowskiego, wspierał Towarzystwo Demokratyczne itp. Uczciwie zapracował na przetrwanie „czerwony hrabia” i zgorznie Krasieńskiego.

Był ponadto zapalonym kolekcjonerem. Popierał artystów polskich, nie wdając się zbyt w artystyczne zalety ich dzieł, jeśli odpowiadała mu tematyka obrazu. Rodzina namawiała go, by zakupił (i zniszczył) „Rejtana” Matejki ze względu na figurujące na tym słynnym obrazie postacie przodków — hetmana Franc. Ksaw. Branickiego i macierzystego dziada, Szczególnego Potockiego. Odmówił w sposób bardzo interesujący: obiecał Matejce zakupienie „Rejtana” pod warunkiem, że namaluje scenę uduszenia cara Pawła I-go. Tego znów Matejko nie chciał się podjąć, ale obraz taki istnieje. Jest dziełem malarza francuskiego Mikołaja Roberta Fleury'ego,

znajduje się w Montresor, ale od wielu lat nie pojawiał się na wystawach i nigdy nie był reprodukowany. Syn tego artysty, Tony Robert-Fleury namalował, także na zamówienie Ksawerego Branickiego, kolosalnych rozmiarów płótno, przedstawiające masakrę manifestantów w Warszawie 8 kwietnia 1861. Jest to jeden z wielu obrazów dotyczących okresu powstania w Montresor.

Monografia Ryszkiewicza ogranicza się do muzealiów Montresoru. Dalsze cenne polonica kryją się niewątpliwie w materiałach rękopiśmiennych, o których bogactwie krążą legendy. Dość przypomnieć, że „czerwony hrabia” był przyjacielem Mickiewicza i Norwida.

ANDRIOLLI, SWIADEK SWOICH CZASÓW. *Listy i wspomnienia*. Opracowała Janina Wiercińska. Wrocław, 1976, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, 80, str. 429 (3). (PAN, Instytut Sztuki, Źródła do dziejów sztuki polskiej pod red. Andrzeja Ryszkiewicza, t. XVI).

Tempo i gruntowność spolszczenia Andriollego uderza i zastanawia. Syn Włocha, jeńca rosyjskiego z armii napoleońskiej, kapitana i rzeźbiarza, który „przyszedł” w Wilnie w roku 1812, stał się, dzięki matce Petroneli z Gońskich, jednym z najlepszych znawców obyczajów roku polskiego i nie mówiącym po litewsku „Litwinem”, czego miarą jest fakt, że słynna Cwierzakiewiczowa umieściła w książce kucharskiej przepis na kolduny według recepty Andriollego. Nie był artystą klasy Norblina czy Płóńskiego, ale potrafił narzucić kilku generacjom swoją wizję „Marii” wspartej na ramieniu rycerza, Gerwazego i Protazego i pokazać „Skąd Litwini wracali?”. *Kłosa i Tygodnik Ilustrowany* zawdzięczały mu setki prenumeratorków; był w Warszawie Prusa i Sienkiewicza jedną z najpopularniejszych postaci. A dostał się do Warszawy drogą okrężną przez Wilno, Rygę, Paryż, Konstantynopol, Petersburg, znów Wilno — i Wiatkę. Przywiózł niegorsze od grottegerowskich sceny z powstania („Spowiedź w więzieniu”, „Mogila powstańca”), obraz przedstawiający „Śmierć Narbutta”, której był świadkiem, ranny w tej samej bitwie. To osobliwe itinerarium tłumaczy się tym, że Andriolli wyjechał po powstaniu na Zachód i starał się wrócić do Kraju jako emisariusz a schwytany nad Prutem wyładował we Wiatce, pozostawiając na pamiątkę kilka ikonostasów w okolicznych cerkwiach i portrety notabłów. Wrócił z zesłania — z kapitałem, który pozwolił mu na efektowny start w warszawskim atelier, gdzie pracował od rana do późnej nocy. „Samowar kipiał cały dzień a dym tytoniowy unosił się pod stropy”. Miasta jednak nie lubił — i dlatego zarobki lokował w fantastycznych imprezach nadwiślańskich, które zmateriałyzowały się jako kolonia domków dla letników w okolicy Otwocka. Tam znów, walcząc z powodziami, hodował morwy i unaczal brzegi rzeki koszykarską wikliną. Uciekł po trzech latach z Paryża, choć obdarzano go mianem następcy Dorégo a Didot i Hachette obsypywali go zamówieniami (ilustrował m.in. „Ostatniego z Mohikanów” Coopera, powieści starego Dumasa itp.). Po powrocie, aby się odrestaurować, odbył szereg wycieczek krajoznawczych, których śladem były setki rysunków reprodukowanych w ówczesnych tygodnikach. Czuł się najlepiej wśród swoich. I tu ujawnia się we wspomnieniach jego i listach fakt istnienia w Warszawie kolonii Wilnian zmuszonych do opuszczenia stron rodzinnych po powstaniu, utrzymujących ze sobą kontakty przypominające nostalgiczne spotkania Lwowiaków w Krakowie czy Wrocławiu a Wilnian w Toruniu czy Bydgoszczy. Ciekawe i to, że Odyniec (w glorii przyjaźni z Mickiewiczem!), Leonard Sowiński, Pług („ojciec Antoni”), Wincenty Korotyński („ojciec Wincenty”) potrafili w ciągu kilku lat, wspierając się wzajemnie, opanować ważniejsze periodyki i warszawską scenę literacką.

Książka, opracowana bardzo starannie przez Janinę Wiercińską, przynosi obok stu kilkudziesięciu reprodukcji prac Andriollego (pokazanych w zbyt wielkim zmniejszeniu) listy i korespondencje z podróży po Kraju i świecie, w tym Włoszech. Elviro Andriolli czuł się źle w Monachium, Paryżu — a nawet Rzymie. W Sobotach (dzisiejszym Sopocie) kłuła go w zęby „zupa z gruszek ze słonymi kluskami”, w Ojcowie zatrąwały mu sen „zbiroweuchy”, gryzące go równocześnie w nos i czoło. Za to „u nas, na Litwie!” — „ranek we młynie, las świerkowy pod Uciną. Jezioro Galwiś godne szwajcarskich”. „W długich włóczęgach po końcach świata — pisał na rok przed śmiercią do Pługa — słodziłem nieraz bezsenne noce myślą, że kiedyś się dostanę do Wacławina, do kościółka w Kukuciskach, do lasu legendowego, gdzie mój wuj polował, a na polowanie zabierał mnie na łęk siódła przed siebie. Było tam jezioro...”.

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ

Maria JANION: *Gorączka romantyczna*. (Warszawa, 1975), Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 585.

Autorskie „Wprowadzenie” mrozi. Pierwsze jego zdanie brzmi: „Ta książka składa się z rozpraw już opublikowanych...”. Po zbadaniu spisu rzeczy mogę zapewnić, że ponadto „łatwo dostępnych”, bo *Pamiętnik Literacki*, *Twórczość*, *Dialog* czy *Teksty*, nie mówię o „Obrazie literatury polskiej XIX-go i XX-go wieku” nie należą do rzadkości w księgozbiorach polonistycznych. Cena egzemplarza wynosi zł. 100, nakład — 8.000 egzemplarzy. Wczytanie się w adres wydawniczy ujawnia, że książka została wydana „z dotacji Ministra Kultury i Sztuki w wysokości zł. 54,85 na 1 egzemplarz”, co w przeliczeniu oznacza subwencję w wysokości zł. 438.000. Ta góra złotych zainwestowana w sążniste tom przedruków wydaje się czymś groteskowym na tle sytuacji ekonomicznej Kraju.

Książka dzieli się na dwie części o tytułach „Romantyczna nowożytność” i „Romantyczne głębie i przestworza”. Zamyka ją program badań literackich nad XIX-tym stuleciem, z czego zdawałoby się wynikać, że „Gorączka romantyczna” mieści się po staremu w czasach Byrona i Mickiewicza i, jak pozytywizm czy Młoda Polska jest rozdziałem historii literatury. Autorka pojmuje romantyzm inaczej. Jego dziedzictwo jest dla niej nie tradycja ale nadal żywym — i tu waham się — błogosławieństwem czy przekleństwem życia duchowego narodu.

Autorka porusza się pewnie na terenie literaturoznawstwa światowego. W indeksie przeważają nazwiska obce, nasuwając podejrzenie, że w pogoni za teoretycznymi nowinkami straciła wyczucie specyfiki rodzimego podglebia, na którym naród przeżywa epidemię „gorączki romantycznej” we własnej endemicznej odmianie.

Nasuwa się np. kłopotliwe pytanie: kiedy w pojęciu autorki zaczyna się i kończy wiek XIX-ty? nie razi mnie że ogarnia nim Stanisława Brzozowskiego i Wyspiańskiego, bo nazwiska te oznaczają koniec wielkich zmagani o istotę romantyzmu dla pokoleń kształtujących swe poglądy w epoce rozbiorów. Romantyzm nie rozpoczął się jednak z dnia na dzień i dlatego trudno zrozumieć dlaczego zgubił się w jej rozprawach okres formatywny określany jako „preromantyzm”. Figuruje on co prawda w indeksie rzeczowym, ale skrupulatne przebrnięcie przez „Preromantyzm zob. sentymentalizm” albo „romantyzm a sentymentalizm” jest jałowym wodzeniem od Annasza do Kaifasza. Pasjonujący autorkę problem „Kuzni natury” i ludowości tkwi głębokimi korzeniami nie tylko w twórczości Kazimierza Brodzińskiego, o którym autorka pamięta, ale już wcześniej u Cypriana Godebskiego a na-

wet w „Sofiówce” Trembeckiego. Już w roku 1924 Mieczysław Piszczkowski napisał ciekawą rozprawę o „Kształcie i ruchu w poezji Trembeckiego”. Upomnę się tu także o „Dumy podolskie” Tymona Zaborowskiego z ich niemal wysokogórskim pejzażem dzikim i skalnym (na Podolu!) i rewolucyjnym podtekstem. Kwestionuję też twierdzenie, że romantyzm „objawił” zapoznaną stronę Tradycji — ezoteryczną, alchemiczną, okultystyczną” i tylko przypomnę, że — jak wykazał np. Jean Fabre — ten nurt towarzyszył jak cień Oświeceniu a symbolizują go nazwiska nieobce romantyzmowi (Swedenborg, Saint-Martin — ten ostatni tłumacz Boehme). Nasi Fryderyk Moszyński czy Tadeusz Grabianka szli wyraźnie ich śladami a dalsze tropy wiodą w macezniczki romantyzmu w interpretacji np. Towiańskiego i samego „Brata Adama”.

Autorka stara się ukazać dwuznaczność i pułapki czarów romantyzmu. Opowiada się jednak zdecydowanie za romantyzmem, jak młodzież szkolna moich czasów („ja jestem za Mickiewiczem” a „ja za Słowackim”). Ale za którym Mickiewiczem opowiada się Maria Janion: czy tym z „Ksiąg narodu”, którego „pochód wolności” miał realizować „Królestwo Boże na ziemi” („Ale królowie zepsuli wszystko”) i był gwałtownie antyfrancuski? Czy tym z Collège de France, który w welon niewinności stroił Napoleona a we Francji widział „starszą córkę Kościoła”? Osobiście jestem „za Mickiewiczem”, ale trudno mi powstrzymać się od wyrażenia przypuszczenia, że „gorączka romantyczna” utrudniała mu rozumienie sytuacji politycznej.

Nie podzielam też poglądu Marii Janion, że w okresie romantycznym lud przeciwstawiał się czynnie szlachcie z własnej inicjatywy. Lepiej nie wspominać rzezi galicyjskiej w tym kontekście. „Lud” romantyczny — to pojęcie uformowane przez Lelewela, Stanisława Worcella, Zenona Świętosławskiego — jak mag z Jasnej Polany nie związanych z ludem ani pochodzeniem ani kultem cudowności ani szlachetną prostotą.

Godzę się z nią natomiast, że „rewolucje są momentami, w których społeczeństwa zapoznają się z istotną swoją strukturą”, co powtarza za Brzozowskim. Ale raczej oznacza to trafnie przewidziane przez Słowackiego klęski i cierpienia niż lekkomyślną mickiewiczowską apoteozę Czynu rewolucyjnego. Mądrość ludowa w PRL-u ma na to formułę: „Rewolucja — O.K.! — ale co dalej?”. Bo nawet obalenie „despotów” nie zawsze jest pouczające, jako że dawno minęły czasy, gdy dyktatorzy wywodzili się z rodzin „imperatorskich czy królewskich”. Jak nie przykładć do romantycznych produkcji „szkiełka i oka” skoro np. Słowacki na kartach „Anhellego” ulokował „błędnych królów” „trzymających szaty na piersiach szkarłatne aby zakryć pierś przed kulą świszczącą” (Sic). Słowackiego usprawiedliwia data powstania poematu. Czerwień była jeszcze dla niego symbolem „despoty” w królewskiej purpurze.

Drugą część książki wypełniają rozprawy pisane z okazji rocznic (np. Konfederacji Barskiej), o Goszczyńskim, Lenartowiczu, Ehrenbergu i nieuchronnych trzech wieszczach. Nieoczekiwanym wtrętem jest długa rozprawa o „Formie gotyckiej Gombrowicza” oparta na przesadnie drobiazgowej analizie odcinkowej powieści „Opętani” drukowanej w 1939 roku w warszawskich „czerwoniakach” a przedrukowanej ostatnio przez Instytut Literacki w wydaniu zbiorowym. Autor miałby z lektury tej rozprawy dużo radości. Dowiedziałyby się jednak, „dlaczego napisal „Opętanych” jako powieść popularną, a ściślej mówiąc — gotyką powieść popularną połączoną z powieścią współczesną”. Komparatystyka *flat ubi vult*; jest to niewątpliwie jej wadą. Ale 76 stron poświęconych więcej niż wątpliwym analogiom koncepcji XVIII-wiecznego „Zamku w Otranto” Horace Walpole’a z „dobrą złą powieścią” Gombrowicza? I to w ramach „Gorączki romantycznej”? „Autentyczny sprzeciw wobec Pierwszego Wielkiego — wobec Mickiewicza”?

W „Opętanych”? Przeciw „dwuznacznym czarom”? Zgoda, ale nie tędy droga!

POEZJA

Zygmunt Jan Rumel: *Poezje*. Wstęp, wybór i opracowanie: Anna Kamińska. Warszawa, 1975, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 8°, str. 76.

Ocena wierszy wymaga stosowania „taryfy ulgowej”. Książeczka zasługuje jednak na uwagę ze względu na życiorys autora. Znałe powiedzenie prof. Pigionia o poetach podziemia, przyrównanych do brylantów, którymi strzelano obficie, da się w pełni zastosować do tego wydobytego z zapomnienia czy przemilczenia Krzemienieczanina, który zginął w okolicznościach szczególnie tragicznych. Ur. w r. 1915, syn osadnika wojkowego z Wołynia, wychował się w Liceum Krzemienieckim w atmosferze prób nawiązania przyjaznego współżycia z Ukraińcami. Stąd — jak pisze we wstępie do „Poezji” Anna Kamińska — „miłość do wołyńskiego krajobrazu, znajomość realiów życia ludu ukraińskiego, stąd motyw „dwóch matek: Polski i Ukrainy”. Jako student polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego spędzał ferie szkolne na Wołyniu, nie zrywając kontaktów z Wołyńskim Związkiem Młodzieży Wiejskiej i Krzemienieckim Liceum. Nawet podchorążówka nie oderwała go od sąsiedztwa najbliższego jego sercu środowiska. Stopień ppor. artylerii uzyskał we Włodzimierzu Wołyńskim. Brał udział w kampanii wrześniowej, a uniknąwszy niewoli, zaprzął się wcześniej do pracy podziemnej w „Chłopskiej Straży” przekształconej w „Bataliony Chłopskie”, których organem było pismo „Żywią i bronią”. Ponoć drukował je sam, czego echem jest wiersz:

*Czarne literki w taśmach mitraliez
Odbite rzędem na lustra stronic,
Głuche jest tętno tajnej drukarni —
Zmęczonej dłoni palący płomień.*

W zimie 1943 roku Zygmunt Rumel wziął udział w konspiracyjnym zebraniu ludowców we wsi Granatów w pow. horochowskim a następnie zamieszkał z żoną w otoczonej lasami wsi Wólka Sadowa w tymże powiecie z zadaniem przeciwdziałania akcjom terrorystycznym UPA prowokowanym przez hitlerowców a skierowanym w wielu wypadkach przeciw Polakom a w szczególności osadnikom wojskowym. Rumel padł ofiarą terroru: zwłoki jego, bestialsko posiekane, rzucono do wspólnego dołu wraz z ciałami dwu towarzyszy pracy konspiracyjnej, której zadaniem było — zbliżenie polsko-ukraińskie. Jak je ujmował świadczy wiersz „Na śmierć poety”, w którym — jak w wielu wierszach Krzysztofa Baczyńskiego — wyraźnie odzwierciedla się echa Stowackiego:

*„A kiedy go z wami nie będzie —
Usypcie mu kurhan stepowy —
Aby słyszał, jak burzan pieśń gędzie
I wiatr stepem przewala się płowy...*

*Niech tam orły dziobami pieśń skrasz,
A teorian piosenką zakwili...
Bo o wolę on waszą i naszą
Śpiewał — zanim odpoczął w mogile”.*

WSPOMNIENIA

SŁONIMSKI, Antoni: *Alfabet wspomnień*. Warszawa 1975, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 283, portret autora i 46 ilustracji.

Ostatnia książka Słonimskiego jest wygodnym do cytowania pamiętnikiem. Nie trzeba zaglądać do indeksu, gdyż autor przewidział, że będziemy szukać Lechonia, Wellsa czy Wieniawy. Są jednak niespodzianki: jest np. w Londynie czasu wojny Hans Effenberger-Słowiński i Ksawery Pruszyński, brak — i niepowrotna szkoda — sylwetek Feliksa Topolskiego czy Stefani Zahorakiej a przede wszystkim Stanisława Balińskiego.

„Zasadą *Alfabetu* — pisał Słonimski — jest wybór dowolny osób i tematów” i dlatego trudno, zwłaszcza po śmierci autora, dociec, kogo pominął sam a kto znalazł się w „częściach o barwie nieprzepisowej”, które usunął z książki „wyrok historii”. W każdym razie brak w *Alfabcie* hasła: CENZURA = wyrok historii.

Metoda układu, nawiązująca do „Pierwszego alfabetycznego spisu cyfr od jednego do stu”, ogłoszonego przez Słonimskiego i Tuwima w almanachu „Pracowita pszczołka”, oszczędza trudu ustalania hierarchii, trzymania się chronologii, jest elastyczna i wygodna. Czytelnik otrzymuje jednak w ostatecznym rezultacie i „Sagę roku Słonimskich” i pocięte na kawałki rozdziały autobiografii, w tym dramatyczny „Powrót” do Warszawy w roku 1945 i późniejsze wycofanie się na sześć pustych lat na „klepanie biedy” w UNESCO i w Instytucie Polskim w Londynie. W rzeczywistości musiał to być tragiczny rozdział biografii, lata izolacji od środowiska, które manifestacyjnie opuścił i do którego wrócił ukradkiem na jałowe usiłowania nawiązania intelektualnych kontaktów z Anglikami. Pruszyński wzdychał po powrocie „Ach, Antoni, Antoni”, — Słonimski mógłby mu wtórować „Ach, Ksawery, Ksawery”, choćby z okazji uwalniania w Krakowie bratanka Piotra („obecnie profesora Sorbony”), „aresztowanego w mieszkaniu Gwizdów, gdzie znalazłoby się starożytny zepsuty powielacz”. Na wyjaśnienie związku między aresztowaniem chłopca, który w ostatnim dniu powstania stracił rodziców, — a zepsutym powielaczem nie pozwolił zapewne „wyrok historii”.

Konserwatyści brytyjscy powiadają, iż przywódca ich stronnictwa winien sam wyłonić się („emerge”) spośród członków, a nie z obliczeń ilości kartek wyborczych. Słonimski tak właśnie doszedł do rządu nad duszami pisarskimi, ferując wyroki przy stoliku kawiarzianym. Po „odwilży” chciałoby się powiedzieć „dojrzał”, odrzucił żart dla żartu, w trudnych okazjach wykazał odwagę i znajomość strategii może dlatego że mason? Nie „zmienił się”, ale właśnie „dojrzał”. W świetle doświadczeń wojennych i egzystencji w PRL-u uległ np. zasadniczemu przekształceniu obraz Miriama. Był on celem wieloletnich ataków Słonimskiego — kulminacją ich był wiersz napisany z okazji wielkiej kompromitacji Miriama w Sorbonie, gdy z powodu tremy nie mógł wygłosić ledwo zaczętego przemówienia. „Dziś — pisze Słonimski — boli mnie do żywego sama myśl o tym, co musiał wtedy przeżyć, [...] widzę go zupełnie inaczej. Już nie zaciętrzewieniem młodzieńczych walk ale spokojnym rozeznaniem. Przecież to był wielki pan literatury i kultury polskiej”.

Te przejścia od potępienia w czambuł do rzeczowej oceny są pięknym świadectwem rzetelności Słonimskiego. Nie ma jednak reguły bez wyjątków. I dlatego przykrym i niepotrzebnym zgrzytem jest wiersz „Igraszki losu” niefortunnie zaczepony o hasło „ANDERS Władysław” i, brzmiejący echemi starych porachunków, ustęp o Ferdynandzie Goetlu, określonym raz jako „średniej wartości prozaik” a następnie „autor paru dobrych nowel” a bez-

trochę obdarzonym mianem przedstawiciela „polskiej drogi do faszyzmu” akceptującego „całą ohydę faszyzmu” (sic!).

Ten racjonalista i romantyk, cynik i „zapaleniec młody” nie łatwo przebywać musiał etapy drogi, która doprowadziła go do współpracy z *Tygodnikiem Powszechnym*, przyjaźni z ks. Janem Twardowskim i, jak Marię Dąbrowską, ostentacyjnie katolickiego pogrzebu. W późnej starości narodził się na nowo. W jednym z ostatnich felietonów o wymownym tytule „Jedność” pisał w maju r.b.: „I oto w tę noc wiosenną wraca młodzieńcza wiara w mądrość i jedność nadrzędną i pozwala nam ufniej oczy podnosić ku niebu. Niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie, ale także niebo gwiazdziste we mnie a nade mną prawo moralne”.

Alfabet wspomnień w swej łatwej powierzchniowej warstwie jest przyjemną lekturą wypoczynkową. Idąc o krok dalej dostrzeże się oszczędność słów i umiejętność trafiania w sedno rzeczy. Podziwiać można jakość humoru i zmysł obserwacyjny, morderczy np. w przypomnieniu pracownicy domowej, która jako „czyn pierwszomajowy” „umiała statuetkę Marii Panny w kościele Bernardynów”. We wspomnieniu o Żeromskim zawarty jest wreszcie ideowy testament Słonimskiego, niesłusznie godzący lekką aluzją w młodych poetów. „Bez Mickiewicza, Wyspiańskiego i Żeromskiego — pisze Słonimski — nie byłoby Polski. Nie dźwignęłaby się z hańby rozbiorów, zostałaby nędzną prowincją we władzy obcej. Warto przypominać młodym pisarzom zafascynowanym lingwistyką i strukturą słowa, jaką to słowo może mieć siłę i jaką pomoc może nieść narodowi. Jak bronić może godności, przywracać dumę, kształtować dzień dzisiejszy i budować drogi przyszłe”. Tym posłaniem kończy się ostatnia książka Słonimskiego wydana za jego życia.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Język filozofią moją

„Język [polski, francuski, chiński...] moim łańcuchem”,owiada poeta. A filozof? Jego interesuje znaczenie, raczej niż kolor słów. Jeśli platonicy mają rację, znaczenia egzystują niewzruszenie poza czasem. W takiej sytuacji nie jest ważne, czy dany przedmiot oznaczony będzie znakiem *soleil* czy *sun*, nawet jeśli inny poeta powie, że „*Die Sonne* nie tak świeci jak słońce”. Języki naturalne utrudniają dotarcie do tych idealnych form, gdyż nawet jeśli na przykład doktryny Platona pokrywają się z myślą Husserla, oczywiście i poważne różnice między greką a niemiecką stwarzają wrażenie, że tak nie jest. Filozofów drażni nie tylko bujność języków, ale także ich plastyczność, ich niuanse i rezonanse, które zacierają granice znaczeń „Język przesłania myśl”, dobitnie stwierdza Wittgenstein¹. Stąd ich próby wypracowania uniwersalnego kodu (*characteristica univer-*

salis), próby powrotu do języka Adama, zanim Babel wszystkiego nie pomieszał. Beżład, który raduje dusze poetów, prowadzi filozofów do drastycznych skrajności.

Wielebny o. Bocheński pominął w swej książeczce o filozofii nowoczesnej myśl polską, a w szczególności dorobek Romana Ingardena, tłumacząc, że:

„Ingardena główne dzieło 'Spór o istnienie świata' należy do najbardziej doniosłych w naszych czasach. Niestety, nie mogliśmy uwzględnić go w tym studium, ani nawet umieścić go bez zastrzeżeń we współczesnej filozofii europejskiej, ponieważ ukazało się tylko w języku polskim, który nie jest znany znakomitej większości filozofów europejskich. Poruszamy tę sprawę tutaj jedynie, aby zaprotestować przeciw szeroko niestety praktykowanemu zwyczajowi wydawania poważnych dzieł filozoficznych w językach znanych tylko mniejszościom, np. w języku fińskim, polskim lub holenderskim. Należy powziąć decyzję wydawania wszystkich tych prac w jednym języku. W obecnym stanie rzeczy, angielski byłby z pewnością najbardziej odpowiedni. Poza tym, poważne studia filozoficzne zakładają znajomość greki i łaciny. Jeśli dodamy trzy główne języki europejskie, mamy w sumie pięć języków, w których wypada nam studiować filozofię, a wówczas nie ma powodu powiększać tej listy w nieskończoność”².

Jeśli Leibniz dał zarys logiki matematycznej, a logicy XIX-go i XX-go wieku ją udoskonali, czynili to oczywiście w przekonaniu, że języki naturalne przesłaniają prawdę, której wyrośnięcie jest możliwe dopiero przy zastosowaniu kodu znaków jednoznacznych. Nie należy tu zapominać o wkładzie właśnie filozofii polskiej. Zrozumiała więc wydaje się teza, że skoro każdy naturalny język jest skażony synonimami, homonimami i gramatycznymi dziwnościami, przeto dla uzyskania myśli klarownej konieczny jest równie przejrzysty system znaków. Ale trudno przyjąć argument, że ponieważ tyle klasyków myśli filozoficznej skomponowanych zostało po grecku, po łacinie i w kilku innych językach, należy tę praktykę kontynuować w nieskończoność. Ojczym Bocheński zdaje się traktować te języki jako przykłady opisanych właśnie kodów. Ale tak przecież być nie może, skoro te zapewne bardzo rozwinięte i ważne dla naszej kultury języki, należą jednak do tej irytującej filozofów klasy języków naturalnych. One więc też cierpią na wieloznaczność i mgławicowość, i to może w jeszcze większym stopniu od języków słabiej rozwiniętych kultur, a to dlatego, że przecież duże bogactwo słów mnoży synonimy i drobniagowe rozróżnienia semantyczne. Nie wolno nam więc z Bocheńskim stanąć w połowie drogi. Musimy albo przyjąć tezę logików, albo też przyjąć tezę przeciwną, że wypowiedź każdego filozofa jest zakorzeniona w kulturze rodzimej, a tym samym, w języku.

Można jeszcze przyjąć tezę pośrednią, że pewne prawdy — a więc prawdy z dziedziny matematyki, nauk ścisłych i praw

1. Ludwik Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, Warszawa, 1970, § 4.002. Dalsze cytaty niżej pochodzą z §§ 4.111 oraz 6.52.

2. I. M. Bocheński, *Contemporary European Philosophy*, Berkeley, 1956, przyp. na str. 130. O ile mi wiadomo, nikt dotąd dzieła Bocheńskiego po polsku nie wydał, zapewne w obawie poważnych rozruchów wśród wiernych...

logicznych — właśnie ze względu na ich jednoznaczność, da się skodyfikować w specjalnie do tego celu powołanych systemach znaków, podczas gdy inne prawdy — z dziedziny etyki, estetyki, socjologii, nauk politycznych, psychologii i antropologii — dadzą się ująć tylko w przybliżeniu i że właśnie języki naturalne są do tego najlepiej powołane. A fakt, że tych języków jest tyle, będzie po prostu dowodem, że systemy etyki, praktyki religijne i ustroje społeczne rzeczywiście się między sobą różnią i że właśnie języki naturalne wytyczają granice tych systemów, praktyk i ustrojów. Ale ta „pośrednia” teza nie odpowiada oczywiście „pośredniej” tezie Bocheńskiego, która nie jest ostatecznie niczym innym, jak wyrazem osobistych tęsknot za ładem i spokojem. Bocheńskiemu tak zależy na zrytualizowaniu i zrutynizowaniu filozofii, że nawet bogaty wkład filozofii polskiej gotów jest w tym celu wyrzucić za burtę. Skostniały katolicki tomizm podaje rękę skostniałemu sowieckiemu marksizmowi.

Ale choć stanowiska Bocheńskiego nie można uwięzić mianem tezy filozoficznej, teza filozoficzna za nią się kryje. Jest to właśnie teza platońska o niematerialnym świecie idei. Wszyscy ci, a więc z jednej strony tomista Bocheński, a z drugiej ateusz Russell, którzy dążą do stworzenia idealnego języka, muszą uprzednio przyjąć tezę o istnieniu idealnych znaczeń. Z drugiej strony zaś musimy jakoś wytłumaczyć (musi w każdym razie wytłumaczyć Bocheński) dlaczego w naszej kulturze mamy akurat (po grecku) finezyjne dialogi Platona, wierszowany ontologiczno-logiczny traktat Parmenidesa, cierpką prozę Arystotelesa; (po łacinie) kilometry zasuszonych traktatów „anielskiego” św. Tomasza, oszczędne dowody istnienia Boga arcybiskupa Anzelma i „geometrię” „Etyki” Spinozy; (po francusku) klarowność Kartezjusza i germańskie szaleństwa Sartre’a; (po angielsku) dowcip, elegancję i trzeźwość Hume’a, Berkleya, Russella i Ryle’a; (po niemiecku) „filozoficzny Buchenwald” Hegla, bałagan Marksa, ciemną świetlistość Schopenhauera, zacieklą aforystykę Nietzschego, enigmatyczność Wittgensteina oraz „angielską” czystość i prostotę Fregego; mamy rozwój stylu Husserla od przejrzystych „Logische Untersuchungen” aż do oszalałających „Cartesianische Meditationen”; i wreszcie rozwój Leszka Kołakowskiego od (po polsku) scholastycznej „Jednostki i nieskończoności” do (po angielsku) trzech wykładów o pewności, osnutych wokół krytycznej egzegezy filozofii Husserla³. Czy więc styl to nie tylko człowiek, czy styl to też filozof? Nie ma chyba nic dziwnego w tym, że przeświadczenie o zagadkowości bytu Heraklit wyraził w zaskakujących metaforach, że dialektyka zrodziła się w dialogach Platona, że filozofia kartezjańska, oparta na osobistym doświadczeniu jaźni i głosząca nade wszystko klarowność, przybrała formę autobiografii po francusku, podczas gdy nieuchronne

dedukcje Spinozy musiały być wyrażone *ordine geometrico* i to po łacinie.

Nie wiem, czy husserlowskie rozmyślenia Kołakowskiego musiały akurat przyjąć obecną formę. Ale dobrze, że tak się właśnie stało. To, co Husserl opisał zawiłe w wielu opublikowanych i nie opublikowanych jeszcze pracach, Kołakowski ujął zwięźle i przejrzysto. Chodzi więc o zagadnienie pewności, które Husserl, a za nim Kołakowski, wywodzi z „Medytacji” Kartezjusza. Można być pewnym własnej pewności dlatego, że się jest w odpowiednim stanie psychicznym, nie zezwalającym na żadne wahania. Ale samo poczucie pewności ma ograniczoną wartość epistemologiczną. Trudno argumentować z kimś, kto jest pewny, że boli go głowa, ale uporczywie przekonanie, że ziemia jest kulista, oparte na jakimś głębokim przeświadczeniu, jest już bezwartościowe. Tu już wchodzi w grę kryteria obiektywne. Zdanie „Ziemia jest kulista” nabiera wartości epistemologicznej dopiero, gdy niezależnie od tego, czy ktoś w tej sprawie żywi szczególnie silne uczucia, pokrywa się ono z rzeczywistością. Styczne kartezjańskie *cogito ergo sum* jest próbą przejścia od niezachwianego przekonania o własnym istnieniu do dowodu o istnieniu świata. Jest to więc próba oparcia wniosku logicznego na bazie psychicznej, a więc zdana na niepowodzenie, jeśli się przyjmie platońską tezę o istnieniu niezależnego świata logicznych konieczności. Ale być może prawa logiczne nie istnieją niezależnie od ludzkich umysłów. Być może nasza zgodność co do ich prawomocności jest wynikiem ewolucji biologicznej lub może nawet kulturowych konwencji.

Z tym „psychologizmem” w różnych odmianach od historyzmu Marksa po biologizm Nietzschego, Husserl walczył całe życie. Ślusznie upierał się, że filozofia nie jest jeszcze jedną „nauką” na równi czy to z matematyką czy fizyką. Nie może więc korzystać ani z dedukcji ani z indukcji. Towarzyszył mu w tej postawie Wittgenstein, który już w „Tractatusie” twierdził, że „Filozofia nie jest jedną z nauk przyrodniczych”. Wedle Husserla Kartezjusz popełnił błąd budując swą filozofię na metodologii nauk matematycznych i przyrodniczych. Husserl poświęcił się więc opracowaniu metodologii specyficznie filozoficznej. Rezultatem była teza o naocznym postrzeganiu idei. Musi to być doświadczenie przed-językowe, albowiem wszelkie próby ujęcia tego doświadczenia w słowach wprowadzają ryzyko fałszu, gdyż język wciska się między doznanie a doznającego. Uzyskujemy więc sytuację skrajną: pewność osiągamy za cenę niekomunikatywności. Kołakowski przywołuje Bergsonowskie pojęcie intuicji, ale podobnie jak inni komentatorzy Husserla, dostrzega zasadniczą różnicę między tą przed-językową wizją idei a dyskursywnie poznawalną platońską rzeczywistością form. Może jednak różnica nie jest aż tak wielka. W „Państwie” metoda dialektyki wiedzie nas przez kolejne stadia wiedzy, aż do samego szczytu, gdzie promieniuje Dobro. Ale choć na wszystkich niższych szczeblach filozof w poszukiwaniu *episteme* (wiedzy murowanej) po-

3. Leszek Kołakowski, *Husserl and The Search for Certitude*, Yale University Press, 1975.

sługuje się metodologią zapożyczoną od matematyków, na najwyższym szczeblu nawet matematyka okazuje się bezradna. Platon musi się w tym miejscu odwołać do słynnego obrazu pieczary, cieni i słońca: poznanie pojęcia dobra przyrównane jest do bezpośredniego oglądania słońca. Znow więc, jak w wypadku Husserla, jak też w wypadku wszelkich mistyków, którzy twierdzą, że widzieli Boga, otrzymujemy wreszcie pewność psychologiczną, zatracając jednocześnie pewność epistemologiczną. Przedsięwzięcie *par excellence* racjonalne kończy się bierną kontemplacją ideału. Platon i Husserl znajdują się niespodziewanie w towarzystwie św. Teresy.

Pewność zdobędziemy dopiero przez kontakt ze światem zewnętrznym. Wszelkie próby znalezienia jej drogą introspekcji są zdane na niepowodzenie, jeśli nie potrafią zbudować mostu pomiędzy jaźnią filozofa a światem zewnętrznym. I chyba dlatego wszelkie próby, jak w wypadku Husserla, czy po części Platona, oparte na przedjęzykowych doznaniach, nie mogą się udać. Kartezjusz natomiast, mimo odnotowanych już trudności, był na właściwej drodze, ponieważ nie odrzucił zasady komunikatywności. Utrzymywał, że pewność musi mieć fundament logiczny, a więc językowy. Ale zważywszy, że jego metoda wymagała kwestionowania wszystkiego, co się kwestionować da, nie zastosował jej przecież dostatecznie rygorystycznie. Zakwestionował istnienie całego świata, nie przyszło mu na myśl zakwestionować sprawności instrumentu, czyli języka, którym świat tylko co zdemolował. Może zresztą i o tym pomyślał, ale ze zrozumiałych względów wołał w ten argument się nie zagłębiać, bo przecież to byłoby równoznaczne z zarzuceniem pracy filozoficznej. Filozofowi łatwo przychodzi wątpliwość w istnienie przedmiotów czy to materialnych czy to niematerialnych, albo też jednych i drugich, ale jakże może nawet przez chwilę sądzić, że jego argumenty dotyczące na przykład iluzyjności przedmiotów materialnych są same wynikiem iluzji, że słowa, z których ten „argument” jest złożony, są zaledwie chaotycznym zlepkiem wyrazów, czy też nawet nieartykułowanych dźwięków? Co prawda, Kartezjusz rozważył przez chwilę możliwość, że jest w mocy demona, który nieprzerwanie mąci mu myśli, jednakże odrzucił ją, argumentując, że nawet demon nie może pozbawić go przeświadczenia o własnym istnieniu. Ale cóż znaczy przeświadczenie o własnym istnieniu? Znaczący możliwość wyrażania takich zdań, jak „Jestem”, „Czuje ból”, *Cogito ergo sum*. Czyli więc zakładamy sensowność tych zdań! Kwestionowanie poprawności logicznej zdania „Jestem” lub „Boli mnie” równałoby się właśnie kwestionowaniu własnego istnienia. Dlatego też wolno nam wnioskować, że np. zwierzęta nie wiedzą, że istnieją, gdyż nie mają sposobu tej wiedzy wyrazić.

Może najbardziej obiecujące wyjście z matni egocentryzmu, w które uwikłali się Kartezjusz i Husserl (nie licząc wielu innych), prowadzi właśnie przez język, szczególnie poprzez tezy dotyczące języka wypracowane przez Wittgensteina i Chom-

sky'ego, których Kołakowski, o dziwo, w swych wykładach nawet nie wspomina⁴. Teza Chomsky'ego — że zdolności językowych nie da się w pełni wytłumaczyć behawiorystycznie, że umiejętność ludzka tworzenia nieskończonej permutacji gramatycznie poprawnych zdań świadczy o istnieniu wrodzonej struktury umysłu — połączona z argumentem Wittgensteina — że język musi zawsze być własnością „uspołecznioną” i że język „prywatny” jest logicznym absurdem — potwierdzają z jednej strony tezę platońską o uniwersalnym racjonalnym języku ukrytym za skorumpowanymi językami naturalnymi, a z drugiej dają wyjście z solipsyzmu. Jeżeli bowiem język musi być *ex definitione* czymś wspólnym, jeżeli nie do pomyślenia jest człowiek stwarzający sobie na bezludnej wyspie język *ex nihilo* (tzn., nie Robinson Crusoe, lecz niemowlę na wyspie porzucone), kartezjanin wypowiadający słowa *Je pense donc je suis* nie musi się już zastanawiać, czy wypowiedział zdanie sensowne, nie musi się też troskać, że być może jest otoczony kukłami przypominającymi ludzi. Musi co prawda nadal zastanawiać się, czy zdanie *Je pense donc je suis* jest przykładem poprawnego wnioskowania logicznego. Jeżeli osądzi, że tak, uzyska kruszynę kartezjańskiej pewności, jeśli nie, czeka go znow piekło sceptycyzmu i relatywizmu.

Nic dziwnego więc, że nawet ci myśliciele którzy, jak Husserl i Kartezjusz, szukali pewności, przyczynili się mimowoli do wzmocnienia obozu sceptyków. Czym ambitniejsze bowiem były ich próby opanowania argumentów sceptycznych, tym okazalszy okazywał się tryumf sceptyków, gdy te próby kończyły się niepowodzeniem. Jednakże Kołakowski konkluduje swe rozważania husserlowskie wyrazem głębokiej aprobaty osiągnięć niemieckiego filozofa. Poszukiwanie pewności, nawet jeśli dość chimeryczne, jest poszukiwaniem znaczenia, a więc celowości. Zrozumiała i godna jest ta próba ucieczki od świata uwarunkowanego, który uparcie narzuca nam nauka i technologia. Czyli że, znow w słowach Wittgensteina, „gdyby nawet rozwiązano wszelkie możliwe zagadnienia naukowe, to nasze problemy życiowe nie zostałyby jeszcze tknięte”.

Adam CZERNIAWSKI

4. Także istotne są argumenty wypracowane przez Wittgensteina w „Über Gewissheit”.

Nadesłane nowości wydawnicze

KNAPPIK (Jerzy Jan). *Dynamiczna ekspansja kosmosu. Powstanie, rozwój i koniec wszechświata*. Tom 14 serii zielonej Biblioteki Polskiej. Str. 133 i 5 nlb. plus VI katalogu „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn, 1976).

MACIOCHA (Wacław, Ks.). *Dla czego jestem wierzącym katolikiem?* Str. 278 i 4 nlb. plus VI katalogu „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas, Londyn, 1976).

MAKOWSKI (Jerzy, Ks.). *Wspomnienia kapłana*. Tom 79 serii czerwonej Biblioteki Polskiej. Str. 329 i 7 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn, 1976).

RUSTAWELI (Szota). *Rycerz w tygrysięj skórze*. Przełożył i położył opatrzył Jerzy Zagórski przy konsultacji filologicznej doc. dra Jana Brauna. Str. 250 i 2 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1976; cena zł. 100).

Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej. Tom II — *Kampanie na obczyźnie*. Cz. 2. Opracowanie Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie. Str. 584 plus mapy. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1975; cena £. 8.00).

de L. MIŁOSZ (O.V.). *Lettres inédites à Christian Gauss*. (Dont une en fac-similé hors texte). Présentation — Czesław Miłosz. Str. 90 i 6 nlb. (Wyd. Editions André Silvaire, Paris, 1976; cena F. 39).

IMOTO (Atsushi). *Sculptures*. Album wystawy w Galerie Entremonde i Galerie Lambert. Str. nienuumerowane, 50 fotografii rzeźb plus katalog wystawy. (Wyd. Galerie Lambert i Galerie Entremonde, Paryż, 1976).

LIPiński (Edward, Prof.). *Open Letter to Comrade Edward Gierek*. Str. 13 (vary-tiper). (Tłumaczenie i przygotowanie: The Association of Polish Students and Graduates in Exile, Londyn, 1976).

GIDYŃSKI (Joseph). *The Relation of the Polish Communist Party to the Constitution of the Polish People's Republic*. Str. 15. (Odbitka z *The Polish Review*, vol. XXI, No 1-2, 1976, str. 41-53, New York, N.Y.).

ROSENTHAL (Harry Kenneth). *German and Pole. National conflict and Modern Myth*. Str. 175 i 3 nlb. (Wyd. University Press of Florida, Gainesville, 1976; cena Dol. 10).

Modern Slavic Literatures. Volume 2 — Bulgarian, Czechoslovak, Polish, Ukrainian and Yugoslav Literatures. A Library of Literary Criticism. Compiled and edited by: Vasa D. Mihailovich (Univ. of North Carolina), Igor Hájek (Univ. of Lancaster), Zbigniew Folejewski (Univ. of British Columbia), Bogdan Czaykowski (Univ. of British Columbia), Leo D. Rudnytzky (La Salle College), Thomas Butler (Univ. of Wisconsin). Str. 720. (Wyd. Frederick Ungar Publ. Co., Inc., New York, N.Y., 1976; cena Dol. 30).

LEWYTZKYJ (Borys). *Parteitage in den 14 Unionsrepubliken der Sowjetunion*. Str. 66 (vary-tiper). Berichte des Bundesinstituts für ostwissenschaftliche und internationale Studien 1975-1976, mai 1976.

BYKOVSKYJ (Lev). *Solomon Izrailewycz Goldenman 1885-1974 — Biobibliograficzny materiał*. Str. 293 i 1 nlb. (vary-tiper). (Wyd. Ukrainian Continental Institute, Denver-Jerusalem, 1976).

Pod koniec bm. ukaże się
w BIBLIOTECIE „KULTURY”

książka

JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO

pt.:

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Jest to wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów świetnego publicysty z okresu 1971-1976.

Z poprzednio wydanych książek J. Mieroszewskiego jest jeszcze do nabycia ostatnia pt.: **MODELE I PRAKTYKA** (1970), str. 224. Cena F. 20,00.

Poprzednie książki:

EWOLUCJONIZM (1964) i
POLITYCZNE NEWROZY (1967)

są całkowicie wyczerpane.

Ponadto w języku niemieckim ukazała się w 1961 r. praca **KEHRT DEUTSCHLAND IN DEN OSTEN ZURÜCK?** — wydana przez Colloquium Verlag w Berlinie (wyczerpana).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-9-76

Według informacji kijowskiego pisma *Wisti z Ukrainy* we Lwowie jest ogromny procent małżeństw mieszanych. Około 80 % Ukraińców żeni się z Rosjankami, a na dalszych miejscach są Białorusini, Polacy i inne narodowości. Mniej więcej co czwarte małżeństwo we Lwowie jest małżeństwem mieszanym, a w niektórych dzielnicach Lwowa ich ilość dochodzi do 40 %.

9-9-76

Konferencja Episkopatu Polski, obradująca na Jasnej Górze, po zapoznaniu się z tekstem Porozumienia między Zakładem Ubezpieczeń Społecznych i Zrzeszeniem Katolików „Caritas” z dnia 21 lipca 1976 roku w sprawie utworzenia Funduszu Emerytalnego Duchownych oraz ze statutem tegoż Funduszu, stwierdza, co następuje: 1) Episkopat Polski w trosce o podległe mu duchowieństwo i zgodnie z zaleceniami Soboru Watykańskiego II (Dekret o posłudze i życiu kapłanów nr 21) od dawna czyni starania i prowadzi rozmowy z Rządem PRL, aby wszystkie osoby duchowne były objęte ubezpieczeniem społecznym. 2) Zrzeszenie Katolików „Caritas”, zawierając Porozumienie z Zakładem Ubezpieczeń Społecznych w sprawie Funduszu Emerytalnego, nie posiadało żadnych kompetencji do zajmowania się sprawami bytowymi duchowieństwa katolickiego. 3) Kapłani aktualnie pracujący w Stowarzyszeniu „Caritas” nie posiadają zgody swych Biskupów Ordynariuszów na zajmowanie urzędów w tymże Stowarzyszeniu. Nie mają prawa reprezentować duchowieństwa i podejmować decyzji w sprawach bytowych tegoż duchowieństwa (Protokół Wspólnej Komisji Rządu PRL i Episkopatu w związku z zawartym porozumieniem z 14 kwietnia 1950 roku). 4) Statut Funduszu zmierza do podporządkowania duchowieństwa instytucjom niekościelnym, do oddzielenia go od własnych biskupów. Współpraca kapłanów w tej sprawie nosi znamiona machinacji przeciw prawowitej Władzy Kościelnej, co pociąga za sobą sankcje kanoniczne (kan. 2331, 2335 oraz Dekret Kongregacji Soboru z 29 czerwca 1950 roku). 5) Mając to wszystko na uwadze Konferencja Episkopatu zabrania Duchowieństwu Katolickiemu przynależenia do wyżej wymienionego Funduszu i korzystania z niego.

13-9-76

Zmarł w Warszawie Leon Przemski, prozaik i eseista, autor książek dla młodzieży.

19-9-76

Ojciec św. Paweł VI powołał na tytularną stolicę biskupią Sufasar ks. Stanisława Adama Sygneta, rektora Wyższego Seminarium Duchownego w Sandomierzu i ustanowił go biskupem pomocnym Ks. Bpa Piotra Gołębiowskiego, administratora apostolskiego w Sandomierzu.

20-9-76

Warszawski Klub Poetycki wykluczył od udziału w Warszawskiej Jesieni Poesz Jerzego Ficowskiego, Zbigniewa Herberta, Andrzeja Mandaliana, Jerzego S. Sito, Jarosława Rymkiewicza, Jacka Trznadla, Wiktora Woroszyńskiego i Juliusza Żuławskiego.

22-9-76

W PRL dał się odczuć brak zapalek. Specjalnie wystąpiło to w Warszawie i Łodzi oraz w województwach chełmskim i bielsko-podlaskim.

24-9-76

Zmarł w Opolu, w wieku 79 lat, ks. bp dr Franciszek Jop, ordynariusz diecezji opolskiej. ■ W latach 1974-1976 PRL sprowadziła z krajów zachodnich 15 milionów ton zbóż i pasz wartości dwóch miliardów 200 milionów dolarów.

25-9-76

Polskie Towarzystwo Historyczne, liczące blisko trzy tysiące członków, obchodziło swoje 90-lecie. Prezesem Towarzystwa został prof. dr Marian Biskup. Ponadto utworzono doroczną nagrodę za twórczość literacką o tematyce historycznej. Pierwszą nagrodę otrzymał Andrzej Stojowski za książkę „Carskie wrota”. ■ Prof. Claude Baevis, profesor literatury polskiej na uniwersytecie w Brukseli, oraz prof. F. Schoell otrzymali nagrody Polskiego Ośrodka Stowarzyszenia Kultury Europejskiej — SEC. ■ Tegoroczną nagrodę *Miesięcznika Literackiego* otrzymali: A. F. Grabski za książkę „Myśl historyczna polskiego Oświecenia”, Jarosław Iwaszkiewicz za książkę „Petersburg” i Aleksander Wojciechowski za „Młode malarstwo polskie 1944-1974”. ■ Zmarł w Busku, w wieku 76 lat, dr Adam Vetulani, historyk prawa polskiego i prawa kościelnego, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

28-9-76

Marszałek Sejmu PRL odmówił przyjęcia do wiadomości listu założycieli Komitetu Obywatelskiego Pomocy Robotnikom, informującego o ukonstytuowaniu się Komitetu.

1-10-76

W Głogówku na Ziemi Lubelskiej otwarto muzeum Jana Cybisa. Zgromadzono tam około 100 prac artysty. ■ W wyniku kontraktu podpisanego z NRD Polska otrzymała w przyszłym roku 7,5 tysiąca Trabantów i Wartburgów, czyli o 2,5 tysiąca więcej niż w bież. roku. ■ Państwowa Komisja Cen ustaliła, że od 1 października br. maksymalne ceny mięsa podrobów, tłuszczów zwierzęcych, sprzedawanych przez indywidualnych producentów na targowiskach, nie mogą być wyższe więcej niż o 40 % od cen detalicznych, obowiązujących w handlu uspołecznionym. ■ Posiadacze walut wymiennalnych będą mogli bez żadnych formalności otwierać konta w Banku PKO, czy w NBP i dysponować nimi zarówno w kraju jak i za granicą. Równocześnie podwyższono oprocentowanie kont dewizowych. ■ Przewiduje się znaczne pogorszenie napięcia energii elektrycznej w PRL na skutek opóźnień na budowie elektrowni „Jaworzno III” i „Dolna Odra”. ■ Od dnia 1 października br. urzędy paszportowe PRL będą udzielać wpisów do dowodów osobistych, uprawniających do przekraczania granicy i pobytu w europejskich państwach socjalistycznych. Wpisy z nieograniczoną ważnością będą wprowadzone zamiast wkładek paszportowych i dotychczasowych wpisów, uprawniających do wyjazdu do NRD. Przepis ten wejdzie w życie z dniem 1 stycznia 1977. ■ Jan Józef Lipski, Jan Tomasz Lipski, Antoni Maciejewicz i Mirosław Chojcecki udali się do Radomia. Zostali tam aresztowani i przetrzymani ponad dobę. W mieszkaniu M. Chojceckiego w Warszawie przeprowadzono rewizję. ■ Rozpoczął głodówkę Olendrowicz, zamieszkały przy ul. Getta Warszawskiego 17/15 w Szczecinie. W obecnym stadium życia jego grozi niebezpieczeństwo. Prof. Lipiński wysłał pismo interwencyjne do Henryka Jabłońskiego. Olendrowicz w 1970 r. był jednym z prowodyrów strajku w Szczecinie, jest bez pracy, złożył podanie o paszport emigracyjny. Obecna głodówka ma na celu uzyskanie takiego paszportu.

14-10-76

Zmarł w Warszawie ppłk Bolestaw Ziemiański, żołnierz POW i Legionów, szef ochrony Marszałka Piłsudskiego. Odznaczony orderem *Virtuti Militari* V klasy i trzykrotnie Krzyżem Walecznych. W czasie ostatniej wojny był kierownikiem bazy konspiracyjnej AK w Bukareszcie. Aresztowany pod koniec wojny przez Gestapo, później więziony w PRL do 1956 roku. Na skutek tortur wyszedł z więzienia ze zrujnowanym zdrowiem.

ZACHÓD — EMIGRACJA

27-6-76

W Buenos Aires odbył się 50-ty Walny Zjazd delegatów Polonii Argentynińskiej. Prezesem została wybrana p. Ardasiewicz-Machnikowa.

20-8-76

W Izraelu powstał „Teatrzyk Olim z Polski”, założony przez imigrantów polskich z kół inteligenckich i studenckich. Teatrzyk opracował ostatnio program złożony z utworów Juliana Tuwima, a poprzednio wystawiał „Freuda teorię snów” Cwojdziańskiego, „Iwonę Książniczkę Burgunda” Gombrowicza, oraz szereg jednoaktówek Sławomira Mrożka.

3-9-76

W galerii Liljevalchs Konsthall w Sztokholmie otwarto na wielką skalę zakrojoną wystawę historyczną „Sanningen om Sigismund Vasa och hans söner” („Prawda o Zygmuncie Wazie i jego synach”). Wystawa obejmuje dzieła sztuki i przedmioty o treści historycznej z epoki polskich Wazów, pochodzące nie tylko ze zbiorów polskich, czy szwedzkich, ale także i muzeów innych krajów. W Sztokholmie nadano jej specjalne znaczenie: zrehabilitowanie w oczach szwedzkich Zygmunta Wazę i jego synów, oczernianych przez Wazów szwedzkich i tendencyjną propagandę protestancką.

9-9-76

Do Izraela sprowadzono prochy ze wspólnego grobu na cmentarzu żydowskim w Łodzi. Będą one pochowane na cmentarzu w Holonie i nad tym symbolicznym grobem kilkuset tysięcy ofiar ma stanąć pomnik. Władze PRL przez czas dłuższy robiły trudności i uniemożliwiały przewiezienie prochów do Izraela. Sprawa została załatwiona na skutek starań byłych mieszkańców Łodzi, zamieszkałych obecnie w Kanadzie i będących obywatelami kanadyjskimi.

11-9-76

Polski emigrant, Józef Polak, zamieszkały w Szwecji, daremnie starający się o sprowadzenie swej rodziny z PRL, rozpoczął przed ambasadą PRL w Sztokholmie głodówkę; manifestacja ta w dużym stopniu poruszyła opinię szwedzką. Ambasada zapewniła szwedzki MSZ, że rodzina Polaka jeszcze w tym roku otrzyma zezwolenie na wyjazd i wtedy Polak przerwał głodówkę. Należy podkreślić, że władze szwedzkie zapewniły mu wszelką pomoc prawną.

17-9-76

W najbliższym czasie zacznie się ukazywać w Paryżu edycja francuska *Listów*, organu czechosłowackiej opozycji socjalistycznej, wydawanego przez Jiří Pelikana. Edycja francuska wydawana będzie jako kwartalnik. Roczna prenumerata kosztuje F.18,00. Korespondencję należy kierować na adres: Mr. J. J. Marie, app. A2A, 111, rue de Reuilly, 75012 Paris.

18-9-76

Austriacki dom wydawniczy „Stiria” wydał książkę Jewgienija Ternowskiego, współpracownika *Russkoj Mysli* i *Kontynentu* pt. „Nach der Dämmerung”.

19-9-76

Zmarł w Londynie, płk Franciszek Demel, żołnierz Pierwszej Brygady, w czasie wojny oficer Sztabu gen. Sosnkowskiego.

22-9-76

W Londynie odbyła się dyskusja o polskiej książce emigracyjnej zorganizowana przez Konfraternię Artystów Polskich.

25-9-76

Prasa włoska podaje, że Francja i NRF sprzedają PRL 70.000 ton mrożonego mięsa wołowego z rezerwy Wspólnego Rynku po cenach specjalnych ok. F.2,50 za kilogram. (Ma się rozumieć Francja i NRF dostaną dopłatę do wysokości ceny rynkowej z krajów Wspólnego Rynku). Dla orientacji podajemy, że w roku 1974 PRL konsumowała 1.750.000 ton mięsa sprzedawanego jedynie przez handel uspołeczniony, nie licząc sprzedaży prywatnej i konsumpcji chłopów. Natomiast w roku 1975 Polska wyeksportowała 310.000 ton mięsa, podobno z tego 80 % na Zachód, a 20 % do ZSSR i do NRD.

26-9-76

Zmarł w Paryżu, w wieku 73 lat, znany dziennikarz polski Roman Fajans.

29-9-76

Zmarł w Londynie, w wieku 81 lat, Stanisław Józef Paprocki, znany działacz społeczny.

1-10-76

Nastąpiło ostateczne połączenie radia Free Europe i radia Liberty. Na czele nowej instytucji stanął Sig Mickelson. Przewodniczącym Rady Dyrektorskiej został b. ambasador John S. Hayes, a Komitetu Wykonawczego — b. ambasador Jacob D. Beam.

6-10-76

Zmarł w Warszawie, w wieku 82 lat, płk Józef Rokicki, obrońca Mokotowa w czasie Powstania Warszawskiego. ■ Doroczną nagrodę PEN-Clubu dla tłumaczy literatury polskiej na języki obce otrzymała Gerda Leber-Hagenau za przekłady polskich autorów klasycznych i współczesnych na język niemiecki.

7-10-76

Na początku listopada br. ma się ukazać w Szwecji nowy literacki miesięcznik emigracyjny pt. *Loki-toki* pod redakcją Michała Moszkowicza i w opracowaniu graficznym Filipa Fingera.

9-10-76

W Bibliotece Polskiej w Paryżu miał miejsce koncert Witolda Małcużyńskiego. Dochód z koncertu był przeznaczony dla młodzieży polskiej, przebywającej we Francji. ■ W Londynie powstał Obywatelski Komitet Zbiórki na Pomoc Ofiarom Wydarzeń Czerwcowych. Przewodniczącym Komitetu został Edward Raczynski. W skład Komitetu wchodzi: A. Ciołkosz, W. Czerwiński, M. Dolanowski, M. Leśniakowa, A. Rynkiewicz, F. Wilk, A. Zakrzewski, Z. Zawadzki, ks. rektor K. Zieliński. Ofiary należy nadsyłać do naj-

bliszej placówki Skarbu Narodowego lub wprost do Komisji Głównej Skarbu Narodowego — 42 Emperors Gate, London, SW7 na konto: Skarb Narodowy — Fundusz Pomocy.

13-10-76

Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Radomiu wręczono sztandar ufundowany przez województwo radomskie (widocznie za pacyfikację robotników radomskich).

10-10-76

Zmarł w Londynie, w wieku 76 lat, mjr Stanisław Parol, generalny sekretarz Stowarzyszenia Rolników Polskich w Wielkiej Brytanii.

14-10-76

Zmarł w Edynburgu doc. dr Stanisław Mglej w wieku lat 76, członek naczelnych władz S.P.K., naczelnych władz Stronnictwa Narodowego, prezes Koła S.P.K. w Edynburgu.

17-10-76

Staraniem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Rzymie odbył się odczyt dr. inż. Kazimierza Kuźby pt.: „Odpowiedzialność uczonych za losy świata”. Dr Kuźba został ostatnio delegatem do współpracy irańsko-francuskiej w zakresie badań naukowych, dotyczących zastosowań najnowszych technik komputerowych.

24-10-76

Staraniem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Rzymie odbył się odczyt prof. dr. Wiktora Sukiennickiego pod tytułem „Polityka a semantyka” (Co dziś znaczy słowo „Polak”? Współczesne pojęcie „przynależności narodowej”).

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W związku z 200-leciem Stanów Zjednoczonych Grono Przyjaciół Poezji Polskiej w Detroit, Mich. wyróżniło złotymi medalami: Antoniego Slonimskiego, Stanisława Balińskiego, Ryszarda Kiersnowskiego, Józefa Łobodowskiego, Zbigniewa Chałko, Beatę Obertyńską, Zofię Romanowiczową i Czesława Miłosza za wiersze poświęcone Stanom Zjednoczonym. ■ 4 października br. Central Connecticut State College w New Britain, Conn. odbył się odczyt p. Bogdana Beresiewicza z University of California na temat „Polska w kronikach nurenburskich”. Ponadto miał miejsce odczyt prof. Jana Grossa z Yale University pt. „Polska dwadzieścia lat po Październiku”. ■ 16 września br. w Nowym Jorku odbyło się posiedzenie Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarzmionych (ACEN). Wybrano władze na rok 1976/77: Stefan Korboński — przewodniczący, Bronius Nemickas (Litwa) — wiceprzewodniczący, Feliks Gadomski — generalny sekretarz, Miron Butariu (Rumunia) — skarbnik.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

21. 6. br. około 300 demonstrantów z plakatami protestowało przed parlamentem stanowym Tasmanii, w stolicy tej wyspy Hobart, przeciwko oficjalnej wizycie w Australii ambasadora PRL Eugeniusza Wiśniewskiego. Demon-

stranci domagali się m.in. wprowadzenia w Polsce wolnych, demokratycznych wyborów. ■ Teatr Polski w Adelaide (Południowa Australia) wystawił 25. 7. br. sztukę Hieronima Ludwika Morstina pt. „W słońcu”. Kierownikiem Teatru Polskiego jest inż. H. Krzymuski. ■ *Tygodnik Polski* w Melbourne jest od prawie dwóch lat własnością Spółdzielni Dom Polski im. Tadeusza Kościuszki w Melbourne. Ze sprawozdania zarządu spółdzielni wynika, że koszty związane z wydawaniem pisma wyniosły w roku budżetowym 1975/76 Dol.A. 45.827,59, zaś dochody Dol.A. 46.670,82. Czysty dochód obniżył się o 70 %: w roku 1974/75 osiągnięto Dol.A. 1.500,00, a obecnie tylko Dol.A. 453,28. Koszty druku i kolportażu wzrosły w tym okresie o 87 %, zaś administracji i uposażenia personelu o 84 %. ■ W światowym zlocie Z.H.P., który odbył się w sierpniu br. w Kanadzie, wzięło udział 22 harcerzy i harcerzek oraz 8 instruktorów i instruktorek Z.H.P. z terenu Australii. Koszt wyjazdu australijskiej reprezentacji na zlot wyniósł około Dol.A. 40.000. ■ Polskie organizacje w stanie New South Wales posiadają w obrębie metropolii sydneyjskiej 7 Domów Polskich, 1 Dom Dziecka, 2 domy klubowe, 1 Sanktuarium Maryjne i 1 Ośrodek Młodzieżowy. ■ Wśród czterech młodych pianistów reprezentujących stan Victoria na tegorocznym konkursie Youth Rostrum 76 (sierpień br.) znalazła się dwudziestodwuletnia utalentowana pianistka polskiego pochodzenia, Elżbieta Głąb z Melbourne. Organizatorem Music Rostrum i Youth Rostrum jest australijski szopenista Roger Woodward. ■ Tom wierszy imigranta z Polski, P. Skrzyneckiego, zatytułowany „Immigrant Chronicle” spotkał się z dobrą oceną krytyków. W tomie tym poeta omawia problemy związane z zadowoleniem się w Australii po opuszczeniu Polski w 1951 r. ■ Dr D. F. Branagan z Sydney University odnalazł na Tasmanii pierwszą mapę geologiczną, wykonaną w Australii. Autorem tej mapy był dr John Lhotsky, badacz, podróżnik i dziennikarz urodzony we Lwowie. Mapa Lhotskyego, która została wykonana w 1836 roku, przedstawia półwysep Tasmania. Dr Branagan odnalazł swego czasu wielkich rozmiarów mapę, sporządzoną przez polskiego odkrywcę, Pawła Edmunda Strzeleckiego. Wydawnictwo „Australia Felix Literary Club” w Melbourne, którego założycielami są Lech Paszkowski i Karol Trojanowski, przygotowuje obecnie pracę zbiorową w języku angielskim o działalności naukowej i politycznej dr. J. Lhotskyego.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA NIEMIECKA

Rząd Bawarii postanowił, że nie wprowadzi w życie zaleceń Komisji d/s Podręczników szkolnych, uzgodnionych przez ekspertów Polski i NRF w sprawie sposobu przedstawiania stosunków wzajemnych w podręcznikach obu krajów i w programach nauczania w szkołach. Według bawarskich ekspertów, postulaty PRL „nie są obiektywne i zbyt są przesiąknięte ideologią komunistyczną”. Natomiast rząd bawarski zaakceptował układ kulturalny z Polską, podpisany w czasie wizyty Gierka w Republice Federalnej. ■ W Niemczech Zachodnich bawił na zaproszenie rządu NRF — Andrzej Szczypiorski. Miał szereg wieczorów autorskich z okazji ukazania się jego książki *Und sie gingen an Emmaus vorbei* (I przeszli obok Emmaus), wydanej nakładem Spranger-Verlag w Much k/Siegburga. Andrzej Szczypiorski jest jednym z sygnatariuszy „Listu 15”, w którym upomniano się o prawa Polaków w Związku Sowieckim. W związku z tym został pozbawiony możliwości publikowania w *Polityce*. Również *Polskie Radio* zerwało z nim współpracę. ■ W *Galerie von Götz* w Dortmundzie, została otwarta wystawa obrazów Henryka Płociennika (Łódź). ■ Sekcja Międzynarodowego

PEN-Clubu, grupująca pisarzy-emigrantów, przebywających w krajach niemieckiego obszaru językowego, zorganizuje w maju przyszłego roku międzynarodowy kongres PEN'u i posiedzenie Egzekutywy. Tak postanowiono na ostatnim zjeździe PEN-Clubu w Londynie, mimo protestów m.in. zachodniemieckiego PEN'u, w którym lewackie siły wzięły górę. Podczas hamburskiego kongresu zostanie otwarta wielka wystawa książek pisarzy-emigrantów. Obecny prezesem Międzynarodowego PEN-Clubu (in Exile), jest pisarz czeski Gabriel Laub. ■ W Hamburgu odbyło się spotkanie grupy socjalistów polskich, złożonej z nowych uchodźców politycznych z PRL. Przewodniczącym Koła PPS w Hamburgu został Edmund Hulsz, b. przewodniczący Robotniczego Komitetu Strajkowego Miasta Gdyni w grudniu 1970 r. Do zarządu weszli ponadto: kpt. żegluga morskiej Włodzimierz Skwirra i młody ekonomista — Janusz Bychowski. ■ W wydawnictwie *Peter Hammer Verlag* w Wuppertalu ukazała się oparta na bogatym materiale archiwalnym książka pt. *Vom Polizei — zum Bürgerstaat. Zur Geschichte der Demokratie am Beispiel einer deutschen Stadt* (Od państwa policyjnego do państwa wolnych obywateli. — Przyczynek do dziejów demokracji na przykładzie jednego miasta niemieckiego). Autorem jest historyk polski, prof. Andrzej Józef Kamiński. Prof. Kamiński, bezpartyjny, b. żołnierz AK i więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, szykanowany był w PRL od wielu lat. Napisał po polsku jedenaście książek z zakresu najnowszej historii Niemiec, jednak tylko sześć mogło ukazać się w Polsce. W latach 1966-1973 wydano mu tylko jedną (*Paszczym*). Wśród prac, na których publikację w Polsce nie zezwolono, jest biografia Willy Brandta. W początkach 1973 roku prof. Kamiński został zaproszony do NRF, gdzie wyklada najnowszą historię Niemiec, dzieje sąsiedztwa polsko-niemieckiego i historię Polski. W ubiegłym roku opublikował na Uniwersytecie Breimeńskim zbiór dokumentów o hitlerowskiej polityce okupacyjnej w Polsce i Czechosłowacji. ■ Delegacja prawników z PRL uczestniczyła w Heidelbergu w seminarium poświęconym omówieniu aspektów prawnych Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach. Uczestnicy seminarium nie otrzymali odpowiedzi na pytanie postawione przewodniczącemu delegacji polskiej, prof. Adamowi Łopacie, dlaczego w Polsce szaleje cenzura... ■ Na zaproszenie Polskiej Rady Ekumenicznej, przebywał z wizytą w Polsce, prezes Kościoła Ewangelickiego Nadrenii — Karl Immer. W wywiadzie udzielonym agencji *epd*, Immer podkreślił serdeczność z jaką został przyjęty przez kierownika Urzędu do Spraw Wyznań — Kazimierza Kąkole. Duchowny ewangelicki nie mógł jednak zrozumieć, że nie mogło dojść do spotkania z przedstawicielami polskiej hierarchii kościelnej. Immer: „...a tak mi na tych rozmowach zależało”. ■ W XXVIII Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie nad Menem, wzięło udział ponad 4 tysiące wydawców z 68 krajów. Także i w tym roku na zbiorowym stoisku zaprezentowano polską literaturę emigracyjną. Wystawiono najnowsze książki Instytutu Literackiego, *Polonia Book Fund*, *Odnioy*, *Polskiej Fundacji Kulturalnej* i *Overseas Publication Interchange* (publikacje w języku rosyjskim). *Deutschlandfunk* i *Deutsche Welle* poświęciły w swoich programach wiele uwagi stoisku polskich wydawnictw, ukazujących się w Paryżu i Londynie. ■ W rozpoczynającym się roku akademickim na I rok studiów do NRD, wyjechało 120 polskich studentów. Liczba ta stanowi 6 % ogółu studentów i doktorantów kierowanych na studia zagraniczne. ■ W tym roku już ponad 20 tys. przesiedleńców z Polski przybyło do Republiki Federalnej. Niemcy z PRL nie mają na ogół trudności z utrzymaniem pracy. Są natomiast dość poważne kłopoty jeśli chodzi o integrację osób przybywających z polskich wsi do wielkich miast w Niemczech Zachodnich. ■ Ludwig Zimmerer jest od 20 lat korespondentem zachodniemieckiej rozgłośni *ARD* w Polsce. Warszawa odznaczyła go medalem „Zasłużonego działacza kultury”. Stawia się go za wzór wszyst-

kim innym zachodnim korespondentem akredytowanym w stolicy Polski. ■ Republika Federalna zakupiła w ubiegłym roku 17 polskich filmów. Prasa krajowa niestety nie podaje ile filmów zakupiła Polska w NRF. ■ 50-osobowy chór studentów Uniwersytetu Warszawskiego pod batutą Andrzeja Banasiewicza, dał koncert w kościele polskim w Mannheimu. ■ 70-80 % polskiego eksportu drobiu wodnego (gęsi i kaczki) idzie do NRF. Przeprowadzone w NRF badania marketingowe wykazują, że polski drób cieszy się popularnością wśród konsumentów. ■ Polska otrzymała od NFR sumę 1,3 mld. marek jako zryczałtowaną opłatę tytułem rent. Chodzi tu głównie o zwrot składek jakie płacili polscy robotnicy przymusowi w III Rzeszy. Jak się dowiadujemy — władze reżymowe wypłacają po cichu niewielkie sumy, ale wyłącznie członkom ZBoWiD'u i „osobom, które w okresie powojennym walczyły o utrwalenie władzy ludowej”. Taki zwrot znajdujemy w powielonym piśmie, wysłanym przez... KC PZPR do osób, które interweniowały u władz partyjnych, po odrzuceniu ich wniosków o wypłatę należnych im sum lub podwyższenia renty, złożonych w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. ■ Delegacja Związku Nauczycielstwa Polskiego z prezesem Zarządu Głównego Bolesławem Grzesiem przebywała z wizytą we Frankfurcie nad Menem. Pedagodzy z PRL odwiedzili Międzynarodowy Instytut Podręczników Szkolnych im. G. Eckerta w Brunziku. W przyszłym roku ma zostać zapoczątkowana wymiana nauczycieli NRF i Polski. ■ W 1975 roku sprzedano w NRD 670 tysięcy polskich książek. W tym samym roku wydawnictwa polskie opublikowały 40 tytułów ze współczesnej nauki i beletrystycznej twórczości pisarzy NRD i 10 tytułów z niemieckiej literatury klasycznej. W roku 1974 przetłumaczono na język polski 52 tytuły z literatury zachodniemieckiej. ■ Instytut im. J. G. Herdera w Marburgu w serii *Dokumentation Ostmitteleuropa* wydał pracę zbiorową pod redakcją dr. Richarda Breyera — *Zur Rolle der Geschichte in heutige Polen* (Rola historii w dzisiejszej Polsce). ■ Ukazał się pierwszy numer kwartalnika *L 76*. Wydawcami są: Heinrich Böll, Günter Grass i Carola Stern. Wśród autorów, takich jak Dieter Lattmann, Arthur Miller, Wolf Biermann, Peter Bender i Irig Fetscher, znajdujemy nazwisko Włodzimierza Brusa z esejem pt. „Socjalizm w roku 2000”. Według zamierzeń wydawców kwartalnik *L 76* miał stanowić organ lewicy intelektualnej, wyraźną przeciwwagę dla *Kontyentu*. ■ Albert Heise w piśmie *Der Kulturwart* podjął próbę zebrania polskiego humoru z okresu okupacji hitlerowskiej. ■ Według dziennika *Die Welt* policja zachodniemiecka zatrzymała agenta wywiadu, Joachima Hauka, studenta prawa we Frankfurcie. Hauk przed siedmioma laty przybył z PRL, i na zlecenie polskiego wywiadu werbował agentów wśród najnowszych przesiedleńców z Polski. Jednocześnie hamburskie władze bezpieczeństwa zatrzymały 57-letnią Izabellę Sokołowską, pochodzącą ze Stupki. Sokołowska pracowała jako tłumaczka w obozie dla uchodźców w miejscowości Niesspriel k/Hamburga. Tam miała zostać zwerbowana przez wywiad sowiecki. Między innymi Sokołowska udzielała informacji o polskich uchodźcach, którzy w 1974 roku zeszli masowo w Hamburgu z pokładu statku pasażerskiego *Stefan Batory*.

Sprostowanie: Do poprzedniej KRONIKI NIEMIECKIEJ (*Kultura* Nr 10/1976) wkradła się pomyłka, która wymaga sprostowania. Konsekracji kościoła im. Ojca Maksymiliana Kolbe w zachodniobermberskiej dzielnicy Spandau dokonał sufragan archidiecezji poznańskiej ks. bp Marian Przykucki, a nie jak podano ks. arcybiskup Antoni Baraniak. Metropolita poznański z powodu ciężkiej choroby nie mógł przybyć do Berlina Zachodniego.

Andrzej J. CHILECKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 234 — MARIA HIRSZOWICZ

KOMUNISTYCZNY LEWIATANWnikliwa analiza biurokracji komunistycznej opracowana przez
znanego socjologa

Str. 132.

Cena F. 15

TOM 251 — MICHAŁ HELLER

**ŚWIAT
OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH
A LITERATURA SOWIECKA**Książka, która ułatwia zrozumienie „Archipelagu GUŁag”
Aleksandra Sołżenicyna.

Str. 324.

Cena F. 30 (dol. 8,00)

TOM 254 — MAREK TARNIEWSKI

EWOLUCJA CZY REWOLUCJAWnikliwa analiza istniejącego w Polsce ustroju przeprowadzona przez
autora krajowego. Poszczególne części tej pracy noszą tytuły:
WSTĘP. — POCHODZENIE SYSTEMU. — WŁASNOŚĆ, PAŃ-
STWO I PARTIA. — ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA,
ELITA WŁADZY. — RZĄDZĄCY I RZĄDZENI. — ŚWIADO-
MOŚĆ SPOŁECZNA. — DZIEDZINY I KIERUNKI PRZEMIAN.
— CZYNNIKI PRZEMIAN. — ZAKOŃCZENIE.

Str. 288.

Cena F. 40.

Humor krajowy

W Warszawie opowiadają, że Międzynarodowe Towarzystwo Opieki nad
Zwierzętami przy ONZ jest przerażone: ciągle im donoszą, że władze drą
koty z robotnikami.

Kierownictwo PRL chce na gwałt nakręcić koniunkturę, ale nie z tego:
koniunktura to nie zegarek!

Zamiast projektowanych kartek na mięso postanowiono wprowadzić losy
— co dziesiąty wygrywa.

Na targu jedna pani narzeka, że ma telewizję i lodówkę, ale nie ma czym
tej ostatniej napelnić. — Niech pani podłączy lodówkę do telewizji —
będzie pani miała wszystko...

Aczkolwiek w PRL brak jest ciągle leków sam naród wyrabia najlepszą
odtrutkę na socjalizm: szepto-szmer.

Podobno syn Jaroszewicza otworzył w Warszawie kwiaciarnię, w której
sprzedaje „wiązanki” posyłane ojcu przez obywateli.

8 PRZYKAZAŃ PARTYJNYCH

1. Nie będziesz miał celu wyższego nad dobrobyt Związku Radzieckiego.
2. Nie wstępuj do kościoła ani do sklepu mięsnego, żebyś nie stracił stażu partyjnego.
3. W niedziele i święta o czynie partyjnym pamiętaj.
4. W wolne soboty wal do roboty.
5. Szanuj rolnika polskiego jak siebie samego, bo twoje życie zależy od niego.
6. Nie pożądam żony bliźniego swego, bo i tak nie ugotuje ci nic lepszego, bo nie ma z czego.
7. Nie kradnij mienia społecznego, bo ci ze Wschodu są od tego.
8. Renciści — popierajcie partię czynem — umierajcie przed terminem.

ODPOWIEDZI RADIA ERYWAŃ
(Temat: Problemy socjalizmu i komunizmu)

— Jaka jest różnica między handlem kapitalistycznym, a komunistycz-
nym?

— W kapitalizmie wszystko się sprzedaje, a w komunizmie wszystko się kupuje.



— Czy w komunizmie będą Żydzi?
— Nie obawiajcie się, Żydzi się wykręcą...



— Czy to prawda, że amerykańskie samochody są najszybsze w świecie?
— Tak, to prawda, ale za to w Związku Sowieckim produkuje się najszybsze w świecie zegarki!



— Czy jest wyjście z sytuacji bez wyjścia?
— Na pytania dotyczące gospodarki rolnej nie odpowiadamy.



— Co można w Ameryce kupić za jednego dolara?
— Co można kupić w Ameryce za dolara nie wiemy. Ale za to w Armenii za 1.000 dolarów można kupić siedem tysięcy rubli.



— Jaka jest różnica między komunizmem a kapitalizmem?
— W kapitalizmie człowiek eksploatuje człowieka, a w komunizmie na odwrót.



— Czy w komunizmie będą wsadzać za dowcipy?
— Ależ skąd, za dowcipy nie, ale za kratki.



— Jaka jest różnica między nieszczęściem a katastrofą?
— Lepiej wyjaśnić to na przykładzie. Jak kózka spadnie z mostu i utopi się, to nieszczęście, ale nie katastrofa. Ale jak spadnie i rozbije się samolot, w którym znajdował się pełny skład Politbiura KC KPZS to katastrofa, ale nie nieszczęście.



— Co to jest brew Breżniewa?
— To są wąsy Stalina na wyższym szczeblu.



— Co to jest „światłana przyszłość”?
— To przyszłość w świetle decyzji kolejnego zjazdu partii.



— Jaki jest najwyższy dom w ZSSR?
— Łubianka. Stamtąd widać cały Sybir.

Listy do Redakcji

Londyn, 7 października 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Raptularzu londyńskim” we wrześniowym Nr. 348 *Kultury P. Emigrant* pisze, że: ... „endecy od 1972 roku poszli na politykę awanturniczą... zaczęli robić awanse w stronę 'Właścicieli Polski Ludowej'... „Tu jednak spotkał ich zawód, ani Warszawa, ani Moskwa, nie wykazały entuzjazmu jakiego spodziewali się inicjatorzy tej *Realpolitik*. Dopiero IV Centralny Zjazd sprowadził Stronniectwo na tradycyjne tory emigracyjne”...

To zdumiewające, żeby użyć łagodnego określenia, naświetlenie polityki Obozu Narodowego na uchodźstwie nie znajduje żadnego usprawiedliwienia w miarodajnych uchwałach i działaniu Stronniectwa Narodowego w okresie od 1972 roku aż do IV Centralnego Zjazdu Str. Nar. w bieżącym roku. Trzeba całkowitej ignorancji, lub dużej dozy złej woli, aby postawić tezę, że Stronniectwo Narodowe na wychodźstwie gotowe było kiedykolwiek „przemawiać do sowieckiego obrazu” — jak to obrazowo ujął P. Emigrant — i robić awanse w stronę komunistycznych rządów w Polsce.

P. Emigrant pisze dalej, że uchwały Zjazdu Stronniectwa wypowiadają się przeciw emigracyjnemu legalizmowi, „który przestał służyć sprawie polskiej i stanowi utrudnienie dla akcji na gruncie międzynarodowym”. Ślusznie, taka uchwała była podjęta, ale po cóż przypięć do niej wyrwane z innego kontekstu słowa ... „ośmiesza polską emigrację polityczną i oddala ją od kraju i Polonii”. To określenie użyte było w uchwale Zjazdu w odniesieniu do „widowiska dwu konkurencyjnych dziedziców legalizmu”, który to problem sieje zgorzsenie w Ameryce, Australii, na kontynencie europejskim i in.

Wreszcie P. Emigrant relacjonuje, że w uchwałach Zjazdu działalność Polskiego Zjednoczenia Narodowego określono „jako postawa do rozszerzenia współpracy politycznej na emigracji” i z tego wyciąga wnioski.

W tekście autentycznym powiedziano, że PZN stanowi PODSTAWĘ, a nie postawę. Narodowcy nie są „do wzięcia” i nie „czekają na oferty”, ale wraz ze Stronniectwem Pracy i Grupą Niezależnych na pewno będą szukali dróg dla usprawnienia działalności polskiej emigracji politycznej w obliczu doniosłych wydarzeń, jakich jesteśmy świadkami w naszym kraju.

Jest mi przykro, że *Kultura* — pismo o tak wysokim poziomie — zamieściła tak mało kulturalny reportaż, który nie może zrobić dobrego wrażenia, ani na emigracji, ani w kraju.

Łączę wyrazy poważania,

Józef BARANIECKI
uczestnik IV Centr. Zjazdu S.N.

Hollywood, Florida, 24 sierpnia 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W ogromnie interesującym artykule W. Weintrauba „Stanisław Kot (1885-1975)”, zamieszczonym w 3/342 numerze *Kultury*, z niemałym zdziwieniem przeczytałem następujące zdania: „Budny jest fascynującym indywidualnością. Mazur (a może Rusin z pochodzenia?), który z granic Rzplitej nigdy nosa nie wychylił, a całe życie spędził w drobnych miasteczkach litewskich, w trudnych warunkach osobistych, rozwinął żywą działalność pisarską w trzech językach, po polsku, po rusku i po łacinie”.

Wprawdzie dokładne miejsce i data urodzenia Szymona Budnego nie są znane, ale przecież wiadomo, że był on czołowym białoruskim myślicielem XVI-go stulecia i najwybitniejszym działaczem Reformacji na Białorusi. Mieszkał i pisał swoje utwory po białorusku, po łacinie i po polsku w Łosku, Nieświeżu, Chołchle, Zesławiu, Stucku, Klecku, Lubczy, Uzdzie, Wiszniewie i innych miasteczkach białoruskich Wielkiego Xięstwa Litewskiego. W 1562 roku w Nieświeżu w języku białoruskim zostały wydane „Katechizis” (Katechizm) i „Ob opravdani hresznoho czelowieka piered Bohom” (O usprawiedliwieniu człowieka grzesznego przed Bogiem) i szereg innych prac, przeważnie przekładów. To, że niektóre jego rzeczy, jak np. przekład Biblii na język polski, wydany w tymże Nieświeżu w 1572 roku oraz przekład Nowego Testamentu z przedmową i komentarzami (1574 r.) i znana książka „O urzędzie miecza” (1583 r.), wydane w Łosku po polsku, podobnie jak pisał listy po łacinie do przywódców Reformacji na Zachodzie, wcale nie dowodzi, że był Mazurem, albowiem rzeczy te wydał głównie dla Braci Polskich (polskich arian), z którymi prowadził ostrą polemikę i nawet ich, „najsłabszy odłam różnowierczy, swą egzegezą biblijną potrafił skandalizować”. W rzeczach tych jest sporo białorusizmów, natomiast nie ma polonizmów w jego pracach wydanych po białorusku. Aleksander Brückner w swojej recenzji o „Zabytkach literatury z doby Reformacji, Nr I, pod redakcją S. Kota (Reformacja w Polsce, Rocznik VI, Nr. 21-24, Warszawa, 1934, str. 262) stwierdził, że Budny swój polski język (w utworach pisanych po polsku) nadsztukowywał „ruszczyzną” i że nie sposób znaleźć u niego żadnego mazurskiego słowa. Budny znał również dobrze język cerkiewnosłowiański. Trudno więc przypuścić, by takowym znawcą mógł być Mazur. Zresztą białoruskie nazwisko Budny, które w przekładzie na polski oznacza „powszedni” (nie święteczny dzień) mówi samo za siebie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i prawdziwego poważania,

Włodzimierz BRYLEWSKI

Nowy Jork, 24 września 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 17 sierpnia bież. roku rozesłany został do licznych adresatów w Europie (stempel pocztowy Innsbruck, Austria), a w dwa dni później do adresatów w Ameryce (stempel urzędu pocztowego 10007 w Nowym Jorku), czterostronicowy druk w języku polskim, z tytułem w kolorze czerwonym: „FREE POLAND Special Report Nr 3”, w którym opublikowano szereg nazwisk rzekomych agentów CIA i FBI.

W związku z tym, że wiele egzemplarzy tego druku dostało się do rąk czytelników *Kultury*, proszę uprzejmie o łaskawe zamieszczenie niniejszego oświadczenia, iż wymieniony powyżej druk JEST FALSYFIKATEM, z którym Organizacja Bojowa POLSKA nie ma nic wspólnego.

Z najwyższym szacunkiem,

Konstanty Z. HANFF
z upoważnienia OB WP.

Quinta das Romãzeiras, Feijó, Portugal, 15 września 1976.

Drogi Panie Redaktorze,

W „Raptularzu londyńskim” (*Kultura* nr 9/348, str. 117-8) P. Emigrant uważa, iż Biblioteka Polska w Londynie, mająca „w tradycji długą służbę uniwersytecką (jako biblioteka Polish University College) i to w dużym stopniu techniczną” winna „o tradycjach tych zapomnieć” i zrezygnować z „trzymania działów technicznych, medycznych itd. ani w języku angielskim, ani polskim”. Jako b. kierowniczka Biblioteki w latach 1942-1973 mogę autora „Raptularza” uspokoić, że wyrażony przez niego dezycerat dawno temu był już spełniony. Po zlikwidowaniu Polish University College ustały automatycznie zakupy książek technicznych a znaczna część księgozbioru z zakresu nauk ścisłych i inżynierii została przekazana do Battersea Polytechnic. W latach następnych systematycznie wyłączone były książki techniczne i w dużych dawkach przekazywane do: National Central Library for Science and Technology w Boston-Spa w Yorks. (naukowej wypożyczalni książek finansowanej przez Dept. of Education) i British National Book Centre w Londynie przy National Central Library. Nadto, w regularnych odstępach, przekazywano do Boston-Spa dublety wydawnictw technicznych i stare roczniki czasopism z zakresu nauk ścisłych i technicznych (po kilka ton w każdym transporcie). Gdy opuszczałam Bibliotekę w jesieni 1973 dział techniczny zajmowały kilka półek a w dziale matematyki pozostała tylko niewielka ilość dzieł wybitnych uczonych polskich z pogranicza matematyki i logiki.

Specjalny a trudny problem stanowi spora ilość polskich wydawnictw lekarskich. Biblioteka otrzymywała je w formie darów wyjednanym w Centralnej Bibliotece Lekarskiej przez Prezesa Zw. Lekarzy Polskich śp. dra Sułczyńskiego. Lekarze polscy w Wielkiej Brytanii korzystali z nich dorywczo, w stopniu nie uzasadniającym podtrzymywania tego działu. Starałam się o przekazanie tej kolekcji specjalnej bibliotece angielskiej Wellcome Institute w Londynie; nie dało to jednak rezultatów. Tu istotnie można osiągnąć pewną oszczędność miejsca, — nie zmieni to jednak zasadniczo rozmiarów księgozbioru.

Eliminacja zbędnych, zdaniem P. Emigranta, różnych wydań książki czy książek, jest zabiegiem wymagającym ostrożnego podejścia. Czy np. po ukazaniu się drugiego wydania „Trans-Atlantyku” należy usuwać pierwsze? Czy jerozolimskie wydanie „Nocy i dni” Dąbrowskiej jest balastem wobec ukazania się (dopiero zresztą w czasie „odwilży”) wydania krajowego? Co usuwać: zbiorowe wydanie dzieł Mickiewicza w naukowym opracowaniu prof. Pigonia czy prof. Krzyżanowskiego? Czy zbędne jest wydanie podręcznika szkolnego literatury polskiej Ryszarda Matuszewskiego przemilczające Lechonia czy dalsze (po śmierci Poety), gdy został już wskrzeszony? W kolejnych wydaniach książek krajowych kryje się tragiczna historia machinacji cenzury i zmiennych nakazów partii.

Na krótko przed moim wyjazdem z Anglii jeden z członków Rady Bibliotecznej wypowiedział jeszcze dalej idący pogląd: iż usuwać należy z Biblioteki utwory pisarzy najpopularniejszych i „wszędzie łatwo dostępnych” np. Żeromskiego, Reymonta itp. Tak. Nieznane mu były najwiedoczniej losy „Snobizmu i postępu” — i całego tomu pism Żeromskiego świecących luką w wydaniu krajowym. Od dwu lat staram się o zakupienie w Kraju pamiątników Paska — wyczerpane. Łatwa dostępność jest bardzo a bardzo problematyczna!

Biblioteka Polska w Londynie uważana przez niektórych za nadmiernie rozbudowaną jest *de facto* biblioteką małą, trzy razy zaledwie większą od podręcznego księgozbioru *Kultury*. Jest przy tym w pełni wykorzystywana.

Z ostatniego ogłoszonego drukiem sprawozdania rocznego za rok 1973 („Wiad. P.O.S.K.”, nr 22, czerwiec 1974) wynika, iż Biblioteka liczyła 76.535 dzieł a w samej tylko Wypożyczalni wypożyczono 19.289 t., co jest bardzo wysokim procentem użyteczności.

Ramy działalności Biblioteki nakreślone w zakończeniu uwag P. Emigranta nie wnoszą nic nowego do stosowanych w praktyce wytycznych. Tyle tylko że trudno być „archiwum emigracji w najszerszym tego słowa znaczeniu”, gdy brak funduszy na zakupy uniemożliwia włączanie do zbiorów polonistów których nie daje się otrzymać drogą wymiany czy darów (np. pamiętniki prof. W. J. Rose’a, „The Third Adam” Pietrkiewicza itp.). Gdybym porwała się na wyliczanie nazwisk wysoko postawionych osobistości emigracyjnych, które nie przekazały do zbiorów Biblioteki „egzemplarzy obowiązkowych” swych książek — lista byłaby długa i osobliwa.

P. Emigrant docenia znaczenie pełnych ciągów czasopism. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby do sprawy tej powrócił. Wydane przez Bibliotkę Polską katalogi, ujawniające jej stan posiadania, wykazują luki w czasopiśmiach emigracyjnych. Można je wypełnić tylko i wyłącznie drogą połączenia zbiorów Biblioteki Polskiej i Instytutu Polskiego im. gen. Sikorskiego, czego jednak najprawdopodobniej nie dożyję.

Łączę wyrazy poważania i pozdrowienia,

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Sarcelles, 15 października 1976.

Wielcy Szanowny Panie Redaktorze,

W październikowym numerze *Kultury* pojawiła się w dziale „Wydarzenia miesiąca” (Kronika kanadyjska) informacja o uruchomieniu przez rząd prowincji Alberta Instytutu Ukrainoznawstwa, ze wzmianką, że „prof. G. Łuckiy (Toronto) został redaktorem encyklopedii ukraińszawczej w języku angielskim”.

Ta informacja wymaga pewnego wyjaśnienia. Od 1949 roku Naukowe Towarzystwo im. Szewczenka (najstarsza ukraińska instytucja naukowa — założona w 1873 r. we Lwowie; rozwiązana przez władze sowieckiej Ukrainy, odrodzona w 1947 r. na emigracji) wydaje Encyklopedię Ukrainoznawstwa pod moją redakcją. W latach 1949-52 pojawiła się jej pierwsza część ogólna, która jest właściwie podręcznikiem ukraińszawstwa (3 tomy); jej przełomką (dopełnioną i rozszerzoną) jest jej wydanie w angielskim języku — *Ukraine: A Concise Encyclopedia* (tzw. AEU-1), które pojawiło się nakładem najbogatszej ukraińskiej instytucji w Ameryce — Ukraińskiego Narodowego Sojuzu w latach 1963-71 (2 tomy, 2579 str.). Od 1952 roku pracujemy nad drugą, hasłową częścią encyklopedii ukraińszawstwa (tzw. EU-2). Dotąd pojawiło się jej 7 tomów; pracujemy nad ostatnimi — 8-9 tomami. Redakcja EU-2 mieści się w Sarcelles pod Paryżem. Od kilku lat nosimy się z zamiarem wydać i drugą część EU w języku angielskim (AEU-2). Prowadzimy rozmowy też z nowopowstałym Kanadyjskim Instytutem Ukraińskich Studiów w Edmontonie w sprawie finansowania redakcji w języku angielskim. Ośrodkiem redakcji ma być Sarcelles (tu znajduje się odpowiednia biblioteka, są archiwa i materiały EU), a obowiązki redaktora nadal zostają w moich rękach. W Toronto byłaby filia redakcji, w pierwszym rzędzie dla tłumaczenia ukraińskiego tekstu na język angielski. Ale w tej sprawie rozmowy nie są jeszcze zakończone.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Włodimir KUBIJOWYCZ

Londyn, 11 października 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* (Nr 10/349, 1976) pani Grażyna Nowak rzuciła światło na genezę dwu obrazów Matki Boskiej Kozielskiej. Jeden Tadeusza Zielińskiego, a drugi Michała Siemiradzkiego.

Pomijam w mojej wypowiedzi słuszne zdziwienie pani G. Nowak w związku z posiadaniem przez jeńców „płótna, pędzli i farby”, natomiast chciałbym przyczynić się i pobudzić do rozwikłania niejasności podając, że w prywatnym domu u pana sędziego Przyszakowskiego w Londynie (parafia polska Brockley-Lewisham), znajduje się obraz również pod nazwą Matki Boskiej Kozielskiej i jak podaje p. sędzia Przyszakowski wykonany w obozie jeńców polskich w Kozielsku.

Mieszkam na terenie polskiej parafii Brockley-Lewisham i uczestniczyłem w nabożeństwie odprawianym przy tym obrazie.

Wynikałoby z tego, że są trzy obrazy Matki Boskiej Kozielskiej. Pani G. Nowak twierdzi — i słusznie, że „Rzecz ma znaczenie historyczne”.

Żyją przecież świadkowie, byli jeńcy obozu w Kozielsku i ustalenie historii obrazów nie powinno obecnie stanowić trudności.

Skoro sprawa ta została poruszona, warto ją zakończyć.

Z poważaniem,

Br. ŁOKAJ

Monachium, 9 września 1976.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

We wrześniowym numerze *Kultury* na str. 158 ukazała się notatka twierdząca jakoby nasza Rozgłośnia przemileżała śmierć śp. Juliusza Mieroszewskiego.

Pragnę tą drogą poinformować szeroką rzeszę czytelników Pańskiego pisma, że Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa powiadomiła parokrotnie słuchaczy o śmierci Juliusza Mieroszewskiego w dzienniku radiowym w dniu 22 czerwca, określając go jako czołowego publicystę paryskiej *Kultury*. Ponadto w programie „Panorama Dnia” z tej samej daty zamieściliśmy szerszą notatkę następującej treści:

„Juliusz Mieroszewski zmarł. W tych słowach mieści się i głęboki hold dla jego pracy i wielki smutek, że tego pisarza będziemy czytywać już tylko w dawnych numerach paryskiej *Kultury*. Ale zawsze z jakim zainteresowaniem, zawsze z wrażeniem odświeżenia myśli, bez względu na to czy zgadzamy się z jego zawsze ciekawym zdaniem.

Oto wiadomość z Londynu:

21 czerwca zmarł w Londynie po ciężkiej choć krótkiej chorobie Juliusz Mieroszewski, czołowy od wielu lat publicysta paryskiej *Kultury*, którego artykuły, podpisywane niekiedy jako „Londyńczyk” a niekiedy własnym nazwiskiem — zmuszały do zastanowienia i pobudzały dyskusję na najbardziej aktualne i z reguły kontrowersyjne tematy polityki światowej, pod kątem spraw Polski — jej teraźniejszości, a przede wszystkim jej przyszłości.

Jego nazwisko pozostanie na pewno na poczesnym miejscu w gronie polskich publicystów politycznych pracujących od czasu ostatniej wojny poza granicami kraju.

Mieroszewski urodził się w roku 1906 i ukończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował jakiś czas w *Ilustrowanym Kurjerze Codziennym*. W czasie wojny żołnierz Samodzielnej Brygady Karpackiej i członek redakcji

Polskiej Parady. Po wojnie osiadł w Londynie jako członek zespołu paryskiej Kultury. Słuchaczom naszym przekazywaliśmy wiele jego myśli, czy to w postaci specjalnych audycji, czy też częściej — omawiając jego artykuły. W jego osobie żegnamy publicystę, którego największą zasługą była odwaga myśli i poglądów".

Łączę wyrazy głębokiego poważania i serdeczne pozdrowienia,

Z. MICHAŁOWSKI
p.o. Dyr. Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa

Berlin, 14 października 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W dniu dzisiejszym otrzymałem — z prośbą o przekazanie organom opinii publicznej — następującą informację, którą przytaczam poniżej w brzmieniu dosłownym:

„Dnia 7 października 1976 student fizyki UW Andrzej Zdzarski, aktywny działacz tzw. opozycji, został zatrzymany przy wyjściu z pomieszczeń uczelni po zajęciach przez dwóch panów w cywilu, którzy mignęli mu tylko przed nosem blaszkami z klapy marynarki. Na pytanie o dokument odpowiedzieli wciągnięciem go do samochodu. Wywieźli go w stronę Beniaminowa. Po drodze powiedzieli mu, że takich jak on to oni, po prostu, niszczą fizycznie. Może się więc, na przykład, powiesić albo utopić w Wiśle. W okolicach Beniaminowa wysadzili go i kazali mu iść i nie oglądać się za siebie. Zabrali mu przedtem chlebak z rzeczami osobistymi. Andrzej wrócił do domu około północy”.

Sądzę, że i Pana zainteresuje to zdarzenie, ilustrujące rozwój sytuacji politycznej w kraju.

Z wyrazami szacunku,

Wiesław WAWRZYNIAK

ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Regionalista z Mazowsza”. Wiersze Pana wydają nam się słabe. Nie skorzystamy.

Maciej Lipowski (Göteborg, Szwecja) i Adam Kowalski (Sztokholm) bardzo krytycznie oceniają polemikę między G. Herling-Grudzińskim i St. Korbońskim, zamieszczoną w nr 10/349 (październik 1976) *Kultury*.

Ksawery Dowal (nie podał Pan adresu). „Zamachu na Pana Ferda” nie zamieścimy.

W. G. (Edmonton, Kanada). Doceniając wartość „Księgi Pamiątkowej Szkoły Podchorążych Piechoty R.P.” niestety — z braku miejsca — nie możemy zamieścić jej omówienia.

Dokumenty

KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Warszawa, 23 września 1976.

Do Marszałka Sejmu PRL

Wielce Szanowny Panie Marszałku!

W imieniu Komitetu Obrony Robotników — ofiar represji w związku z wydarzeniami 25 czerwca 1976 roku — pozwalam sobie przesłać na ręce Pana, dla Sejmu i władz PRL, apel Komitetu, zawiadamiając zarazem w ten sposób o jego zawiązaniu. Apel nasz zawiera m.in. postulaty amnestyjne, które kierujemy przede wszystkim do Sejmu.

Z poważaniem — członek Komitetu

Jerzy Andrzejewski

APEL DO SPOŁECZEŃSTWA I WŁADZ PRL

Robotniczy protest przeciw wygórowanym podwyżkom, który był wyrazem postawy całego niemal społeczeństwa, pociągnął za sobą brutalne prześladowania. W Ursusie i innych miastach bito, kopano i masowo aresztowano demonstrantów. Najszerszy zasięg miało wyrzucanie z pracy, co obok aresztowań szczególnie uderzyło w rodziny represjonowanych.

Stosowanie represji z reguły związane było z łamaniem prawa przez organa władzy. Sądy wydawały orzeczenia bez materiału dowodowego, z pracy wyrzucano naruszając przepisy KP. Nie cofnięto się przed wymuszaniem przemocą zeznań. Postępowanie takie nie jest, niestety, u nas nowością. Wystarczy przypomnieć bezprawne represje, które spadły na sygnatariuszy listów protestujących przeciwko zmianom w Konstytucji: niektórych wyrzu-

cano z pracy, uczelni, bezprawnie przesłuchiowano, szantażowano. Od dawna jednak represje nie były tak brutalne i masowe jak ostatnio. Po raz pierwszy od wielu lat aresztowani i przesłuchiwanym towarzyszył terror fizyczny.

Ofiary obecnych represji nie mogą liczyć na żadną pomoc i obronę ze strony instytucji do tego powołanych, np. związków zawodowych, których rola jest żałosna. Pomocy odmawiają też agendy opieki społecznej. W tej sytuacji rolę tę musi wziąć na siebie społeczeństwo w interesie którego wystąpili prześladowani. Społeczeństwo bowiem nie ma innych metod obrony przed bezprawiem jak solidarność i wzajemna pomoc.

Dlatego niżej podpisani zawiązują Komitet Obrony Robotników celem zainicjowania wszechstronnych form obrony i pomocy. Niezbędna jest pomoc prawna, finansowa, lekarska. Nie mniej istotna jest pełna informacja o prześladowaniach. Jesteśmy przekonani, że jedynie publiczne ujawnienie poczynań władzy może być skuteczną obroną. Dlatego m.in. prosimy wszystkich, którzy ulegli prześladowaniom lub wiedzą o nich, o przekazywanie członkom Komitetu wiadomości na ten temat.

Według informacji posiadanych przez członków Komitetu dotychczas zebrano już i użyto na cele pomocy około 160 tys. zł. Potrzebom tym jest w stanie zaradzić jedynie szeroka inicjatywa społeczeństwa. Gdziekolwiek w kraju są represjonowani — obowiązkiem społeczeństwa jest organizowanie się celem ich obrony. W każdym środowisku, w każdym zakładzie powinni znaleźć się ludzie odważni inicjujący zbiorowe formy pomocy.

Zastosowane wobec robotników represje stanowią naruszenie podstawowych praw człowieka uznanych zarówno w prawie międzynarodowym jak i obowiązujących w polskim prawodawstwie: prawo do pracy, prawo do swobodnego wyrażania własnych przekonań, prawo do udziału w zebraniach i demonstracjach. Dlatego Komitet domaga się amnestii dla skazanych i aresztowanych i przywrócenia wszystkim represjonowanym pracy — solidaryzując się w tych żądaniach z Uchwałą Konferencji Episkopatu z dnia 9 września 1976 roku.

Komitet wzywa społeczeństwo do poparcia tych żądań.

Jesteśmy jak najgłębiej przekonani, iż powołując Komitet Obrony Robotników do życia oraz działania spełniamy obowiązek ludzki i patriotyczny, służąc dobrej sprawie Ojczyzny, Narodu, Człowieka.

Komitet Obrony Robotników — ofiar represji
w związku z wydarzeniami 25 czerwca 1976 r.

*Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Ludwik Cohn,
Jacek Kuroń, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski,
Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Antoni Pajdak,
Józef Rybicki, Aniela Steinsbergowa, Adam Szczypiorski,
ks. Jan Zieja, Wojciech Ziemiński.*

OPIS AKCJI REPRESYJNEJ PODJĘTEJ WOBEC PRACOWNIKÓW Z M. URSUS I INNYCH ZAKŁADÓW (NA PODSTAWIE RELACJI WIELU ŚWIADKÓW)

W dniu 25 czerwca strajkowała od rana prawie cała załoga Z. M. Ursus. Robotnicy oczekiwali początkowo na terenie fabryki na przybycie przedstawicieli dyrekcji a ok. godz. 9-tej udali się poza teren zakładu pod budynek biurowy. Robotnicy żądali przyjazdu na konsultację z załogą fabryki przedstawicieli władz najwyższych. Żądanie to nie zostało przyjęte przez dyrekcję wobec czego robotnicy weszli na znajdujące się obok tory i zatrzymali ruch pociągów na trasie Warszawa-Kutno i Warszawa-Skierniewice. Celem tej akcji było poinformowanie możliwie dużej liczby ludzi o strajku Z. M. Ursus.

Akcja protestacyjna przebiegała przez cały czas dość spokojnie. Władze porządkowe nie interweniowały, zmobilizowano jedynie duże oddziały MO i prowadzono obserwację (m.in. z helikoptera). Z ważniejszych incydentów należy wymienić: uderzenie w twarz przez robotnicę I-go sekretarza Zakładowej O. P. oraz dyrektora Z. M. Ursus, w czasie ich wystąpień, w których krytykowali strajkujących robotników; zatrzymanie szeregu pociągów, w tym międzynarodowego; rozkręcenie szyn oraz próba (zresztą nieudana) przecięcia szyn palnikiem acetylenowym; przetoczenie lokomotywy do przerwy w szynach; zatrzymanie samochodu z jankami i rozdanie jajek strajkującym i przypadkowym przechodniom; zatrzymanie samochodu z cukrem i rozdanie części cukru.

Około godz. 20-tej robotnicy wysłuchali przemówienia telewizyjnego premiera odwołującego podwyżkę i po przemówieniu zaczęli rozchodzić się do domów. Wtedy właśnie oddziały milicji zaatakowały rozchodzących się używając petard, gazów łzawiących, bijąc pałkami, kopiać leżących. W czasie akcji milicji zapalił się (prawdopodobnie od petardy lub innego ładunku) wagon restauracyjny. Pożar został ugaszony przez straż zakładową, ale ze względu na utrudnione działanie (szarże kolejnych oddziałów MO) spłonął wagon restauracyjny i część wagonu sąsiedniego.

Oddziały MO rozpoczęły następnie w całym Ursusie łapanie połączone z brutalnym biciem ludzi znajdujących się na ulicy, głównie młodzieży. Umundurowane i nieumundurowane oddziały MO wyłapywały ludzi w pobliżu terenu fabryki, na głównych ulicach miasta, a także na peryferiach Ursusa — często przypadkowych przechodniów. Zatrzymanych bito pałkami, kluczami od samochodów, sprzączkami od pasów, kopiać — często aż do utraty przytomności. Akcja ta trwała do rana.

Oto kilka przypadków obrazujących sposób działania władz porządkowych:

- robotnik idący na III zmianę — zatrzymany i brutalnie pobity;
- robotnik wracający z II-giej zmiany — zatrzymany i pobity, znęcano się nad nim jeszcze w samochodzie milicyjnym;

- robotnik, który wyszedł po żonę wracającą na piechotę z Włoch (po II-giej zmianie), zatrzymany na oczach żony i pobity; wleczono go za nogi do samochodu;
- robotnik wracający z żoną w zaawansowanej ciąży do domu — po odepchnięciu kobiety wepchnięto go przemocą do samochodu;
- robotnik wracający wieczorem do Hotelu Robotniczego — zatrzymany w pobliżu hotelu przez ludzi jadących prywatnym samochodem (zarekwirowanym na czas akcji) i ubranych po cywilnemu — bity do krwi w samochodzie;
- kilku młodych idących ulicą Bohaterów Warszawy w pobliżu komendy MO zostało napadniętych przez milicjantów i pobitych. Jeden z nich stracił przytomność — wówczas pastwiono się nad leżącym, później zabrało go pogotowie ratunkowe;
- młody robotnik został w trakcie interwencji MO tak uderzony pałką, że pękła mu szczęka w dwóch miejscach.

Po przewiezieniu na komendę MO w Ursusie zatrzymani musieli przejść przez szpaler milicjantów bijących pałkami. Niektórych przepędzano przez szpaler dwukrotnie. Wewnątrz budynku znajdował się wydzielony pokój, do którego wpychano pojedynczo zatrzymanych. Tam kilku milicjantów biło delikwenta pałkami i kopało, a jeśli ktoś upadł kopano również leżącego. Znane są przypadki łamania żeber zatrzymanym. Na tyłach komendy urządzono tzw. „ścieżkę zdrowia”: zatrzymanym kazano biegać dookoła pod gradem uderzeń pałkami.

Jak się wydaje, wszyscy zatrzymani byli bici — nieznany jest żaden wyjątek od tej reguły. Ogółem zatrzymano tej nocy 200-300 osób.

Zatrzymani byli następnie przewożeni do Pałacu Mostowskich — ci, którzy osłabli w trakcie bicia, byli ciągnięci za nogi i wrzucani do samochodów. W Pałacu Mostowskich robiono im zdjęcia i zdejmowano odciski palców. Następnie sprawdzano pod lampami ultrafioletowymi, czy nie są naznaczeni specjalnym proszkiem rozsiewanym z ładunków wystrzeliwanych przez MO w celu ułatwienia identyfikacji. Tu też przeprowadzano pierwsze przesłuchania. Później przewożono ich na Rakowiecką. Niektórzy przed przewiezieniem do Pałacu Mostowskich przechodzili przez etap pośredni — komenda MO na Walicowie, gdzie również byli bici.

W niedzielę 27 czerwca rozpoczęły pracę kolegia orzekające, które pracowały do późna w nocy. Zatrzymanych oskarżano o atakowanie milicjantów, niesłuchanie rozkazu do rozejścia się, demolowanie sklepów, wagonów itp. Większość oskarżeń była fałszywa. Świadczyli milicjanci — przeważnie zresztą nie ci, którzy zatrzymali oskarżonych — a rozprawy odbywały się w oparciu o pisemne zeznanie nieobecnego świadka oskarżenia.

Prawie wszyscy oskarżeni zostali skazani. Wymierzane kary grzywny (1.500-5.000 zł.), kary odpracowania kilkudziesięciu go-

dzin „społecznie”, lub kary aresztu z zawieszeniem. Po 48 godzinach większość skazanych wypuszczono do domów.

W poniedziałek (28 czerwca) zwolnieni robotnicy podjęli pracę, niektórzy jednak musieli pozostać w domu z powodu urazów powstałych w wyniku pobicia. Po kilku dniach ze wszystkimi uprzednio zatrzymanymi robotnikami zakład rozwiązał umowę o pracę bez wypowiedzenia, podając jako podstawę prawną art. 52 par. 1 K.P. Ci spośród nich, którzy mieszkali w Hotelu Robotniczym, następnego dnia po rozwiązaniu umowy o pracę zostali usunięci z mieszkań.

Z pracy wyrzucano przede wszystkim zatrzymanych. Akcja zwolnień objęła jednak szerszą grupę. Za podstawę usunięcia służyły zdjęcia wykonywane przez milicję, zeznania niektórych kierowników i donosicieli. Naruszano przy tym w sposób rażący uprawnienia robotników. Oto niektóre przykłady:

- rozwiązano umowę o pracę, bez wypowiedzenia, z robotnikiem, który od dłuższego czasu chorował i miał zwolnienie lekarskie. W dniu 25 czerwca robotnik ten z powodu choroby w ogóle nie był w zakładzie;
- rozwiązano umowę o pracę (w tym samym trybie) z robotnikiem, który w tym czasie miał urlop wypoczynkowy i również podczas zajęć nie był w zakładzie.

Ponieważ 25 czerwca w Ursusie strajkowali prawie wszyscy, każdego można było wyrzucić, jeśli tylko nie podobał się kierownikowi, lub komuś z bezpośredniego nadzoru. Całkowita liczba osób zwolnionych w Z.M. Ursus nie jest znana. Podawane są różne liczby. Dość często powtarza się liczba 250 pracowników i druga liczba — ok. 1.500. Rozbieżność ta nie została dotychczas wyjaśniona — spodziewać się należy potwierdzenia raczej tej drugiej liczby.

W dniach 4-6 lipca robotnicy skazani uprzednio na karę grzywny otrzymali wezwanie stawienia się w ursuskiej komendzie MO. Szli tam sądząc, że chodzi jedynie o jakieś formalności. Tymczasem aresztowano ich i przewieziono do Warszawy na ul. Rakowiecką (objęło to także tych, którzy karę grzywny już zapłacili). Okazało się, iż KS MO założyła rewizję od — jej zdaniem — zbyt łagodnych wyroków. Kolegia otrzymały nakaz ponownego rozpatrzenia wszystkich spraw i zakończenia ich wyrokami skazującymi na kary bezwzględnego aresztu. Tak też się stało, prawie wszystkie wyroki opiewały teraz na 3 miesiące aresztu. Niektóre rozprawy przeprowadzone zostały z całkowitym lekceważeniem zasad określonych w KPK. I tak np. przytaczano podczas rozprawy zeznanie nieobecnego świadka oskarżenia (św. Dynda), który stwierdzał, że oskarżony atakował milicjantów. Sąd nie dawał wiary zaprzeczeniom oskarżonego i opierał wyroki jedynie na pisemnych zeznaniach nieobecnego na rozprawie świadka oskarżenia. Często posługiwano się także pośrednim świadkiem oskarżenia (św. Dąbek), który tylko spisywał na komendzie MO personalia doprowadzonych i przyczynę

zatrzymania według relacji doprowadzającego funkcjonariusza. Ponieważ zaś św. Dąbek nie spisywał personaliów doprowadzających, nie ma sposobu sprawdzenia wiarygodności informacji. Zdarzało się też, że świadkowie oskarżenia mylili oskarżonych i nie bardzo wiedzieli w jakim miejscu ich zatrzymali.

Po wyrokach skazujących, robotników osadzono w więzieniu na Białoleścu. Wielu z nich odwoływało się, z reguły bezskutecznie, gdyż rozprawy rewizyjne zatwierdzały wyroki. Sąd nie reagował również na oświadczenia robotników, że byli bici przez milicjantów.

Po upływie miesiąca niektórym skazanym (ok. 40) zaproponowano zawieszenie pozostałych 2 miesięcy kary na okres pół roku. Tak więc w początkach sierpnia około 40 osób opuściło więzienie. Warto zaznaczyć, że osobom, które uprzednio zapłaciły karę grzywny, a później zostały ponownie skazane (3 miesiące aresztu), nie zwrócono dotychczas zapłaconych pieniędzy. Tak więc byli oni karani dwukrotnie za ten sam czyn.

Wszyscy represjonowani robotnicy (a więc zarówno ci, którzy zostali jedynie usunięci z zakładu, jak i ci, których skazały kolegia) nie mogą nigdzie znaleźć pracy. Jest zakaz przyjmowania ich do zakładów państwowych, spółdzielczych, a nawet prywatnych (właścicielom grozi się odebraniem licencji). Warszawskie biuro zatrudnienia w ogóle nie podejmuje rozmów z robotnikami zwolnionymi z pracy po 25 czerwca. Zdarzyły się wypadki wyrzucania przyjętych uprzednio (mimo zakazu) robotników. Tere-nowa Komisja Odwoławcza w Pruszkowie jak dotąd odnosi się negatywnie do wniosków o rewizję decyzji zakładu pracy. Wśród robotników panuje przekonanie, że będą przyjmowani do pracy dopiero po upływie 3-miesięcznego okresu przerwy, ponieważ wówczas utracą ciągłość pracy i wynikające stąd uprawnienia.

16 i 17 lipca 1976 roku odbył się w sądzie wojewódzkim w Warszawie proces 7 robotników oskarżonych o wykołajenie lokomotywy. 5 robotników pracowało w Z.M. Ursus, jeden w Pruszkowie w fabryce obrabiarek, jeden był kierowcą oraz prowadził kiosk „Ruchu”. Żaden z nich nie był wcześniej karany. Najmłodszy miał niepełne 21 lat, najstarszy — 42 lata. Bronili adwokaci z urzędu. Jedynym materiałem dowodowym były zdjęcia. Zapadły następujące wyroki: 5 lat, 4 i pół roku, 4 lata, 4 lata, 3 lata, 3 lata więzienia. Najwyższy wyrok otrzymał najmłodszy oskarżony.

Rodziny skazanych znajdują się często w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej:

- Grzegorz Zielonka (lat 42) zostawił żonę z dwojgiem adoptowanych dzieci w wieku 7 i 8 lat. Żona opiekuje się chorą i niedołężną matką, nie może więc podjąć pracy. Rodzina została bez środków do życia.
- Czesław Milczarek (27 lat) zostawił żonę z dwojgiem dzieci (1 rok, 3 lata). Żona opiekuje się matką poważnie chorą na astmę, mimo to zdecydowała się nie przerywać pracy.

- Wojciech Czarnecki, zostawił matkę, która niedawno przeszła operację wycięcia części żołądka. Matka pobiera 900 zł. renty.

W sierpniu odbyły się w sądzie pruszkowskim dwa procesy oskarżonych o rozdawanie jajek i cukru z rozbitych samochodów dostawczych. Łącznie skazano 12 osób na kary więzienia od 1 roku z zawieszeniem do 3½ lat pozbawienia wolności. Również rodziny skazanych w tych procesach znajdują się w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej.

Nieznana jest liczba robotników nadal pozostających w areszcie. Przypuszcza się, że sięga ona 50 osób. Wobec części z nich (10 osób) toczy się śledztwo w sprawie o wykołajenie lokomotywy. Niektóre rodziny aresztowanych są w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej:

- rodzina wielodzietna (dzieci od 4 do 15 lat). Żona nie może podjąć pracy ze względów zdrowotnych. Nie mają własnych środków utrzymania, korzystają z — niewystarczającej — pomocy rodziny.
- starsi rodzice oboje ciężko chorzy (matka niewidoma i ciężko chora na cukrzycę, ojciec ma dwustronną przepuklinę). Starszy syn wyszedł z więzienia po 6 tygodniach aresztu, ale nadal toczy się przeciwko niemu postępowanie. Jest ciężko chory: ma skrzywiony kręgosłup, cukrzycę a w tym roku przebył 3 zawały serca (w maju, czerwcu i w początkach lipca podczas bicia na komendzie MO w Ursusie). Młodszy syn ma sankcję prokuratora do 1 października 1976, przebywa w więzieniu na Mokotowie. W wyniku pobicia przez milicję złamano mu szczękę w dwóch miejscach.
- Dotychczas przetrzymywany jest w areszcie śledczym (od początku lipca) młody chłopak ociążały umysłowo, będący od dziecka pod stałą opieką lekarską.

Pomoc zakładu pracy i agend opieki społecznej jest nikła. Zasiłki, które zakład jest zobowiązany udzielać po zatwierdzeniu przez niższe instancje (oddziałowe) odrzucane są przez instancje nadrzędne (zakładowe). Również terenowi opiekunowie społeczni, do których zwracano się o pomoc, odmawiają swego poparcia. Ponieważ przeważnie rodziny były na utrzymaniu represjonowanych, obecnie pozbawione są również opieki lekarskiej.



Relacja zawiera jedynie nazwiska osób skazanych dotychczas przez sąd w procesie, o którym informowała prasa. Nazwiska pozostałych osób są znane redaktorom tej relacji. Nie podajemy ich w obawie przed dodatkowymi represjami, które mogłyby te osoby spotkać.

Procesy i wyrzucenia z pracy mają miejsce nie tylko w Radomiu i Ursusie, ale także w Szczecinie, Płocku, Wrocławiu, Białymstoku i w Warszawie.

Z warszawskiej fabryki „Zelmot” wyrzucono 30 osób. 25 czerwca był tu strajk. Następnego dnia aktyw zdecydował, że straconi czas musi być nadrobiony. Trzydziestu się nie zgodziło, natychmiastowe zwolnienie.

Urząd zatrudnienia. Dyrektor tego urzędu w Warszawie miał otrzymać polecenie, że wyrzuceni z pracy nie mogą być przyjęci z powrotem.

„Ursus”: między 25 czerwca i 2 lipca wyrzucono tu 800 osób, część z nich była później przyjęta do pracy z powrotem. Mówi się, że 24 sierpnia Gierek odwiedził zakłady. Dyrektor miał oświadczyć, że część robotników musiała wrócić do pracy, albowiem zagrażała dezorganizacja produkcji.

Jako powód zwolnienia z pracy podawano „nie był w pracy”, lub zwalniano zupełnie bez powodu, zawiadamiając o tym ustnie. 27 czerwca na zebraniu aktywu milicjanci zażądali identyfikacji osób, które znajdowały się na zdjęciach zrobionych przez milicję w czasie demonstracji 26 czerwca. Osoby rozpoznane na zdjęciach były zatrzymane przez 48 godzin i przekazane prokuraturze lub kolegiom administracyjnym.

Okolo 10 lipca zwolniono z pracy ponownie tych, którzy w międzyczasie byli na nowo przyjęci, tym razem pod zarzutem „opuszczenia miejsca pracy bez zezwolenia”. W tym czasie Tere-nowa Komisja Odwoławcza w Pruszkowie (Krystyna Miłoszewska, Irena Godycka, Henryk Więcek) podała do wiadomości publicznej, że skargi z powodu zwolnienia z pracy muszą być rozpatrzone negatywnie. Od 8 do 25 sierpnia skargi były odsyłane z powrotem do fabryki.

W więzieniu — około 100 osób. Wiadomo dokładnie, że 88 osób było w więzieniu dłużej niż jeden miesiąc; z nich tylko 13 osób na podstawie wyroku. Robotnicy siedzieli w warszawskim więzieniu na Rakowieckiej, w Białolecie, w Pałacu Mostowskich. W Białolecie siedziało 75 osób.

Na początku sierpnia wypuszczono na wolność 45 osób, czyli ok. 30 osób jest ciągle jeszcze w więzieniu. W Ursusie mówi się, że także ci będą niedługo na wolności.

Między 25 czerwca i 3 lipca aresztowano strajkujących oraz osoby przypadkowe, jak np. znajomych czy przyjaciół aresztowanych, którzy przyszli na komisariat, żeby się dowiedzieć jak i co. Po zebraniu z aktywem, na którym milicja kazała rozpoznawać demonstrantów na zdjęciach, aresztowano już tylko tych rozpoznanych.

Wypuszczeni na wolność opowiadali, że w czasie demonstracji milicjanci przebrani za robotników spryskiwali demonstrantów czymś w rodzaju *spray'u*. Po aresztowaniu każdy musiał przejść przed czymś przypominającym aparat rentgenowski, gdzie ślady *spray'u* stawały się widoczne.

Wszyscy opowiadali, że zostali dwukrotnie pobici: przy aresztowaniu i w czasie przesłuchań. Milicjanci powiedzieli im, że pierwszy raz była to sankcja wychowawcza, a drugi raz pobici zostali w celu wymuszenia prawdziwych zeznań.

Na procesie (otwartym) opowiadał M. Chmielewski, że kilkakrotnie go pobito. Wszyscy wypuszczeni opowiadali, że stawali przed kolegium, które wymierzało im kary od 2 do 4 tys. zł. Wypuszczono ich, ale 27 czerwca byli aresztowani ponownie, znów kolegia, tym razem kary 3 miesięcy więzienia. Po miesiącu większość wypuszczono.

Pomoc: okazano ją czy będzie okazana ok. 54 osobom. Między nimi 48 wyrzuconym z pracy, z których 6 jest dotąd bez pracy, 13 z wyrokami, 11 ciągle w areszcie (4 na podstawie 3-miesięcznego wyroku kolegium).

Wszystkie te osoby mieszkają w okolicach: Ursus, Ożarów, Brwinów, Piastów, Kąty k. Grodziska Mazowieckiego, Kobylka, Grodzisk Mazowiecki, Budy k. Międzyborowa, Kaleczyn, Międzyborów, Błonie.

Wszystkie te osoby są dość młode: 18-36 lat. Mają rodziny, dochody dość skromne: 2½ do 4 tys. zł. Tylko jeden robotnik zarabiał 6.000 zł. Większość to jedyni żywicieli rodziny.

Uprzednio skazano 3-ch za chuligaństwo.

Adwokaci: z 31 osób tylko 9 miało dobrego adwokata. Reszta — adwokaci z urzędu. Znałe są 3 wypadki, kiedy adwokat z urzędu zażądał honorarium w wysokości 10.000 zł.

Sytuacja w rodzinach jest ciężka — mężczyźni nie mogą znaleźć pracy, kobiety znajdują tylko złe opłacalne posady. Najgorzej jest w rodzinach, gdzie ojciec siedział lub siedzi w więzieniu, dochodzą koszty procesu. Pomoc z fabryki i ze strony instancji społecznych jest minimalna. Prośby o finansową pomoc są przez władze fabryczne załatwiane odmownie.

Świadczenia społeczne: rodziny nie mają prawa na ubezpieczenie. Znanych jest kilka przypadków pomocy Kościoła.

Także moralna atmosfera nie jest dobra: w prasie mówi się o nich jako o „wrogach ludu pracującego i socjalizmu” itd. Do 28 czerwca odbyło się kilka spotkań z przedstawicielami zakładowych Związków Zawodowych, po 28 czerwca — wszystko ustało.

Wiadomo, że jeden z księży w Ursusie opowiadał swym parafianom o wypadkach w fabryce.

25 sierpnia 1976

RELACJA DWÓCH ŚWIADKÓW O ZAJŚCIACH W RADOMIU

Zajścia rozpoczęły się w dniu 25 czerwca 1976 roku od strajku wszystkich zakładów pracy w Radomiu. W zakładach im. „Waltera” od godz. 6-tej załoga wydziału P-6 oraz załogi innych wydziałów postanowiły wyjść na ulicę. Załoga „Waltera” rozpoczęła od otworzenia magazynu broni, znajdującego się na terenie Za-

kładów. Okazało się, że magazyny są puste, gdyż broń przeznaczone została wywieziona przez dyrekcję Zakładów w nocy na lotnisko wojskowe w Radomiu. Załoga „Waltera” wyszła na ulicę w wzorowym porządku, ze sztandarami i czerwonymi szturmówkami, śpiewając Międzynarodówkę. Do niej dołączyły załogi innych fabryk radomskich: Radoskór, Wytwórnia Telefonów, Zakłady Tytoniowe, Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego i inne mniejsze. Część zakładów mniejszych, które nie wyszły na ulicę, również przystąpiła do strajku ogólnego. W szeregu zakładów, jak np. w Fabryce Wyrobów Ogniotrwałych, robotnicy pobili miejscowych sekretarzy partyjnych, w innych dochodziło do poturbowania przedstawicieli dyrekcji zakładu. Robotnicy, wraz z przyłączającymi się do nich masami młodzieży szkolnej i ludności Radomia, udali się pod wojewódzki komitet PZPR przy ulicy 1 Maja w Radomiu. Domagano się podjęcia rozmów z robotnikami przez kierownictwo partii. Sekretarz wojewódzki Prokopiak uchylił się od wyjścia z gmachu. Po pewnym czasie z budynku partyjnego wyszedł II-gi sekretarz Adamczyk. Na krzyki tłumu nawołujące do rozmów odpowiedział on, że z motłochem rozmawiać nie będzie. Wystąpiła jedna z kobiet z dzieckiem na ręku. Oświadczyła, że jest wdową, posiada troje dzieci na utrzymaniu i zarabia 2.200 miesięcznie. Dodała, że zarobki starczyły jej na chleb z cukrem dla dzieci. W tej chwili po podwyżce nie starczy jej nawet na cukier. Dokończyła: „A ile towarzysz sekretarz zarabia?”. Adamczyk nie odpowiedział jej na pytanie, odrzekł natomiast: „Jeżeli wam tak zależy na losie waszych dzieci, to dlaczego nie zostawiliście waszego dziecka w domu, aby go nie męczyć tutaj?”. Kobieta straciła cierpliwość, zdjęła but z nogi, i zaczęła okładać Adamczyka obcasem buta po głowie. Adamczyk tracąc zimną krew nakazał wybrać delegację z tłumu, z którą on będzie rozmawiał. Inna kobieta krzyknęła: „Tak! delegację — żebyście wiedzieli kogo aresztować”. „Teraz ja jestem delegatką i teraz tutaj będziemy rozmawiać”. Tłum otaczający poparł jej stanowisko. Zewsząd padały uszczypliwe okrzyki i docinki na sekretarza i całą partię. Napięcie wzrastało. Wzburzony Adamczyk powtarzał, że z motłochem rozmawiać nie będzie. Wystąpił jeden z robotników od Waltera — był jak wszyscy robotnicy w zabrudzonym roboczym ubraniu — i wskazując na ubranie oświadczył, że otrzymuje je raz na rok, gdy należy się minimum cztery razy rocznie. Wskazał na ubranie Adamczyka: „A ile wasze ubranie kosztuje? Na pewno przynajmniej 6.000 złotych”. Wywołało to okrzyki tłumu: „Rozebrać go, rozebrać”. Wyskoczyło z tłumu kilku młodych ludzi, którzy wymusili na Adamczyku zdjęcie całego garnituru. II-gi sekretarz KW PZPR uciekał w bieliznie w kierunku gmachu Komitetu. Rzucono za nim różnymi odpadkami i kamieniami. W pewnym momencie upadł, lecz podniósł się i biegł dalej. Krąży niesprawdzone pogłoski, że odwieziony do szpitala doznał ciężkiego ataku serca.

Koło budynku rozpalono duże ognisko — do niego partyjni robotnicy zaczęli wrzucać partyjne legitymacje (własne). Pod

budynek sprowadzono trzy ciągniki, gdyż tłum nie mógł sforsować drzwi Komitetu, zaś próby wyłamania zaryglowanych drzwi nie dały rezultatu. Zdołano zaczepić hak liny ciągnika o drzwi, wyrrywając je z futryną. Innym ciągnikiem wyrrywano futryny okien, wybijając przedtem szyby kamieniami. Jeden z ciągników podpalono i płonący skierowano w wyłamane drzwi budynku. Wjechał do wewnątrz, wzniecając pożar.

Młodzi ludzie wdarli się do budynku przez okno. Natknąwszy się na dywany w gabinetach ściągali je z podłogi, pokazując tłumom przez okno. Tłum wznosił oburzone okrzyki, dywany fruwały z okien na dół. Włamano się wewnątrz do magazynu stołówek, gdzie zmagazynowane były wielkie ilości szlachetnych odmian wędlin i artykułów żywnościowych. Wszystko to zostało wystawione przed gmach. W innych wewnętrznych pomieszczeniach Komitetu podłożono ogień. Przypuszczalnie spalony został tylko parter oraz I i II piętro. III piętro zostało nie spalone.

Na ścianach domów przez ten czas pojawiły się napisy: „Precz ze sprzedajną PZPR” i inne. Tłumy obległy również Urząd Miejski i Wojewódzki oraz znajdującą się na zapleczu Komendę Wojewódzką MO. Milicja nie używała broni palnej, zabarykadowała się w tym kompleksie budynków, obrzucając tłum granatami z gazem łzawiącym. Z zaatakowanych budynków robiono też zdjęcia oblegającego tłumu. Niektórzy z aktywniejszych atakujących zastraszali twarze chustkami. Nad ulicami Radomia krążył bez przerwy milicyjny helikopter z bezpieczką filmującą tłumy.

Z wyjątkiem obleganego kompleksu gmachów Radom był w rękach ludności. Przystąpiono do budowania barykad. Na ul. 1 Maja zatrzymano 4 wozy straży pożarnej, jadące do gaszenia płonącego budynku partyjnego: z wozów tych utworzono barykadę, tarasując wiadukt od strony arterii wlotowej z Iłży i Rzeszowa. Budową barykady kierowała młoda kobieta. Wytwarzały się załążki organizacji. W pobliżu budujących stała grupa młodych mężczyzn, którzy okazali się zabezpieczeniem pracujących. Nadjechał autobus. Kobieta zatrzymała go gestem ręki, wskazując miejsce i sposób w jaki się miał ustawić, aby zapęłnić lukę w budowanej barykadzie. Dodała też: „Chce pan szynkę jeść, to niech pan staje w tym miejscu”. Kierowca coś się wymawiał, ale wreszcie ustawił się we wskazanym miejscu. Później czy to zlekceważył rozkaz i chciał uciec, czy to zdenerwowanie nacisnął niechący pedał gazu, dość że momentalnie grupa młodych mężczyzn z obstawy wdarła się na stopnie szoferki, inni spuścili powietrze z opon. Na rozkaz kobiety inna grupa sprowadziła cysternę z benzyną, dla wypróbowania rozlano trochę benzyny w dół po jezdni ul. Słowackiego i zapalono. Jezdnia stanęła w ogniu, asfalt zajął się ogniem. Cysternę ukryto w zaroślach parku w pobliżu, aby ją użyć w razie ataku milicji czy wojska.

W czasie zajęć na ulicach Radomia znajdowało się dużo wojskowych, oglądali zajścia, walki z milicją — widać było, że byli

po stronie ludności, że solidaryzują się. W żadnym wypadku nie sprzeciwiali się ludności. Służbowe samochody PZPR płonęły już przed Komitetem, zarówno jak i samochody prywatne bonzów partyjnych, jak też pod gmachem Urzędu Miejskiego oraz milicji i bezpieki.

Po opanowaniu Radomskich Zakładów Mięsnych z ich magazynów wydawano ludności całe tony szynki konserwowej, przeznaczonej głównie do wywozu do ZSSR i krajów zachodnich.

Około godz. 9-tej Radom został odcięty od łączności telefonicznej międzymiastowej. Poszczególne zakłady łączono tylko z centralami telefonicznymi. Radom pokrył się siecią kilkudziesięciu barykad ulicznych.

Do udziału w demonstracjach, do walki z milicją zagrzewali młodzież emeryci. Słyszano się: „Czy teraz, czy za dwa lata, czy za pięć lat i tak będziecie musieli wystąpić przeciw nim (PZPR), a więc do walki”. — Sytuacja była płynna, według niesprawdzonej wersji z podejżdżającego pod KW PZPR samochodu milicji nie zdążył wyskoczyć i uciec spod gradu kamieni jeden z milicjantów; miał on spłonąć w tymże samochodzie. Inny milicjant miał być zabity własną pałą. Około godz. 12-tej PZPR uruchomiło most powietrzny na lotnisko wojskowe, przybyła podoficerska szkoła MO i SB z Piły wraz z wyposażeniem i sprzętem koniecznym do walki z ludnością. Bojówki te przetransportowało około 30 (?) wojskowych samolotów transportowych o barwach ochronnych z polskimi znakami rozpoznawczymi. Były to samoloty 4-silnikowe typu „Ukraina” oraz 2-silnikowe typu „Tu-140” (?). W kierunku Radomia zdążyły też na pełnej szybkości powyżej 100 km/g z zapalonymi światłami kolumny samochodów milicji z Lublina, Rzeszowa, Tarnobrzegu itp. Przybyła też szturmówka milicyjna z Gołędzinowa, lecz dużo później.

Wyposażenie milicji: samochody pancerne, których działka wystrzeliwały petardy z gazem łzawiącym na odległość ok. 300 m.; działka z takim samym przeznaczeniem; samochody ciężarowe transportowe oraz karetki aresztanckie i więzienne; łażiki, radiostacje. Oddziały milicyjne pojawiły się w sile kompanii ok. 1.000 osób, w nastawieniu szturmowym, w hełmach, z zastoną pancerną na twarz, z tarczami z wizjerem na wysokości oczu, z pałkami długości 85 cm., z ręcznymi miotaczami granatów z gazem łzawiącym. Wystrzelivano też w tłum poziomo rakiety świetlne.

W jednym wypadku obłożony i naciśnięty oddział milicji musiał utworzyć „jeża”, zastawionego tarczami i miotającego na wszystkie strony granaty z gazem łzawiącym. Wówczas to pewien młody człowiek wdarł się na dach kamienicy górującej nad „jeżem” i z góry obrzucał kamieniami wewnątrz „jeża”. Kilkunastu milicjantów odskoczyło od „jeża”, chcąc uchwycić owego chłopca biegnącego w kierunku bramy tego domu. Spozjrzały to kobiety, mieszkanki domu — zaczęły obrzucać milicjantów doniczkami z ziemią i drobnym sprzętem domowym. Milicjanci nie sforsowali tego domu. Rakiety niekiedy podpalały mieszkania ludzi.

Około godz. 17-tej rozgrzane walką tłumy rzuciły się do

rabunku sklepów wzdłuż centralnych ulic Radomia. W krótkim czasie towary wartości kilkudziesięciu milionów złotych znalazły się w rękach ludności. Nie należy wykluczać, że rabunki były inspirowane przez agentów bezpieki, ażeby dezorganizować obronę barykad. Walki w godzinach wieczornych przerodziły się w mordczy pogrom ludności i młodzieży przez wzrastającą przewagę sił bezpieki i milicji. Prym wiodły tu oddziały Gołędzinowa rekrutowane z elementu przestępczego (przez zmianę wyroków sądowych na służbę w szturmówkach bezpieki i milicji). Z pewnością pojone przed akcją alkoholem, podniecone zaś walką z bezbronnym, lecz bojowo nastawionym ludem. Świadkowie zgodnie stwierdzają, że normalni ludzie nie byłoby zdolni do bicia w takim zapamiętaniu, w jakimś dzikim szale, do bicia kobiet i nawet małych dzieci. Działali w jakimś szale mordy i przypuszczalnie, gdyby zamiast pałek i gazu łzawiącego dano im broń palną, użyłoby jej bez wahania.

Ok. godz. 23-ciej bezpieka i PZPR opanowały sytuację w Radomiu.

Aresztowano kilka tysięcy osób. W przeciągu nocy przy pomocy brygad budowlanych ściągniętych przymusowo z Warszawy, Kielc i Koźlenic oraz przy pomocy 3 hufców OHP stacjonujących w pobliżu Radomia, miasto oczyszczono. Zmywano i odnawiano fronton spalonego KW PZPR, zatarto i zniszczono napisy i hasła umieszczone przez ludność w ciągu 25 czerwca. Usunięto wraki spalonych samochodów i autobusów, jedynie na bocznych ulicach rano 27 czerwca znajdowały się jeszcze resztki porozrzucanych papierowych opakowań granatów z gazem łzawiącym.

Wieczorem 25 czerwca Radom był tak nasycony gazem łzawiącym, że fale gazu docierały na teren dworca kolejowego, oddalonego bądź co bądź znacznie od centrum Radomia, docierały aż do dzielnicy Młodzików leżącej na peryferiach Radomia.

Według pogłosek krążących wśród mieszkańców Radomia straty wśród ludności wynosiły ok. 17 zabitych, wśród których przypuszczalnie jest dziecko, 1 kobieta ciężarna i 25-letni lekarz. Mieli zostać pochowani (podobnie jak ofiary Wybrzeża 1970) w tajemnicy nocą z 26 na 27 na miejscowym cmentarzu. Oficjalne komunikaty partyjno-gazetowe podają 2 osoby zabite i to przez swoich kolegów. Trzeba dodać, że przypuszczalnie w czasie śledztwa bezpośrednio po rozruchach również pozbawiono kilka osób życia, bowiem kilka dni później w rowie za miastem znaleziono (przy szosie) zwłoki młodego chłopca, przy czym wiadomo, że przedtem był on aresztowany. Straty po stronie bezpieki i milicji nie są znane, wiadomo jednak, że kilka dni później (dokładnie 30 czerwca) odbył się pogrzeb kilku funkcjonariuszy bezpieki, na który zjechały z Warszawy delegacje milicji. Rannych po stronie bezpieki i milicji miało być 75 osób, w tym 8 ciężko. Świadkowie stwierdzają, że milicjanci byli rażeni tasakami, brzytwami i kamieniami. Szturmowe tarcze milicji były przeważnie dokładnie obite z farby ochronnej. Odrzucano też w stronę milicji wystrzeliwane z ręcznych miotaczy granaty z gazem łzawiącym.

Rany wśród ludności najczęściej odnoszone były wskutek pobicia — częste były wypadki bicia jednego człowieka przez kilku funkcjonariuszy bezpieki. Były też rany od wybuchających granatów z obudową szklaną, wystrzeliwanych z dział pancernych i działek. Czasem rany te przybierały kształt krwawej miazgi zamiast twarzy. Oparzeliny powodowane były przez rykoszetujące rakiety świetlne wystrzeliwane w tłum.

Wreszcie szpitale przestały przyjmować rannych, wzywane do pobitych przez bezpiekę karetki pogotowia nie wyjeżdżały na miejsce wypadku. Nie wiadomo czy działał tu nakaz władz partyjnych, czy tylko obiektywne trudności pogotowia z nawałem rannych — tak czy owak pozostawieni oni byli na pastwę losu, lub zdani na troskliwość rodziny. Aresztowania i rozprawa z ludnością rozpoczęły się natychmiast. Objęły one nie dające się określić ilości mieszkańców. Aresztowano młodego człowieka przy którym znaleziono trzy paczki papierosów bez wysłuchania tłumaczeń, że kupił je w budce.

Już w sobotę w południe rozpoczęły działalność „sądy do-różne”. Wyroki dochodziły często do 10 lat więzienia. Podstawowym „dowodem” było zeznanie funkcjonariusza bezpieki lub milicji. W skład „sądu” wchodził „sędzia” i protokolant. Skazani rozwożeni są natychmiast do więzień na terenie całego kraju.

W poniedziałek 28 czerwca rozpoczęły działalność kolegia administracyjne. Ferowały one orzeczenia w ilości ok. 700 na dobę (czynnych było stale i jest ok. 5 kolegów orzekających). Przypuszcza się, że do 4 lipca skazano w kolegiach ok. 5.000 osób. Najczęstsza kara to 3 miesiące aresztu i 5.000 grzywny.

Znany jest następujący przypadek: sądzono człowieka pobitego w sposób niewątpliwy, noszącego ślady pobicia. Sędzia (kobieta) zwróciła uwagę pod sądnemu, iż przed rozprawą mógłby się przynajmniej umyć. Oskarżony odpowiedział: „Mówi mi pani o myciu, a ja przez 3 dni nie otrzymałem nic do jedzenia, coż dopiero mówić o myciu”. „Nie szkodzi — odpowiada sędzia-kobieta — pojedziecie teraz do więzienia, tam dostaniecie obiady za wszystkie zaległe trzy dni”.

Wszyscy aresztowani są natychmiast goleni do gołej skóry. Ulice Radomia są gęsto patrolowane przez 3-osobowe grupy milicyjne. Mieszkańcy Radomia usiłują opuszczać miasto pod każdym pozorem — miasto wygląda na wyludnione, a jego wygląd urozmaicały częste patrole milicyjne: piesze i samochodowe. Szczególnie znikła z ulic młodzież, która napęłniała areszty w Radomiu i więzienia w kraju.

Jednak w tydzień po zamieszkach spłonął w dniu 2 lipca w pobliżu dworca kolejowego (głównego) milicyjny samochód, zaś do milicji napływają anonimy z ostrzeżeniami przed pastwieniem się nad ludnością i aresztantami.

RELACJA PRACOWNIKA RADOSKÓRU

Około godz. 8.30 przyjechali do naszego zakładu na wózkach akumulatorowych z Waltera i Blasanki. Straż przemysłowa nie stawiała oporu. Objechano wydziały wzywając do przyłączenia się do strajku. Wyszliśmy z pracy około godz. 10-tej i poszliśmy do Zakładów Mięśnych. Około 11-tej uformował się pochód na ul. Żeromskiego w okolicy kościoła Bernardynów. Z Zakładów Mięśnych wyciągnięto wózki z mięsem i pokazywano ludziom, jak dużo jest tego mięsa — nikt nie rabował, wózki pełne wjechały z powrotem do Zakładów. Część robotników poszła do Zakładów Telekomunikacyjnych przy ul. Struga. Robotnicy z tych Zakładów przyłączyli się do pochodu. Około godz. 11-tej pochód ruszył ul. Żeromskiego, śpiewając Międzynarodówkę i Jeszcze Polska nie zginęła. Były okrzyki — precz z podwyżką! My chcemy jeść, my chcemy pić, młodzieńcy nie będziemy żyć! Większość pochodu stanowiła młodzież. Była bardzo zdyscyplinowana. Na przodzie szło kilku harcerzy, wszędzie był porządek i spokój. Przed Urzędem Wojewódzkim wszyscy gwizdali, ale szybko nie wybijano. Około 11.30 podeszliśmy pod Komitet Wojewódzki PZPR. Gmach był opanowany przez robotników — widać ich było w oknach. Wybita była tylko jedna szyba — w drzwiach wejściowych. Trzy osoby, w tym jedna dziewczyna, ściągnęły czerwoną flagę na skraj dachu i wyczyściły nią buty. Mieli białą-czerwoną szturmówkę i zaczęli ją wciągać. W tym momencie ludzie zaczęli śpiewać Jeszcze Polska nie zginęła. Ruch uliczny był sparaliżowany, lotna MO stała i kierowała samochodami inną trasą. Skandowano: Precz z podwyżką! Opowiadano mi, że w tym czasie trwały pertraktacje — żądano porozumienia się z KC i cofnięcia podwyżki. Odpowiedź miała podobno nadejść za dwie godziny. Około godz. 14-tej przyszła druga zmiana, która przyłączyła się do demonstrantów. Tłum był coraz większy, ludzi dowożono samochodami i przyczepami od ciągników. W międzyczasie robotnicy zaczęli blokować ruch w kwadracie ulic otaczających gmach KW, stawiając w poprzek jezdni samochody i autobusy. Było to między godz. 14-tą i 15-tą. Upłynęły dwie godziny. Krzyczano, żądano odpowiedzi. Gdy nikt nie wyszedł rozmawiać z tłumem, zaczęto systematycznie demolować gmach KW, poczynając od parteru. Najpierw poleciały szyby, potem wyrzucano biurka, dywany, telewizory. Demolowanie trwało do około godz. 17-tej. Robotnicy weszli do kantyny, wynosząc olbrzymie puszki konserw, kiełbasę, schaby. Krzyczano: Patrzcie, jak te skurwysyny żyją! Od tej chwili rozpoczęło się demolowanie sklepów otaczających KW. Podpalono też dywany leżące przed gmachem i zaczęto podpalać benzyną gmach. Najpierw zajęły się firanki. Ulice były pełne demonstrantów. Około godz. 17-tej nadjechała milicja uzbrojona w armatki wodne i miotacze gazu, wyglądające jak erkaemy. Nieśli duże tarcze z napisem Milicja — wszyscy mieli ogromne pałki i wyglądali trochę jak średniowieczni rycerze.

rze. Szli ławą od ul. Słowackiego w kierunku KW. Demonstranci podpalali zabarykadowane samochody. Wjeżdżały w nie opancerzone armatki wodne — ludzie rozbiegali się na boki i zaczęli atakować milicję od tyłu. Z budynku na rogu ul. Słowackiego i 1 Maja zaczęto rzucać z balkonów różnymi przedmiotami. Po rozbiciu demonstracji przed KW ludzie zaczęli się gromadzić koło godz. 18-tej przed Urzędem Wojewódzkim. Wybili tylko szyby. Około godz. 17.00-18.30 przez Żeromskiego, Struga, wożono na wózkach elektrycznych „Melexach” dwóch zabitych, zakrwawionych. Ludzie ściskali pięści i stali. Około 17.00-18.00 widziałem na Struga, na ciężarówce, rannego w zakrwawionej koszuli.

DALSZE RELACJE

Zatrzymano mnie ok. godz. 14.15 na ul. Żeromskiego przy parku Kościuszki. Dwaj cywile doprowadzili mnie do Komendy Wojewódzkiej MO. Na Komendzie wyzwano mnie od pasożytów i warcholów, a następnie dotkliwie pobito. Dopiero w dwie godziny po zatrzymaniu wyciągnięto mnie z celi i kazano podpisać depozyt. Odmówiłem, ponieważ na liście nie było kurtki i legitymacji służbowej. Wtedy pobito mnie po raz drugi — jeszcze okrutniej. Potem przewieziono mnie do innej komendy MO, poza Radomiem, skąd zostałem wkrótce zwolniony. W poniedziałek byłem przez cały dzień w pracy; nazajutrz aresztowano mnie ponownie. Przesłuchiowano mnie na Komendzie Wojewódzkiej MO — czterech cywilów biło mnie w twarz i poniżej pasa, obcinano mi włosy scyzorykiem. Wmawiano mi, że w czasie zajść rzucałem kamieniami w milicjantów. Potem zabrano mnie na Kolegium. Przed rozprawą torturowano mnie i bito; nie mogąc już dłużej znieść bólu, przyznałem się do zarzucanych mi czynów. Dostałem orzeczenie 3 miesiące i 2 tysiące zł. grzywny. Następne dwa tygodnie spędziłem w areszcie. Któregoś dnia wyciągnięto mnie z celi i oskarżono o pobicie w czasie zajść cywilnego milicjanta. Przedstawiono na Komendzie fałszywego świadka, który twierdził, że tego czynu dokonałem o godz. 17.30 — ja już w tym czasie dawno byłem aresztowany. W czasie procesu oskarżono mnie z art. 275 §1, 2 KK i z art. 59 KK. Milicja znalazła trzech świadków, którzy rzekomo widzieli mnie w czasie ataku na Komitet Wojewódzki. Z mojej strony zeznało czterech świadków, którzy potwierdzili moje zeznania. Świadkowie oskarżenia twierdzili, że widzieli mnie pod KW ok. godz. 17-tej. Obrońca żądał, aby przedstawiono notatkę o zatrzymaniu (na notatce była wypisana godzina), ale notatka zginęła gdzieś na milicji. Na podstawie fałszywych zeznań trzech świadków skazano mnie na 3 lata więzienia. Kazano mi też zapłacić kosztu procesu i grzywnę — razem chyba 7 tysięcy złotych. Potem dowiedziałem się, że jeden ze świadków oskar-

żenia prosił przed rozprawą konwojentów o pokazanie mnie, żeby mógł mnie potem poznać w czasie procesu. Poza tym sąd wydał mi krzywdzącą opinię, używając określeń: chuligan, pasożyt, warchoł itp. Nie rozumiem, jak mogłem być pasożytem, skoro do chwili zatrzymania pracowałem bez przerwy przez kilkanaście lat. Nigdy też nie byłem karany ani przez sąd, ani przez Kolegium — więc dlaczego nazwano mnie chuliganem?

Na ul. Żeromskiego w czasie rewizji podniosłem ręce do góry. Zabrali mnie. Gdy prowadzili mnie na Komendę, kopali mnie, pluli; jeden z milicjantów uderzył mnie hełmem w twarz, skrzywiając nos. Przed Komendą Wojewódzką stali inni milicjanci, którzy bili przechodzących pałkami. Wewnątrz, na korytarzach, prowadzono pojedynczo, a ustawieni milicjanci bili i kopali przechodzących. W pokoju 105 kazali mi się położyć na podłodze i zaczęli mnie strzyc scyzorykiem. Potem przewieziono nas do więzienia. Służba więzienna była pijana — wszyscy strażnicy byli uzbrojeni w pałki 75 cm. i hełmy. Rozebrano nas do ślpek i tak trzymano przez całą noc w celi na betonowej podłodze. Było bardzo zimno. Strażnicy chodzący pod celą musieli być cicho — jeśli usłyszeli jakieś rozmowy, wpadali do celi i wyciągali pierwszą z brzegu osobę, bili na korytarzu — słuchać było krzyki — potem pobitego jak worek wrzucali do celi. Jeśli ktoś zajączał z bólu, znowu wyciągali i bili. Na drugi dzień była sprawa. Nie pozwalali mówić, jeśli ktoś skarżył się publicznie, że go pobito, po sprawie bili go znowu. Potem przewieźli mnie do więzienia w Białymstoku. Strażnicy raczej nie bili. Raz tylko uderzono mnie pięścią w nerkę, bo za wolno wchodziłem do celi po spacerze. Więzienie w Białymstoku ma 45 cel — w celi 4-roosobowej siedziało zwykle 20-30 osób. W celi 9-tej na oddziale I-szym siedziało ok. 40 osób (cela była 14-toosobowa). W mojej celi pierwszą noc spaliśmy bez koców na podłodze. Od współwięźniów dowiedziałem się, że niektórym przed przewiezieniem do Kolegium kazano biegać w miejscu (twarzą do ściany) przez 45 minut. Inni opowiadali, jak w czasie śledztwa wprowadzono ich do pokoju, gdzie leżały różne rzeczy — namiot, aparat fotograficzny itp. Kazano więźniom wziąć sobie którąś z tych rzeczy. Nikt nie chciał brać, wtedy zaczęto ich bić i zmuszono do wzięcia w rękę któregoś z tych przedmiotów. Potem od razu oskarżono ich o kradzież właśnie tych rzeczy, które rzekomo odebrano im w czasie rewizji w czasie zatrzymania na ulicy.

Jak dotąd niezwykle trudno określić zasięg represji zastosowanych wobec robotników i — szerzej — mieszkańców Radomia po strajkach i manifestacjach 25 czerwca 1976 roku. Liczbę osób zatrzymanych tego dnia ocenia się na ponad tysiąc. Wiadomo jednak, że aresztowania trwały jeszcze w pierwszych dniach lipca. Z drugiej strony nieznany jest wypadek zwolnienia uprzednio zatrzymanego, bez wyciągnięcia wobec niego konsekwencji

prawnych. Należy więc sądzić, że liczba represjonowanych przewyższa tysiąc osób.

Większość zatrzymań miała miejsce 25 czerwca po południu i w nocy oraz w trakcie dni następnych, aż do 6 lipca. Punktem zwrotnym w przebiegu akcji represyjnej było wkroczenie około godz. 17-tej oddziałów ZOMO (Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej) z Kielc i ze Szczytna. Już jednak przedtem nieumundurowani pracownicy S.B. i M.O. zatrzymywali pojedyncze osoby. Wśród zatrzymanych można wyróżnić trzy kategorie. 15-28 czerwca aresztowani zostali przede wszystkim uczestnicy zorganizowanej demonstracji robotniczej, ci którzy się do niej przyłączyli oraz przypadkowi przechodnie (np. wracający z pracy), którzy znaleźli się w zasięgu działania sił ZOMO. Jak się wydaje, ci ostatni są bardzo liczni. Dokładnie znanych jest kilkanaście przypadków osób wracających późnym popołudniem lub wieczorem z pracy, które zostały aresztowane przez milicjantów pacyfikujących miasto. Trzecią kategorię stanowią ci, w których mieszkaniach znaleziono rzeczy pochodzące, według domniemań milicji, z demolowanych sklepów. Osoby te były aresztowane począwszy od 29 czerwca. W większości wypadków identyfikacja następowała na podstawie zdjęć robionych podczas demonstracji. Często jednak wystarczało znalezienie w danym mieszkaniu nowej rzeczy, nabytej w rozbitym 25 czerwca sklepie. Znany jest jeden tylko (na razie) przypadek, gdy aresztowania pod zarzutem rabunku dokonano na podstawie donosu.

Wszyscy aresztowani, o których istnieją wiadomości, byli sądzeni bądź wyłączeni przez sądy (dotyczy to przede wszystkim oskarżonych o rabunek), bądź przez kolegia i przez sądy. W znanych wypadkach oskarżonych o rabunek wyroki opiewały na karę od jednego do dwóch i pół roku więzienia i grzywnę od 5 do 10 tysięcy złotych. Wyroki zapadały w drugiej połowie sierpnia. Podobnie wyłącznie przez sądy skazywani byli ludzie wchodzący w skład grupy uznanej za szczególnie aktywną podczas zajść. Grupa ta liczy nie mniej niż 20-30 osób i otrzymała wyroki od trzech do dziesięciu lat więzienia. Jeden z tych procesów został ujawniony przez prasę stołeczną 20 lipca.

W sposób bardziej skomplikowany przedstawia się sprawa z zatrzymaniami pod zarzutem atakowania i obrażania milicjantów. Osoby te, aresztowane w dniach 25-28 czerwca po 48 godzinach były przeważnie zwalniane i zatrzymane ponownie następnego dnia (nie było to regułą, czasem do ponownego zatrzymania upłynął tydzień). Także tego samego dnia byli sądzeni przez Kolegium Karno-Orzekające, które wymierzało im karę 2-3 miesiące aresztu i ewentualnie grzywnę w wysokości 2-3 tysiące złotych. Począwszy od połowy sierpnia osoby te sądzono za ten sam czyn przez Sąd Rejonowy miasta Radomia — tym razem wyroki opiewały na 2-4 lata więzienia i czasami grzywnę do 5 tysięcy złotych. Prócz tego istnieją też grupy osób, zatrzymanych 25 czerwca i skazanych na kary 2-3 miesięcy aresztu przez Sąd Rejonowy miasta Radomia. Wyroków w tych sprawach

nie zaskarżała ani Prokuratura, ani obrona. Tak więc stawały się one prawomocne, gdy począwszy od połowy września bież. roku osoby te po raz drugi stanęły przed Sądem Rejonowym miasta Radomia, by być powtórnie sądzone za ten sam czyn przez tę samą instancję sądową. Z reguły zapadają wyroki kilkuletniego więzienia (dwa lata) w zawieszeniu na cztery lata, a do tego grzywna, nakaz pracy społecznej i zarobkowej.

Wszyscy aresztowani byli brutalnie bici podczas zatrzymania i przesłuchań w KW MO (patrz relacje). W wyniku tortur w czasie przesłuchania zmarł jeden z robotników (nazwiska jego na razie nie podajemy ze względu na rodzinę). W jakiś czas po 25 czerwca został zabity przez nieznanych sprawców ksiądz Roman Kotlarz, kapelan szpitala psychiatrycznego i proboszcz parafii Pelagów k/Radomia. W trakcie demonstracji robotniczej, widząc leżącą się krew, udzielał rozgrzeszenia *in articulo mortis*. W związku z tym był później przesłuchiwany pod zarzutem błogosławienia demonstrantów. W jakiś czas potem kobieta sprzątająca w jego mieszkaniu, gdy przyszła tam z raną, zastała drzwi wejściowe wyłamane, pokój zdemolowany, a księdza nieprzytomnego z wyraźnymi śladami pobicia. Ksiądz Kotlarz zmarł wkrótce po odwiezieniu go do szpitala nie odzyskawszy świadomości.

Oba te wypadki znane są szczegółowo; pogłoski mówią o przynajmniej jeszcze dwóch zabitych, w analogicznych okolicznościach.

Zasięg represji w Radomiu jest szczególnie szeroki, a ich nasilenie — do dziś nie malejące — bardzo duże. Niepokoi zwłaszcza zakres stosowania przez siły SB, ZOMO i MO terroru fizycznego oraz daleko idące łamanie prawa przez organa wykonawcze i sądowe. Jaskrawym tego dowodem są rozprawy, w wyniku których skazuje się powtórnie za czyn objęty już prawomocnym wyrokiem tej samej instancji. W tej sytuacji na obronę spada wielka odpowiedzialność. Niestety oskarżeni bardzo często pozbawieni są kompetentnych adwokatów a sąd nie dba zbytnio o prawo oskarżonych do obrony. Znałe są wypadki, gdy Sąd Rejonowy chciał rozpoznawać sprawę pod nieobecność adwokata, przy czym — jak się okazało — adwokat nie stawiał się na rozprawę, ponieważ nie został o niej przez sąd powiadomiony.

Atmosferę prawną w Radomiu dość dobrze obrazuje to, co przydarzyło się sześcioru młodym ludziom z Warszawy. Uczestniczyli oni 16 września, jako widzowie, w trzech rozprawach otwartych w Sądzie Rejonowym. Podczas wychodzenia (po zamknięciu ostatniej rozprawy) zostali na korytarzu sądowym otoczeni przez grupę milicjantów, kierowanych przez nieumundurowanego pracownika SB. Przetrzymano ich następnie w pomieszczeniu dla więźniów, gdzie pracownik SB domagał się od nich wydania magnetofonu i taśmy, przy pomocy których jakoby nagrywali przebieg rozprawy (raz jeszcze warto podkreślić, że rozprawa była przy drzwiach otwartych). Następnie skuci w kajdanki zostali przeprowadzeni przez korytarze sądowe przed licz-

nie zgromadzoną publicznością i wywiezieni do KW MO. Tam przesłuchiowano ich do późnych godzin nocnych (ostatniego wypuszczono około godz. 00.30). Podczas przesłuchania używano wobec nich gróźb, wprowadzano w błąd co do ich uprawnień, głodzano. W pewnym momencie oskarżono ich o posiadanie pistoletu i materiałów wybuchowych. Przy czym pracownik, zarzucający ten czyn, powoływał się na służbową informację z Warszawy. Jednego z nich bito, duszono i lżono, używając najohydniejszych antysemickich zwrotów.

Następnego dnia na rozprawę w Sądzie Rejonowym miasta Radomia już się nie można było dostać. Chociaż nie wydano formalnego zarządzenia prowadzenia rozpraw przy drzwiach zamkniętych, milicjant nie wpuszczał nikogo na salę. Nie wywieszono też wokandy.

KOMUNIKAT NR 1 KOMITETU OBRONY ROBOTNIKÓW

Warszawa, 29 września 1976 r.

Wszelkie informacje podane poniżej dotyczą jedynie wypadków sprawdzonych. Ponieważ ciągle nie została ujawniona publicznie statystyka represji poczerwcowych, trudno powiedzieć cokolwiek na temat ich zasięgu. W wypadku informacji co do których nie mamy pewności, będziemy powoływali źródło lub przesłanki, które doprowadziły nas do danych przypuszczeń.

1. Zakres pomocy udzielonej robotnikom Ursus i Radomia

Ursus

W Ursusie pełnej listy represjonowanych nie udało się nam dotychczas odpowiedzialnie ustalić. Liczba znanych wypadków sięga 126 osób. Z tego: kolegia do spraw wykroczeń skazały 59 osób, sądy — 19 (12 za zabór mienia tj. rozdanie zawartości dwóch wozów dostawczych z cukrem i jajami, 2 procesy pruskowskie), w więzieniach pozostaje jeszcze 13 osób. W stosunku do 2-ch osób uchylono ostatnio areszt tymczasowy, 32 osoby zostały „tylko” usunięte z pracy. Jak dotąd stałą opieką udało się objąć zaledwie 67 rodzin. Jak wiadomo wszyscy represjonowani zostali usunięci z pracy. W ostatnich dwóch tygodniach sytuacja ta uległa zmianie: 10 osób otrzymało pracę, w tym jedna w Zakładach Mechanicznych „Ursus”, dwie zaś przyjęto z powrotem w wyniku Orzeczenia Sądu Pracy oraz terenowej Komisji

Odwoławczej. Przywrócono więc pracę łącznie 12 osobom, w tym trojgu w ZM „Ursus” (spośród 126). Do pozostałych wypadków nie udało się nam dotrzeć.

Sytuacja finansowa nie jest najlepsza. Dotąd o ile nam wiadomo, udzielono w Ursusie pomocy na sumę 139,2 tys. zł. Ciągłe jeszcze nie pokryto kosztów obrony. Nawet ci odwokaci, którzy traktują swoją obronę jako obowiązek społeczny, zobowiązani są do przyjmowania wpłat na zespół adwokacki. Pomoc stała dla 67 rodzin pochłania miesięcznie około 51 tys. zł., co nie może pokryć potrzeb tych rodzin. Licząc więc, iż w ciągu miesiąca obejmie się prawdopodobnie stałą pomocą około 200 rodzin, na październik potrzeba będzie co najmniej około 200 tys. zł.

Radom

Przypuszczalny zakres represji w Radomiu to około 2.000 zatrzymanych (oczywiście wszyscy oni zostali usunięci z pracy). Nie mamy niestety żadnych danych, by określić przypuszczalną choćby liczbę osób, które zostały jedynie usunięte z pracy. Podając liczbę zatrzymanych opieramy się przede wszystkim na danych z więzień w Radomiu, Białymstoku, Kielcach, Warszawie (więzienie na Grochowie) oraz Komendy Milicji w Radomiu, Grójcu i Białobrzegach. Tak np. przypuszcza się, iż w więzieniu białostockim znajdowało się 1.100 robotników radomskich: jest tam 45 cel, a w każdej przebywało minimum 25 robotników. Prawdopodobnie w więzieniach na terenie lubelszczyzny również przetrzymywano robotników z Radomia.

Objętych informacją jest obecnie zaledwie 70 konkretnych osób, a stałą pomocą 30 rodzin. Spośród objętych informacją 13 osób zostało skazanych przez kolegia (do 3 miesięcy aresztu i grzywna), 44 wyrokami sądowymi na ponad rok więzienia, o 7-miu wiadomo jako o przebywających nadal w areszcie.

Krąży niesprawdzone jeszcze w pełni pogłoski, że zostało zabitych w związku z wypadkami 5 osób. Nazwiska i okoliczności śmierci dwóch z nich są już znane: ksiądz Roman Kotlarz, zabity przez nieznaną sprawców w swym mieszkaniu około dwóch tygodni po 25 czerwca, po postawieniu mu przez władze bezpieczeństwa zarzutu, iż błogosławił demonstrantów i po zwolnieniu — i Janusz Brożyna, lat 28, który zmarł na ulicy Koszarowej na skutek pobicia pałkami.

Spośród znanych 70 osób wszyscy byli bici, a właściwie torturowani (niektórzy przechodzili „ścieżkę zdrowia” — szpaler bijących pałkami milicjantów — 4 razy). O sześciu osobach wiadomo, że przebywały dłuższy czas w szpitalu więziennym.

Wśród 57 skazanych 10 oskarżano o zabór mienia, 42 o pobicie milicjanta, naruszenie porządku publicznego, podpalenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR itp. Przynajmniej 5 osób dwukrotnie sądzono w tej samej instancji za ten sam czyn, przy tych samych świadkach oskarżenia. Wyrok poprzedni był za każdym razem

prawomocny. Nie zważając na to sąd wydawał orzeczenia po raz drugi. Pierwszy znany proces tego typu odbył się 16 sierpnia 1976 roku. Kompletowi sędziowskiemu przewodniczyła w tych procesach przeważnie sędzia E. Dobrowolska. Procesy takie mają się odbywać jeszcze w październiku.

Ze względu na olbrzymie potrzeby w Radomiu trzeba ograniczyć się na razie do pokrycia wydatków związanych z kosztami sądowymi, rzadko udzielając dodatkowej pomocy finansowej. Dotąd wydano w Radomiu 20.800 złotych. Obecnie potrzeba jeszcze (licząc tylko 70 rodzin) około 100 tys. zł. Zakładając, iż w ciągu najbliższego miesiąca liczba objętych stałą pomocą osiągnie zaledwie 200 rodzin, oraz że będziemy pomagali tylko w sytuacjach najtrudniejszych, w październiku potrzeba będzie minimum 300 tys. zł.

Tak więc dotąd udzielono pomocy dla robotników Ursusa i Radomia w wysokości 160 tys. zł., zaś na październik potrzeba minimum 555 tys. zł., przy czym jest to sytuacja, kiedy potrzeby radomskie zaspakaja się jedynie w minimalnym stopniu oraz rezygnuje się, tak jak w Ursusie, z maksymalnego postulatu, by w 50-80% zwracać bezrobotnym utracone przez nich zarobki, nie mówiąc już o tym, że w Radomiu należy liczyć się z wielokrotnie wyższą niż 200 rodzin liczbą potrzebujących.

2. Represje za obecność na innych rozprawach sądowych

Dwukrotnie, 16 i 23 września, do Radomia udała się grupa młodzieży warszawskiej, by przysłuchiwać się rozprawom publicznym przeciw oskarżonym o udział w zajściach 25 czerwca. 16 września byli to: Ludwik Dorn, Zofia Krajewska, Jan Tomasz Lipski, Antoni Macierewicz, Stanisław Puzyna, Zofia Winawer. Po zakończeniu rozprawy, gdy wychodzili około godziny 15-tej z sali sądowej, grupa milicjantów kierowana przez pracownika służby bezpieczeństwa, por. Lecha Kamińskiego, zatrzymała ich. Następnie mężczyźni skuto kajdanami i wszystkich przewieziono do Komendy Wojewódzkiej MO. Tam byli poddawani próbom nieformalnego przesłuchania, bez podawania w jakim charakterze zostali zatrzymani. Przesłuchanie trwało do godz. 00.30. Podczas przesłuchania grożono im, wprowadzano w błąd co do ich uprawnień i łżono. Ludwik Dorn został pobity przez pracowników służby bezpieczeństwa, między innymi przez por. Praskę. L. Dorna łżono antysemickimi wyzwiskami, bito po żebrach, duszono. Tydzień później 23 września do Sądu Rejonowego miasta Radomia przybyli: Ludwik Dorn, Grażyna Jaglarska, Antoni Macierewicz, Marek Tomczyk. Po wyjściu z budynku sądu byli inwigilowani, m.in. przez por. Praskę, a następnie około 14.30 zostali zatrzymani i odwiezieni do Komendy Wojewódzkiej MO. Tam poddawano ich próbom przesłuchania. Troje zostało wypuszczonych około godz. 19.30. M. Tomczyk był bity i przetrzymany do godz. 16.30 następnego dnia. Również tym razem nie podano

prawnego powodu zatrzymania, zaś L. Dorn był bity pałkami w gołe pięty. Poszkodowany wniósł w swojej sprawie kolejne skargi do prokuratury.

Oto nazwiska funkcjonariuszy, którzy w dniach 16 i 23 września brali m.in. udział w przesłuchaniach: por. Mosek, por. Rosłaniec, por. Boguta, por. Prasek, ob. Pająk (nie ustalono stopnia służbowego), mjr Tadeusz Rojewski.

Postępowanie funkcjonariuszy MO i SB w Radomiu zagraża gwarantowanej prawnie zasadzie jawności postępowania sądowego.

3. Rozprawa rewizyjna w Sądzie Najwyższym

Dnia 27 września 1976 roku przed Sądem Najwyższym odbyła się rozprawa rewizyjna siedmiu skazanych w pierwszym, lipcowym procesie ursuskim w Warszawie. Wszyscy uprzednio skazani: Mirosław Chmielewski (5 lat), Mirosław Karbowski (4½ roku), Wojciech Czarnecki (4 lata), Dariusz Dziełak (4 lata), Czesław Mielczarek (4 lata), Józef Jaworski (3 lata), Grzegorz Zielonka (3 lata), otrzymali wyroki w wysokości 1-go roku więzienia z zawieszeniem na 3 lata. Mimo wniosków obrońców Sąd Najwyższy utrzymał w mocy kwalifikację prawną (art. 220 Kodeksu Karnego) z zastosowaniem przepisów o nadzwyczajnym złagodzeniu kary.

W trakcie rozprawy oświadczono, iż prokuratura podejmie postępowanie wyjaśniające w sprawie pobicia Mirosława Chmielewskiego.

4. Nowy członek Komitetu Obrony Robotników

29 września do Komitetu Obrony Robotników przystąpiła Halina Mikołajska.

Apel

Komitet Obrony Robotników w dalszym ciągu apeluje do społeczeństwa o pomoc finansową, lekarską, prawną dla dotkniętych represjami. Apelujemy również o nadsyłanie rzetelnych informacji niezbędnych dla prac Komitetu.

Podajemy adresy i telefony członków Komitetu Obrony Robotników:

1. Jerzy Andrzejewski, Warszawa, ul. Świerczewskiego 53, m. 4, tel.: 19-82-61.
2. Stanisław Barańczak, Poznań, ul. Kościuszki 110, m. 9., tel.: 55-441.

3. Ludwik Cohn, Warszawa, ul. Koszykowa 14, m. 6, tel.: 28-51-50.
4. Jacek Kuroń, Warszawa, ul. Mickiewicza 27, m. 64, tel.: 29-39-64.
5. Edward Lipiński, Warszawa, ul. Rakowiecka 22A, m. 26, tel.: 49-50-17.
6. Jan Józef Lipski, Warszawa, ul. Konopczyńskiego 4, m. 9, tel.: 27-34-72.
7. Antoni Macierewicz, Warszawa, ul. Daleka 2, m. 75.
8. Halina Mikołajska, Warszawa, ul. Marszałkowska 10/16, tel.: 21-54-37.
9. Piotr Naimski, Warszawa, ul. Daleka 2, m. 75 (z listami A. Macierewicza).
10. Antoni Pajdak, Warszawa, ul. Śliska 10, m. 76.
11. Józef Rybicki, Milanówek, Warszawa, ul. Okólna 14A, tel.: 58-35-51.
12. Aniela Steinsbergowa, Warszawa, ul. Boya Żeleńskiego 4, m. 26, tel.: 25-32-95.
13. Adam Szczypiorski, Warszawa, ul. Parkowa 13/17, tel.: 41-24-72.
14. Ks. Jan Zieja, Warszawa, ul. Dobra 55, m. 13.
15. Wojciech Ziemiński, Warszawa, Sady Żoliborskie 7A, m. 21, tel.: 33-05-46.

KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Z BIULETYNU INFORMACYJNEGO Nr 1

AKTUALNOŚCI ŻYCIA PUBLICZNEGO

Wrzesień 1976

Biuletyn ma na celu przełamanie państwowego monopolu informacji obwarowanego przez istnienie cenzury w naszym kraju. Zamieszczone w nim informacje służą jawności życia publicznego i składają się na kronikę represji stosowanych tak przeciwko obywatelom jak i kulturze narodowej. Rozpowszechnianie biuletynu jest czynnym występowaniem w obronie praw obywatelskich, jest korzystaniem z tych praw.

Przeczytaj, przepisz i daj innym do czytania. Ujawnij przypadki zamachów na prawa obywatelskie. Pamiętaj! Niszcząc biuletyn zaklejasz usta sobie i innym.

KOMITET REDAKCYJNY

PRAWO PRACY

Strajki czerwcowe spowodowały chaotyczną reakcję aparatu administracyjnego. Poszczególni ministrowie nakazali uzupełnie-

nie regulaminów pracy w podległych sobie zakładach, np. minister przemysłu maszynowego pismem z dn. 17. 7. 76, znak P.P.II. 5201/76, zarządził następujące uzupełnienie:

„Samowolne przerwanie pracy bez usprawiedliwienia, uchylanie się od jej wykonywania oraz zakłócanie porządku i spokoju w Zakładzie stanowi podstawę do rozwiązania umowy o pracę bez wypowiedzenia, co oznacza zwolnienie z pracy ze skutkiem natychmiastowym”.

Trzeba pamiętać, że w treści nakazanego uzupełnienia powtórzono odpowiednie sformułowania art. 52 §1 i 65 §1 kodeksu pracy, które były szeroko stosowane jako podstawa do wyrzucenia z pracy robotników za udział w strajkach czerwcowych. W ten sposób rząd przypomniał kierownikom zakładów pracy, że są w posiadaniu „środków prawnych” przeciwko strajkującym robotnikom.

ARTYKUŁ 114 k.p.k.

W tej stałej rubryce będziemy zamieszczali informacje o wszelkich nadużyciach władzy, dokonywanych przez funkcjonariuszy MO i Służby Bezpieczeństwa. Jednocześnie pragniemy podać niezbędną ilość wiedzy prawniczej pozwalającej na obronę swych praw przed łamaniem ich przez organa władzy. Wbrew powszechnym przekonaniom obywatel nie jest bezsilny wobec bezprawia. Jest on chroniony przez konkretne artykuły k.p.k., a wykorzystanie ich zależy od niego. Pomocą będzie tu szeroka informacja społeczeństwa o próbach łamania prawa. Mówiąc krótko — od nas samych zależy w dużej mierze, jaki będzie zakres ograniczenia swobód obywatelskich.

Najczęstszym przykładem łamania art. 114 k.p.k. są nieformalne wezwania na tzw. „rozmowy obywatelskie. Rozmowy takie nie mają na celu wykrycia przestępstwa, bądź ujawnienia sprawy, lecz służą zorientowaniu się w nastrojach jakiegoś środowiska, poznaniu poglądów poszczególnych ludzi, zdobycia materiałów do szantażu, a najczęściej do zwerbowania konfidenta. W sprawach, w których Milicja prowadzi dochodzenie, wezwania są prawidłowo wypełniane. Natomiast wezwania na „rozmowy obywatelskie” mają najczęściej nieprawidłowo wypełnioną rubrykę „sygnatura sprawy” oraz rubrykę „w charakterze”.

Zgodnie z art. 114 k.p.k. w wezwaniu należy podać: „... w jakiej sprawie, w jakim charakterze, miejscu i czasie ma stawić się adresat”. Obywatel może być wezwany tylko w charakterze świadka, podejrzanego, biegłego lub tłumacza. Od tego w jakim charakterze występuje, zależą jego prawa. Jako podejrzan zachowuje prawo do odmowy zeznań (art. 64 k.p.k.). Jako świadek może uchylić się od odpowiedzi na pytanie, które mogłoby narazić jego samego, lub osoby mu najbliższe na odpowiedzialność karną (art. 166 k.p.k.). W innych wypadkach obowiązany jest odpowiadać na pytania. Nie jest więc rzeczą obojętną, w jakim charakterze wzywają na przesłuchanie, i dlatego wez-

wanie musi zawierać powyższe informacje. Jednak nawet, gdy świadek jest zobowiązany do składania zeznań, nie ma obowiązku odpowiadać na jakiegokolwiek bądź pytania, ale jedynie na takie, które dotyczą sprawy, w jakiej jest przesłuchiwany, i to wyłącznie na pytania, które są wpisane do protokołu. W przypadku wezwania *lege artis*, przesłuchujący zobowiązany jest udzielić informacji, w jakiej sprawie prowadzone jest dochodzenie.

Nikt nie jest zobowiązany do stawienia się na wezwanie z niewypełnioną rubryką sygnatura akt sprawy i bez wskazania charakteru przesłuchania. Po otrzymaniu takiego wezwania, w celu uniknięcia dalszych bezprawnych kroków należy zawiadomić prokuratora o próbie nadużycia władzy. Dotyczy to również oczywiście wezwań telefonicznych, prób odbycia rozmów w domu, miejscu pracy, kawiarni lub podczas załatwiania spraw urzędowych. W przypadku nieformalnych przesłuchań nie należy obawiać się informowania jak najszerszego kręgu znajomych. Zwiększa to wiedzę prawniczą otoczenia i chroni przed dalszymi działaniami tego typu. Nie łudźmy się nadzieją łatwego kompromisu, kiedy rozmowa z funkcjonariuszem SB nie dostarczyła, w naszym przekonaniu, informacji, które pachną donosicielstwem. Z chwilą wyrażenia zgody na „rozmowę obywatelską” popełniłmy błąd nie do odrobienia. Daliśmy SB *placet* na dalsze rozmowy, które niechybnie nastąpią, a które wcześniej czy później doprowadzą do propozycji zostania konfidentem.

Podajemy tutaj niektóre najbardziej drastyczne przykłady zachowania się funkcjonariuszy SB w ostatnim miesiącu.

16 września sześciu mieszkańców Warszawy (Ludwik Dorn, Zofia Krajewska, Jan Tomasz Lipski, Antoni Macierewicz, Stanisław Puzyna, Zofia Winawer), zostało zatrzymanych w gmachu Sądu w Radomiu po wyjściu z rozprawy przeciwko uczestnikom zająć czerwcowych. Mężczyźni zostali skuci kajdankami, a wszystkich przewieziono do Komendy Wojewódzkiej MO przy ul. Kilińskiego, gdzie zostali poddani brutalnym przesłuchaniom (Ludwik Dorn był bity). Wszyscy odmówili odbycia rozmów. Niektórym zatrzymanym odebrano legitymacje studenckie. Zostali wypuszczeni po 8-miu godzinach.

23 września w Radomiu 4 mieszkańców Warszawy (Ludwik Dorn, Grażyna Jaglarska, Antoni Macierewicz, Marek Tomczyk) zostało zatrzymanych na ulicy po wyjściu z gmachu sądu. Procedura, zastosowana w dniu 16 września została powtórzona. Byli bici Ludwik Dorn i Marek Tomczyk, przy czym ten ostatni został przetrzymany przez 25 godzin.

Nazwiska funkcjonariuszy biorących udział w zatrzymaniu i przesłuchaniu: porucznik Kamiński, por. Prasek, por. Mosek, por. Roślaniec, por. Boguta, mjr Rojewski i ob. Pająk.

29 września. Większość zatrzymanych otrzymała nieformalne wezwanie do stawiennictwa w komendzie MO w Radomiu. Jednocześnie Stanisław Puzyna był przesłuchiwany w komendzie MO w Warszawie pod zarzutem wtamania się do kiosku, które

rzekomo miało miejsce w dniu 16 września, a więc w czasie gdy Stanisław Puzyna był w Radomiu.

25 września, na dwa dni przed procesem rewizyjnym 7 robotników z Ursusa, u rodzin niektórych skazanych oraz u osób, związanych z tą sprawą, pojawiło się kilku ludzi, przedstawiających się jako pracownicy kontrwywiadu, bądź jako funkcjonariusze SB. Doradzali oni rozmówcom, aby nie udawali się na proces rewizyjny swych najbliższych, tłumacząc, że podsądni i tak zostaną zwolnieni, a obecność wielu ludzi może tylko pogorszyć sytuację skazanych i zostać wykorzystana przez „Wolną Europę” lub „Żydów”.

ODPOWIEDŹ ZACHODNICH INTELEKTUALISTÓW

Niezależnie od indywidualnych odpowiedzi na apel trzynastu polskich intelektualistów, zamieszczony w sierpniu br. w *Le Nouvel Observateur*, inni spośród siedemnastu intelektualistów zachodnich zaznaczyli swoją solidarność z ofiarami antyrobotniczych represji w Polsce w czerwcu br. w następujących słowach:

„Protestujemy przeciwko procesowi tajnemu i w trybie przyspieszonym, jak również przeciwko towarzyszącemu mu złemu traktowaniu. Protestujemy przeciwko ciężkim karom wymierzonym manifestantom. Protestujemy przeciwko oskarżaniu ich o wandalizm, przynoszący ujmę honorowi robotników. Protestujemy przeciwko zwolnieniom z pracy i towarzyszącemu zwolnieniom szantażowi.

Uważamy, że polscy robotnicy przez cierpienie i dzięki odwadze, ale także dzięki wyraźnie sprecyzowanemu celom ich buntu zdobyli prawo do posiadania własnych organizacji i do zarządzania nimi. Jaki by nie był ustrój przy władzy wolności robotnicze i demokracja pracy mają swój sens i wartość i należy ich zawsze bronić.

Apelujemy więc z kolei do organizacji robotniczych i do związków zawodowych naszych krajów, które tak często miały okazję do walki o prawa i godność pracujących, aby interweniowały na korzyść polskich robotników uwięzionych i prześladowanych za manifestowanie przeciwko pogorszeniu się warunków ich życia”.

Podpisali: Saul Bellow, Heinrich Böll, Jean-Marie Domenach, Pierre Emmanuel, Günther Grass, Eugène Ionesco, Claude Roy, Laurent Schwartz, Ignacio Silone, Stephen Spender, Jean Daniel, Jean-Paul Sartre.

APEL DO SPOŁECZEŃSTWA I WŁADZ POLSKI LUDOWEJ O PRZECIWDZIAŁANIE ROZKŁADOWI W ORGANACH PORZĄDKU PUBLICZNEGO

Od szeregu lat nasila się w Polsce zjawisko groźne dla całości społecznego życia. Coraz częstsze są sygnały, że organy mające stać na straży publicznego ładu i obowiązujących norm stosują wobec obywateli metody nie tylko sprzeczne z prawem, ale wywołujące odrazę i potępienie ze strony całego społeczeństwa. Coraz liczniejsze świadectwa potwierdzają, że normalną płaszczyzną kontaktu obywatela z organami porządku staje się milicyjna pałka, że bicie, fizyczne i moralne torturowanie stosuje się również „profilaktycznie” wobec ludzi przypadkowych, nie obciążonych nawet poszlakami winy.

Okazji do masowego zastosowania tych metod dostarczyły zwłaszcza wydarzenia w czerwcu br., kiedy w wielu punktach kraju klasa robotnicza zmanifestowała swój sprzeciw wobec decyzji rządu o podwyżce cen. Mimo iż decyzje te sam rząd odwołał uznając je za niedostatecznie przemyślane, wobec robotników, którzy choćby w bierny sposób ujawnili swe stanowisko, zastosowano i stosuje się nadal najsurowsze represje. Jeśli nawet w niektórych przypadkach manifestowany sprzeciw klasy robotniczej dał powód do zajęć naruszających obowiązujące normy — w żadnej mierze i nigdy nie może to być usprawiedliwieniem stosowanych metod. Aresztowanych i zatrzymanych przez władze policyjne poddaje się wypróbowanym metodom bicia i torturowania, torturami zmusza się do potwierdzania dyktowanych im zeznań.

Próby wskrzeszania tych metod w naszym kraju, który nosi jeszcze na swym ciele blizny po nich z nie tak dawnych czasów — okupacji, a później z praktyk stalinowsko-beriowskiego „bezpieczeństwa” w latach 50-tych — muszą w każdym człowieku wywołać odczucie ohydy, grozy i najwyższego niepokoju jako groźny symptom choroby naszego państwowego organizmu.

Idzie nie tylko o najwyższe humanistyczne wartości, o obronę godności człowieka, nie tylko o smutny paradoks, że metodami potępionymi przez całą cywilizowaną ludzkość chcemy, jak się twierdzi, budować „rozwinęte społeczeństwo socjalistyczne”. Powody do niepokoju sięgają głębiej. Metody te są jaskrawym przejawem rozkładu w aparacie władzy, dowodem, że niektóre jego człony przestały służyć celom stojącym przed społeczeństwem a stały się zgangrenowanym organem przenoszącym gnilne procesy do innych dziedzin naszego życia. Faktem od dawna niepokojącym jest, iż w parze z rozkładem i moralną degradacją aparatu milicyjnego idzie jego skorumpowanie. Naturalną konsekwencją samowoli, uwolnienia się od wszelkich form kontroli jest jego udział w rozpowszechnionej, zwłaszcza w Pol-

sce prowincjonalnej, zasadzie opłacania się obywatela w jego administracyjnych i gospodarczych kontaktach z państwem.

Nie sposób przecenić wpływu, jaki wywiera to na stan organizacyjnej sprawności kraju, jakim hamulcem jest dla gospodarczego rozwoju, zwłaszcza dla gospodarki chłopskiej całkowicie zdanej na samowolę terenowych organów. Sytuacja ta jest szczególnie alarmująca wobec niedawnych postanowień rządu o podniesieniu stanu naszej gospodarki żywnościowej. Pierwszym zadaniem dla osiągnięcia tych celów jest niedopuszczenie, aby pałka i łapówka stały się główną płaszczyzną styku obywatela z państwem.

O przenoszeniu się gangreny na inne ważne dziedziny społecznego i państwowego życia świadczy rola, do jakiej nazbyt często zostaje sprowadzony wymiar sprawiedliwości. Sądownictwo nasze wychodząc z założenia, że metody stosowane wobec obywateli zgodne są z intencjami władz naczelnych, akceptuje je — stając się w ten sposób przedłużeniem aparatu policyjnego i parawanem osłaniającym bezprawie. Znane są setki przykładów, w których sędziowie nie dopuszczają do ujawnienia metod śledztwa, przerywają każdą wzmiankę o torturach jako „nie należącą do sprawy”.

Narzuca się pytanie, czy wszystko to dzieje się z wiedzą, tym bardziej z wolą naszych naczelnych władz? Jakież mogłyby przyświecać temu cel? Zastraszenie, sterroryzowanie społeczeństwa, polskiej klasy robotniczej? Ktokolwiek zna choćby pobieżnie naszą historię wie, że nie udało się to jeszcze nikomu. Tak samo każdy wie — lub wiedzieć powinien — że organy państwowe gwałtując praworządność, łamiące podstawowe prawne i moralne normy społecznego współżycia są czynnikiem anarchizacji kraju, obniżają sprawność organizacyjną aparatu, niweczą podstawy społecznej obywatelskiej dyscypliny wynikającej z poczucia solidarności społeczeństwa z władzą i z zaufania do jej organów. Jeżeli sytuacja w obydwu tych dziedzinach, zarówno organizacyjnej sprawności jak i poziomu społecznej dyscypliny nasuwa w naszym kraju tak wiele zastrzeżeń — całkowita odpowiedzialność za to spada na samą koncepcję jak i na krótkowzroczność i wręcz beznadziejność metod, jakimi w ciągu 30 lat władze Polski Ludowej usiłowały regulować stosunki między sobą a społeczeństwem.

Wydaje się, że obecne władze stojące przed ważnymi i napiętymi zadaniami gospodarczymi i społecznymi są dostatecznie świadome znaczenia, jakie w ich realizacji ma sprawne działanie wszystkich organów państwa i solidarne współdziałanie całego społeczeństwa. Dlatego też trudno przypuścić, aby jawne gwałcenie norm tego współdziałania było zgodne z ich świadomą wolą. Znacznie prawdopodobiejsze jest, że poszczególne organy władzy, jak np. aparat milicyjny, usamodzielniały się i narzuciły swoje metody, którym władza centralna lękając się osłabienia tego oparcia daje milczące przyzwolenie — manifestując tym swoją bezsilność i bezradność.

Kraj nasz stoi przed ważnym, kluczowym dla przyszłości zadaniem: postawienia tamy powracającej fali znanych już z przeszłości zjawisk, przeciwdziałania objawom gangreny zagrażającej społecznemu i państwowemu organizmowi, wytrzeźwienia z korzeniami hańbiących nasz kraj metod. Trzeba podjąć systematyczną i długofalową pracę nad normalizacją wewnątrzspołecznych stosunków, nad przywróceniem zaufania między społeczeństwem i władzą. Pierwszym i elementarnym warunkiem musi być przestrzeganie prawnych i moralnych norm przez organy władzy. Od nich bowiem zależy, czy będą szerzyły w społeczeństwie poczucie praworządności i dyscypliny, czy anarchię i dezorganizację. Praworządność, poszanowanie praw obywateli, obrona ludzkiej godności potrzebne są nie tylko obywatelom — w równej mierze potrzebne są władzy jako fundament wszelkiego społecznego ładu.

W pilnym zadaniu uzdrowienia atmosfery w kraju konieczny jest czynny udział całego społeczeństwa. Konieczna jest szeroka, żywiołowo już się budząca, aktywność społeczna w obronie praw obywatela, w ujawnianiu wszelkich przypadków samowoli, gwałcenia elementarnych praw i jawnej pogardy dla norm społecznego współżycia. Przejawy tego rodzaju winny być podawane do wiadomości władz centralnych i stawiane pod pręgierz szerokiej opinii.

Na pewno znajdują się organy, które zagrożone ujawnieniem ich karalnych wobec prawa praktyk, ogłaszają tę działalność jako „zamach na państwo”. Społeczeństwo nasze jest jednak dostatecznie świadome, aby odróżnić interes kraju od strachu różnego rodzaju kacyków przed zdemaskowaniem ich metod. Rolę swoją społeczeństwo rozumie jako wspólne działanie wszystkich obywateli — społeczeństwa i władz — nad usunięciem objawów choroby zagrażającej naszemu organizmowi, nad stworzeniem zdrowych podstaw dla realizacji stojących przed całym narodem zadań.

Władysław BIENKOWSKI

Warszawa, październik 1976 r.

A P E L

W SPRAWIE ROBOTNIKÓW I INTELEKTUALISTÓW POLSKICH — OFIAR REPRESJI

Trzy miesiące po fali strajków i manifestacji, które szalały w Polsce w związku z brutalnym ogłoszeniem ogromnej zwwyżki cen na produkty żywnościowe, trwają poważne represje w stosunku do robotników, których jedyną zbrodnią było to, że chcieli poprzeć strajk bronić swojej stopy życiowej. Mnożą się procesy — można doliczyć się co najmniej do setki skazanych, podczas gdy władze polskie podają liczbę 53, niektórych skazano na kary

dziesięciu lat więzienia. Iluż jednak jest jeszcze uwięzionych, którzy nie wiedzą ani o co ich oskarżają, ani na jak długo poddani zostali powtarzającym się gwałtom policji?

Trzynastu polskich intelektualistów zwróciło się „do wszystkich tych, którzy wzięli w obronę prześladowanych w Chile, Hiszpanii, Czechosłowacji i w Związku Radzieckim, do wszystkich tych, którzy solidaryzują się z walką robotników na całym świecie o wolność pracy”. Niedawno w samej Polsce utworzył się *Komitet Pomocy Robotnikom, ofiarom represji w związku z wypadkami z 25 czerwca 1976 roku*. Członkowie tego Komitetu, wszyscy ci którzy okazali solidarność z ofiarami, ryzykują że drogo zapłacą za swoją odwagę, przede wszystkim utratą pracy.

Niżej podpisani, dla których socjalizm nie jest pustym słowem, żądają od władz polskich:

- natychmiastowego uwolnienia wszystkich tych, którzy zostali uwięzieni w związku z wypadkami z 25 czerwca 1976 roku,
- przyjęcia wszystkich zwolnionych do ich poprzedniej pracy, bez utraty uposażenia i zakwalifikowania,
- skończenia z wszystkimi represjami, w szczególności z brutalnymi metodami policyjnymi wobec intelektualistów, którzy zamanifestowali swoją solidarność z uwięzionymi.

Podpisali: *François CHATELET, Maxime RODINSON, Dominique DESANTI, Marcel-Francis KAHN, Maurice NADEAU, Roger GARAUDY, Nicos POULANTZAS, Maxime LE FORESTIER, Pierre SALAMA, Daniel GUERIN, Michel FOUCAULT, J.T. DESANTI, J.M. VINCENT.*

Korespondencję prosimy kierować na adres: Cahiers du Cinéma, 9, Passage Boule Blanche, 75012 Paris.

Do apelu dołączono arkusz na dalsze podpisy.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)
„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści
„KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957
opracowana przez Jana KOWALIKĄ ukazała się w roku 1959.
Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

TOM 263 — TOMASZ STALIŃSKI

LUDZIE W AKWARIUM

Nowa powieść autora wydanych już przez Instytut Literacki powieści
„Widziane z góry”, „Cienie w pieczarze”, „Romans zimowy”
i „Śledztwo”.

Powieść, rozgrywająca się we współczesnej Warszawie, daje przekrój
różnorodnych środowisk społeczno-politycznych poruszając również pro-
blemy emigracyjne w sposób kontrowersyjny lecz nowy i interesujący.

Str. 148.

Cena F. 25,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal: 4^e Trimestre 1976.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 14,00	R. 26,00
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,50	\$ A 13,00	\$ A 25,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla- ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lymen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vliasin- gen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5019 Blvd de Maisson- neuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 488-2839; B. Kra- uski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowice »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY: St Mikicuk, 6 München 45, Gablonzerstr 7/1. NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	DM. 7,00	D.M. 40,00	DM. 75,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90048, tel. 876-8888; Ada Dzie- wanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2038 Chest- nut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706. Tel. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Brit- tain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	K.S. 13,00	K.S. 75,00	K.S. 140,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 68 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 140; półroczna — F. 75.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTÉRAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 264 — WITOLD SUŁKOWSKI

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

Tomik prozy poetyckiej młodego pisarza krajowego. Trzy próby wydania go w kraju skończyły się niepowodzeniem. Jedna z najciekawszych pozycji poetów „nowej fali” w Polsce. Sułkowski, urodzony w roku 1943, z wykształcenia filolog, debiutował w *Więzi* i publikował swoje utwory w *Literaturze*, *Poezji* i *Nowym Wyrazie*. Był więziony pół roku w związku ze sprawą tzw. grupy „Ruch”. Pracuje obecnie jako urzędnik w Łódzkim Domu Kultury. Przedmowę do *Szkoły zdobywców* napisał krytyk krajowy, ukrywający się pod pseudonimem Marek Gruda.

Str. 64.

Cena F. 15,00.



TOM 266 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY SIÓDMY

Zawiera m.in. prace: P. Wandyeza — *Stany Zjednoczone a Europa Środkowo-Wschodnia w okresie międzywojennym 1921-1939*; Jana Nowaka — *Sprawa generała Berlinga*; B. Miedzińskiego — *Moje wspomnienia* (dokończenie); oraz Działy: RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25 (\$ USA 6,75).



TOM 267 — STANISŁAW SWIANIEWICZ

W CIENIU KATYNIA

Wspomnienia oficera W.P. jeńca Kozielskiego.

Książka zawiera następujące rozdziały:

Nadciągająca burza. — Mobilizacja. — Od Piotrkowa pod Katyń. — Spod Katynia do Kujbyszewa. — Kujbyszew. — Droga do Teheranu. — Raport o zaginionych oficerach. — Katyń z perspektywy trzydziestolecia. — Dialektyka Katynia. — Czy Chruszczow chciał ogłosić prawdę o Katyniu? — Katyń a sojusz sowiecko-niemiecki. — Rosja a Polska.

Str. 360.

Cena F. 50,00.

Cena 11 F